

IZABELA
JANISZEWSKA

WRZASK

NAJWIĘKSZY GNIEW
RODZI SIĘ Z CISZY.



WRZASK

IZABELA
JANISZEWSKA

WRZASK

Copyright © Izabela Janiszewska, 2020

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Joanna Marta Akuszczyńska, Joanna Pawłowska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Tomasz Majewski

Fotografie na okładce: Robert Recker, Vesa Tuominen / Getty Images

Fotografia autorki: Zuza Krajewska / Warsaw Creatives

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66517-63-9

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

„Ten, który z demonami walczy, winien uważać,
by samemu nie stać się jednym z nich. Kiedy
spoglądasz w otchłań, ona również patrzy na ciebie”.

Fryderyk Nietzsche

WCZEŚNIEJ

Na parkingu za pubem przy Polu Mokotowskim stała dziewczyna. Miała na sobie krótką, plisowaną spódniczkę w szkocką kratę, buty na grubym koturnie, skórzaną ramoneskę, a pod nią bluzę z kapturem, który z powodu siąpiącego deszczu naciągnęła na głowę. Zerknęła w stronę Alei i bełkotliwym głosem mówiła coś do siebie, ledwie stojąc na nogach. Facet palący przy śmietniku szturchnął łokciem kumpla w kaszkiecie, powiedział mu coś na ucho, a później obaj wybuchli śmiechem. Dziewczyna odwróciła się w ich stronę i pokazała im środkowy palec.

– Szukasz przyjaciela, maleńka? – uśmiechnął się do niej ten z papierosem. – Mogę zostać twoim przyjacielem, jeśli chcesz.

Jego kumpel posłał jej buziaka.

– Wal się – rzuciła tylko i raz jeszcze zerknęła w telefon.

Dwaj mężczyźni wstali z murka i zaczęli iść w jej stronę.

– No chodź, pogadamy tylko – proponował ten niższy, w kaszkiecie.

– Spadajcie – odgryzła się i chciała odejść, ale potknęła się o własne nogi i wylądowała na betonie.

Jej telefon gruchnął o twarde podłoże, a łańcuszek torebki zerwał się, gdy próbowała zamortyzować upadek. Na czworakach starała się to wszystko pozbierać, gdy jeden z mężczyzn chwycił ją za pośladek.

– Hej! – Zerwała się na nogi, jakby w ułamku sekundy otrzeźwiała.

Mężczyźni zarechotali. Zrobiła krok do tyłu i wpadła na jednego z nich. Zauważyła, że ma dziwne oczy, duże źrenice były schowane jakby za mgłą.

– Czemu tak nieładnie się do nas odnosisz? – Wyższy mężczyzna położył ręce na jej biodrach. – Mamy dobre zamiary.

Obejrzała się w stronę lokalu; wiedziała, że w środku są sami pijani

ludzie i jeśli nikt nie wyjdzie teraz na parking od strony zaplecza, ta sytuacja może nie mieć happy endu. Napięła wszystkie mięśnie i spojrzała mężczyźnie w oczy.

– Grzeczna dziewczynka. – Ten, który stał z tyłu, zadarł jej spódnicę.

Zacisnęła zęby i rzuciła okiem na migający niebieski punkt na wyświetlaczu telefonu leżącego na ziemi. Dokładnie w tej samej chwili wszyscy usłyszeli pisk opon i zobaczyli wjeżdżającego na parking opla. Mężczyźni jak rażeni prądem odskoczyli od dziewczyny. Samochód zatrzymał się na wprost nich, sprawiając, że cała trójka znalazła się w świetle reflektorów.

– Co tu się, do chuja, wyprawia? – Z auta wyskoczył facet. Był wysoki, dobrze zbudowany i prezentował się jak starszy brat dwóch pozostałych.

Stał w otwartych drzwiach opla, a jego spojrzenie przesuwano się po mężczyznach.

– Wyluzuj, stary. – Ten w kaszkiecie uniósł ręce w pojednawczym geście. – Chcieliśmy się tylko trochę zabawić.

– Możesz dołączyć, jeśli masz ochotę – rzucił drugi, osłaniając oczy przed światłem.

Dziewczyna zamarła. Milcząco pokręciła głową, patrząc na kierowcę samochodu.

– Tak? – Wyciągnął coś z wewnętrznej kieszeni kurtki i machnął tym przed ich oczami. – Teraz też? Zaproszenie nadal aktualne? Czy może wolelibyście wrócić do środka?

Łysy facet zdjął kaszkiet i potarł spoconą głowę, a jego kolega odchrząknął.

– Może rzeczywiście wypijemy jeszcze po jednym piwie. – Wyższy złapał kumpla za ramię i pociągnął go w stronę pubu. – No chodź!

Tamten z otwartymi ustami oglądał się jeszcze za dziewczyną i kierowcą, ale w końcu odpuścił i obaj mężczyźni zniknęli za drzwiami lokalu.

Po chwili na parkingu zostali już tylko dziewczyna i barczysty kierowca opla.

– To pani zamawiała ubera?

Dziewczyna pokiwała głową, otworzyła usta, ale zamiast odpowiedzieć, zaczęła czkać.

– Ups, przepraszam. – Zachwiała się na nogach. – Trochę za dużo

piwa.

Mówiła powoli i starała się to robić tak, by jej słowa brzmiały wyraźnie.

– Nie szkoda pani zdrowia?

Wzruszyła ramionami.

– Nie robię tego często. – Opuściła głowę i wpatrywała się w czubki swoich butów.

– Wie pani, że to się mogło źle skończyć? – Kiwnął głową w stronę pubu.

– Ale na szczęście pojawił się pan. – Rozbawiona dźgnęła go palcem w klatkę piersiową. – Nie wiedziałam, że policja jeździ uberem! Nieźle ich pan nastraszył tą odznaką.

– Policja robi różne rzeczy. – Jego ton był ostry. – Zapraszam. – Otworzył jej tylne drzwi samochodu. – Gdyby miała pani wymiotować, proszę powiedzieć, zatrzymam się.

Zmierzył ją wzrokiem, zatrzymując się na rozdartych kabaretkach.

– Nie będę – zapewniła, gramoląc się na tylną kanapę.

– Wszyscy tak mówią. – Popatrzył na wyświetlacz swojego telefonu. – Może się pani zdrzemnąć. Z tego, co widzę, czeka nas długi kurs.

– Na samą Białolęgę – powiedziała trochę za głośno i nie do końca wyraźnie.

Cicha muzyka puszczana przez kierowcę i jednostajny szum podczas jazdy sprawiły, że zaczął ją morzyć sen. Uśmiechnęła się do mężczyzny we wstecznym lusterku, a później oparła głowę o zagłówek i zasnęła, cicho pochrapując.

Obudził ją dźwięk blokowania centralnego zamka. Charakterystyczne kliknięcie przegnało lekki sen i postawiło wszystkie zmysły w stan gotowości. Wzdrygnęła się i zacisnęła rękę mocniej na torebce. Przez okno widziała, jak samochód zjeżdża z głównej drogi i wjeżdża w gęsty las. Przecierając oczy, sennym głosem zapytała:

– Gdzie jesteśmy?

– Prawie w domu. – Kierowca patrzył przed siebie z dziwnym grymasem na twarzy.

Dziewczyna przymknęła powieki, ale jej ręce pracowały. Wyjęła z torebki strzykawkę z napisem: „Adrenalina”. Natychmiast wbiła ją sobie w udo i zrobiła zastrzyk, mocno zaciskając zęby. Po chwili sięgnęła po coś jeszcze – cienką, stalową linkę. Chwyciła ją obiema

rękami i gdy auto weszło w zakręt, otworzyła oczy i skoczyła do przodu, zarzucając kierowcy pętlę na szyję.

Ten, zaskoczony, energicznie kręcił kierownicą, usiłując przewrócić dziewczynę, ale ona zaciskała pętlę coraz mocniej. Linka wrzynała mu się w szyję, powodując nieprawdopodobny ból. Mężczyzna chwycił kierownicę lewą ręką, a prawą sięgnął do tyłu, by złapać pasażerkę. Dziewczyna uchyliła się przed wielką dłonią, raz za razem młóćąc powietrze. Zapierała się nogami o fotel kierowcy i ciągnęła linkę z całej siły. Mężczyzna wierzgał i szarpał, naciskając bezwiednie pedał gazu, a przez to samochód rozpędzał się i ślizgał na błotnistej leśnej drodze.

Gdy dziewczyna w końcu rozluźniła ucisk, obrócił się, by spojrzeć na nią rozjuszonym wzrokiem. Nie rozumiał, dlaczego jego pasażerka w popłochu zapina pasy, i gdy zdał sobie sprawę, że on o swoich zapomniał, auto z potężną mocą rąbnęło w drzewo. Ciało kierowcy poleciało do przodu. Jego głowa uderzyła w szybę i rozbiła ją, a z rany na czole zaczęła płynąć struga krwi. Mężczyzna przestał się ruszać i leżał na kierownicy z zamkniętymi oczami. Dziewczyna w tym czasie uwolniła się z pasów, rozmasowała bolący obojczyk i wyszła z samochodu. Podeszła do drzwi od strony kierowcy. Z kieszeni wyjęła telefon komórkowy.

– Masz lokalizację? – rzuciła do słuchawki po tym, jak wybrany numer się zgłosił.

– Jasne.

– Działaj tak, jak ustaliliśmy. Żadnego szarżowania.

– Się robi, dziewczyno.

– Znikam z radaru. – Już miała schować telefon, gdy przyłożyła go do policzka raz jeszcze. – Nie złamię tego szyfru, prawda?

– Mów mi Houdini! – zaśmiał się chłopak po drugiej stronie.

Rozłączyła się i spojrzała na kierowcę. Kiedy szarpnęła za klamkę, drzwi nie chciały się otworzyć, musiała je kopnąć i dopiero wtedy ustąpiły. Chwyciła faceta za kurtkę na karku i podniosła go do góry, by móc sięgnąć po jego telefon, który upadł pod fotel. Nie zauważyła, że gdy się schylała, facet drgnął, a chwilę później otworzył oczy. Dotarło to do niej, gdy jego kolano uderzyło ją w szczękę, a silne palce ściągnęły z jej głowy kaptur, odsłaniając krótko ogoloną głowę.

– Ty głupia, łysa dziwko! – Wyciągnął ją z auta i zacisnął dłonie na jej szyi.

Telefon męczyzny wypadł jej z rąk i wpadł w błoto. Poczowała, że brakuje jej tchu, zmobilizowała wszystkie siły i ze zwierzęcym rykiem uderzyła go głową w twarz na tyle mocno, że zawył i zwolnił ucisk.

– Złamałaś mi, kurwa, nos! – Zaczął się macać po pokrwawionej twarzy.

Jego pasażerka nie czekała długo. Poprawiła uderzenie, a facet osunął się na fotel z odchyloną głową. Dziewczyna sięgnęła po jego telefon. Dłonią starła z ekranu błoto i przejrzała zawartość. Miał tam wszystko, czego potrzebowała. Zdjęcia dwóch zgwałconych ostatnio dziewczyn. Wszystkie korzystały z Ubera. Kierowcą był ten sam mężczyzna, Ireneusz. Jedna z kobiet opisała sprawę na Facebooku, ale bała się z nią iść na policję, bo facet postraszył ją, że roześle zdjęcia do jej znajomych, rodziny i kolegów z pracy. Nie radził też iść na komendę, pokazał swoją odznakę i obiecał, że jego koledzy na pewno troskliwie zajmą się taką sprawą.

Trzeba być idiotą, by zbierać zdjęcia do szantażowania innych bez świadomości, że równie dobrze ktoś może szantażować nimi ciebie, pomyślała i przesłała je na umówiony adres, a później jeszcze do Andżeli – byłej dziewczyny bossa narkotykowego, która uratowała tyłek przed więzieniem, włączając do łóżka policjantowi odpowiedzialnemu za zamknięcie jej faceta.

Tyle że Andżela tęskniła za adrenaliną i ostatnio coraz częściej widywała się z chłopakami z miasta. Niestety, od kiedy Ireneusz znalazł się na cenzurowanym u przełożonego i na jakiś czas wyciszył swoje wyskoki, ich życie nie dostarczało jej tylu bodźców, ilu potrzebowała. Ani tyle pieniędzy. Nie było już łupów z akcji, jak nazywał je gliniarz.

– Teraz ja się zabawię – powiedziała cicho dziewczyna.

Wyjęła z torebki małą spirytusu i wlała go w gardło kierowcy, a pustą butelkę rzuciła na siedzenie obok. Do jej uszu dotarł dźwięk nadjeżdżającego samochodu. Chwilę później w oddali zobaczyła ledwie majaczące światła pojazdu.

– Witaj w piekle – wyszeptała i pobiegła w przeciwną stronę.

TERAZ

Mężczyzna w dżinsach, trampkach i sportowej marynarce, pod którą widać było podkoszulek z logo Supermana, bezceremonialnie wkroczył do mieszkania.

– Nie wolno tu wchodzić! – rzucił się na niego jeden z młodych policjantów, który pilnował drzwi.

Jedną ręką trzymał go za prawe ramię, a drugą położył mu na klatce piersiowej.

– Podobno moja sława mnie wyprzedza, ale może za szybko szedłem? – zaczął Superman, a funkcjonariusz zmrużył oczy, starając się zrozumieć, o co chodzi. – Zrobmy tak, wrócę tam – wskazał kciukiem w stronę drzwi wyjściowych – i przyjdę jeszcze raz. A wtedy ty zareagujesz, jak trzeba.

Poklepał chłopaka po głowie jak prymusa i odwrócił się do wyjścia, zostawiając za sobą oniemiałego policjanta.

– A! – rzucił na odchodne. – Obędzie się bez wylewności. Wystarczy coś w stylu: „Ach! To ty!”. – Puścił do niego oko i zamknął za sobą drzwi.

Nie minęła nawet minuta, gdy te otworzyły się ponownie, a mężczyzna wrócił do mieszkania. Bezceremonialnym gestem odepchnął młokosa na wielką szafę z rozsuwanymi drzwiami, stojącą w przedpokoju, i przeszedł dalej.

– Złap mnie, jeśli potrafisz. – Superman przyspieszył.

– Hej! Stój! – Zdezorientowany chłopak biegł za nim.

Intruz zatrzymał się przy grupce policjantów i techników kryminalistyki w białych kombinezonach.

– Jak impreza, chłopaki? – spytał, zacierając ręce.

Szef techników, który w kucki zbierał coś z podłogi w sypialni, uniósł

głowę i uśmiechnął się do niego.

– Przepraszam, ale ten facet nie chciał się zatrzymać. – Młody policjant pocił się, wpatrzony z wytrzeszczem w przełożonego.

– Idź, pilnuj drzwi, Dzieciak, i nie wpuszczaj tu nikogo więcej. – Grubszy mężczyzna z wąsem odwrócił się w stronę Supermana. – Nie miałeś nic innego? – Obrzucił wzrokiem jego koszulkę.

Tamten wzruszył ramionami.

– Peleryna Batmana jest w pralni, sam rozumiesz. – Starszy policjant tylko pokręcił głową.

– No proszę, komisarz Bruno Wilczyński we własnej osobie. – Prokurator Tomasz Wojtyłka wyciągnął rękę w gumowej rękawiczce. Kiedy jego dłoń wisiała w powietrzu zbyt długo, cofnął ją i cmoknął z niezadowoleniem. – Jak zwykle towarzyski i skory do współpracy – skomentował pod nosem, ale tak, by wszyscy usłyszeli.

Gdy złośliwi nazywali go Karolkiem, uśmiechał się jednym kącikiem ust i mrużył oczy, jakby w niewidocznym rejestrze dodawał tę osobę do listy swoich wrogów. Ubrany w świetnie skrojony stalowoszary garnitur, z modnie obciętymi włosami, krótszymi na dole, dłuższymi na górze i z falującym pasmem opadającym na prawe oko, przypominał modela z wybiegu.

Bruno go nie lubił. To Wojtyłka badał sprawę samobójstwa Alicji, matki Brunona. Tomasz miał wtedy dwadzieścia parę lat, był świeżo po studiach i nie miał pojęcia o tej robocie. Dostał stołek dzięki koneksjom i pieniądzom ojca. Na widok ciała zwymiotował do wanny, w której leżały zwłoki. Policjanci śmiali się z niego potajemnie, a on usiłował ukryć swój wstyd za maską bezwzględного sukinsyna. W rzeczywistości był przerażonym dzieciakiem, któremu tatuś zawsze podcierał tyłek. Spieprzył wszystko, czego się dotknął. Zbagatelizował tropy mogące przeczyć samobójstwu i zamknął sprawę. Bruno nie miał do niego żalu. Miał za to nieodpartą ochotę obić mu tę radosną gębę. Zwalczył w sobie to uczucie i uśmiechnął się niemal serdecznie, a później konspiracyjnie nachylił się do prokuratora.

– Nie zauważyłeś, że ludzie podsłuchują nas zawsze, gdy ze sobą rozmawiamy?

– Czemu? Bo jestem prokuratorem? – Pierś Wojtyłki automatycznie się wypięła.

– Nie, bo podobno na mnie lecisz. – Wilczyński poklepał go po

ramieniu.

Kilku policjantów prychnęło pod nosem, jeden pokręcił z niedowierzaniem głową, a Bruno puścił oko do czerwonego ze złości Tomasza Wojtyłki.

– Zaprosiłbym cię na wspólne oglądanie seriali na Netfliksie, ale ludzie i tak gadają.

– Zamkniecie się w końcu? – Gruby policjant z wąsami przerwał rozmowę telefoniczną, trzymając słuchawkę z dala od ucha. – Mamy tu martwą dziewczynę. Radzę się zająć robotą. – Wrócił do telefonu.

Wojtyłka odchrząknął i pogładził krawat w stalowym kolorze.

– Nina Zaniewska, studentka, dwadzieścia dwa lata. Żadnych ran na ciele. Brak też śladów obecności osób trzecich. Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc chłopaki to jeszcze sprawdzają, ale wszystko wskazuje na samobójstwo. – Prokurator skierował wzrok w stronę otwartego pokoju. – Przy łóżku znaleźliśmy puste opakowanie po tabletkach nasennych i opróżnioną butelkę szampana.

– Super. Idę w takim razie z nią pogadać.

– Z trupem? Niewiele ci powie.

– Takie lubię najbardziej. Nieśmiałe i milczące. – Bruno podszedł do szefa techników i klepnął go w ramię.

Znali się z Danielem od lat. Technik był dla niego jak ojciec. To on nauczył go strzelać, wyjaśnił, jak postępować z kobietami i jak lawirować w policji, by przetrwać. Poza korzystaniem z broni wszystkie te zasady Bruno konsekwentnie łamał.

– Widzę, że jesteś w formie. – Na starej, zmęczonej twarzy pełnej zagnieceń pojawił się uśmiech. – Chcesz obejrzeć denatkę?

– A chociaż ładna jest?

– Myślę, że miewała lepsze dni.

– To tak jak ja – powiedział cicho Bruno, wspominając wczorajszą butelkę jacka danielsa.

Przez chwilę przyglądał się nagiej dziewczynie z długimi włosami w orzechowym kolorze. Miała grzywkę zachodzącą na oczy, pełne, blade teraz usta, kolczyk w nosie i szczupłe ciało. Nienaturalnie wygięta na białej pościeli, przypominała postać z obrazów Modiglianiego. Zauważył, że twarz, dłonie i kostki są delikatnie opuchnięte. Na dekolcie i brzuchu miała wyraźną pokrzywkę. Lewa dłoń schowana była pod poduszką. Prawa leżała przy ciele mniej więcej

na wysokości biodra. W okolicy nadgarstków i kostek dostrzegł ledwie wyraźne rysy.

– Ma spuchnięty przelyk i język. – Wojtyłka pojawił się w drzwiach sypialni. – Wygląda na to, że się udusiła.

– Jak to? – Bruno utkwiał wzrok w Danielu, całkowicie ignorując prokuratora.

– Pewnie anafilaksja. Wiesz, ile świństwa jest teraz w tych lekach? Wystarczy, że miała na coś uczulenie. Poza tym poczytaj sobie o skutkach ubocznych, a odechce ci się brać czegokolwiek. – Starszy mężczyzna poprawił drucziane okulary na nosie.

– Nie dziwi cię to, że przed śmiercią chciała do kogoś zadzwonić? – Wskazał Danielowi nienaturalnie wygiętą do tyłu rękę, która wyglądała, jakby dziewczyna sięgała nią pod poduszkę.

Zanim jednak technik zdołał odpowiedzieć, odezwał się Tomasz:

– Skończ tę błazenadę. Zwyczajny spazm pośmiertny.

Bruno zamrugął, po czym zaczął dokładnie oglądać prokuratora z każdej strony.

– Możesz się odwrócić tyłem?

Kilku policjantów przerwało swoją pracę i z ciekawością spojrzali w stronę tych dwóch.

– Odbiło ci? – Wojtyłka był wyraźnie zdezorientowany.

Wilczyński machnął ręką i wychylił się tak, by dokładnie obejrzeć plecy kolegi.

Policjanci spojrzeli po sobie. Prokurator wciągnął powietrze, najwyraźniej po to, by nie eksplodować, i z klasą podobną do tej, z jaką nosił swój garnitur, wycedził:

– Co ty, do cholery, wyprawiasz?

– Masz odcięty dopływ tlenu do mózgu. Szukałem jakiegoś pokrętła czy guzika, żeby to odblokować, ale chyba jesteś wybrakowaną wersją, bo nigdzie go nie ma. – Bruno zrobił pauzę i po chwili dodał: – Karolku.

Tomasz zacisnął pięści i rzucił się na policjanta.

– Ty gnoju! – Złapał go za marynarkę narzuconą na znoszony T-shirt z logo Supermana. – Myślisz, że wszystko ci wolno?

– Właściwie to tak. – Wilczyński uśmiechnął się niczym zadowolone z siebie dziecko.

Wojtyłka poczerwieniał na twarzy i jeszcze mocniej ścisnął poły marynarki policjanta.

– Hola, hola, dzieciaki. – Daniel wszedł między nich. – To nie piaskownica. Ogarnijcie się.

Bruno strzepnął z marynarki niewidzialne okruchy.

– Doigrasz się – rzucił prokurator, zanim ostentacyjnie wyszedł z pokoju.



My way or highway – te słowa redaktor naczelny, Paweł Wiśniewski, miał wypisane dzisiaj na koszulce. Wszyscy wiedzieli jednak, że nie jest typem apodyktycznego tyrana, który narzucałby swoją wolę dziennikarzom, ale raczej człowiekiem, który ma ucho do dobrych tematów i umiejętnie balansuje między zawodowym ryzykiem a brawurą. Szefem, który zna się na ludziach, a dzięki temu rozsądnie dobiera pracowników. Przynajmniej tych, których może; pozostałych namaszczał właściciel gazety, biznesmen i poważny gracz na rynku prasy, Łukasz Welcer, zwany szefem wszystkich szefów. Wiśniewski z zespołem planował właśnie nowy numer cotygodniowego wydania magazynu reporterów, gdy otworzyły się drzwi salki konferencyjnej. Chwilę później trzasnęły, zgrzytając metalowymi żaluzjami i przyciągając uwagę wszystkich.

Po pokoju przetoczył się szmer przyciszonych rozmów, kilka osób westchnęło, a wysoki chłopak w czapce z daszkiem rzucił cicho, ale tak, by nie umknęło to niczyjej uwadze, „No proszę, gwiazda we własnej osobie”. Po jego komentarzu kilka osób siedzących najbliżej wygłaszającego tę opinię zarechotało niczym banda podnieconych gimnazjalistów, inni wbili wzrok w blaty stołów lub w naczelnego, jakby czekali na jego ruch.

Paweł zdjął ze spokojem okulary w rogowej oprawie, zmrużył oczy i po tym, jak wysłał komentatorowi napominające spojrzenie, odwrócił głowę w stronę drzwi. Kąciki jego ust drgnęły, gdy zobaczył postać w obcisłych czarnych dżinsach, wysłużonych conversach i z kapturem nasuniętym głęboko na twarz. Odprowadził ją wzrokiem do rogu pokoju, gdzie usiadła na podłodze, a później bez słowa wyjęła z plecaka macbooka air i zaczęła uderzać w klawiaturę, jakby była jedyną osobą w tym pomieszczeniu. Jakby inni byli nic nieznaczącymi elementami

wystroju wnętrza, a jej sprawy były ważniejsze od całej reszty.

Wiśniewski bez słowa włożył okulary i wrócił do prowadzenia spotkania. Zbliżali się do końca i uznał, że porozmawia z nią dopiero, gdy zostaną sami, inaczej kolegium rozplynie się w morzu kąśliwych uwag i niepotrzebnych dyskusji. Takich, jakie zawsze wywoływała obecność Lary, nazywanej tak z powodu atletycznej budowy, zamiłowania do boksu i niezwyklej umiejętności pakowania się w kłopoty. A tak naprawdę Larysty – imię odziedziczyła po prababce z Białorusi – najbardziej tajemniczej i niezależnej reporterki „Magazynu”, której, nie wiedzieć czemu, wolno było więcej niż wszystkim pozostałym dziennikarzom. A nawet jeśli nie wolno było, to i tak jej to nie obchodziło.

– Ludmiła, twój materiał o uzdrawianiu niepełnosprawnych dzieci trafi na jedynekę. Dopilnuj autoryzacji wszystkich wypowiedzi. – Paweł wrócił do prowadzenia kolegium.

Dziewczyna o orzechowych oczach i długich, kasztanowych włosach skinęła głową.

– Kuba – Wiśniewski zatrzymał się na chłopaku w czapce z daszkiem – dowiedz się więcej o tych gangach, bo inaczej materiał nie pójdzie.

Chłopak prychnął pod nosem, ale naczelny to zlekceważył.

– Ula, miej w pogotowiu tekst o seksie na Wyspach Owczych, a ty, Marcin, zdobądź jeszcze jakiegoś bohatera do pracy z domu, niech to bardziej wybrzmi, dobra?

– Jasne. – Mężczyzna z zarostem i w okularach uśmiechnął się lekko.

– A teraz spadajcie do roboty. – Paweł otworzył drzwi i wykonał gest zapraszający do wyjścia.

Kiedy ostatni dziennikarz opuścił pokój, zamknął drzwi i spojrzał na nią. Larysta była czymś tak pochłonięta, że nie zauważyła, iż zostali sami. Paweł przyglądał się jej skupionej twarzy, po czym mimowolnie zawiesił wzrok na pieprzyku nad jej ustami. Ten drobny element w połączeniu z ciemną oprawą oczu i ostrzyżoną na krótko głową nadawał jej ostry, srogi wyraz. Redaktor naczelny odchrząknął znacząco, a wtedy ona spojrzała na niego i wstała z podłogi.

– Groźny jak zawsze. – Ironiczny uśmiech pojawił się na bladej twarzy.

– Robię, co mogę. – Wiśniewski wzruszył ramionami. – Jak sponsoring?

– Kwitnie.
– Wiesz przecież, o co pytam. Co z artykułem?
– Piszę.
– Udało ci się dotrzeć do tego skurwiela?
– Pracuję nad tym. – Spojrzała w okno, a on poczuł, że czegoś mu nie mówi.

– Słuchaj, a ten Ireneusz, policjant z ubera zarejestrowanego na żonę... – Zawahał się. – Podobno dziennikarze dostali od kogoś cynk, gdzie go znaleźć, a anonimowy informator wysłał im zdjęcia, których używał do szantażowania swoich ofiar. Mówi ci to coś?

– Niewiele, poza tym, że Ireneusz to kiepskie imię.

Paweł pokiwał głową, choć był pewien, że kątem oka dostrzegł przemykający po jej twarzy cień zadowolenia. Przez chwilę oboje milczeli, na tyle długo, że szum wentylatora stał się nieznośnie głośny. Wodząc wzrokiem po wydeptanym linoleum, Wiśniewski zauważył, że Larysa ma długie, pomalowane paznokcie. Zupełnie nie w jej stylu. Niewygodne i zbyt kobiece.

– Zmiana image'u? – Usiłował się zaśmiać, wskazując na jej dłonie, ale gdy tylko zamknął usta, zrozumiał, że to przebranie, i w ułamku sekundy poczuł znane już ukłucie niepokoju. – Chyba nie zamierzasz z nim pogrywać?

– Przestań. Wykonuję swoją pracę. Ty chcesz mieć materiał, Welcer chce zarobić, a ja mam ochotę zdemaskować gnoja.

– Niby jak? Udając panienkę do zaliczenia? – Żyły na skroniach zaczęły mu pulsować. – Zdajesz sobie sprawę z tego, co on ci może zrobić? Pamiętasz, co mówiła ta dziewczyna? To nieobliczalny sadysta.

– To moja sprawa.

– Przecież nawet nie wiesz, z kim masz do czynienia! – Gestykulował energicznie. – A jeśli sponsorem okaże się jakiś znany biznesmen albo polityk?

– Tym lepiej. – Na jej twarzy pojawił się delikatny grymas satysfakcji. Paweł westchnął ciężko i opuścił ręce z rezygnacją.

– Naprawdę chcesz się mu podłożyć? – powiedział już ciszej, z wyczuwalną troską w głosie.

– Nie mam innego wyjścia. – Spojrzała na jego T-shirt. – *My way or highway*. – Uśmiechnęła się.

– Nie rozumiesz, że to nie jest jakiś pierwszy lepszy taksówkarzyna,

tylko prawdziwy świr?

– Skończyłeś? – Rzuciła mu jedno z tych spojrzeń, które sprawiały, że w ułamku sekundy czuł się jak w najbardziej upokarzających chwilach swojego życia.

Położył ręce na biodrach i westchnął.

– Kiedy?

– Dziś w nocy – odburknęła, grzebiąc w plecaku. Dla niej temat był już zamknięty.

– Świetnie. Powinienem życzyć udanej randki? – spytał sarkastycznie.

Larysa zignorowała jego zaczepkę.

– Trzymaj. – Wręczyła mu kilka matowych zdjęć.

Wiśniewski ściągnął brwi i przyglądał się fotografiom. Przedstawiały blok z wielkiej płyty, taki jakich w Warszawie wybudowano setki w latach osiemdziesiątych, oraz jego mieszkańców. Wyglądały na zrobione ukradkiem, większość fotografowanych nie zdawała sobie sprawy z tego, że są obserwowani, a tym bardziej utrwalani na kliszy. Na jednym była kobieta wieszająca na balkonie pranie, na innych dziecko bawiące się z psem pod klatką, starsze małżeństwo z zakupami, dziewczyna opalająca się w bikini, mężczyzna z papierosem i para w miłosnym uścisku. Gdy je przerzucał, nagle jego dłonie się zatrzymały. Miał przed sobą niewyraźne zdjęcie zrobione nocą. Naga kobieta przewieszona przez balustradę balkonu na pierwszym piętrze. Spojrzał na Larysę, a później wrócił do fotografii. Kolejna przedstawiała tę samą nagą kobietę biegnącą dziedzińcem i w panice oglądającą się za siebie – podobnie jak ostatnia, tyle że ta obejmowała szerszy kadr.

– Kto to jest? – Popatrzył na nią znad okularów.

– Anna Mielcarz. Profesor lingwistyki z UW. Dziesięć lat temu wyskoczyła z balkonu w środku nocy i wbiegła na ulicę wprost pod nadjeżdżający samochód. Naga.

– Co się stało?

– Policja stwierdziła, że zwariowała, dostała ataku paniki i bum. – Larysa klasnęła w dłonie tak mocno, że aż się wzdrygnął.

– Mieli podstawy?

– Ludzie mówili o niej różne rzeczy. Niektórzy twierdzili, że miała z kimś romans, inni wspominali, że chodziła do terapeuty

i przyjmowała leki. Podobno miała napady lęku i zwiidy. Jej mąż twierdził, że to genetyczne, jej matka była znaną osiedlową wariatką, zanim zmarła. Uważał, że coś sobie ubzduriała. Poza tym nikt nikogo nie widział, a kamery miejskie zarejestrowały moment, gdy wbiega pod samochód. Sama. Goła, roztrzęsiona, jakby w amoku. Trudno było z tym dyskutować.

– Ale ty coś znalazłaś?

– Masz to przed sobą. – Wskazała ręką na zdjęcia.

Wiśniewski przyjrzał im się uważnie, ale nie rozumiał, o co jej chodzi.

– Tu. – Dotknęła palcem ciemnego kształtu na zdjęciu z szerokim kadrem. – Widzisz?

Pokręcił głową.

– Poczekaj. – Wyjęła laptopa i otworzyła jakiś program do obróbki zdjęć.

Na ekranie ukazała się ta sama fotografia, którą trzymał w rękach. Kliknęła kilka razy, a później zaznaczyła wybrany obszar. Poprawiła ostrość i znowu powiększyła. Paweł Wiśniewski wstrzymał oddech, gdy zobaczył, co wyłania się z cienia.

– Pokazywałaś to policji? – Wgapiął się w niewyraźną męską postać, która ewidentnie szła za Anną Mielcarz.

– I co im powiem? Że się pomylili, a Mielcarz wcale nie była wariatką?

– Ale chyba nie zamierzasz... – Urwał w pół zdania, bo zdał sobie sprawę, jak naiwne było to pytanie.

Oczywiście, że zamierzała. Pokręcił głową z niedowierzaniem. Załatwi sprawę na własną rękę. To dokładnie w stylu Larysy: odnaleźć tego mężczyznę, ustalić fakty i oczyścić imię niewinnej kobiety.

Wszystkie jej reportaże dotyczyły tematów przemocy seksualnej, przemocy domowej, krzywdzenia dzieci i mężczyzn wykorzystujących swoją pozycję, by poniżyć kobiety. Długo nie mógł zrozumieć, czemu tak ją to rusza. Była dobrą dziennikarką i kilkakrotnie sugerował inne obszary, ale zawsze odmawiała. Kiedy o tym myślał, dotarło do niego, że właściwie niedużo o niej wie. Szukał informacji na jej temat, ale poza tym, skąd pochodzi i gdzie się uczyła, niewiele udało mu się znaleźć. Wiedział, kim są jej rodzice i że nie utrzymuje z nimi kontaktu. Niedawno zdołał ustalić, że w Warszawie studiuje jej brat, z którym – jako jedynym z rodziny – Larysa podtrzymuje relacje.

Więcej informacji nie miał aż do ubiegłego miesiąca, gdy przeglądając

fora internetowe „Magazynu”, natknął się na seksistowskie przechwałki jakiegoś frajera z Podlasia. Mężczyzna ukrywający się pod pseudonimem Maro31 pysznił się tym, że wiele lat temu, podczas balu maturalnego, wykorzystał seksualnie koleżankę z klasy i uszło mu to na sucho. Dopiero pod gradem krytycznych komentarzy ze strony internautów zaczął się tłumaczyć, że zamierzał wynagrodzić dziewczynie krzywdę, ale krótko po wydarzeniu wyjechała z miasta i słuch po niej zaginął. Wiśniewski postanowił go namierzyć. Zakładał, że temat się Larysie spodoba, i zbierał wszystkie okruszki. Facet był na tyle zadufany w sobie, że stracił czujność. Podawał zbyt wiele informacji, a to mogło pomóc w zidentyfikowaniu go. Tyle że Paweł nie był w tropieniu tak dobry jak ona i nie ufał swojej intuicji.

Wysłał jej link i wszystko, czego udało mu się dowiedzieć. Larysa nawet nie odpisała na wiadomość. Tydzień później zapytał ją w mailu: „Co z tym?”, i raz jeszcze podał link. Odpowiedziała mu krótko: „Ślepa uliczka”. To go zdziwiło, ale prawdziwe zaskoczenie przyszło dopiero wtedy, gdy zorientował się, że mówiła serio. Rzucała takie definitywne oświadczenia już wcześniej, ale zazwyczaj dwa dni później wysyłała mu rozwiązanie. Tym razem czuł, że skapitulowała. A to go zaintrygowało.

Zaczął drążyć i dotarł naprawdę blisko. Znalazł miasto, w którym Maro mieszkał, i szkołę, do której chodził. Poprosił znajomego z policji z Białegostoku, by wybrał się do miejsciny i skombinował mu zdjęcia kilku roczników z lokalnego ogólniaka. Kolega go wyśmiał i polecił, by sobie sam sprawdził na przykurzonym już portalu Nasza Klasa. Wiśniewski przeglądał zdjęcia, nie bardzo jednak wiedział, kogo szuka.

Sprawdzał wszystkich Marków na przestrzeni pięciu lat. Było ich kilku, ale tylko jeden z nich miał w klasie dziewczynę z pieprzykiem nad ustami. Przeczytał nazwiska uczniów i zastygł. Miał ochotę wyłączyć komputer i udawać, że nigdy tego nie widział. Doskonale wiedział, że gdyby się zorientowała, że grzebał w jej życiu, zapadłaby się pod ziemię i więcej by jej nie zobaczył. Czemu wcześniej na to nie wpadł? Jej obsesja na punkcie przemocy seksualnej, to, że pochodzi z Podlasia, fakt, że nie zrobiła matury i nie studiowała, co na początku ich znajomości zweryfikował, a do tego nie chciała się zająć tym tematem. Zawsze czuł, że w jej życiu musiało wydarzyć się coś druzgocącego. Inaczej nie byłaby tym, kim jest.

Ale nie przypuszczał, że dowie się o tym w taki sposób.

Usiadł przy biurku i zapisał w notesie imię i nazwisko tamtego faceta: Marek Kamiński. A później poszedł na bardzo długi spacer, podczas którego wypalił o kilka papierosów za dużo. Szczególnie jak na kogoś, kto niedawno rzucił.

Wspomnienie tamtego popołudnia przyprawiło go o dreszcz. Gdy się otrząsnął, zauważył, że jest w sali konferencyjnej sam. Wytknął jeszcze głowę na korytarz, ale zdołał jedynie zobaczyć domykające się drzwi na klatkę schodową.



– Kochanie, mów szybko, mam pełne ręce roboty. – Emilia przewiązana fartuszkami mieszała w garnku sos i doglądała zapiekanki przez szybę piekarnika.

Miała na sobie obcisłe dżinsy i luźną białą bluzkę. I choć były to najprostsze ubrania, to wyglądała w nich zadziwiająco dobrze. Ona uważała, że to efekt jakości kupowanych produktów, ale większość mam ze szkoły, do której chodzili Jaś i Franio, potajemnie robiła zakłady o to, ile czasu Emilia poświęca na swoje stylizacje. Nie mogły wiedzieć, że ich znajoma urodziła się w rodzinie, w której figurę dostawało się w genach, a klasę miało się we krwi. Dzięki temu należała do grupy kobiet, które nie musiały się specjalnie wysilać, by wyglądać idealnie – niczym bohaterki amerykańskich seriali zamieszkujących piękne domy na przedmieściach.

Ten nienaganny styl i unosząca się wokół niej aura perfekcji stały się jej przekleństwem, przyciągały interesownych ludzi, a odpychały tych, których Emilia najbardziej potrzebowała. Prawdziwych i szczerych. Nie pomagał fakt, że po urodzeniu bliźniaków zajęła się blogowaniem, co w oczach innych matek czyniło ją próżną i pustą. Podsycane zazdrością kobiety po cichu zjadliwie komentowały jej zdjęcia, twierdziły, że żartem jest nazywanie tej zabawy pracą, ale oficjalnie nigdy nie odważyły się szepnąć na ten temat nawet słowa. Witały ją uśmiechem i ciepłym pozdrowieniem, a gdy odwracała się tyłem, przewracały oczami. Wiedziała o tym. Bo choć nikt nigdy nie powiedział jej tego wprost, to wręcz organicznie wyczuwała niechęć tych kobiet, skrywaną pod maską życzliwości.

Niekiedy sama myślała, że to nie fair budzić się rano w tym pięknym ciele, domu zaprojektowanym przez architekta, obok męża, który darzył ją bezgraniczną miłością. Miała świadomość, że nic, co było jej udziałem, nie wynikało z jej ciężkiej pracy, ale było efektem splotu okoliczności. Tego, w jakiej rodzinie przyszła na świat i kogo spotkała na swojej drodze. Nie dostrzegała, że bez wielu jej decyzji oraz codziennego wysiłku wychowywania dzieci i dbania o dom nie istniałby nawet ułamek tej harmonii. Zamiast tego bywały dni, gdy patrząc na Janka i Frania, czuła, że nie zasługuje na tyle dobra. I choć nauczyła się odgrywać radość, to tak naprawdę nieustannie czekała na moment, w którym ta radosna karuzela życia się zatrzyma, dekoracje opadną, a ona obudzi się ze snu.

– Muszę zostać w pracy dłużej, niż planowałem. Czy możesz odebrać chłopców? – Jej mąż przekrzykiwał szum biurowych rozmów.

– Nie żartuj – westchnęła zrezygnowana. – Oni nie mówili rano o niczym innym jak tylko o waszym wyjściu do kina.

– Będziemy musieli to przełożyć. Przykro mi.

– Na kiedy, Jacek? Chłopcy nie widzieli cię już od tygodnia.

Jej mąż zrobił głęboki wdech.

– Wiem, przepraszam, ale muszę dokończyć ten projekt.

– Zawsze jest jakiś projekt – podniosła głos. – Jak nie ten, to inny. Czasami mam wrażenie, że twoja praca jest ważniejsza od nas.

– Nie idź w tę stronę. Wiesz, że pracuję dla was.

Emilii zrobiło się przykro; wiedziała, że Jacek mówi prawdę. Niekiedy było jej go nawet żal, bo gdy patrzyła, jak jej ukochany dzieli życie między pracą i rodziną, nie zostawiając nawet kwadransa dla siebie, miała świadomość, że to on jest tą stroną, która poświęca więcej. Ona wprawdzie miała swoje obowiązki, opiekowała się synami, rozbudowywała blog, ale poza tym mogła też swobodnie cieszyć się swoim czasem. Nie doświadczała tego stresu, brutalności i presji, które były naturalnym elementem życia Jacka. Zacisnęła mocno powieki i zaczerpnęła tchu.

– Nie ma sprawy, odbiorę ich, kochanie. – Odsunęła kosmyk włosów z czoła.

Nie chciała dokładać mu ciężarów, mówiąc, że ostatnio czuła się zmęczona ciągłym bieganiem, załatwianiem i pamiętaniem o milionie drobnych spraw. Tłumaczyła sobie, że nie ma prawa narzekać i że

powinna się bardziej postarać. Jakby była mu to winna.

– Mam w torebce zdjęcia z przyjęcia urodzinowego chłopców. Na pewno się ucieszą, gdy je zobaczą – dodała już z entuzjazmem. – A jeśli się nie pogniewasz, to chętnie sama pójdę z nimi do kina.

– Pewnie. Bawcie się dobrze. Ja wrócę raczej późno, więc nie czekajcie na mnie z kolacją.

– Nie przepracowuj się tam za bardzo.

– Powiedz to mojemu szefowi.

– Żebyś wiedział, że powiem. A jeśli stchórzę, to napiszę na ten temat artykuł na blogu i podeślę mu link z anonimowego adresu mailowego.

– Na pewno nie skojarzy faktów.

Oboje się roześmiali.

– Do wieczora! – Wyłączyła palnik pod sosem, a później zgasiła piekarnik i uchyliła jego drzwiczki.

Gdy odłożyła telefon, dochodziła druga, miała więc jeszcze ponad pół godziny, zanim będzie musiała wyjść po chłopców. Nastawiła wodę w czajniku i postanowiła spędzić ten czas na czymś przyjemnym.

Wyjęła z torebki zdjęcia z urodzin synów, a później zaparzyła senchę i rozsiadła się wygodnie przy stole.

Kiedy tylko zobaczyła pierwsze kadry, które uchwyciły roześmiane buzie Janka i Frania, w oczach zakręciły jej się łzy. Chłopcy mieli po sześć lat i na ich widok trudno było nie poczuć rozplywającego się po ciele ciepła. Wprawdzie nieraz potrafili wrywać sobie włosy i zaciekle walczyć o zabawki, ale byli też najlepszymi przyjaciółmi.

Na fotografii objęci, w stożkowatych czapeczkach urodzinowych, uśmiechali się szczerbato do obiektywu aparatu. Ich piegowate buźki i falujące czupryny zajmowały niemal cały kadr. Było to jedno z niewielu podobieństw między nimi. Jako bliźniaki dwujajowe poza tym, że urodzili się tego samego dnia, byli jak ogień i woda.

Jaś był spokojny, poukładany, ale jednocześnie nadzwyczaj honorowy. Za każdym razem, gdy nabroił, w milczeniu znosił karę i nigdy nie prosił o jej anulowanie. Nigdy też nie obiecywał poprawy. Z hardą miną trwał do końca kary, a niekiedy jeszcze dłużej, by pokazać swoją niezależność.

Franek natomiast miał w sobie czar, który świadomie wykorzystywał. Nieustannie przytulał się do bliskich i całował ich, robiąc przy tym słodkie oczy. Szczególnie w sytuacjach, gdy coś zmagstrował, jego

wylewność podejrzenie wzrastała. Najczęściej właśnie w ten sposób Emilia i Jacek odnajdywali winowajcę.

Sącząc herbatę, uważnie oglądała na zdjęciach kolegów i koleżanki swoich dzieci. Usiłowała przypomnieć sobie imiona ich rodziców i dopasować jednych do drugich. Pamiętała chłopca, którego przyprowadziła smutna mama w żółtej bawełnianej sukience, i rozgadanych rodziców Sary. Natychmiast rozpoznała też państwa Łakomczuchów, jak określiła rodziców Ignacego. To miano zyskali po tym, jak zostawieni sami na tarasie, zjedli wszystkie babeczki z kremem.

Wreszcie dostrzegła Ewę i Klarę, z którymi widywała się na zebraniach rodziców, oraz pana Koconia, dzielnego mężczyznę, który pełnił obowiązki przykładowego rodzica swojej trójki, w czasie gdy jego żona przygotowywała się do powitania czwartego dziecka.

Na jednym ze zdjęć zauważyła mężczyznę w niebieskim kombinezonie i czapce z daszkiem głęboko nasuniętej na oczy. Nie zwróciła na niego wcześniej uwagi. Była zbyt zaabsorbowana miną Antoniego Koconia, który leżał na trawie przygnieciony przez dziesięcioro dzieci skaczących po nim niczym pchły. Nieznajomy stał daleko w tyle, jakby za plecami wszystkich zebranych, z twarzą zwróconą w kierunku obiektywu, jednak zbyt zamazaną, by była rozpoznawalna. Nie przypominał żadnego z rodziców. Jego ubranie kojarzyło się bardziej z dostawcą pizzy albo kurierem. Była jednak pewna, że tego dnia nikt taki nie odwiedził ich domu. Chyba że nie domknęli furtki albo ktoś z gości poprosił o dostarczenie paczki pod ten adres, wiedząc, że będzie na przyjęciu.

Mężczyzna stał nieruchomo. Trudno było dostrzec jego oczy, ale na pewno nie śledził zmagania Koconia z dziećmi ani nikogo innego, kto był wtedy w ogrodzie.

Czy to możliwe, że patrzył na nią, gdy robiła to zdjęcie? Jakim cudem w ogóle go nie zapamiętała? Przecież musiała go wpuścić, furtki nie dało się otworzyć z zewnątrz. Ale równie dobrze to któryś z gości mógł mu uchylić bramkę. Tylko czy nie powinna przynajmniej natknąć się na niego podczas przyjęcia? A może przyszedł tylko na chwilę i zaraz zniknął? Myśli gorączkowo przelatywały jej przez głowę.

Kim jest ten człowiek? – zastanawiała się. Była jednak zmuszona odłożyć te rozważania na później. W jej telefonie uruchomił się alarm,

który oznaczał, że czas sjesty minął i pora wyruszyć po dzieci. Zwykle w takiej sytuacji odczuwała coś na kształt radosnego oczekiwania, ale tym razem nie potrafiła otrząsnąć się z dziwnego uczucia niepokoju, które ścisnęło jej żołądek i przywoływało dawno zapomniane obrazy.



Dziewczyna musi mieć bogatych rodziców, skoro stać ją na mieszkanie na Wilanowie, pomyślał Bruno. Apartamentowiec zdecydowanie odbiegał od miejsc, w jakich zazwyczaj żyją studenci. Drewniane podłogi, pastelowe farby na ścianach i nowoczesne dodatki. Zero kiczu, tak charakterystycznego dla nowobogackich. Do tego imponująca przestrzeń i wysokość. Duże drewniane okna, mgiełka firanki i ciężkie, ozdobne zasłony. Zdziwiło go, że nie zauważył żadnych zdjęć ani pamiątek. Brak fotografii chłopaka albo rodziców. Żadnych polaroidowych selfie z przyjaciółkami. Jedynie dziwny, zamglony obraz nad łóżkiem. Jakby postać odbijająca się w lustrze.

– Znalazłeś coś ciekawego, Sherlocku? – rzucił do Daniela, który zbierał odciski palców z framugi drzwi.

Technik tolerował powierzchowny egocentryzm Wilczyńskiego; nie raziły go dziwaczne metody pracy policjanta ani brak szacunku dla jakichkolwiek konwenansów. Właściwie to wierzył, że Bruno ma swego rodzaju dar. Coś, co pozwalało mu dostrzegać powiązania, nieoczywistości i wyłapywać anomalie. Dla Daniela Wilczyński sam w sobie był jedną z nich. Niczym ciekawy okaz, który godzinami mógłby oglądać pod mikroskopem.

– To jej odciski. Tutaj i wyżej. – Technik wskazał kilka miejsc na futrynie. – Pierwsze są niewyraźne, rozmazane, jakby przeciągnęła ręką albo chwyciła się, upadając. Ten tutaj – pokazał miejsce na ścianie – to odcisk czoła. Świeży.

– Chcesz powiedzieć, że śłaniała się już w drodze do pokoju? – Bruno starał się zrekonstruować wydarzenia.

– Możliwe. Światło w łazience było zapalone, gdy przyjechaliśmy.

– Czyli połknęła tabletki w wannie?

Technik wzruszył ramionami. Wpatrzony w podłogę Wilczyński w myślach odtwarzał film. Dziewczyna się kąpie, je ciasto i popija

tabletki szampanem, a gdy wychodzi z wody, robi się nieprzyjemnie. Czuje, że kręci jej się w głowie, zatacza się i opiera o framugę.

– A później bierze butelkę do ręki i chwiejąc się, idzie do łóżka? – wymamrotał pod nosem, przechodząc kilka kroków w stronę sypialni i z powrotem. – To nie ma sensu. Nie ma siły zgasić światła, ale zabiera flaszkę?

– Ciekawe, prawda? – Daniel uśmiechnął się, nie przerywając pracy.

– Raczej smutne. Gdybyśmy spotkali się wcześniej, dałbym jej numer do moich ziomków z AA.

– Byłeś na terapii?

– Człowieku, nikt nie potrafił rozruszać towarzystwa tak jak ja. Mały bruderszafcik i od razu ze smętnych leśnych dziadków robili się fajni faceci.

Daniel zamrugał powiekami.

– To nie było na poważnie, prawda?

– Oczywiście, że nie. Jak mógłbym łamać reguły i się tym chwalić? – Wilczyński udał zamyślenie i spojrzał w sufit. – Właściwie to bym mógł – dodał z błyskiem w oku.

Daniel zaśmiał się lekko i podążył wzrokiem w stronę sypialni. Nie dziwiło go, że koledzy z komendy mieli Brunona za aroganta, wprawdzie skutecznego, ale mimo wszystko gburą o przerośniętym ego. Widzieli w nim gościa, któremu wydaje się, że pozjadał wszystkie rozumy. Faceta, który prowadzi dochodzenia szamańskimi metodami, a przy tym jest pioruńsko efektywny.

Początkowo policjanci jego usposobienie tłumaczyli tym, że lata temu zamknął się w sobie po rodzinnej tragedii. Założyli, że otoczył się pancierzem z cynizmu po stracie matki, która popełniła samobójstwo w jego ósme urodziny. Później uznali jednak, że po prostu jest palantem, i przestało im zależeć. Na nim, ale nie na jego umiejętnościach. Potrafił zauważać rzeczy, których nikt inny nie dostrzegał. W ciszy przeżuwał fakty, a później niespodziewanie wypluwał wnioski, tak jakby odsłaniał kurtynę i obnażał to, co ukryte. Może właśnie to zbliżyło ich do siebie z Danielem. Obsesja na punkcie tego, czego nie widać.

– Szampan musiał stać wcześniej w łazience. Mam ślady na szafce. – Technik pokazał odcisk na blacie. – Nie mam pojęcia, kiedy go przeniosła, ale teoria, w której w pełni sił zanoszą alkohol i leki do

sypialni, a później wraca tu i nagle słabnie, jest co najmniej naciągana.

– Tak bardzo jak twarz Renée Zellweger?

Daniel posłał mu pytające spojrzenie.

– Nieważne. – Bruno machnął ręką. – Martwi mnie tylko jedno. Odkąd tu wszedłem, ani razu nie spojrzaleś mi w oczy. – Jego głos stał się poważny. – Twój wzrok prześlizguje się po mnie, ale patrzysz jakby na przestrzał. Więc albo na mnie lecisz, albo coś tu nie gra.

Technik westchnął i podrapał się po głowie, po czym wziął głęboki wdech, nachylił się w stronę policjanta i z ociąganiem wyjaśnił:

– Na podłodze nie znaleźliśmy niczego. To znaczy były jej włosy, pył z kosmetyków i plamy po rozchlapanej wodzie, ale jak dla mnie te płytki są sterylne czyste. Aż za bardzo jak na mieszkanie, w którym żyje kot – zawiesił głos. – Chyba że zwierzak nie gubi sierści albo ma zakaz wchodzenia do łazienki.

Bruno poczuł, że go mdli. Za bardzo przypominało to historię sprzed trzydziestu lat. W pamięci zobaczył ten nieskazitelny porządek, jaki panował w łazience, gdy znalazł swoją matkę. Wtedy też nie było żadnych śladów. A jedyna osoba, która wiedziała, że to nie mogło być samobójstwo, milczała. Ze strachu, ze złości i dlatego, że była tylko zagubionym dzieckiem. Przerażonym małym chłopcem, który nie rozumiał, co się stało. Trochę jak to wychudzone zwierzę, które znaleziono na balkonie zmarłej dziewczyny.

Wyszedł z mieszkania bez słowa. Daniel wyjrzał na korytarz z niepokojem, obserwując plecy kolegi. Nie żeby brakowało mu kurtuazyjnego „cześć” czy „dzięki” – uprzejmości nie były domeną Wilczyńskiego i technik zdążył się już do tego przyzwyczaić – ale dlatego, że dotarła do niego myśl, którą wcześniej złapał Bruno.

– To się znowu dzieje – wyszeptał.



Kiedy weszła do sieciowej kawiarni przy Nowowiejskiej, jej brat był już w środku. Na jej widok wyszczerzył się i poderwał z miejsca.

– Cześć! – Powstrzymał się przed serdecznym uściskiem, w ostatniej chwili dostrzegając jej zimne spojrzenie. – Siadaj. Czego się napijesz?

– Niczego. Chcę tylko pogadać.

Już miał ochotę zaoferować, że zapłaci za jej zamówienie, ale w porę uprzytomnił sobie, że z nich dwojga to on jest biednym studentem koczującym w akademiku polibudy, a ona dziesięć lat starszą siostrą, która ma swoje mieszkanie i zarabia pieniądze na jakichś tajemniczych zleceniach.

– Możesz mi wystawić tego chłopaka, który przyniósł negatywy?

Przez jego twarz przebiegł cień zawodu. A więc to o tym chciała porozmawiać. Naiwny myślał, że pamiętała o jego urodzinach. Wprawdzie były tydzień temu, ale wiedział, że jest zajęta. To nic, powiedział do siebie w myślach i zrobił minę człowieka, na którym nic nie robi wrażenia.

– Te z gołą laską? – Zmroziła go wzrokiem tak, że aż zakrztusił się kawą. – Jasne.

Nigdy nie rozumiał, dlaczego jest tak przewrażliwiona na punkcie traktowania kobiet. Kiedy wyjechała z miasta, był w drugiej klasie podstawówki i nikt specjalnie nie chciał mu wytłumaczyć, dlaczego zerwała z nimi kontakt. Dopiero gdy naciskał, rodzice wyznali, że Larysa uciekła z domu. Był jeszcze dzieckiem, tęsknił za siostrą, a jednocześnie miał do niej żal. To uczucie osłabło, kiedy dostał od niej pierwszy list, i stopniowo z każdą kolejną wiadomością od siostry zamieniało się w fascynację. A gdy wreszcie spotkali się w Warszawie, poczuł, że pustka, którą nosił w sobie, wreszcie ma szansę się zapełnić. Z wdzięcznością przyjmował od niej wszystko, czym go obdarzała, i tylko raz zapytał o przeszłość, ale Larysa wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie chce na ten temat rozmawiać. Pogodził się z tym i zaakceptował fakt, że siostra pozostanie dla niego intrygującą tajemnicą. Kimś bliskim, a zarazem obcym. Wolał ją taką niż nieobecną. Świadomość, że mogłaby znów zniknąć z jego życia, wywoływała w nim drapiący w gardle niepokój, bo choć nie mówiła mu wszystkiego, to na swój pokręcony sposób dawała mu znać, że jest dla niej ważny.

– Masz do niego jakiś telefon? – zapytała.

– Nie, ale znam imię i nazwisko. Pewnie ma konto na Facebooku. Jak mi pokażesz foty, to powiem ci, który to jest.

Lara wyciągnęła laptopa z plecaka i połączyła się z kawiarnianą siecią. Skupiona klikała na komputerze, a później odwróciła ekran w stronę brata.

– Anna Kowalska? Zmieniłaś tożsamość? – zażartował.
– Czasem trzeba. Dawaj.
– Sebastian Kicki. – Bartek głośno sylabizował imię i nazwisko chłopaka. – Bum. – Kliknął, a potem uważnie przyjrzał się zdjęciom wyświetlonym na ekranie. – Jest. To ten. – Otworzył profil i podał jej komputer.

Miała ochotę przejrzeć jego wpisy, ale jako obca osoba nie miała do nich dostępu. Konto było chronione przed wścibskimi spojrzeniami nieznanym. Wpisała jego dane do wyszukiwarki, ale znalazła głównie informacje na temat piłkarza NMC Górnika.

– Pomóc ci? – Bartek uśmiechnął się.
– Niby jak? Wiem, że mogę napisać do niego wiadomość, ale to mi niewiele daje. Przydałby się telefon.

– Znajdę. – Wyciągnął rękę po komputer. – Dziewczyno, jestem kumatym studentem politechniki, jak mi się nudzi w przerwach między zajęciami i pracą w Fotolabie, uczę się różnych sztuczek.

– No to proszę, Houdini. – Oddała mu laptopa z błyskiem w oku. Mogła to zrobić sama, prędzej czy później znalazłaby informacje, które były jej potrzebne, ale lubiła rzucać wyzwania bratu, a później patrzeć, jak genialnie sobie z nimi radzi.

– O matko, ktoś do tego twojego komputera czasem zagląda?
– Mam nadzieję, że nie. Czemu?
– Jest strasznie wolny. Posprzątać ci?
– Nie – powiedziała szybko.
– Spoko. Wiem, że masz tu swoje sekrety. Nie zamierzam niczego ruszać. – Patrzył na ekran, a jego szczupłe palce tańczyły po klawiaturze. – Powyłączam tylko trochę aplikacji startowych i od razu będzie lepiej. – Klikał, uśmiechając się pod nosem. – Zainstaluję ci też program, dzięki któremu będzie można wyśledzić ewentualnego włamywacza. Mój prototyp. – Z dumą poklepał się w pierś.

– Serio?
– No jasne. Jestem Davidem Copperfieldem informatyki. Nasza przygoda z Ireneuszem cię nie przekonała?

Kiwnęła głową i przyglądała mu się z ukrywaną dumą. Był od niej dziesięć lat młodszy i zdumiewał ją na każdym kroku. Patrzyła, jak szybko wystukiwał nowe hasła i klikał w poszukiwaniu odpowiedzi. Po chwili wyjął telefon z kieszeni i wprowadził jakiś numer z ekranu.

– Pan Sebastian Kicki? – Jego głos brzmiał nienaturalnie uprzejmie. – Dzień dobry, chciałem poinformować, że zdjęcia, które pan zostawił do wywołania, są już gotowe, zapraszam – dodał, po czym milcząco pokiwał głową. – Nie ma sprawy. Do widzenia.

– Coś ty zrobił? – zapytała go, gdy się rozłączył.

– Upewniłem się, że mam odpowiedni numer. Masz, zapisz sobie. – Podał jej swoją komórkę.

– Jak go znalazłeś?

– Dziecinnie proste. Przez Facebooka odgrzebałem jego maila, a później trochę poszukałem i znalazłem jego transakcję na Allegro. Podawał w niej swój numer telefonu.

– Nie zorientuje się, że nie zostawiał go w Fotolabie?

– Może, ale nie przejmowałbym się tym specjalnie.

– To są akurat rzeczy, którymi ja się przejmuję. – Oddała bratu komórkę.

– Na twoim miejscu bardziej bym się przejął rodzicami.

Jej twarz automatycznie poszarzała. Bez słowa zaczęła pakować rzeczy. Bartek złapał ją za rękę i puścił dopiero, gdy nią szarpnęła.

– Nigdy więcej tego nie rób! – W jej głosie nie było już przyjemnego tonu sprzed kwadransa.

– Bo co? Przyłożysz mi? – Wzruszył ramionami i pożałował, że uderzył w tę nutę, szczególnie że jeszcze niedawno zabierała go na treningi bokserskie i uczyła, jak się obronić. – Po prostu do nich zadzwoń – dodał już łagodniej. – Ojciec nie najlepiej się czuje.

– To nie moja sprawa.

– Ma kłopoty z sercem.

– Bardzo mi przykro. Wyślę kartkę z życzeniami.

– Nie kpij, to twój ojciec.

– Już dawno nie.

– Co z tobą? – Rozłożył ręce w geście niezrozumienia. – Wykonaj jeden pieprzony telefon.

– Dzięki za pomoc – rzuciła, chwyciła plecak i wyszła z kawiarni.

Bartek przeklął pod nosem.

– Świetnie.

Dopił kawę i podniósł się. Na kanapie, na której siedziała, zobaczył małe pudełko. W pierwszej chwili pomyślał, że o czymś zapomniała, ale gdy je otworzył, zrozumiał. W środku znajdował się roczny karnet do

klubu bokserskiego. Tego samego, w którym ćwiczyła. Uśmiechnął się mimowolnie i choć był na nią wściekły, poczuł falę wdzięczności. Ze wszystkich osób na świecie siostra była tą, której naprawdę na nim zależało. Nawet jeśli pokazywała to na swój pokręcony sposób.



Gdy tylko znalazł się na klatce schodowej, uderzył kilkakrotnie pięścią w ścianę. Za każdym razem mocniej, aż do pierwszego zranienia. Nie ze złości. Potrzebował skupić się na dochodzeniu. Strząsnąć z siebie gryzące wspomnienia i wziąć się w garść. Ból skutecznie mu w tym pomagał, przywoływał go do terażniejszości. Cała uwaga natychmiast wędrowała do eksplodującego bólem miejsca.

Nagle zza pleców dotarł do niego odgłos szurania. Bruno odwrócił się i zobaczył chłopaka w okularach, mniej więcej trzydziestolatek, w swetrze w romby i z przetłuszczonymi włosami przyklejonymi do głowy. Na widok kogoś takiego inni zwykle uśmiechali się z udawaną uprzejmością, w duchu zaś dziękowali Bogu, że ich dzieci wyrosły na normalnych ludzi. Kołysał się, przenosząc ciężar ciała z pięt na palce, obgryzając przy tym skórki wokół paznokci. Jedno oko miał zasłonięte gazą i zaklejone plastrem, drugim gapił się na policjanta.

– Człowieku, musisz się tak lampić? Znajdź mnie na Facebooku, polub, czy co tam potrzebujesz, i obserwuj do woli.

– Chciałem tylko spytać, czy z Niną wszystko w porządku. Pan coś wie? – mówił cicho, jakby bał się, że kogoś obudzi. – Jestem jej sąsiadem, Miłosz Bączek, to ja zadzwoniłem na policję. – Chłopak przełknął nerwowo ślinę i odchrząknął, jakby coś zbierało mu się w gardle.

– „W porządku” w tej sytuacji to nie najlepsze określenie. Nie żyje – odparł Wilczyński i uważnie śledził każdy najdrobniejszy grymas na twarzy swojego rozmówcy.

Ten wydał z siebie cichy jęk przerażenia, położył jedną dłoń na ustach, a drugą objął się w okolicy talii, jakby chciał się do siebie przytulić.

– To straszne.

– Też tak uważam. Muszę napisać do Zuckerberga, żeby zrobił

odpowiedni dla takich sytuacji status na Facebooku.

Chłopak zdawał się nie dosłyszeć, jego usta ułożyły się w dziwny grymas, a oczy błędziły po ścianach korytarza.

– A... a co się stało? – dopytał.

– Powiem ci, jak wyjaśnisz mi, czemu zadzwoniłeś na policję.

– Przez kota – odpowiedział, międląc ślinę w ustach. – Wróciłem wczoraj ze szpitala. Widzi pan? – Wskazał zaklejone oko. – Kłopoty z siatkówką.

Bruno pokazał mu ręką, by kontynuował i nie wdawał się w zbędne szczegóły.

– Byłem tak zmęczony, że od razu położyłem się do łóżka. Ale przez tego cholernego kota nie mogłem zasnąć. Miauczał i piszczał tak, że dostawałem szału.

Wilczyński popatrzył na otwarte drzwi na końcu korytarza.

– Tam mieszkasz?

Chłopak kiwnął głową.

– Jak w takim razie słyszałeś miauczenie kota? Mieszkania dzieli jakieś dziesięć metrów, a pomiędzy wami są grube ściany i inni sąsiedzi – nie dawał za wygraną.

– Mam bardzo wrażliwy słuch. Niestety. Czasami to dla mnie istna tortura. Nawet nie wie pan, jakie obrzydliwe dźwięki potrafią wydawać ludzie. – Skrzywił się.

Bruno zastanawiał się, czy chłopak ma świadomość, jak sam jest nieprzyjemny, kiedy tak międli co chwilę zapasy śliny w ustach.

– W każdym razie poszedłem do Niny poprosić, by uciszyła to wstrętne zwierzę – kontynuował. – Zapukałem, ale nikt nie otworzył. Uznałem więc, że jej nie ma, i wróciłem do siebie.

– O której to mogło być godzinie?

– Jakoś po dziesiątej. – Przełknął ślinę. – Na dole siedział już nowy ochroniarz, a oni zwykle zmieniają się o tej porze.

Sprytne, pomyślał Wilczyński, chłopak mimochodem przemycił swoje alibi.

– Co robiłeś później? – Szukał dziury w tej historii. Kłamcy najczęściej gubili się w szczegółach.

– Włożyłem stopery do uszu i zasnąłem. – Bączek wzruszył ramionami. – Dopiero dzisiaj, gdy zobaczyłem kota drapiącego drzwi balkonowe, uznałem, że coś jest nie tak. Nina wprawdzie zamykała

czasami Lunę na balkonie, ale nigdy nie zostawiała jej tam na tak długo, a już na pewno nie na noc. – Znowu przełknął ślinę. – Zaniepokoiło mnie to, więc zadzwoniłem.

Bruno niczym zahipnotyzowany wpatrywał się w pianę zbierającą się w kącikach ust chłopaka.

– Często to robisz?

– Dzwonię na policję? Nie, raczej nie.

– Miałem na myśli coś innego, ale nieważne. – Wilczyński machnął ręką. – Czy poza kotem coś jeszcze zwróciło twoją uwagę?

– Nie, chociaż... – Chłopak zawiesił się na moment. – Przed wyjazdem do szpitala słyszałem, jak nalewa wodę do wanny, ale... wtedy nie było jej jeszcze w domu, wróciła później. To było dziwne.

Dziwne jest, że mi to wszystko mówisz, pomyślał Bruno.

– Słyszałeś wodę? – Chłopak kiwnął głową. – I jesteś pewien, że to było u niej w mieszkaniu?

– Tak.

W głowie Wilczyńskiego zapaliła się lampka alarmowa. Zamierzał już odejść, gdy Miłosz niespodziewanie chwycił go za ramię.

– Czy ona cierpiała? – W oczach miał coś, co równie dobrze mogło być współczuciem i nadzieją.

– Nie – okłamał go Bruno, a potem szybkim krokiem wrócił do mieszkania dziewczyny.

Podszedł do Daniela.

– Zbadaj, co znajdziemy w odpływie wanny.

– Nic. Już sprawdziłem. Chemia zeżarła wszystko.



– Lustreczko, powiedz przecie... – wyszeptała Larysa, malując usta na czerwono.

Siedziała na drewnianym taborecie obrotowym, zwrócona w stronę dużego, opartego o ścianę lustra, jednego z niewielu elementów wyposażenia mieszkania. Ubrana w obcisłą czarną sukienkę z głębokim dekoltem, nałożyła na ogoloną na krótko głowę perukę. Zamówiła ją na Allegro za parę groszy i obawiała się, że będzie musiała ją wyrzucić do kosza, ale jakość produktu była zaskakująco dobra.

Ułożyła ją i palcami rozczesała splątane pasma, a całość docisnęła do swojej naturalnej fryzury à la Sinead O'Connor. Długie, złote, falujące włosy otoczyły jej twarz i uczyniły z niej inną kobietę.

Przed oczami mignął jej obrazek z przeszłości, z czasów, gdy nosiła jeszcze długie włosy. Przypomniała sobie swoją twarz patrzącą z lustra, rozmazany tusz do rzęs, czerwony nos, zadrapanie na policzku i potargane włosy. To właśnie wtedy, w noc po gwałcie, gdy w odbiciu przypatrywała się upokorzony, bezradnej osiemnastolatce, postanowiła pozbyć się elementu, który symbolizował jej kobiecość. Złapała w dłonie gęste, grube loki, a po jej policzku potoczyła się łza. Wydawało jej się, że nadal czuje przeszywający ból, którego doświadczyła, gdy napastnik ciągnął ją za włosy. Bez wahania chwyciła za nożyczki i z dziką wściekłością obcinała pasmo po paśmie. Czarne pukle spadały na podłogę i umywalkę w łazience, a z każdym kolejnym Larysa czuła się silniejsza, jakby odcinała się od swojej kruchości. Na końcu sięgnęła po maszynkę elektryczną ojca i ogoliła postrzępione włosy na krótkiego, centymetrowego jeża, przypominającego fryzurę Demi Moore z filmu *G.I. Jane*.

Teraz, gdy jej twarz na nowo okalały długie, falujące włosy, a ciało opinała seksowna sukienka, czuła się dziwnie. Normalnie nigdy by się tak nie ubrała, ale gdy potrzebowała informacji, przekraczała granice. Silne nogi i ramiona z zarysowanymi mięśniami od regularnych treningów bokserskich kontrastowały z kobiecym strojem. Wzruszyła ramionami i boszo podeszła do dużej pomarańczowej lodówki SMEG, prezentu od dawnego przyjaciela, a zarazem jedyne kolorowe akcentu w pustym mieszkaniu pomalowanym na biało. Wyciągnęła karton mleka i podniosła go do ust, gdy nagle zdała sobie sprawę, że właśnie je umalowała. Zawahała się, a później zrobiła to, na co miała ochotę. Wypiła duszkiem wszystko, co zostało w opakowaniu, i uśmiechnęła się do siebie z satysfakcją, po czym poprawiła szminką kontur warg.

Zamierzała już wyjść, gdy usłyszała sygnał połączenia na Skypie. Doskonale wiedziała, kto dzwoni, ale odbieranie telefonu od niego teraz byłoby najgłupszą rzeczą, jaką mogła zrobić. Podeszła więc do laptopa i zatrzasnęła pokrywę.

Powinien się już do tego przyzwyczać. Do jej niedostępności i niedopowiedzeń. Tylko czy potrafił? Czy ktokolwiek umiałby odnaleźć

się w dziwnej, niezdefiniowanej relacji z kobietą, której nigdy nie widział? Nie znał jej imienia ani historii. Wmawiała sobie, że jej to nie obchodzi, ale nie była pewna, czy gdyby zniknął z dnia na dzień, umiałyby przyjąć to z obojętnością. Teraz wołała o tym nie myśleć.

Włożyła czarne szpilki i zachwiała się przy pierwszym kroku. Jej stopy nie były przyzwyczajone do butów na obcasie – ale właściwie której kobiety były?

Pod kamienicą stała już biało-zielona taksówka. Larysa wsiadła do niej i zamknęła oczy. Krok po kroku powtórzyła plan na wieczór, najwięcej uwagi poświęcając wyjściom awaryjnym. Umówiła się ze sponsorem w miejscu publicznym, gdzie z założenia powinna być bezpieczna. Wprawdzie w zatłoczonym klubie łatwo wrzucić coś komuś do drinka, ale nie należała do osób, które tracą czujność. Wystarczyło tylko trzymać się zasad, uważnie obserwować wszystkich i przewidywać konsekwencje.

Ludzie działają według pewnych schematów, Larysa zaobserwowała to już jako mała dziewczynka. Schematy rządzą się ustalonym porządkiem, mają swój rytm i są w pełni powtarzalne. Co prawda istnieje ich cała paleta, ale bystry umysł szybko się uczy i dodaje do katalogu pamięci nowe scenariusze. Najbardziej interesowały ją jednak miejsca, w których ludzie odbiegają od tych schematów. Anomalie, które sprawiają, że dana sytuacja staje się wyjątkowa. W dobrym bądź złym sensie.

Z doświadczenia Larysy wynikało, że najczęściej w tym złym.



Obudziły ją trzaśnięcie frontowych drzwi i dźwięki krzątania w korytarzu. Emilia przetarła zaspane oczy, rejestrując, że zasnęła w ubraniu na kanapie, z książką Bernarda MacLaverdy'ego na kolanach.

– Nie śpisz jeszcze? – usłyszała głos męża wchodzącego do salonu.

Jacek usiadł obok niej i pocałował ją w policzek.

– Jak chłopcy? – zapytał, kładąc się na kanapie z głową na jej kolanach.

– Wykapani śpią w swoich łóżeczkach – opowiadała, gładząc jego

włosy. – Dzisiaj czytaliśmy o ekologii i Franek wygłosił nam kazanie na temat używania plastikowych słomek i cierpienia małych żółwików w oceanie. Mówiłeś mu coś o tym?

– Tak. Może nie powinienem.

– Nie, jest w porządku. Szkoda mi było tylko Jasia, bo naprawdę się przejął, a później, zasypiając, zapytał mnie, czy to, że na przyjęciu urodzinowym pił przez słomkę, oznacza, że jest mordercą.

– I co mu powiedziałaś?

– Że były papierowe.

Jacek ściągnął brwi.

– Ale to nieprawda. – Patrzył na nią zaskoczony. – Okłamałaś go.

– W dobrej wierze. To takie białe kłamstwo. Nie robi nikomu krzywdy i chroni przed bolesną prawdą. – Przewróciła oczami. – Nie patrz tak na mnie. Nie robię tego często, ale czasem wydaje mi się to najlepszym wyjściem.

Jacek podniósł się i z uwagą przyglądał się żonie.

– No, teraz to przykułaś moją uwagę. Dawaj, w czym tam jeszcze im ściemniasz? – zaśmiał się i nagle spoważniał. – A może mi też mówisz to, co chcę usłyszeć?

– Ale tylko w łóżku – wyjaśniła poważnie i po chwili wybuchła śmiechem. – No coś ty, chyba mi nie uwierzyłeś?

– Nigdy w życiu. W tych sprawach jestem absolutnie pewien swoich talentów! – Uśmiechnął się do niej szelmowsko. – Właściwie skoro nie śpisz, chętnie ci je zaprezentuję...

– Zaczekaj – Powstrzymała jego dłonie. – Musimy o czymś porozmawiać.

– A mogło być tak pięknie... – Pokręcił głową. – Co się stało?

Emilia sięgnęła po zdjęcia, które odłożyła na stolik kawowy, i podała je mężowi.

– Po prostu je obejrzyj.

– Mówisz serio? Będziemy oglądać fotki zamiast się bzykać? I mówi to żona faceta, który pojawia się w domu raz na tydzień? – Gdy kiwnęła głową, potwierdzając, że nie żartuje, westchnął ciężko. – Czuję, że czeka nas niezapomniany wieczór.

Początkowo przerzucał zdjęcia z niechęcią, ale już po chwili zaczął komentować i uśmiechać się do swoich myśli. Gdy skończył, spojrzał na żonę z zafrapowaną miną.

– Nie zauważyłeś tego?

– Czego?

Emilia wzięła od niego fotografie i odszukała tę, na której widać było tajemniczego mężczyznę.

– Tego. – Dotknęła zdjęcia palcem, wskazując na postać w tle. – Wiesz, kto to jest?

– Wygląda na jakiegoś kuriera. – Jacek wziął od niej zdjęcie i uważnie mu się przyglądał.

– Ale tamtego dnia niczego nie zamawialiśmy. Poza tym to była niedziela, kurierzy nie pracują w niedziele.

– No to może znajomy któregoś z gości? Pamiętasz, że kilka osób przyprowadziło swoich przyjaciół. W sumie było tu z pięćdziesiąt osób.

– Doskonale pamiętam, ale wszyscy ze mną rozmawiali i nie przypominam sobie osoby w takim ubraniu.

– Co w takim razie sugerujesz?

– Według mnie ktoś obcy plątał się po naszym domu. Wprawdzie nic nie zginęło, ale skoro wszedł tu raz, to będzie mógł to zrobić ponownie. Musimy jak najszybciej zgłosić sprawę na policję.

– Zwariowałaś? Przecież oni nas wyśmieją.

Emilia oparła głowę o kanapę i wypuściła ze świstem powietrze z ust. Musiała przyznać mężowi rację. Obcy, tajemniczy ludzie na rodzinnych zdjęciach to temat, który być może kwalifikował się do wizyty u jasnowidza albo psychiatry, ale na pewno nie był to wątek, którym zainteresuje się policja.

– To może chociaż zadzwonimy do gości i zapytamy, czy nie widzieli nikogo, kto by się tu kręcił? Chodzi o nasze dzieci. – Popatrzyła na niego wymownie.

– Jutro napiszemy do nich maila. A teraz idźmy spać, jest po dziesiątej.

– Nie zasnę, dopóki tego nie sprawdzimy. – Zacisnęła usta, a jej oczy przybrały ciemny kolor.

– Naprawdę chcesz dzwonić do ludzi o tej porze?

– Nie chcę, ale nie widzę innego wyjścia.

– Na mnie nie patrz, nie będę w tym brał udziału. – Uniósł ręce i patrzył z niedowierzaniem na swoją żonę, która wzięła do ręki telefon i już przeszukiwała listę kontaktów.

Emilia przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Cześć, przepraszam, że dzwonię tak późno. – Jedną dłonią nerwowo ścisnęła rąbek bluzki. – Chciałam cię zapytać, czy na imprezie urodzinowej chłopców nie widziałas przypadkiem faceta w niebieskim kombinezonie i czapce z daszkiem? – Zaczekała chwilę. – Nie. Nic takiego. Po prostu zauważyłam go na jednym zdjęciu i nie pamiętam, z kim przyszedł. – Kiwała głową, czekając, aż rozmówca skończy mówić. – No tak, masz rację. Dzięki za pomoc, do zobaczenia w szkole. Ani się waź! – Wskazała palcem na Jacka, który już zamierzał skomentować jej zachowanie, i wybrała kolejny numer.

Po półgodzinie obdzwoniła już wszystkich i wyczerpana odłożyła telefon na stolik.

– I co, pani detektyw? Mamy sprawcę?

– Na pewno mamy więcej wyznawców teorii, że coś jest ze mną nie tak. Nikt nie zamawiał paczki, listonosza, hydraulika ani pizzy. Nikt też nie kumpluje się z potencjalnym kurierem. Ale nie był to czas stracony, bo... – Zrobiła wymowną pauzę. – Słuchaj uważnie, niedowiarku, dwie osoby twierdzą, że ktoś taki mignął im na przyjęciu.

Jacek wyprostował się powoli.

– I co z tym zrobimy? – W jego głosie pobrzmiwał niepokój.

– Nie wiem. Zainstalujemy lepszy alarm? Może zainwestujemy w jakieś kamery? – Wzruszyła ramionami. – Cokolwiek, co sprawi, że poczujemy się bezpieczniej.

Jej mąż w milczeniu kiwał głową, a na jego czole rysowała się charakterystyczna podłużna zmarszczka.

– To się nie trzyma kupy – wyrzucił z siebie. – Po co ktoś miałby wchodzić do nas ot tak? Zrozumiałbym to, gdyby zabrał coś z twojej biżuterii, jakiś sprzęt, pieniądze albo dokumenty, ale ot tak? Przecież nic nie zginęło. Rozumiesz coś z tego?

Emilia utkwiała wzrok w jednej z fotografii chłopców, leżącej na stole, i czuła, że być może to jest moment, w którym ma szansę odczarować jedno ze swoich białych kłamstw.

Wybrała drogę milczenia. Wtuliła się w męża i pokręciła przecząco głową, a gdy ją objął, upewniła się, że dokonała właściwego wyboru. Nawet gdyby musiała ponieść jego konsekwencje, za nic nie chciała stracić spokoju, na który tak długo pracowała.



Paweł Wiśniewski obgryzał skórki wokół paznokci, czekając, aż sygnał oczekującego połączenia zostanie przerwany zachrypniętym, złośliwym komentarzem, ale nic takiego się nie stało. Odłożył telefon na zagracone biurko i wysłał maila bez treści, o tytule: „Odezwij się, na litość boską!”.

– Musimy pogadać – usłyszał nagle, a gdy podniósł głowę znad klawiatury, zobaczył w drzwiach swojego gabinetu Łukasza Welcera z charakterystyczną zaciętą miną i wywiniętymi rękawami drogiej, eleganckiej koszuli, jednej z tych, które co rano przygotowywała mu żona. – Przejdziemy się?

Wiśniewski nauczył się, że takie pytania nie są propozycją, ale poleceniem służbowym. Wstając od biurka, zerknął jeszcze na ekran komputera, żadna odpowiedź jednak nie nadeszła.

– Idziemy do ciebie? – zapytał.

– Nie, na patio.

Redaktor naczelny skinął głową i nacisnął guzik windy, ale Welcer minął go i stanął przy drzwiach prowadzących do schodów.

– Nie wygłupiaj się, Paweł. Trochę ruchu na pewno ci nie zaszkodzi. – Posłał mu uśmiech, a spojrzeniem prześliznął się po jego sylwetce.

Paweł automatycznie wciągnął brzuch, a później zganił się za to w myślach, widząc rozbawienie szefa. Prezes Welcer – nie wiadomo jak – miał czas na wszystko. Na wizyty u krawca, który szyje mu garnitury na miarę, na zajęcia na siłowni z równie przystojnym jak on trenerem i na rodzinę, z którą – przynajmniej jak wynikało z Instagrama – spędzał dużo czasu w pięknych miejscach. Gdyby nie fakt, że Welcer potrafił zarządzać koncernem i że od czasu, gdy objął stanowisko prezesa spółki właścicielskiej gazety, jej akcje poszły w górę, Wiśniewskiemu byłoby trudno przyjmować pozycję podległą wobec młodszego o dziesięć lat mężczyzny, bardziej przypominającego celebrytę niż biznesmena. Łukasz Welcer miał jednak intuicję i był twardym graczem. Nie chadzał na kompromisy, nie ulegał w negocjacjach i świetnie wyczuwał trendy rynkowe. Ludzie się z nim liczyli. Elegancki, inteligentny i nowoczesny, a przy tym otwarty na media, był często zapraszany do programów publicystycznych

i informacyjnych. Poza tym, że najbardziej interesowały go pieniądze i nastawiony był jedynie na zysk, właściwie niczego nie można mu było zarzucić, a jednak sama jego obecność podnosiła Wiśniewskiemu ciśnienie. Może z obawy o to, że straci swoją pozycję, a może, co pewnego dnia Paweł przyznał, patrząc w lustro, najzwyczajniej w świecie mu zazdrościł?

Na zamkniętym w szkłe drewnianym tarasie poprzetykanym roślinnymi pnączami i chodniczkami z kamieni nie było akurat nikogo. Paweł oparł się plecami o szklaną ścianę, a Welcer stanął naprzeciwko niego, kładąc dłonie na biodrach.

– Dlaczego tak się upierasz przy tej dziewczynie?

Wiśniewski był przyzwyczajony do bezpośredniości szefa, ale tak szybkie przejście do ataku go zaskoczyło. Zanim zdążył zebrać myśli, Łukasz znowu się odezwał.

– Krążą słuchy, że ją faworyzujesz. Że specjalnie dla niej wyszukujesz tematy i że robi, co chce. To prawda?

Paweł początkowo chciał udąć, że nie wie, o kim mowa, ale uznał, że byłoby to bezcelowe. Temat Larysy wisiał w powietrzu od jakiegoś czasu i zamiatanie go pod dywan nie służyło już nikomu.

– Bzdura. Ma pisać dobre artykuły i to robi. Nie interesuje mnie, jakimi metodami zdobywa informacje, do czasu, gdy są potwierdzone, a my mamy je jako pierwsi. – Myślał, że tymi ostatnimi argumentami zyska aprobatę szefa.

– Mnie natomiast interesuje. I to bardzo, bo właśnie wyciekły od nas dane biznesmenów, których zamierzaliśmy skompromitować w związku z sekskorupcją.

– Jak to wyciekły? – Paweł poczuł skok ciśnienia. – Poza tym, co ona miałaby mieć z tym wspólnego?

– Może handluje informacjami. Coś daje i otrzymuje coś w zamian. Ten dziennikarz z telewizji, który dostał cynk o naszej liście, chwalił się na mieście, że to ktoś od nas puścił farbę. Wprawdzie nie dostał nic konkretnego, ale jak jest sprytny, to zgarnie temat.

– Ale dlaczego ona? Każdy mógł to zrobić.

– Tylko że to ona jako ostatnia przeglądała te dokumenty. Jest w rejestrze. Swoją drogą ty przydzieliłeś jej dostęp.

– To nic nie znaczy. Pewnie szukała czegoś do swojego tematu.

– Czyli?

– Rozpracowuje jednego sponsora. – Paweł rozejrzał się wokół. – To najpewniej polityk albo biznesmen z pierwszej ligi. Brutalny facet, który bawi się kobietami. Możliwe, że urządza widowiska z ich udziałem.

– Czemu dopiero teraz się o tym dowiaduję?

– Bo to poufne.

– Chyba żartujesz!?! – Welcer ściągnął brwi. – Przecież mógłbym jakoś pomóc, otworzyć niektóre drzwi.

Nigdy by się na to nie zgodziła, pomyślał Wiśniewski. Działa sama.

– To projekt wysokiego ryzyka, nie wciągamy w to osób trzecich. Do teraz wiedzieliśmy tylko ja i ona.

– Świetnie. – Prezes potarł podbródek palcem wskazującym, a potem skierował go w stronę Wiśniewskiego. – Masz ją dla mnie sprawdzić. Chcę wiedzieć, gdzie jest i co robi. Z kim się spotyka, z kim rozmawia i z kim sypia. Musimy się upewnić, że jest czysta. Że nie wynosi niczego z redakcji.

– Ale to niemożliwe! To nie jest zwyczajna dziewczyna. Jest inna pod każdym względem, nie pracuje jak pozostali. Poza tym, jeśli zauważy, że ją śledzę, wkurzy się i przestanie dla nas pracować.

– Trudno. Nie rozumiem, z jakiego powodu się tak z nią cackasz. Jest dobra, ale bez przesady.

– Dlatego, że gdy w numerze ukazuje się jej artykuł, jest cytowany przez wszystkie media.

– Tak? A ja myślę, że chodzi o coś więcej. Bzykacie się czy co? – Ostatnią uwagę Welcer rzucił z półuśmiechem.

Paweł zacisnął szczęki, a jego oczy pociemniały.

– Skończyłem tę rozmowę – wyrzucił, wymachując prezesowi przed nosem drżącym ze złości palcem.

Mężczyźni przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Prezes miał zimne, niewzruszone spojrzenie, gdy tymczasem oczy Wiśniewskiego zdawały się ciskać gromy. Jego całe ciało było napięte, a nozdrza poruszały się w rytmie przyspieszonego oddechu.

– Niedługo będę musiał zwolnić kilka osób – rzucił Welcer jakby od niechcenia.

Paweł aż poczerwieniał, zagryzł wargi, a później w niedowierzaniu pokręcił głową.

– I co, tak po prostu ją wywalisz? Będziesz jej musiał zapłacić wysoką

odprawę. Henryk zabezpieczył ją w umowie.

– Henryk, Henryk. Stary prezes nie żyje od dwóch lat, a ja ciągle o nim słyszę. Nie wiem, co ciebie i Henryka łączy z tą dziewczyną, ale się dowiem. A wtedy polecicie razem.

– Niby za co?

– Może za współudział? W końcu to ty dałeś jej dostęp do poufnych informacji.

Wiśniewski ściągnął brwi i zmierzył prezesa wzrokiem.

– Grozisz mi?

– Daj spokój. Nie zniżyłbym się do takiego poziomu. Po prostu cię informuję. – Welcer poklepał Pawła po ramieniu. – Przemyśl to. – Wyminął go i zniknął za szklanymi drzwiami.

– Kurwa! – Wiśnia kopnął stertę idealnie okrągłych kamieni i zniszczył dekorację.

Jego dłonie zaciskały się w pięści, a czoło świeciło od potu. Usłyszał, że na patio weszła grupka stażystów z elektronicznymi papierosami w dłoniach, żywo rozmawiając o jakimś redakcyjnym fakapie. Zrobił głęboki wdech i odpowiadając na skinienia młodzików, zniknął za drzwiami.

Upór Welcera obudził w nim niepokój, ale nie o to, że niebawem straci swoją najlepszą reporterkę.

Martwiło go to, że z jego życia zniknie osoba, którą miał chronić.



Niebo nad miastem przypominało nabrzmiały czarny balon pełen wody. Wydawało się, że jedno uderzenie błyskawicy niczym szpilka o ostrym końcu rozerwie go na strzępy, a wtedy woda zaleje mieszkańców miasta potężną falą.

Larysa wysiadła z taksówki na ulicy pełnej modnych klubów. Zwilżyła językiem usta, poprawiła sukienkę i obejmując się ramionami, zajęła miejsce w ogonku osób czekających na wejście do klubu. Wyglądała jak nieśmiała dziewczyna z prowincji, która wierzy, że lada moment spotka ją ekscytująca przygoda. To był jej kamuflaż na ten wieczór. Rola zaprojektowana, by uspić czujność rozmówcy, tak odległa od tego, kim była na co dzień. Chciała, by sponsor uwierzył, że ma nad

nią przewagę. By patrzył na nią jak na dziewczyny, z którymi spotykał się wcześniej.

Zatrzymała się pod neonem oświetlającym wejście i przyglądała się trzem podobnym do siebie blondynkom w kusych spódniczkach. Nie rozumiała dlaczego, ale ich widok ją drażnił. Może przez wschodni akcent albo naiwność obecną w każdym uśmiechu czy geście, które przypominały jej, że kiedyś, dawno temu, też mogła taka być.

Rozejrzała się wokół i dostrzegła ponaglące spojrzenie bramkarza.

– Wchodzisz? – Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna unosił łańcuch odgradzający kolejkę od wejścia.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, usłyszała dźwięk telefonu dochodzący z jej torebki.

– Chwila – rzuciła, po czym przesunęła się na lewo i przepuściła grupę osób, zanim ochroniarz zamknął przejście.

Wyjęła komórkę z torebki i wstrzymała oddech. Na wyświetlaczu pulsował napis „Numer nieznany”. Nawet nie musiała zgadywać, kto dzwoni.

– Wchodzę do środka. – Jej głos brzmiał stanowczo, za mocno jak na osobę, którą udawała.

– Nie rób tego.

– Ale mieliśmy się tu spotkać – odparła zaskoczona.

– Zmieniłem zdanie. Odwróć się.

Larysa rozejrzała się, pewna, że ktoś na nią patrzy.

– Przy budce z kebabem stoi czarne bmw. Wsiądź do niego.

Jak na zawołanie auto mignęło długimi światłami.

– Gdzie pojedziemy? – Usiłowała zyskać na czasie i opracować strategię dla scenariusza, którego nie przewidziała.

– Ty pojedziesz.

– Nie na to się umawialiśmy – nie poddawała się. – Mieliśmy się spotkać w miejscu publicznym.

– Masz pięć minut. Później samochód odjedzie. – Rozłączył się.

Zakłęta pod nosem. Znajdowała się w punkcie, w którym szlag trafiał wszystkie schematy. Nic nie było tak, jak powinno. Czuła pod skórą, że należy zawrócić, że właśnie przestała rozdawać karty w grze. Ale zamiast podążyć za sygnałem ostrzegawczym wewnętrznego systemu alarmowego, uniosła do góry łańcuch, schylając głowę, przeszła pod spodem i skierowała się w stronę samochodu. Robiła to już wcześniej,

bagatelizowała znaki i mimo niebezpieczeństwa brnęła w ciemne zaułki. Paweł Wiśniewski twierdził, że się doigra. W jednej z kłótni wykrzyczał jej, że musi zapanować nad swoim instynktem autodestrukcji, bo on nie chce mieć jej na sumieniu. Był wściekły, wymachiwał rękami i poczerwieniał na twarzy. Tyle że przez jego gniew przebijała głównie troska.

To wtedy dotarło do niej, że ich relacja jest znacznie głębsza, niż myślała.

– Sorry, Paweł – wyszeptała i wyciągnęła rękę, by zapukać w przyciemnioną szybę po stronie kierowcy, ale zanim zdążyła to zrobić, okno uchyliło się, a mężczyzna siedzący za kierownicą nakazał jej usiąść z tyłu.

Gdy tylko zatrzasnęła za sobą drzwi, usłyszała kliknięcie automatycznego zamka.

– Bez jaj – rzuciła, szarpiąc bezskutecznie za klamkę, ale drzwi nawet nie drgnęły. – Czy to konieczne?

Wpatrywała się w niewyraźną twarz kierowcy odbijającą się w lusterku wstecznym. Na głowie miał bejsbolówkę głęboko nasuniętą na oczy, przez co trudniej było jej mu się przyjrzeć.

– Takie mam zalecenie – odburknął, wpatrzony w drogę przed sobą.

– Dokąd jedziemy?

– Niedaleko.

– A konkretnie?

Mężczyzna nic nie odpowiedział, tylko zasunął szybę z pleksiglasu oddzielającą go od pasażera. Larysa pokręciła głową i uśmiechnęła się nerwowo.

– Świetnie – wyszeptała.

W głowie zaświtała jej myśl, że może dobrze byłoby zadzwonić do Wiśniewskiego i powiedzieć mu, by w razie problemów jej szukał. Ale niby jak miałyby to zrobić? Poza tym wiedziała, że się wścieknie. Nawrzeszczy na nią i każe natychmiast wracać do domu. A na to nie mogła się zgodzić.

Obróciła głowę w stronę okna i obserwowała trasę. Zarejestrowała, że są w centrum. Przejechali przez puste o tej porze rondo Dmowskiego, a następnie skręcili w Emilii Plater, zostawiając po lewej Dworzec Centralny i Złote Tarasy. Chwilę później samochód zatrzymał się pod wejściem do hotelu Intercontinental, a kierowca zastukał w szybę,

dając jej znak, że pora wysiadać. Zamierzała go zapytać, dokąd ma się udać, ale odjechał, nim zdążyła otworzyć usta.

Wtedy jak na zawołanie rozwrzeszczała się jej komórka.

– Jestem, co teraz? – Odebrała, unosząc wysoko głowę, ale z tej perspektywy nie była w stanie objąć wzrokiem całego budynku.

Musiał mieć jakieś pięćdziesiąt pięter; uwagę przyciągało charakterystyczne wycięcie w bryle, przez które hotel nazywano dziurawym. Zauważyła, że w nocy, w miękkim, ciepłym świetle latarni i pobliskich wieżowców, robił dużo lepsze wrażenie niż za dnia.

– Podaj na recepcji swoje imię i nazwisko. Powiedzą ci, gdzie masz iść.

Skinęła głową, jakby ją widział.

– Swoje prawdziwe imię i nazwisko – dodał.

Zadrżała i opuściła rękę z telefonem. Jeśli tego wieczoru miały się dziać rzeczy, których się nie spodziewała, to była pewna, że każda następna będzie gorsza od poprzedniej, a to jej się nie podobało. Nie mógł wiedzieć, jak ma na imię. Pisała z anonimowego adresu, który utworzyła specjalnie do tej roboty. Korzystała z zaszyfrowanego przy pomocy brata połączenia, więc nie miał szansy odczytać jej IP. A jednak jakimś cudem dotarł do tego, że nie jest tą, za którą się podaje. A może tylko blefował? W zamyśleniu zagryzała wargi.

Pewnym krokiem podeszła do podświetlonego kontuaru recepcji i postanowiła to zweryfikować. Udawała, że nie widzi oblepiających ją spojrzeń innych gości, którzy relaksowali się w lobby. Nie obchodziło jej, co myślą, patrząc na dziewczynę w kusej sukience, peruce i wysokich szpilkach.

– Dobry wieczór pani, w czym mogę służyć? – Uprzejmość niemal kapała z twarzy recepcjonisty.

– Lena Szolc – rzuciła i obserwowała, jak jego palce zręcznie poruszają się po klawiaturze komputera.

Popatrzył na nią, marszcząc w zmartwieniu brwi.

– Miała pani u nas rezerwację?

– Tak.

– Hmm... – Kliknął jeszcze kilka razy. – Przykro mi, ale nie mam nikogo takiego w systemie. – Rozłożył ręce.

Ścisnęła w ręku kopertówkę. A więc jednak nie blefował, skurczybyk, pomyślała. Posłała recepcjoniście lekki, roztargniony uśmiech.

– Larysa Luboń.

Mężczyzna jakby nigdy nic wpisał dane do komputera. Jakby to było zupełnie normalne, że w ciągu kilku chwil zmieniła zdanie co do tego, kim jest i jak się nazywa. Nie znosiła ludzi, którzy udawali, że nic się nie stało. Miała ochotę go zapytać, czy na inne drobne oszustwa też tak przymyka oko, ale zamiast tego rzuciła mu tylko chłodne spojrzenie.

– Doskonały wybór. – Cmoknął. – Jestem pewien, że będzie się pani świetnie czuła w naszym apartamencie prezydenckim. Czy może pani jeszcze to wypełnić? – Podsunął jej formularz.

Zawsze zastanawiała się, co by się stało, gdyby na tak uprzejmie zadane pytanie odpowiedziała: „nie”. To była jedna z jej ulubionych zabaw. Sprawdzać reakcje innych, gdy zrobi coś niezgodnie ze schematem. Może dlatego za nic miała reguły i konwenanse. Chadzała swoimi ścieżkami i przyklejono jej etykietę nieprzystosowanej. Tym razem jednak wpisała dane do dokumentu i oddała go recepcjoniście. Nie umknęło jej uwadze, że jej pobyt został opłacony.

– Kto zapłacił za pokój?

– Pani przyjaciel. – Podał jej kartę magnetyczną. – Nasz pracownik zajmie się pani bagażem.

– Myślę, że z tym bagażem poradzę sobie sama. – Zaprezentowała kopertówkę, którą trzymała w dłoni, i odwróciła się w stronę wind.

Była pewna, że recepcjonista stoi tam z rozdziawionymi ustami, patrząc na jej tyłek, a później nagle sygnał elektryczny przeskakuje między neuronami w jego mózgu, a na jego twarz wpełza lubieżny uśmiech towarzyszący myśli: „dziwka”.



Bruno wetknął głowę w otwarte drzwi gabinetu naczelnika wydziału. Marian Pękała siedział nad jakimiś papierami, a jego brzuch opierał się o biurko, uniemożliwiając mu dosunięcie krzesła.

– Czego? – mruknął, nie podnosząc nawet wzroku znad dokumentów.

– Babka w mięsnym u mnie na osiedlu zadaje to samo pytanie. Dogadalibyście się.

Pękała zsunął okulary do czytania na czubek nosa i spojrzał na policjanta.

– Ty się lepiej dogadaj z rodzicami tej młodej. Będą tu za chwilę.

Naczelnik włożył kilka luźnych kartek do tekturowej teczki, zawiązał ją i rzucił na biurko w stronę Wilczyńskiego.

– Weź to, masz tam wszystkie informacje.

Bruno podniósł zdjęcie, które wysunęło się z teczki. Przedstawiało bladą twarz Niny Zaniewskiej, z długą grzywką sięgającą linii brwi i z kolczykiem w kształcie półksiężyca w nosie. Puste, pozbawione życia oblicze dziewczyny przypominało mu twarz matki, a sama myśl o niej przywołała bolesne wspomnienia.

Nagle ujrzał siebie składającego drewniany model samolotu w chłopięcym pokoju. Usłyszał szelest papierów i uderzenia pieczętki dochodzące z gabinetu ojca. Zobaczył własne stopy, jak wspinają się po schodach i zatrzymują się przed drzwiami łazienki. A później dziecięca ręka naciska klamkę. W marmurowej wannie wypełnionej po brzegi krwią leży kobieta. Ta czerwień wabi i szepcze. Chce, by podszedł bliżej i zanurzył w niej ręce, tak by mogła go wessać.

– Wilczyński! – Szef uderzył pięścią w stół. – Usłyszałeś!?

– Jasne. – Wsunął zdjęcie do teczki. – Czekam jeszcze na ostateczny raport od patologa. Wtedy ustalimy przyczynę.

– Niczego nie będziemy ustalać. – Naczelnik groził mu palcem wskazującym. – Przyczyna jest tu. – Postukał tym samym palcem w teczkę, powoli czerwieniejąc na twarzy. – Wojtyłka potwierdził samobójstwo. Koniec i kropka.

– Karolek ma to w dupie. Wyjeżdża z żonką na Kanary i chce jak najszybciej zapomnieć o tym temacie.

– Zejdź z niego. Nie masz dość tych przepychanek? Ile jeszcze będziesz się na nim wyżywał?

– Do końca świata i jeden dzień dłużej – zapewnił szefa Bruno głosem Jurka Owsiaka.

Pękała zacisnął pięści, utkwiał wzrok w teczce, a następnie powoli podniósł głowę.

– Nie chciałem tego mówić, ale Nina Zaniewska to nie jest twoja matka. – Jego głos stał się szorstki. – Tamta sprawa jest już zamknięta. Minęło trzydzieści lat. Pogódź się z tym wreszcie! – Walnął pięścią w stół na tyle mocno, że kubek z kawą podskoczył i kilka kropel opadło na biurko i dokumenty.

– A ty się już pogodziłeś? – Bruno zerknął na zdjęcie w ramce

przewiązanej czarną wstążeczką, stojące na biurku szefa.

– Zamknij się! – Pękała podniósł się z miejsca. – Myślisz, że jestem ślepy? Że nie zauważyłem, że obie zabiły się w twoje pieprzone urodziny? A do tego to cholerna trzydziesta rocznica? – Mierzyli się teraz wzrokiem. – Ale to nic nie znaczy. Rozumiesz? To przypadek jak miliard innych. Im szybciej to załapiesz, tym lepiej dla ciebie. A jak już musisz być sentymentalny, to lepiej idź na cmentarz.

Bruno uniósł brwi i sięgnął po teczkę. Nie spodziewał się, że szef zwróci uwagę na ten detal. Widział teraz, jak żyły na skroniach naczelnika pulsują, a jego klatka piersiowa unosi się rytmicznie.

– Świetna rada, zapamiętam – rzucił, odwracając się w stronę drzwi.

– Ogarnij się, Bruno. Wyglądasz jak kupa gówna.

Pękała patrzył na plecy policjanta, a gdy ten opuścił gabinet, opadł ciężko na krzesło.

Jego ręka sięgnęła po ramkę z czarną wstążeczką zawiązaną na lewym górnym rogu. Na zdjęciu widać było uśmiechniętą czteroosobową rodzinę. On i jego żona, ubrani elegancko, obejmujący dwójkę swoich dzieci: blondyna z burzą włosów i wesołym spojrzeniem oraz rudowłosą dziewczynkę. To zdjęcie zrobili nad morzem w osiemnaste urodziny Huberta, jego syna. Wybrali się wtedy na obiad do restauracji i dali młodemu bilet na koncert Golden Life w hali Stoczni Gdańskiej.

Marian Pękała poczuł ciepło rozlewające się w środku na samo wspomnienie zachwyty syna i jego ekscytacji, gdy rozpakował prezent. Ale chwilę później naczelnik przypomniał sobie, co wydarzyło się na koncercie, i ogarnęło go dojmujące poczucie pustki i bezradności, które trawiło go od czasu pożaru.

Tyle razy wyobrażał sobie, jak jego syn ucieka z pełnej dymu i płomieni hali, a później potyka się i zostaje stratowany przez pędzący tłum. Muzycy Golden Life nagrali po wydarzeniu piosenkę z refrenem, którego szczerze nienawidził: „Życie, choć piękne, tak kruche jest”. Za każdym razem, gdy ją słyszał, wzbierała w nim wściekłość. Ta, którą dzień po dniu próbował zasypywać powstałą w środku wyrwę.

Dotknął palcem twarzy syna za równo skrojoną szybką, a później zacisnął zęby i w myślach przeklął Wilczyńskiego za to, że prowokował go do zadawania sobie niewygodnych pytań.



W windzie rozmasowała nadgarstki i rozciągnęła mięśnie karku. Wiedziała już, że nic nie będzie takie, jak zakładała. Nawet jeśli przewidziała kilkanaście scenariuszy, ten wymykał się im wszystkim. A mimo to Larysa nie chciała zawrócić. Uparła się, że zdemaskuje sponsora, odkryje jego tożsamość i odda na czas reportaż. Kiedy na czterdziestym piętrze zadzwonił charakterystyczny dzwoneczek, a drzwi windy rozsunięły się, wyszła na korytarz pewnym krokiem.

Jej czujny wzrok zarejestrował drogę ewakuacji. Wokół było cicho, a zapach starej wykładziny mieszał się z wonią perfumowanych detergentów i kwiatów. Patrząc na zdobione drzwi do apartamentu, nie czuła strachu. Raczej ekscytację. Krew zaczynała szybciej krążyć w jej żyłach, a w uszach szumiało od adrenaliny. Może rzeczywiście nieświadomie dążę do autodestrukcji, pomyślała, wyobrażając sobie dobroduszne, niemal ojcowskie spojrzenie Pawła Wiśniewskiego. I żeby się od niego uwolnić, bez zastanowienia włożyła kartę magnetyczną do zamka, a po charakterystycznym kliknięciu energicznie pchnęła drzwi i weszła do środka. Działanie pozbawiało ją wahania. Po tym, jak kilka razy w życiu czekała z podjęciem decyzji o sekundy za długo, zmieniła strategię. Najpierw działała, a później radziła sobie z konsekwencjami.

Wewnątrz było całkowicie ciemno. Ktoś pozasuwał wszystkie zasłony.

Dotknęła ręką ściany w poszukiwaniu włącznika, a wtedy oślepiający blask z przeciwległego pokoju uderzył ją w oczy.

– Pomogę ci – usłyszała dobiegający z oddali silny, męski głos, który znała z telefonu.

Światło wwiercało się w jej źrenice i przyprawiało o piekący ból. Jakby ktoś nasypał pod powieki soli. Była pewna, że to reflektor przemysłowy o dużej mocy – taki, jakich używa się do oświetlania budynków.

Czuła się ślepa i oszołomiona.

– Podejdź bliżej.

Zasłoniła dłonią twarz.

– Słyszałam gdzieś, że lepiej nie iść w stronę światła – powiedziała.

Zaśmiała się grzecznościowo. Wydawało się jej, że słyszy coś jakby sapanie, ale uznała, że to pewnie jakiś sprzęt w pokoju wydaje ten

dziwny dźwięk. Powoli przesuwała się do przodu, a gdy jej oczy nieco przyzwyczyły się do bólu, przyspieszyła kroku.

– Stój – rozkazał mężczyzna. – Uspokój oddech i tętno. Mój przyjaciel źle reaguje na zdenerwowanie.

– Co? Mieliśmy tu być tylko we dwoje. – Jej myśli w ułamku sekundy powędrowały do szwajcarskiego scyzoryka w torebce.

– Ciii... – wyszeptał. – Rozzłościł go, a wierz mi, ma piekielny temperament.

Znowu ten dziwny dźwięk, który zdawał się przybliżać.

– Skąd wiedziałeś, kim jestem?

– Lubię wiedzieć. Dziennikarka udająca dziewczynę poszukującą sponsora mnie zaintrygowała. – Pstryknął palcami, a wtedy z ciemności jak na komendę wyskoczył wściekły pies.

Zrobiła krok w tył i natrafiła na ścianę. Zwierzę szczeekało i warczało centymetry od jej nóg. Była pewna, że rzuci się jej do gardła i natychmiast przegryzie aortę. Czarne, ciężkie cielsko trzymane na smyczy wierzgało, a pysk ociekał śliną.

– Do nogi! – Mężczyzna pociągnął go w swoją stronę. – Dobry pies.

Larysa oddychała ciężko. Korzystając z chwili zamieszania, złapała w dłoń nożyk; brakowało kilku sekund, a wbiłaby go rottweilerowi w łeb.

– Wybacz. Niestety bydlak jest silny i czasem trudno mi go utrzymać. To moje zabezpieczenie, na wypadek gdybyś chciała podejść zbyt blisko. Jest nieco narwany, ale słyszałem sporo o twoim dzikim usposobieniu i myślę, że bardzo się od siebie nie różnicie.

W ciemności po drugiej stronie pojawił się rozbłysk światła, a chwilę później Larysa poczuła zapach tytoniowego dymu i dostrzegła żarzący się punkt, który wzięła za koniec papierosa. Jej umysł pracował na wysokich obrotach, a wzrok analizował kontury, które zdołała dostrzec pod naporem atakującego ją światła. Usiłowała opracować plan ewakuacji z pułapki, w którą dobrowolnie weszła. Była na siebie wściekła. Poruszyła się niespokojnie, ściskając w schowanej za plecami dłoni scyzoryk, ale pies natychmiast zawarczał.

– Spokój! – Ręka z czerwonym punkcikiem poruszyła się. – Połóż to coś na podłodze – zażądał ostro. – Już!

– Nie ma takiej opcji. Nie ufam ci.

Mężczyzna zaśmiał się chropowatym, gardłowym śmiechem, a ona

zmrużyła powieki w nadziei, że uda się jej dostrzec cokolwiek, co umożliwi zidentyfikowanie go.

– Twoja hardość jest naprawdę imponująca. Za kogo właściwie mnie masz?

– Za zboczeńca, który mami młode dziewczyny obietnicą wielkich pieniędzy. A potem je gwałci i niszczy im życie.

– Upraszczasz rzeczywistość. Każda z nich zrobiła to dobrowolnie.

– Bill Cosby i Harvey Weinstein też tak mówili. – Podniosła głos o ton za wysoko, pies wyrwał się do przodu i zaczął ujadać. Odskakując do tyłu, zahaczyła biodrem o jakiś mebel i z hukiem upadła na podłogę.

Właściciel ściągnął zwierzę do siebie.

– Proponuję ci układ.

– Nie interesuje mnie zgniły kompromis. – Larysa podniosła się i poprawiła sukienkę.

– A co cię interesuje? Czego jeszcze brakuje w twoim reportażu?

– Tylko twojej obrzydliwej gęby.

Ponownie się zaśmiał.

– Trudno się robi z tobą interesy, ale myślę, że mam ci coś do zaoferowania. Zrobisz, o co poproszę, a ja odpowiem na pytanie, które cię nurtuje. Wiem, że zależy ci na artykule i że masz niewiele czasu. Przygotowałem się.

– Nie układam się z nikim, a już na pewno nie z takimi zwyrodnialcami jak ty.

– Źle mnie oceniasz. Jestem wytrawnym koneserem, a nie gwałcicielem. Lubię patrzeć.

– W takim razie obserwuj uważnie, bo więcej niż to – pokazała mu środkowy palec – nie zobaczysz.

– Twój wybór. Niepotrzebnie się denerwujesz. Ostatecznie zawsze jest ktoś, kto patrzy. – Uniósł coś do góry. – W tej kopercie jest odpowiedź. Moje imię i nazwisko. – Położył ją obok siebie na łóżku. – Dostaniesz ją po wszystkim.

– Blefujesz. Nie podłożyłbyś się ot tak. Masz za dużo do stracenia.

– W pokerze mówi się: sprawdzam. Ale najpierw trzeba rozegrać partię.

– Właśnie to zamierzam zrobić – powiedziała i powoli zdjęła buty.

Później sprawy potoczyły się zaskakująco szybko. Larysa poczuła, że zaciska coraz mocniej szczęki, a dłonie same zwijają jej się w pięści.

Powinna się była powstrzymać, pomyśleć o konsekwencjach, ale nagły wyrzut adrenaliny zalał jej umysł i było już za późno. Przetoczyła się po podłodze w swoje lewo, gdzie dostrzegła kawałek pustego dywanu, po czym skoczyła na mężczyznę, na oślep młóćąc powietrze ręką ze scyzorykiem. Spodziewała się, że gdy tylko wyrwie do przodu, pies rzuci się na nią, a wtedy nożyk będzie jej jedyną bronią. Zgodnie z jej przypuszczeniem czarny, warczący kształt zaatakował, a ona w opętańczym szale dźgała powietrze. Sekundę później poczuła odbierający dech cios w splot słoneczny, a tuż po nim potworny ból w okolicy uda. Była pewna, że zwierzę zahaczyło ją zębami, i na samą myśl o tym zrobiło jej się słabo. Pies ujadał jak obłąkany i rzucał się na wszystkie strony, ale wydawało się, że właściciel trzyma go przy sobie. Nagle nie wiadomo czemu rottweiler ucichł. Larysa przetarła oczy, bo obraz stał się zamazany, i zrozumiała, że coś z nią jest nie tak. Miała wrażenie, że wszystkie dźwięki docierają do niej rozciągnięte i zniekształcone. Twarda dotychczas podłoga zdawała się przypominać ruchome piaski, a klatkę piersiową rozsadzało dudnienie serca.

– Co ty mi... – zdążyła powiedzieć, nim upadła.



Emilia zatrzymała się w progu domu i zauważyła, że ręka, w której trzyma klucz, drży. Zganiła się za ten nieracjonalny strach i weszła do środka. Dopóki byli z nią Jacek i dzieci, potrafiła zdobyć się na odwagę, ale myśl, że zostanie tu sama całymi dniami, napawała ją lękiem. Wzrokiem badała wnętrze, szukając śladów czyjejś obecności. Obcych zapachów, poprzestawianych przedmiotów i dziwnych dźwięków. Jakby pod jej nieobecność nieznajomy ze zdjęcia wrócił. Wszystko jednak wydawało się na swoim miejscu, starała się więc zachowywać naturalnie.

Rozpakowywała zakupy, podśpiewując pod nosem dla dodania sobie odwagi, gdy usłyszała uderzenie na górze. Jej ręka zawisła w powietrzu, a twarz stała się blada.

– Nie bądź głupia – wyszeptała, zaciskając pięści.

Domy wydają dźwięki, zabawki się przewracają, to normalne, usiłowała się pokrzepić. Ale po chwili znowu usłyszała uderzenie,

a później skrzywienie podłogi i czyjeś kroki. Przez kilka sekund nie była w stanie się poruszyć, po chwili jednak, słysząc, że ten ktoś zbliża się do schodów, chwyciła za telefon i wybrała numer męża.

– Jacek, musisz przyjechać – wyszeptała roztrzęsiona. – On tu jest. – Nerwowo zerkała w stronę schodów, a na plecach czuła zimny pot.

– Ale kto? – Jej mąż był wyraźnie zagubiony.

– On wrócił. Idzie tutaj. O Boże! – Ledwie była w stanie utrzymać telefon, tak bardzo trzęsły jej się ręce. Stojąc u podnóża schodów, obserwowała męskie buty pojawiające się na stopniach u góry.

– Kochanie... – zaczął Jacek, ale Emilia się rozłączyła.

Wybiegła przed dom i choć telefon dzwonił w jej rękach, nie była go w stanie odebrać. Początkowo chciała uciekać, najbliżsi sąsiedzi mieszkali jednak dopiero za zagajnikiem, a poza tym o tej porze większość z nich była w pracy. Jej otumaniony strachem umysł podpowiadał, że lepiej, by do konfrontacji doszło na otwartej przestrzeni, w świetle dnia. Jakby chciała spojrzeć złu w oczy, zmierzyć się z nim i zdjąć z siebie ciężar lęku. Przycisnęła złożone dłonie do klatki piersiowej i w napięciu wpatrywała się w półotwarte drzwi domu. Gdy dostrzegła za nimi ruch, wstrzymała oddech. Chwilę później jej oczom ukazał się mężczyzna w dżinsach i T-shircie, z brzuchem zwisającym nad paskiem, a ona wzięła wielki haust powietrza i poczuła, że cała drży.

– Pani się tak wystraszyła? – zapytał mężczyzna, podchodząc bliżej. – Ja tylko alarm zakładam. Mąż dał klucz i powiedział, że mam podjechać w południe, jak nikogo nie będzie. – Uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Jakby co, to ja mogę innym razem.

Emilia nagle zdała sobie sprawę z tego, jak się zachowała, i poczuła palący wstyd. Tego dnia jak w każdą środę miała być na zajęciach pływania, ale gdy pojechała na basen, okazało się, że instruktorka jest chora. Recepcjonistka twierdziła, że wysłali jej na ten temat maila, lecz najwyraźniej go przeoczyła.

– Ja... – zaczęła niepewnie. – Bardzo pana przepraszam. Myślałam, że ktoś się włamał. – Odchrząknęła, by opanować drżący głos.

– A! No tak, tyle tego dziadostwa teraz się płacze. Ludzie są zaganiani, ten czy tamten drzwi w pośpiechu nie zamknie albo alarmu nie włączy, a złodziej tylko na to czeka. Słyszała pani, że na śpiocha teraz wchodzą? – Nie czekając na jej odpowiedź, mówił dalej: –

Zwyczajnie klamkę naciskają i jak niezamknięte, to włożą ludziom do domu. Na chama, bez żadnych ceregieli – ekscytował się. – To się w głowie nie mieści. Dobrze, że pani mąż taki zapobiegliwy i do nas zadzwonił.

Pokiwała głową, uświadamiając sobie, że niepotrzebnie zaalarmowała Jacka.

– To co, mam robić? – Monter podrapał się po głowie.

– Tak, proszę dokończyć swoją pracę. – Westchnęła. – Napije się pan kawy?

– A chętnie. Niech pani da pięć łyżek cukru. W domu tyle nie słodzę, ale w gościach sobie pozwalam! – zachichotał.

Odprowadziła go wzrokiem, gdy wracał do budynku, po czym sama poszła do kuchni i uruchomiła ekspres. Czekając, aż się nagrzej, oparła dłonie o blat i myślała o mężczyźnie, którego przez ostatnie lata zdołała zapomnieć. Naiwnością wydawało jej się teraz przyjęte przed laty założenie, że potrafi ochronić swoją tajemnicę. W ciszy obserwowała, jak łzy skapują z jej policzków i roztrzaskują się o kamienny blat, zostawiając na nim mokre ślady. Jestem żalosna, pomyślała, widząc w odbiciu swój rozmazany makijaż; pociągnęła nosem i pospiesznie wytarła łzy wierzchem dłoni.

Później, nie zastanawiając się nad tym głęboko, wzięła do ręki telefon i odnalazła jego numer. W oczekiwaniu na połączenie rozdrapywała ślad po ukąszeniu komara.

Gdy w słuchawce odezwał się zdziwiony męski głos, zaniemówiła.

– Halo, kto mówi? – dopytywał mężczyzna, a ona poczuła ukłucie żalu, że nawet nie zapisał jej numeru.

Nagle za jej plecami trzasnęły drzwi. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła swojego męża.

Rozłączyła się i odłożyła telefon.

– Jacek? Co ty tu robisz?

– Jak to co? Brzmiałaś, jakby wydarzyło się coś strasznego! A później rozłączyłaś się tak gwałtownie i nie odbierałaś telefonu... – Popatrzył na nią jak na wariatkę. – Jezu, Emi, grzałem przez pół miasta. Nie mów mi, że nic się nie stało.

– Spanikowałam, przepraszam. – Położyła mu ręce na ramionach. – Wróciłam do domu i natknęłam się na tego faceta od alarmu. Czemu nie powiedziałeś mi, że dziś przychodzi?

– Zostawiłem ci rano karteczkę na lodówce. Poza tym myślałem, że będziesz na basenie.

– Odwołali mi zajęcia. – Westchnęła. – Głupio wyszło, wiem, naprawdę mi przykro. Wyciągnęłam cię z jakiegoś spotkania?

Jacek pokiwał głową.

– Nieważne. – Machnął ręką. – Ale następnym razem, zanim uwierzysz w potwory, sprawdź, czy są rzeczywiste. Dobra?

– Jasne. – Wtuliła się w niego. – Zmykaj do pracy.

– Na razie. – Pocałował ją w policzek i już szedł w stronę drzwi, gdy przystanął w korytarzu i odwrócił się do niej. – Z kim rozmawiałaś, gdy wszedłem? Trzymałaś w ręku telefon i byłaś blada jak trup.

Na dźwięk tego słowa przeszedł ją dreszcz.

– Z nikim ważnym – skłamała. – Chyba jeszcze dochodziłam do siebie po tym, co się stało. Naprawdę się wystraszyłam.

– Dobrych ludzi nie spotykają złe rzeczy. Pamiętaj o tym. – Pomachał jej na pożegnanie.

– Dobrych może nie – powiedziała szeptem, gdy jej mąż już wyszedł.



Bruno szedł korytarzem, zastanawiając się, co czują ci ludzie. Od kiedy interesują mnie takie pierdoły? – pomyślał. Skręcił do toalety i oparł się dwiema rękami o umywalkę. Wpatrywał się w pajęczyny czerwonych żyłek na powierzchni gałek ocznych. Niepokoiła go myśl, że Pękała mógł mieć rację. Odległe o trzydzieści lat sprawy zaczynały się zlewać w jego umyśle. Czy naprawdę tracę obiektywizm? – zastanawiał się.

Z drugiej jednak strony robił dokładnie to, do czego go szkolono. Sprawdzał wszystkie dostępne fakty. Zbierał informacje i nie ferował wyroków, dopóki nie miał kompletnych danych. Klasyka.

Odkręcił kurek i ochlapał twarz lodowatą wodą. Wysuszył ręce, pocierając je papierowym ręcznikiem, i skierował się w stronę salki, gdzie czekali już rodzice Niny Zaniewskiej.

Zatrzymał się tuż przed wejściem. Jego goście siedzieli na krzesłach obok biurka. Dwie skulone postaci, przypominające baloniki, z których uszło powietrze.

Kobieta była drobna. Czarny golf i długa, ciemna spódnica sprawiały, że wydawała się jeszcze mniejsza. Miała pomarszczoną skórę na dłoniach i lekko zadarty nos. Sińce pod oczami i czerwona obwódka wokół nosa wskazywały na to, że płakała od wielu godzin. Opierała się teraz o klatkę piersiową męża. Mężczyzna w dłoni wielkości rakiety tenisowej ścisnął nasiąkniętą do granic możliwości chusteczkę. Drugą rękę położył na kolanie, którym poruszał rytmicznie. Miał na sobie stary, znoszony garnitur. W okolicy pach jego kolor był wyraźnie ciemniejszy, najpewniej od potu.

Brunona uderzył kontrast pomiędzy ich wyglądem a przepychem mieszkania ich córki. W jego głowie zaświtała pewna myśl. Właściwie zdziwił się, że dopiero teraz na to wpadł. Popchnął drzwi i wszedł do środka.

– Komisarz Wilczyński. – Wyciągnął rękę, ale tylko kobieta odpowiedziała na jego gest.

– Danuta Zaniewska. – Spojrzała na męża, który przygryzał końcówki wąsów. – A to mój mąż, Piotr. – Mężczyzna ze łzami w oczach kiwnął głową. – Czy może nam pan powiedzieć, co się stało? Poinformowano nas, że Nina została znaleziona... – Słowo „martwa” ugrzęzło jej w gardle.

Bruno kiwnął głową.

– Policja znalazła ją w sypialni. Obok łóżka stała pusta fiolka po lekach nasennych i opróżniona butelka alkoholu. Nie żyła już od kilkunastu godzin. Prokurator twierdzi, że popełniła samobójstwo.

– Samobójstwo? – Kobieta zawiesiła głos. – Ona nigdy by tego nie zrobiła. – Spojrzała na męża, który uporczywie studiował wzór na terakocie.

Do Brunona dotarło, że mężczyzna robi wszystko, by się nie rozsypać. Jakby otwarcie ust mogło wypuścić na świat cały jego ból, który teraz tak mocno dusił w sobie.

– Ja z nią rozmawiałam tamtego dnia. Proszę mi wierzyć, wszystko było w porządku.

Wilczyński poczuł, że emocjonalność tej kobiety działa mu na nerwy.

– Z reguły samobójcy rzadko chwala się swoimi planami.

– Może ktoś jej to zrobił? – Głos Zaniewskiej przechodził niemal w pisk.

– W mieszkaniu nie znaleziono śladów osób trzecich.

– Jak to? – Ojciec dziewczyny nagle odezwał się tubalnym, mocnym głosem. – A co z jej współlokatorką?

– Ma na imię Ewa – wtrąciła kobieta. – Wynajmowały tę kawalerkę wspólnie.

Bruno przekrzywił głowę i ściągnął brwi. Puzzle przestawały do siebie pasować.

– Nina nie mieszkała w kawalerce. Wynajmowała studwudziesięciometrowy apartament na Wilanowie. I wszystko wskazuje na to, że poza kotem nie miała żadnych współlokatorów.

Zaniewscy spojrzeli po sobie.

– To chyba jakaś pomyłka. My... – spuściła ze smutkiem głowę – ...nie mamy takich pieniędzy.

Mąż przytulił ją mocniej do siebie. Bruno złapał się na tym, że to spostrzeżenie przemknęło mu przez myśl, gdy ich zobaczył. Znoszone ubrania, wytarty lakier na paznokciach i pękające na szwach buty Zaniewskiego mocno kontrastowały z ekskluzywnym życiem ich córki.

– Prowadzimy gospodarstwo pod Lublinem – odezwał się ojciec, jakby chciał się wytłumaczyć. – Głównie sady jabłkowe. Ale wie pan, jak jest.

– Nie wiem.

– Nikt nie chce już tych jabłek kupować. Za dużo ich – kontynuował niezrażony mężczyzna. – To, co nam proponują w dyskontach, to kpina. Rząd wprawdzie obiecuje skup interwencyjny, ale to i tak nam nie pomoże. – Zaniewski rozłożył swoje wielkie, spracowane dłonie, po czym pochylił głowę, jakby zawstydział się, że tak łatwo odszedł od rozmowy o córce.

– Wychodzi na to, że czasem jabłko pada jednak daleko od jabłoni.

– Słucham? – Danuta ściągnęła brwi.

Bruno machnął ręką.

– Wasza córka prowadziła raczej ekskluzywny styl życia i z pewnością nie miała problemów finansowych. Agencja, która wynajmowała mieszkanie, twierdzi, że Nina regularnie opłacała czynsz.

– Ale jak? – Piotr kręcił głową z niedowierzaniem. – Może z tego stypendium? – zwrócił się do żony.

– Osiem tysięcy miesięcznie – wtrącił Bruno.

Zaniewscy zaniemówili.

– Nie wspominała o jakiejś nowej pracy? Może w ten sposób zarabiała na opłaty?

– Nie. – Danuta mówiła cicho, jakby przytłoczyły ją te wszystkie informacje. – Ona nie miała czasu na pracę. W kółko siedziała albo na uczelni, albo w bibliotece. – Obciągnęła rękawy golfa. – Nie miała nawet czasu na rozmowy z matką. – Zakryła usta dłonią i załkała.

– Czy moglibyśmy zobaczyć to miejsce? – zapytał Piotr.

– Na razie jest to niemożliwe – odparł Bruno. – Później będziecie mogli przyjechać po rzeczy Niny. W domu jest trochę ubrań i przedmiotów osobistych.

– Jak znam moją córkę, to pewnie same książki – dopowiedział Zaniewski.

Bruno zastanawiał się, ile im zdradzić.

– Niezupełnie – zaczął ostrożnie. – Raczej ubrania, bielizna i kosmetyki. Trochę drobiazgów w kuchni i łazience, sporo butów i obraz.

– Obraz? – Danuta jakby się przebudziła. – Pewnie był na wyposażeniu. Nina nie przepada za sztuką. Twierdzi, że jest nudna. – Uśmiechnęła się jednym kącikiem ust. – W szkole zawsze symulowała chorobę, gdy jej klasa szła do galerii albo jechała na koncert do filharmonii.

– Może nie znacie jej tak dobrze, jak się wam wydawało. Na obrazie jest dedykacja dla niej. – W myślach Wilczyński rozważał, czy podzielić się z nimi swoją hipotezą, ale uznał, że najpierw ją zweryfikuje. – O chłopakach pewnie też nigdy nie słyszeliście?

– Miała kogoś? – Oczywiście Danuty były wielkie jak spodki. – Nic o tym nie wspominała.

Matka dziewczyny jeszcze bardziej zapadła się w siebie, patrzyła na wprost niewidzącym wzrokiem, a jej dłonie zaciskały się w ciasnym splocie. Wydawało się, że świadomość tego, jak wiele tajemnic miała przed nią córka, pozbawiła ją resztek złudzeń.

– Przypuszczam, że jest wiele rzeczy, o których wam nie mówiła.

– A pan o czym nam nie mówi? – Piotr Zaniewski wpatrywał się intensywnie w Brunona. – Powiedział pan, że według prokuratora Nina popełniła samobójstwo, ale nie wspomniał pan, co sam o tym myśli.

Wilczyński uśmiechnął się do ojca dziewczyny, zdumiony jego czujnością.

– Staram się nie przesadzać z myśleniem. Mój szef często powtarza: „Nie myśl za dużo, bo stworzysz problem, którego wcześniej nie było”.

Zaniewski rozchylił usta, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale ostatecznie zamknął je, wykrzywił wargi w grymasie przypominającym uśmiech i ugodowo kiwnął głową.

– Z drugiej strony – kontynuował Bruno – gdybym akurat cierpiał na brak problemów i musiał sobie jakieś stworzyć, zastanawiałbym się, czy Nina była na coś uczulona.

Danuta Zaniewska, wyrwana z letargu, odwróciła głowę w stronę policjanta.

– Na orzechy ziemne – wyszeptała przez wysuszone gardło.

Kobieta mówiła coś jeszcze, ale Bruno już jej nie słyszał. Wyjął z kieszeni telefon, wybrał numer patologa sądowego i bez pożegnania zostawił w pokoju oszołomionych rodziców dziewczyny.



Obudziły ją drżenie ciała i zimne podmuchy klimatyzacji na plecach. Leżała na łóżku w tej samej sukience, w której przyszła do hotelu, i czuła narastający ból w skroniach. Gdy tylko złapała ostrość widzenia, natychmiast uniosła głowę. Przez chwilę nasłuchiwała. Apartament był duży i ktoś mógł równie dobrze przebywać w innej jego części, ale wszystko wskazywało na to, że została w nim sama. Wewnątrz było cicho i ciemno.

Wstając z łóżka, zachwiała się jak po dobrej imprezie. Przymknęła oczy, przytrzymując się mebla, a później powoli, krok po kroku, dojrzała do ściany i zapaliła małą nocną lampkę. Dopiero teraz mogła obejrzeć to miejsce. Miękkie dywany, ogromne mahoniowe łóżko, obrazy i lustra. Zablokowała drzwi wejściowe do apartamentu, a później przysiadła na fotelu w rogu pokoju i zauważyła, że na prawym podłokietniku leży popiół. Chwyciła odrobinę w palce, po czym roztarła ją między opuszkami i powąchała. Reakcja organizmu była natychmiastowa. Larysa poczuła, jak treść żołądka wraca do przetyku, i pobiegła do łazienki.

Pochylona nad muszlą klozetową miała wrażenie, jakby świat wokół niej się kołysał. Zwymiotowała wszystko, co zjadła poprzedniego wieczoru, ale jej ciałem targały kolejne torsje. Dopiero po chwili podniosła się na drżących nogach i nie mogąc znieść uczucia oblepiającego ją brudu, weszła pod prysznic. Oparła dłonie o ścianę i pozwoliła, by z deszczownicy spływała na jej plecy gorąca woda. Szum koł wewnątrz niepokój, ale nie był w stanie zagłuszyć pytania o to, co się z nią działo po tym, jak straciła przytomność.

By odepchnąć od siebie ponure myśli, zaczęła w pamięci odtwarzać wszystko, co się wydarzyło, gdy przekroczyła próg apartamentu. Docieranie do wspomnień wymagało od niej ogromnego wysiłku, była pewna, że lada chwila znowu zwymiotuje. Przed oczami przesuwwały jej się strzępki obrazów. Światło skierowane prosto na nią. Tajemniczy mężczyzna o głębokim głosie, zatopiony w fotelu i ukryty w cieniu tak, że nie mogła rozpoznać jego twarzy. Czarny rottweiler o lśniącej sierści

i zaślinionym pysku. To wspomnienie nawet teraz wywoływało dreszcz.

Nagle spojrzała na swoje udo, z mętnej pamięci wypłynęła bowiem migawka bólu przeszywającego ciało. Tyle że na nodze nie było śladu ugryzienia, a jedynie rozległy fioletowy siniak. Coś takiego mogło powstać przy uderzeniu albo – uniosła energicznie głowę, jakby coś do niej dotarło – przy źle wykonanym zastrzyku. To by miało sens. Jej nagła utrata świadomości, potworny ból głowy i mdłości, wszystko to razem prowadziło do prostej konkluzji. Naszprycował ją czymś i z pewnością nie było to nic miłego, sądząc po łupaniu w czaszce, przez które co jakiś czas zataczała się i zaciskała z bólu zęby.

Ta myśl ją uspokoiła, a lęk o to, czy została wykorzystana, powoli się rozpuszczał. Przeczyło mu to, że nadal miała na sobie bieliznę, na ciele nie znalazła innych zadrapań ani otarć niż rozległy siniak na udzie i nie odczuwała dolegliwości mogących sugerować gwałt. Nie zmieniało to faktu, że powinna się zbadać, a to oznaczało konieczność odwiedzenia Suchara. Wprawdzie był weterynarzem, ale kilka razy pomagał jej pozszywać różne świństwa i nigdy nie zadawał zbędnych pytań.

Ona i Maciek Sachara, lekarz weterynarii z Mokotowa, poznali się przypadkiem. Wracała pieszo do domu, gdy dwóch wyrostków z nożem sprężynowym zażądało od niej pieniędzy.

– Nie ma takiej opcji – rzuciła pewna, że znajdują się w zbyt dobrze oświetlonym miejscu, by napastnicy zdecydowali się zrobić jej krzywdę.

Poza tym znała takich chłopaków – chudzi, w wiszących na nich dresach i spranych adidasach, wyglądali na gości, którzy czują się silni, ale byli tacy tylko, gdy ktoś się ich bał. I pewnie miałyby rację, gdyby tego wieczoru nie łyknęli sobie wcześniej kilku dopalaczy. Przez to nie obchodziło ich, że w piątek w nocy przy Niepodległości ktoś ich na pewno zauważy. Jeden z nich zamachnął się nożem i przeciął jej koszulkę w okolicy pępka. Położyła rękę na brzuchu i poczuła, że robi się mokry.

– Forsa! – wrzasnął chłopak, gdy jego kolega śmiał się w głos.

Podszedł do niej i szarpiąc ją, przetrząsał kieszenie skórzanej kurtki.

– Gdzie kasa?! – denerwował się, zerkając na zmierzającego z kierunku Narbutta przechodnia.

– Nie mam! – Nadal trzymała się za brzuch.

– Ej, co tam się dzieje? – Gruby facet był już zaledwie kilka metrów

od nich.

– Spadamy – rzucił bardziej szczerowaty z napastników i obaj pomknęli w stronę Pola Mokotowskiego.

Gdy nadchodzący mężczyzna zrównał się z nią, zauważyła jego białą brodę, okulary i kaszkiet, przez które przypominał jej nieco George'a R.R. Martina.

– Nic się pani nie stało? – Nachylił się i zobaczył ranę na brzuchu. – Proszę iść ze mną, musimy to opatrzyć.

Nieznajomy wziął ją pod ramię, a kilka metrów dalej wyjął z kieszeni pęk kluczy i pobrzękując nimi, otworzył drzwi do gabinetu weterynaryjnego Tygrysek.

– Ma pani szczęście. Zapomniałem dokumentów i musiałem się wrócić. – Rzucił klucze na biurko. – Normalnie o tej porze jestem już w domu.

– No to rzeczywiście fart. – Uśmiechnęła się i patrzyła, jak myje ręce, a później dwukrotnie je dezynfekuje i wkłada rękawiczki.

– O co poszło? – Oglądając ranę, nie omieszkał obrzucić wzrokiem także jej ogolonej na krótko głowy.

– O kasę.

Pokręcił głową, a ona starała się oszacować, ile może mieć lat. Tusza z pewnością dodawała mu wieku, ale jego dłonie były szczupłe i gładkie jak u kogoś młodego.

– Zrobię teraz zastrzyk przeciwwężcowy. Może zabołec.

Posłusznie wykonywała polecenia i patrzyła, jak zwinne palce operują strzykawką. Gdy wbił igłę, syknęła. W trakcie podawania leku wstrzymała oddech, po czym obserwowała, jak przygotowuje igłę i nić chirurgiczną.

– Będziemy szyc?

– Tak. Rana jest dość płytka, więc powinienem to ogarnąć. W podstawówce trochę wyszywałem. – Puścił do niej oko.

– Dobrze wiedzieć, że jestem w bezpiecznych rękach – odparła. – Lara. – Wyciągnęła dłoń.

– Suchar. A tak naprawdę Maciek Sachara. I jak się pewnie domyślasz, opowiadam najbardziej beznadziejne dowcipy na świecie.

– Nie może być tak źle. Zaskocz mnie.

– Wiesz, jak się nazywa weterynarz, który leczy pandy?

Larysa pokręciła głową.

– Pan doktor! – Roześmiał się, po czym wziął głęboki wdech i z zażenowaniem rozmasował dłonie. – Sorry, trochę się denerwuję. Zazwyczaj szyję psy i koty, a to jednak trochę coś innego. Na pewno nie wolisz pojechać na izbę przyjęć? – Dopiero teraz zauważyła, że jego czoło zrosił pot.

– Szkoda na to czasu. Dasz sobie radę. Tylko lepiej nie opowiadaj już dowcipów.

To samo powtarzała mu, gdy miesiąc później pobierał jej krew po tym, jak po imprezie obudziła się w nieznanym miejscu, albo gdy robił jej rentgen po tym, jak spadła z trzeciego piętra, uciekając przez balkon z mieszkania, w którym w ogóle nie powinno jej być. Nigdy jej nie pouczał, nie wysyłał do szpitala ani nie pytał, czym się zajmuje. To była ich niepisana umowa. Ona nie komentowała pudełek po fast foodach w gabinetowym koszu i udawała, że nie widzi przyrastających kilogramów, które ukrywał pod obszernymi bluzami. Wiedziała, że kiedyś któreś z nich nie wytrzyma i powie głośno to, co myśli, ale do tego czasu Suchar był jedyną osobą, na którą mogła liczyć w trudnej sytuacji nawet w środku nocy.

Myślała o nim, wycierając mokre ciało w hotelowej łazience. Zastanawiała się, czy pił dzisiaj, jak to mu się zdarzało ostatnio. A może znów zasnął na skórzanym fotelu przed laptopem, oglądając archiwalne nagrania z koncertów rockowych. Ale szybko doszła do wniosku, że to nie jej sprawa. Wróciła do pokoju i po tym, jak podniosła swoje buty, spojrzała na szafkę nocną. Ze zdziwieniem dostrzegła na niej białą kopertę i nagle przypomniała sobie, jak sponsor powiedział, że w środku znajdzie odpowiedź na pytanie, które ją nurtuje. Rzuciła się w jej stronę, a niecierpliwe palce w pośpiechu rozrywały papier.

W środku znajdowała się poskładana biała kartka. Gdy ją rozłożyła i przeczytała zawartość, zgmiotła papier i z wściekłością cisnęła kulką o ścianę. Wewnątrz zapisane były tylko dwa słowa. Imię i nazwisko, które nie pasowało do żadnego z wpływowych mężczyzn, których typowała na sponsora, nie przypominało też personaliów żadnego znanego polityka ani wysoko postawionego biznesmena z grupy osób zamieszanych w sekskorupcyjny skandal.

Imię i nazwisko, które mogło należeć do każdego i które spowodowało, że Larysa nie potrafiła przestać zastanawiać się nad

tym, kim jest Jakub Andrzejewski.



Pot lał się jej po twarzy do tego stopnia, że niewiele widziała. Uderzała w worek na dziko, raz za razem. Salę treningową klubu bokserskiego Pięściarz co chwilę przesywał głuchy łomot, gdy czarna rękawica spotykała się z czerwonym skórzanym workiem. Nie wyobrażała sobie, że uderza w sponsora. W ogóle o nim nie myślała. Właściwie jej głowa była wolna od myśli. W tej chwili liczyło się tylko to, by przestać czuć, zapomnieć, by stać się ruchem, energią i siłą. Im bardziej waliła w worek, tym mniej odczuwalny stał się piekący ból uda, ale ból w środku nie chciał odejść. Z wściekłości wydała z siebie zwierzęcy okrzyk i zadała nowy cios, a później całą serię.

– *Stoj!* – Trener Grisza pojawił się po drugiej stronie worka i odsunął go.

– Odejdź. Przeszkadzasz mi!

Nie przestawała podskakiwać i wymachiwać rękami.

– Nie wiem, co cię ugryzło, ale zrób przerwę, bo inaczej się zajedziesz.

– Grisza puścił worek i stanął obok niego z założonymi rękami. Patrzył na nią z czułością w spojrzeniu, którą dodatkowo podkreślał jego miękki ukraiński akcent.

– Nie potrzebuję przerwy. – Uderzyła w worek, który poszybował w stronę trenera.

– *Co ty wyprawiasz!?* – wrzasnął rozemocjonowany.

– Trenuję. Przesuń się – wysapała między jednym ciosem a drugim, a z jej ust poleciała strużka śliny.

– Wariatka. – Rzucił jeszcze jakieś przekleństwo po ukraińsku, pokręcił głową i odszedł na bok. – Może ktoś zadzwonić po pogotowie? – powiedział do ogółu.

Kilku trenujących zarechotało.

– Dawaj ją tutaj! – Wytatuowany osilek z łańcuchem na szyi machnął na trenera. – Zmierzymy się.

Grisza zatrzymał na nim wzrok, jakby się zastanawiał; w jego oku pojawił się błysk.

– Ty, Białorusin, za krzepki dla niej jesteś – odparł po namyśle.

Larysa uderzała, jakby w ogóle nie słyszała wymiany zdań tych dwóch.

– Stawiam stówę, że przegra! – zawołał facet w sportowym stroju, który właśnie wszedł na salę.

Nie odwróciła się, ale przypomniała sobie, że widziała go w klubie już wcześniej. Rozpoznała jego głos, głęboki i niepokojąco przyjemny. Szatyn, rozczochrane włosy, dołeczki w policzkach i przekonanie o własnej zajebistości. Tak go zapamiętała. Nienawidziła takich typów.

Grisza zauważył, że zawahała się przed kolejnym uderzeniem. Musiały do niej dotrzeć słowa mężczyzny.

– Zostaw ten worek w spokoju i chodź się zmierzyć z kimś równym sobie – prowokował szatyn, a Białorusin o szerokim karku z uśmiechem pokazywał na siebie.

Larysa zatrzymała się i powiodła wzrokiem od Griszy do przemądrzałego faceta w drzwiach.

– Naprawdę myślicie, że się na to nabiorę? Zachowajcie te głupie teksty dla siebie. – Uniosła rękę, by uderzyć, ale zatrzymała się, gdy mężczyzna znów się odezwał.

– Jak z nim wygrasz, wrócę do domu pieszo, a ty pojedziesz moim motocyklem.

Uwaga wszystkich w klubie skoncentrowała się na tej dwójce. Grisza uśmiechał się delikatnie w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń.

– Jaki model? – zapytała, stojąc do niego tyłem.

– Ducati Panigale V4 R. Czarny kolor, gdybyś chciała wiedzieć. Podobno dla kobiet to ważne.

– Bardziej interesuje mnie, że to motocykl wyścigowy dopuszczony do ruchu – odparła. – A co, jeśli przegram? – odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

– Pójdziemy gdzieś razem.

– Uuuu... – Grisza cieszył się jak dziecko, a osiłek rozcierał już rękę, gotując się do walki.

Larysa przygryzła wewnętrzną część policzka i przekrzywiła głowę.

– Pod jednym warunkiem.

– Słucham. – Szatyn miał pasma siwych włosów na skroniach i bezczelny uśmiech na twarzy.

– Nie będę walczyć z nim – wskazała na napakowanego mężczyznę – tylko z tobą.

Zarozumialec uśmiechnął się z satysfakcją.

– Mogę się na to zgodzić, ale jeśli mnie znokautujesz, zamawiam sztuczne oddychanie.

– Nie ma sprawy. Białorusin jest do tego stworzony. – Puściła oko do osiłka, który zarechotał i posłał szatynowi buziaka.

Przeciwnik Larysy udał, że łapie całusa i przykłada go sobie do serca z romantycznym westchnieniem, po czym wyjął z torby rękawice, a później podszedł do niej, patrząc jej prosto w oczy.

– Zakład przyjęty. Walczymy do pierwszych desek – wyjaśnił. – I nie spinaj się tak, dam ci fory...

– To ja dam ci fory.

Larysa ruszyła w stronę ringu, a tuż za nią Grisza, który przyjął rolę sekundanta. Przemądrzały facet rozgrzewał się, wykonując wymachy ramion, podskoki i ćwicząc bieg bokserski. Kiedy byli gotowi, właściciel klubu dał im ochraniacze na zęby i na głowę, a tuż przed wpuszczeniem Larysy na ring ciężko westchnął i pokręcił głową.

– Uważaj na niego – wyszeptał.

Ku jej zaskoczeniu początkowo szatyn traktował ją ulgowo. Czuła to, widziała, że ciosy, które wyprowadza, są najwyżej na połowę jego możliwości. Zgrabnie robił uniki, a ona była już zmęczona długim treningiem. Gorące powietrze oblepiało jej ciało, pot lał się po plecach i spływał na pośladki.

– Nie traktuj mnie... – zamachnęła się, młóćąc powietrze – jak... – uderzyła drugą ręką, znowu chybiając – babę! – wysyczała przez nakładkę na zęby i prawą dłońią musnęła jego szczękę.

Uderzenie nie wydawało się silne, ale odskoczył, a po chwili wrócił, zachodząc ją z lewej strony. Zanim się zorientowała, co zamierza, poczuła mocne pchnięcie w okolicy żeber. Zachwiała się i była pewna, że upadnie, ale jakimś cudem udało jej się odsunąć na bezpieczną odległość i zachować pion.

– Ups – rzucił, przestępując z nogi na nogę.

Zauważyła, że co jakiś czas porusza w dziwny sposób dłońmi, jakby go bolały. Nie wyglądał jej na typowego bywalca klubów bokserskich. Wprawdzie miał silne ciało i zwinność, ale był przy tym szczupły, a jego błękitne oczy i potargane półdługie włosy wskazywały bardziej na osobę, która większość czasu spędzała przy biurku albo na oglądaniu seriali. Jeśli jej założenia były słuszne, mogła przypuszczać, że

dotknęła go przypadłość określana niekiedy chorobą sekretarek. Jednak zanim zdążyła zdecydować, co zrobi ze swoim odkryciem, ponownie uderzył ją w żebro, tym razem mocniej, i natychmiast przyłożył z drugiej strony.

– Lara, weź się w garść! – usłyszała krzyk Griszy.

W ułamku sekundy otrzeźwiała. Zacisnęła zęby i nie zastanawiając się, rzuciła się na szatyna, uderzając tylko i wyłącznie w jego dłoń i nadgarstki.

– Auu! – krzyknął pod naporem ciosów i opuścił gardę, a wtedy ona z całej siły zamachnęła się i uderzyła go w głowę tak mocno, że po sali rozszedł się pogłos.

Szatyn upadł, trzymając się za ucho. Larysa nie czekała na dalszy rozwój sytuacji; wiedziała, że musi natychmiast wyjść, bo inaczej zaraz upadnie. Zrzuciła rękawice, wyszła z ringu i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę szatni. Tam osunęła się na ławkę, ściągnęła z głowy ochraniacz i poczuła, że lada moment zemdleje. Kręciło się jej w głowie, a obraz stawał się coraz bardziej matowy. Cholerny Suchar miał rację, trzeba było zostać w domu.

– Ej! – poczuła piekące uderzenie w policzek. – Nie odpływaj, pij! – Ktoś wetknął jej do ust bidon z wodą, a ona posłusznie przetykała, powoli odzyskując ostrość widzenia.

– Już dobrze. – Dotknęła dłonią torsu trenera.

– Ale go załatwiłaś! *Wielikija moja!* – Grisza miał ochotę pocałować ją w spocone czoło, ale wiedział, że Lara nie lubi czułości, zwinął więc jej dłoń w pięść i podniósł ją do góry na znak zwycięstwa.

– Aj! – jęknęła, próbując wstać.

– Siedź. Pokaż. – Dotknął jej żeber. – Nie połamane?

Wzruszyła ramionami.

– Okaze się.

Szatyn wszedł do szatni i usiadł na ławce obok, sapiąc i trzymając się za ucho.

– Skąd wiedziałaś? – zapytał tylko.

– Miałeś odruch rozmasowywania nadgarstka. Potrząsałeś dłońmi w taki charakterystyczny sposób, robiłeś to na rozgrzewce, a później w trakcie walki. Kiepsko ci to szło w rękawicach, ale zauważyłam anomalie.

– Cieśń nadgarstka. Za dużo siedzenia przed komputerem i efekt

złamanej kiedyś ręki.

– Wiedziałam, że jesteś jakimś urzędasem.

Grisza spojrział na szatyna, ale tamten położył palec na ustach, dając trenerowi znak, by się nie odzywał. Właściciel klubu uniósł dłonie do góry, jakby chciał powiedzieć: „nie mieszam się”, i wyszedł z szatni.

– Na razie, *dziwczyno* – rzucił na odchodne.

Szatyn wstał, otworzył szafkę i wyjął z niej kluczyki.

– Masz. – Położył je obok niej na ławce. – Tylko nie spal mi sprzęgła.

Larysa z uśmiechem, który wiele ją kosztował, podniosła kluczyki. On udawał, że go to nie obchodzi. Wyjął z szafki żel pod prysznic i ręcznik, a potem skręcił w stronę łazienki. Zanim odkręcił wodę, krzyknął jeszcze:

– A ty w ogóle umiesz jeździć motocyklem?

– Spokojna twoja rozczochna.

– Boże, skąd wzięłaś ten tekst?

– Z tego samego miejsca, z którego pochodzi Bóg. Z Podlasia.

Zaśmiał się, a dźwięk jego głosu stopił się z szumem płynącej wody.

– Musisz mi podać adres – krzyknął, namydlając ciało. – Przyjadę po motocykl.

– Sprytne – powiedziała na tyle cicho, że jej nie usłyszał. – A czym przyjedziesz? – zawołała głośnie.

Gdy nasłuchiwała odpowiedzi, szum wody umilkł, a do szatni wrócił półnagi szatyn owinięty tylko ręcznikiem.

– Autobusem – odpowiedział, wycierając mokre włosy.

Mimowolnie jej wzrok zatrzymał się na jego klatce piersiowej, a to był znak, że sama powinna jak najszybciej udać się pod zimny prysznic.

Kiedy wyszła z budynku, stał przy swoim czarnym ducati.

– To gdzie mam się zgłosić po mój sprzęt?

– Nigdzie. Odstawię ci go wieczorem.

– To jest jakiś absurd – zaśmiał się w bezradności i rozejrzał na boki, jakby szukał ewentualnych świadków swojej porażki. – Najpierw dajesz mi w pysk, a teraz zabierasz motocykl?

– Sam zaproponowałaś.

– Nie spodziewałem się takiego obrotu spraw.

Gdy mówił, Larysa włożyła kask i usiadła na motocyklu.

– Daj mi swój numer, wyślę ci adres. – Sięgnął po telefon do kieszeni, ale w tej samej chwili ona odpaliła silnik.

– Znajdę cię! – krzyknęła, opuściła wizjer w kasku i ruszyła z piskiem opon.

Szatyn stał zdezorientowany na chodniku pod klubem bokserskim. Na początku myślał, że to żart. Był przekonany, że za chwilę wróci, zaśmiewając się z jego strachu, ale nic takiego się nie wydarzyło. Nieporadnie rozglądał się wokół i z każdą chwilą coraz bardziej żałował swojego idiotycznego posunięcia.

Program do śledzenia – przypomniał sobie po chwili. Zainstalował go jakiś czas temu na wypadek kradzieży. Facet z salonu przekonywał, że dzisiaj to już konieczność. Motocykl miał zamontowany czip ułatwiający lokalizację. Szatyn musiał się tylko załogować do systemu, by na bieżąco śledzić położenie swojego cuda. Gdy stał na szarym chodniku w środku Mokotowa, dotarło do niego, jak idiotycznie dał się nabrać. Co go podkusiło, żeby zaproponować swój motocykl obcej dziewczynie? Ganił się w myślach.

Wściekły ruszył z powrotem do klubu, by wydusić z Griszy wszystko, co tamten wiedział o dziewczynie, ale pół godziny później wyszedł stamtąd jeszcze bardziej niezadowolony niż wcześniej. W głowie kołatały mu się słowa trenera, który – jak się okazało – wiedział bardzo niewiele. Znał tylko jej imię i przysięgał, że jest w porządku.

– To solidna kompania. Wróci – zapewniał Grisza.

Szatyn nie był tego taki pewien.



– Co tam, Gruby? – Bruno odebrał telefon, stojąc pod klubem bokserskim.

Patolog Stefan Kość o rachitycznej budowie i cienkich długich włosach sięgających ramion zaśmiał się po drugiej stronie suchym rechotem nałogowego palacza. Od niepamiętnych czasów komisarz Wilczyński zwracał się do niego w ten pieszczotliwy sposób, dodatkowo podkreślając jego wychudzoną sylwetkę, a on z lubością odpłacał mu równie złośliwymi przytykami, które mieściły się w przyjętej przez nich konwencji.

– Poprawiasz mi poczucie własnej wartości tymi komplementami. Jeszcze trochę pogadamy, a zrezygnuję z dietyka.

- A ja zacznę wystawiać rachunki. Dowiedziałeś się czegoś?
- Miała rację z tymi orzechami. Przejrzałem jej historię choroby. Podzwoniłem tam i siam. Okazuje się, że miała porządną alergię. - Zamilkł, a policjant usłyszał, jak patolog odpala zapalniczkę, a chwilę później wydycha papierosowy dym. - Była już kiedyś hospitalizowana po tym, jak zjadła jakiś badziew z orzechami.
- Nie zabawiaj się w Hitchcocka i nie buduj napięcia. Chcesz powiedzieć, że to orzechy ją zabiły?
- Arachidowe. - Znów zaciągnął się dymem - Miała ich w żołądku trochę. Do tego leki i alkohol. Ale to orzechy wywołały wstrząs anafilaktyczny. Spadło tętno, serce zaczęło wolniej pracować, na skórze pojawiła się pokrzywka i od razu zaczęła puchnąć. Wyobraź sobie, że masz mroczki przed oczami, dudni ci w uszach i czujesz, jak twoje gardło się zwęża...
- Kiepska opcja, choć w sumie na kacu miewałem podobne doświadczenia.
- Stary... jak z horroru! Nie mogła sobie po prostu podciąć żył jak normalni samobójcy?
- Nie bardzo. Takich często odratowują, a efekt miał być śmiertelny. Stefan Kość westchnął po drugiej stronie, Bruno zaś patrzył przed siebie, choć tak naprawdę myślami błędził daleko. Przypominał sobie pudełko z tortem, które znaleźli w mieszkaniu Niny, i nazwę cukierni napisaną na opakowaniu ozdobnymi literami.
- Miała szanse się z tego wywinąć? - zapytał, przeglądając rozkład jazdy naklejony na słupie przy przystanku autobusowym.
- Teoretycznie tak. Gdyby podali jej domięśniowo adrenalinę, może byśmy jeszcze pogadali. A nie znaleźliście u niej w lodówce ampułki?
- Sprawdzę.
- O... coś, widzę, Wilczek nie w formie. Przecież ty zawsze wiesz wszystko.
- Mam amnezję. Jestem jak agent Jason Bourne: straciłem pamięć w wyniku wypadku.
- Serio? Potknąłeś się na ulicy o własne ego? - zapytał patolog z nutą kpiny w głosie. - Poza tym przerzuc się na Jamesa Bonda, lepiej na tym wyjdiesz. Miał ładniejsze dziewczyny.
- Spadaj. Do następnego! - Wilczyński odsunął słuchawkę od ucha, ale usłyszał, że Kość coś jeszcze mówi. - Powtórzysz?

– Nigdy jeszcze nie miałem takiego samobójstwa. A wiesz, ile lat pracuję?

– Jeśli chcesz, żebym zmienił ci ksywę na Dinozaur, po prostu powiedz. Po co te zagadki?

– Mówię tylko tyle, że to popieprzone. Gdybym był tobą, nie kupiłbym tego.

Bruno milczał. Słyszał niedawno o pewnym przypadku w Wielkiej Brytanii. Facet zamówił jedzenie na wynos, wyraźnie zaznaczając, że ma być bez orzechów. Tyle że właściciel restauracji oszczędzał i zamiast sproszkowanych migdałów dodawał do potraw mielone orzechy. W efekcie facet zmarł, a restaurator został skazany za zabójstwo. Może ona też coś zamawiała?

Cholera, co się z nim działo? Był zły na luki, których sam nie uzupełnił. Kość miał rację, spieprzył ten temat koncertowo.

– Gdybyś był mną, miałbyś przerąbane – odparł, goniąc uciekający autobus, którego w zamyśleniu nie dostrzegł. – Na razie, Grubciu.



Minęło już kilka dni od jej żalosnego upokorzenia. Dni, które były przepełnione rutyną, spokojem i zwyczajną codziennością. Na zewnątrz, bo w środku nadal drżała na każdy niespodziewany dźwięk dzwonka do drzwi czy sygnał telefonu. Obawiała się, że mężczyzna z przeszłości oddzwoni i zacznie jej zadawać pytania, na które ona nie zna odpowiedzi.

Samo wyobrażenie rozmowy z nim wywoływało suchość w ustach i szybsze tętno. Jej tajemnica wydawała się teraz czymś w rodzaju pleśni wykwitającej na ścianie. Można było ją usunąć i przez długi czas cieszyć się iluzją perfekcji, ale pleśń cały czas czaiła się pod spodem i pewnego dnia, gdy już niemal uwierzyliśmy, że ją pokonaliśmy, wracała.

Emilia rozmasowała kark, zmęczona długim siedzeniem przed komputerem. Od rana upiekła już szarlotkę, przygotowała chłopcom naleśniki i nadgoniła zaległości na blogu. Zdążyła też rozwiesić pranie i poprzycinać róże w ogrodzie, a teraz miała ochotę na chwilę relaksu, zanim Jacek wróci z dziećmi.

Usiadła na leżaku za domem i zdjęła bluzkę, by złapać trochę słońca. Gdy czytała o losach doświadczonego małżeństwa u MacLaverly'ego, mimowolnie szukała analogii do swojego życia. Wmawiała sobie, że jej i Jackowi obce są poczucie braku sensu i fasadowość wynikająca z przyzwyczajenia. Kurczowo trzymała się wizji, w której żadne z nich nie miało prawa być przeżarte prozą życia, bo to jej przecież tak bardzo pragnęli.

Rozmyślała o tym, czując się coraz bardziej senna. Napięcie, które trzymało ją w ryzach przez ostatnie dni, odpuściło, ustępując miejsca zmęczeniu. Wyczerpanie sprawiło, że oparła głowę na poduszce, zamknęła oczy i zasnęła. Śniła o tym, że są z Jackiem i dziećmi na plaży. Biegną uśmiechnięci, trzymając się za ręce, i wtedy ona zauważa, że chmury stają się coraz ciemniejsze, słychać pierwszy grzmot, a niebo przeszywa błyskawica. Morze, które jeszcze przed chwilą było spokojne, teraz mruczy złowieszczo i stroszy olbrzymie fale.

I wtedy nagle Emilia zdaje sobie sprawę, że stoi za blisko brzegu. Pierwsza fala uderza ją w plecy i przewraca. Ciągnie za nogi i zachłannie zasysa. Gdy wreszcie udaje jej się podnieść, czuje już, że nadciąga druga, wyciąga więc desperacko rękę w stronę Jacka, ale on jej nie chwytą. Stoi tam i patrzy na nią z beznamiętnym wyrazem twarzy. A wtedy zalewa ją druga fala, porywa, obraca nią i szarpie – niczym szmacianą lalkę w bębnie pralki. Emilia otwiera usta, chce krzyknąć, ale zamiast tego zimna morska woda zaczyna wlewać się jej do gardła.

– Nie!

Obudziła się z krzykiem i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to był tylko sen.

Uspokoila oddech, powtarzając sobie w myślach, że wszystko jest dobrze. Ale gdy sięgnęła po bluzkę, którą zawiesiła na oparciu leżaka, uderzyło ją znane uczucie niepokoju. Ubrania nie było w miejscu, w którym je zostawiła. Wstała, by sprawdzić, czy bluzka nie spadła na ziemię, i wtedy ją dostrzegła. Leżała złożona w równą kostkę na sąsiednim leżaku. Włożyła ją pospiesznie, zapinając krzywo guziki, a później pobiegła do domu w nadziei, że Jacek tam jest i okaże się, że to on, nie mogąc pohamować wrodzonego pedantyzmu, podniósł ubranie.

Weszła do salonu w tej samej chwili, w której samochód jej męża

wjechał w bramę i wesoło zatrąbił. Zamarła i z lękiem rozejrzała się po pokoju. Ktoś tu był, pomyślała, a świadomość tego faktu owinęła się wokół niej niczym wąż i sprawiała, że trudno było jej wyrównać oddech. Usiłowała przekonać samą siebie, że po prostu spanikowała. Wmawiała sobie, że musiała działać mechanicznie i najpewniej jednak sama złożyła bluzkę. Ale coś w niej nie chciało temu wierzyć.

– Muminek!

Usłyszała radosne wołanie w korytarzu, a po chwili do pokoju wbiegło dwóch piegowatych chłopców, którzy opletli ją szczupłymi ramionami.

– Hej, jak było w szkole? – Przywołała na twarz sztuczny uśmiech i mówiła nienaturalnie miękkim głosem, by ukryć swoje roztrzęsienie.

Dzieci przekrzykiwały się w opowieściach. Franio gestykulował przy tym przejęty, a Jaś skakał po kanapie. Emilia każdy dźwięk odbierała, jakby dochodził ze studni i był zwielokrotniony echem. Słyszała, że synowie do niej mówią, potrafiła wyłowić poszczególne słowa, ale sens całości jej umykał. Wydawało jej się, że świat wokół zaczyna wirować. Rozmywały się kontury i kształty, a kolory się zlewały.

– Kochanie, dobrze się czujesz? Jesteś bardzo blada.

Słowa Jacka docierały do niej w zwolnionym tempie. Usiłowała złapać go za rękę, ale jak w potwornym śnie o pochłaniającym ją morzu, nie mogła. Zrobiła krok w jego stronę; nogi uginały się pod nią, jakby były z plasteliny, a obraz coraz bardziej się rozjeżdżał.

Widziała męża tuż przed sobą i wtedy nagle świat zaczął gasnąć, a ona zemdląca.



Kiedy zaparkowała pod budynkiem redakcji, rozdzwonił się jej telefon.

– Co tam, trenerze?

– Coś ty zrobiła!? Ty wiesz, kto on jest? – grzmiał do słuchawki roztrzęsiony Grisza.

– Skończony dureń. Ja nigdy nie oddałabym nikomu swojego motocykla.

– To glina! – wrzeszczał trener, prawie tak głośno jak podczas ich bójki.

Larysa zamilkła. W jej głowie rysował się właśnie film z sekwencją wydarzeń, które zapewne lada moment nastąpią. Glina zgłosi kradzież, a jego kołesie przyszpila ją przy pierwszej nadarżającej się okazji.

Zamierzała zrobić mały research na temat szatyna i odwieźć mu motocykl po tym, jak porozmawia z Wiśniewskim, ale teraz wszystko nabrało innej perspektywy.

– Pieprzyć to – rzuciła ni to do siebie, ni to do Griszy i skierowała się do przeszklonego gmaszyska na Mokotowie.

– No jak? – gorączkował się Ukrainiec.

– Dam radę, trenerze. Odwiozę mu go wieczorem do domu. Nie bój się, czy jak tam mówicie.

– Mój Boże... – zacmokał. – Wilk na niego wołają, nie wiem, czy to ksywa, czy nazwisko, ale wiesz, że ja nie pytam.

– Tym razem to akurat niedobrze.

Rozłączyła się i schowała telefon do kieszeni.

Wewnątrz, korzystając z nieuwagi strażnika, przeskoczyła przez bramki i natychmiast udała się do klatki schodowej. Nienawidziła wymuszonej bliskości w windzie, konieczności wdychania zapachu obcego potu, small talków o niczym i widoku wzroku błędzącego po suficie tylko po to, by nie spotkać się nim ze współpasażerem. To zadziwiające, jak ciekawa nagle stawała się instrukcja obsługi windy czy drobne ogłoszenia na ścianach i jak zapamiętali ludzie potrafili je studiować.

Po pokonaniu dwóch pięter uznała, że popełniła błąd. Trzeba było zacisnąć zęby i przemknąć te osiem kondygnacji windą. Jej ciało było obolałe po treningu i musiała się zatrzymać na półpiętrze, by złapać oddech.

– Kiepska kondycja? Mam wzywać pogotowie? – usłyszała głos schodzącego z góry mężczyzny.

Gdy uniosła wzrok, zobaczyła nad sobą prezesa Łukasza Welcera. Patrzyli na siebie o chwilę za długo, tyle, ile było trzeba, by zauważył, że Larysa nie wygląda najlepiej, i dorobił sobie do tego ideologię.

– Słyszałem, że polujesz na jakiegoś sadystę?

Wzdrygnęła się. Myśl o minionej nocy przeszła ją, wywołując uczucie trudnej do opanowania złości.

– Sprawa jest w toku. – Starła się uniknąć odpowiedzi, jednocześnie rozważając, ile pary puścił Paweł.

– Jestem twoim szefem i chcę, żebyś informowała mnie o wszystkim, co robisz. – Welcer stanął tak blisko, że czuła zapach jego perfum.

– Moim szefem jest Paweł. Ty jesteś prezesem zarządu spółki nadzorującej „Magazyn”.

– Bawi cię to?

– Wcale.

– To dobrze, bo mnie też nie. – Miał ją wyminąć, lecz się zatrzymał. – Od dzisiaj raz w tygodniu będziesz wysyłała mi raport dotyczący postępów pracy. Ty i Wiśnia. Chcę wiedzieć, co ten stary drań wyprawia.

– Chyba sobie jaja robisz.

– To nie będzie konieczne, jeśli zaczniesz używać służbowego maila i pracować w redakcji.

– Nigdy w życiu. – Zaciskała szczęki, czując, że jeszcze chwila i da mu w zęby.

– Zastanów się. Henryka już nie ma. Wiśniewski zaraz odejdzie. Nie masz zbyt wielu możliwości.

– Nie muszę pracować dla was.

– A ja myślę, że musisz. – Nachylił się nad jej uchem. – Nie masz nawet matury i piszesz pod pseudonimem; kto cię zatrudni?

Jej dłonie mimowolnie zacisnęły się w pięści, a ciało napięło.

– Spokojnie, nikomu nie powiem. O tym, co się stało w liceum, też nie.

Zadrżała. Skąd, do licha, mógł wiedzieć?

– ...chyba że będąc musiał – rzucił, schodząc na parter.



W autobusie do Wilanowa było potwornie ciasno. Mimo otwartych okien Bruno miał wrażenie, jakby podróżował w puszcze przesiąkniętej zapachem potu i tanich perfum. Asekuracyjnie zajął miejsce przy drzwiach, a gdy autobus ruszył, balansował ciałem, by utrzymać równowagę podczas ostrych zakrętów. Ludzie patrzyli w okna albo ekrany telefonów komórkowych – okienka na zniekształcony świat, mający dużo bardziej niż ten prawdziwy na wyciągnięcie ręki, tuż za szybą. Ciekawe – zastanawiał się – czy wiedzą, że nieustannie

wgapianie się w smartfony obniża iloraz inteligencji nawet o dziesięć punktów.

Gdy dotarł do cukierni, gwizdnał pod nosem. Lokal przypominał bardziej galerię sztuki niż miejsce, gdzie sprzedaje się wypieki. Za szkłem na kryształowych paterach prezentowały się zjawiskowe desery, torty i ciasta. Całość nasuwała myśl o muzealnej ekspozycji. Tyle że zamiast klejnotów czy drogocennych obrazów w gablotach mieniły się słodkie dzieła sztuki. Babeczki z jagodami, polane czekoladą eklery i ciasteczka z nadzieniem migdałowo-brzoskwiniowym. Tarta cytrynowa i ciasto z musem z zielonej herbaty.

Cukiernia tonęła w chłodnej bieli i szarości granitowych blatów. Ten wystrój natychmiast wywoływał dreszcz i potrzebę otulenia się ciepłym kocem. Ludzie siedzący na białych krzesłach rozmawiali ściszymi głosami. Nie stukali łyżeczkami, nie siorbali herbaty, ale majestatycznie unosili do ust filiżanki z kawą, jakby odprawiali jakąś ceremonię. Wilczyński obserwował to zjawisko i już miał ochotę ostentacyjnie przekląć i zrzucić to na zespół Tourette'a, gdy usłyszał kobiecy głos.

– Dzień dobry – zaskoczyła go ekspedientka.

Uśmiechała się wyuczonym, profesjonalnym grymasem, podczas gdy jej oczy pozostawały zimne jak cały ten przybytek.

– Na co ma pan ochotę? – Jej głos był łagodny i miękki.

– Nie miałbym nic przeciwko niezobowiązującej znajomości.

Dziewczyna rozejrzała się w panice, a jej policzki powoli nabrały ciemnoczerwonej barwy. Wiedział, że przesadza, ale nie mógł się powstrzymać.

– Mamy tylko ciastka – wydukała, nie patrząc mu w oczy.

– Fatalnie. – Cmoknął z niezadowoleniem. – To może chociaż porozmawiamy o ładnych dziewczynach?

Zauważył, jak speszona sprzedawczyni wyciera spocone dłonie o biały fartuszek, a jej wzrok ucieka w stronę zaplecza w poszukiwaniu ratunku.

– Kilka dni temu odwiedziła was dwudziestoparolatka, długie, ciemne włosy, grzywka. Wysoka, szczupła, pełne usta z kolczykiem w kształcie półksiężyca w nosie – starał się opisać jak najwięcej szczegółów. – Kojarzy ją pani?

Ekspedientka wypuściła powietrze, które w napięciu przetrzymywała

w płucach, i uniosła wzrok.

– Przychodzi tu dużo osób, ale pamiętam dziewczynę, która chyba pasuje do opisu. Zwróciłam na nią uwagę, bo upierała się, żebym dwukrotnie sprawdziła recepturę ciasta. – Przewróciła oczami. – Gdyby nie to, pewnie bym o niej zapomniała. Chciała wiedzieć, czy w składzie nie ma orzechów. Wspomniała, że jest na nie uczulona.

Bruno ściągnął brwi i poczuł, jak jego ciało zalewa fala chłodu.

– Na co się zdecydowała? – zapytał.

– Tort z musem z zielonej herbaty. – Wskazała jedno z ciast wyeksponowanych za szybą. – Zero prawdopodobieństwa natrafienia na orzechy.

– Czy mógłbym zweryfikować składniki?

– Jasne. – Otworzyła szufladę i wyjęła katalog w grubej oprawie.

– Nie to miałem na myśli – zatrzymał ją, gdy przerzucała kartki. – Chciałbym je zabrać do laboratorium.

Ekspedientka zastygła i otworzyła usta, ale najwyraźniej nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, bo po chwili ponownie je zamknęła.

– Muszę zapytać szefową – wydukała w końcu, sięgając po telefon.

– Nie musisz. – Pokazał jej odznakę – Wystarczy, że zapakujesz ciasto do pudełka. To dowód w sprawie.

– Ale... – Rozglądała się panicznie na wszystkie strony. – Będę miała kłopoty, jeśli tego nie skonsultuję. – Przytknęła telefon do ucha. – Zajęte – zakomunikowała.

Bruno przewrócił oczami.

– Posłuchaj, ta dziewczyna nie żyje. Zmarła w wyniku reakcji alergicznej na orzechy niedługo po zjedzeniu tortu od was. Więc jeśli nie chcesz, by jacyś debile obrzucali was jajkami i wyzywali od morderców, lepiej zapakuj ciasto.

Sprzedawczyni pokiwała głową. Jej nieporadne ręce składały z namaszczeniem kartonowe pudło, a później sięgnęły po tort. Ruszała się wolno, a jej wzrok z niepokojem śledził wypiek posypany zielonym pudrem.

– Litości, zachowujesz się, jakbyś niosła śpiące niemowlę.

Bruno był przekonany, że jedynie to pomyślał, ale jej wybałuszone oczy i obrażona mina uświadomiły mu, że chyba jednak niezupełnie. Wzruszył ramionami i przejął od niej pudło.

– Może się to panu nie podobać, ale nie jesteśmy jakąś zwyczajną

cukiernią – zaperzyła się.

– To akurat zauważyłem od razu. – Puścił do niej oko i skierował się w stronę wyjścia.



Siedziała w archiwum i przeglądała stare numery „Magazynu”. Schowana pod kapturem co najmniej o numer za dużej szarej bluzy kangurki, naciskała palcem przycisk myszy. Wiśniewski nie zamierzał tam wchodzić, ale gdy zauważył jej lekko przygarbione plecy, zapukał w szybę.

– Czemu nie odbierasz telefonu? Dzwoniłem do ciebie milion razy – rzucił zamiast powitania.

Larysa nawet na niego nie spojrzała. Wpatrzona w jakiś archiwalny artykuł poruszała bezgłośnie ustami.

– Mam cię, skurczybyku! – Wklepała tekst do okienka wiadomości i odwróciła się na krześle obrotowym. – Byłam zajęta. – Uśmiechnęła się do niego, widząc, że lada moment Paweł wyjdzie z siebie.

– Miałaś dać znać, jak poszło ze sponsorem.

– Spoko. – Wzruszyła ramionami. – Strasznie jesteś dziś spięty.

– Tak? A widziałaś się w lustrze? Podkrążone oczy, siniak na policzku. O czym jeszcze powinienem wiedzieć? Znikasz z obcym facetem, a później nie dajesz nawet znaku życia. – Walnął zaciśniętą pięścią w ścianę. – To, że ty masz wszystko w dupie, nie znaczy, że inni się o ciebie nie martwią.

Larysa zmrużyła oczy. Poczula się, jakby dostała od niego w twarz, a wybuchy złości i agresja nie były domeną Wiśniewskiego, chyba że miał naprawdę duże kłopoty. Postanowiła nie obciążać go bardziej informacją, że jej mizerny wygląd wynikał z obecności we krwi leków służących do usypiania zwierząt, które zaaplikował jej sponsor.

– Nadal nie wiem, kto to jest – przeszła do konkretów.

– Jak to? Odwołał spotkanie?

Pokręciła głową.

– To co? Miał worek na głowie?

Mimowolnie się zaśmiała.

– To mógłby być ciekawy widok, ale nie. Ściągnął mnie do

Intercontinentalu, siedział w sypialni po ciemku i świecił mi w oczy reflektorem przemysłowym. Ogarnęłabym to, ale przy nogach miał wściekłego rottweilera, a to trochę utrudniało zadanie.

– Co!? Gnojek się zabezpieczył.

– Jest bardziej popieprzony, niż nam się wydawało. Prowadzi jakąś chorą grę i nie jestem pewna, do czego zmierza. Obiecał, że jeśli coś dla niego zrobię, wyjaw mi, kim jest. I w pewnym sensie dotrzymał słowa.

Paweł wyglądał na skonsternowanego.

– Jak to? Przecież mówiłaś, że cię oszukał i że nie masz pojęcia, jak się nazywa.

Larysa sięgnęła do plecaka po kremową kopertę, wyjęła z niej pogniecioną kartkę i mu ją podała.

– Spójrz.

Wiśniewski rozłożył kartkę i przeczytał słowa, które Larysa znała już na pamięć.

– Jakub Andrzejewski? Kto to jest?

– Jeszcze nie wiem. Szukam.

Nie chciało jej się tłumaczyć, że znalazła mnóstwo Jakubów Andrzejewskich, ale żaden nie pasował jej profilem do osoby, której szukała. Natrafiła na jakiegoś architekta, inżyniera, muzykującego ucznia technikum i zawodnika koszykówki. Żaden z nich nie przypominał mężczyzny z hotelu.

– I co, mamy się teraz bawić z nim w podchody? – Paweł zmiął w rękach papier.

– A masz inny pomysł?

Wiśniewski westchnął i potarł lekko wilgotne czoło.

– Nie bardzo.

– Tak też myślałam. – Wstała i sięgnęła po kurtkę. – Dam ci znać, jak się czegoś dowiem.

– Może po prostu go sobie odpuścić? – Zdawał sobie sprawę, jak idiotycznie to zabrzmiało w uszach dziewczyny, która nie odpuszcza nikomu.

– Coś ci się dziś stało? Mówisz jak nie ty. – Popatrzyła na niego z wyrzutem. – Gdzie się podział Wiśnia, który ciśnie każdy temat do końca i wykręca jaja wszystkim zwyrodnialcom?

Zrobiło mu się głupio. Jakby został przyłapany na czymś, czym zawsze się brzydził. Zerknął na swoje dłonie i zauważył, że prawa drży.

Wcisnął je mocno w kieszenie dżinsów.

– Tamten Wiśnia nie miał umierającej żony i kryzysu wieku średniego. Wierzył w coś więcej, a teraz to tylko biznes. – Unikał jej wzroku. – Wiesz, co sądzi o tym Welcer.

– Przestań pieprzyć! – Podeszła do niego tak blisko, że czuł jej oddech na twarzy. – Nie złamały cię komuna ani żadne kryzysy. I przestań zrzucać wszystko na stan Marii. Weź się w garść i rób to, co do ciebie należy.

– Martwię się o ciebie.

– To przestań! – Trzasnęła pięścią w biurko tak mocno, że stojący tam kubek po kawie aż podskoczył.

Zamilkła i spuściła wzrok, zaskoczona swoją napastliwością. Nigdy wcześniej tak go nie traktowała. Wprawdzie kłócili się wielokrotnie, ale zwykle były to raczej niewinne przekomarzanki wynikające z troski. Tym razem czuła, jak pulsuje jej tętnica szyjna, i niewiele brakowało, by ręka, która uderzyła w mebel, sięgnęła wyżej.

Cisza wypełniająca archiwum pęczniała, przerywana raz na jakiś czas dźwiękiem włączającego się wentylatora w komputerze. Zastanawiała się, o czym Paweł teraz myśli. Wiedziała, że nie czeka na przeprosiny, choć wydawały się adekwatne. Larysa nie przeproszała. Rzadko też dziękowała. Nie bawiły jej grzecznościowe rozmowy o niczym, prowadzone tylko dla zapchania czasu. Wiśniewski znał ją od tej strony. Może nawet cenił w niej ten konkretny i awersję do czczej gadaniny, a jednak czuła, że przekroczyła jakąś niewidzialną granicę i że z drogi, na którą weszła, nie ma już powrotu.

Zaczęła pakować plecak, a gdy chowała swojego laptopa, usłyszała, jak jej szef odchrząknął.

– Welcer mi groził. Mam być twoim kretem – powiedział na jednym oddechu, jakby zrzucał z siebie ogromny ciężar.

Zatrzymała się w bezruchu.

– Nie żebym się tłumaczył. Po prostu chciałem... Sam nie wiem. – Potarł zmęczone oczy.

Larysa przygryzła wewnętrzną część wargi. A więc nie tylko ją straszył ten palant, pomyślała.

– Zajmę się nim. Zapomnij o tym. – Narzuciła na bluzę skórzaną kurtkę.

– Niby jak zamierzasz to zrobić?

– Mam swoje sposoby.

Wiśnia tylko pokiwał głową. Wiedział, że to nie wróży nic dobrego i że prędzej czy później oboje wylecą stąd z hukiem. Do tego niepokoiło go coś, co powiedziała wcześniej. Nie wiedział, jak o to zapytać, ale ostatecznie uznał, że najlepiej będzie zrobić to wprost.

– Czego zażądał od ciebie sponsor za ujawnienie tego, kim jest?

Larysa uśmiechnęła się blado na wspomnienie minionej nocy, a później kazania, które usłyszała od Suchara, gdy przyszła do jego gabinetu weterynaryjnego nad ranem i opowiedziała mu o tym, co się stało. Nie miała ochoty wysłuchiwać kolejnych moralizatorów.

– Niczego ważnego – odparła. – Poza tym zignorowałam jego prośbę, więc możesz być spokojny.

Paweł mruknął pod nosem i założył ręce za siebie. Przypatrywał się jej zmęczonej twarzy, bladej skórze i fioletowym cieniom pod oczami i czuł, że czegoś mu nie mówi. Przez ułamek sekundy przemknęło mu przez myśl, że mógłby wyjawić jej, że wie, co się wydarzyło, gdy była w liceum, i rozumie, dlaczego uciekła z Podlasia, ale szybko zganił się za ten irracjonalny pomysł.

– Powiesz mi chociaż, kim jest skurczybyk?

Wpatrywała się w niego pytającym wzrokiem.

– Gdy tu wszedłem, przeglądałaś archiwum. Powiedziałaś wtedy: „Mam cię, skurczybyku”.

– A! Znalazłam kogoś, kto potwierdza romans profesor Mielcarz.

– Tej od skoku z balkonu? Kobiety, która nago wtargnęła na ulicę i zginęła potrącona przez samochód?

Skinęła głową.

– Za mało masz roboty?

– To moja rozrywka w przerwach od ugania się za sponsorem.

– Większość ludzi dla rozrywki chodzi do kina albo do baru.

– Nudziarze. – Uśmiechnęła się. – Szukałam Jakuba Andrzejewskiego, więc przy okazji sprawdziłam i to. Pod artykułem o śmierci Anny Mielcarz pojawiły się komentarze, kilka niewybrednych, w tym jeden o rzekomym romansie.

– Poważnie? – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – A więc jednak miała kogoś? Myślałem, że to plotki.

– Nawet jeśli tak, to w każdej jest ziarno prawdy. Zamierzam się do niego dobrać.



Tego wieczoru już po raz setny zajrzała do pokoju synów. Spali w swoich łóżkach przykryci pościelą z rakieta, astronautą i samochodami wyścigowymi. Po suficie przesuwały się świetliste kształty gwiazd i komet pochodzące z lampy, którą kupili w obserwatorium. Na podłodze leżały porozrzucane zabawki. Klocki lego, kosmiczne roboty i maszyny budowlane. A wysoko tuż pod sufitem na cienkich żyłkach poprzyczepiane były składane modele samolotów.

Emilia zamrugła powiekami, by przegnać napływające łzy.

Odkąd zemdłała, starała się wszystko weryfikować przez filtr racjonalności i szukać logicznych wyjaśnień. Wmawiała sobie, że sama musiała złożyć bluzkę i odłożyć ją na sąsiedni leżak. Tyle że samooszukiwanie działało jedynie w momentach, gdy była spokojna i zajęta. W długie, puste wieczory, gdy dzieci już spały, a Jacka nie było, niepokój wracał. Rysował wyciągnięte, podejrzanе cienie na ścianie, szarpał drzewa, uderzając ich gałęziami w okna, i był niczym zranione zwierzę. Lecz gdy tylko wschodziło słońce, strachy natychmiast znikwały. Zostawiały po sobie jedynie zmęczenie i wspomnienie ciężkich snów.

W pokoju chłopców wszystko wyglądało normalnie, zostawiła więc uchylone drzwi i usiadła na schodach. Oparła skroń o ścianę z tapetą w pasy i nasłuchiwała. W ciszy każdy, nawet najdelikatniejszy odgłos domu wydawał się złowrogim hałasem – bulgot w rurach, skrzypienie belek na strychu czy kabel, który targany wiatrem uderzał o parapet.

Objęła swoje ciało rękami i pomyślała o spokoju, jaki zapewniały jej ramiona Jacka.

Wyjęła komórkę, by powiedzieć mu, jak bardzo tęskni, ale zamiast numeru do męża wybrała zupełnie inny.

– Słucham? – odezwał się męski głos.

Poznała go od razu; otworzyła usta, ale nie wiedziała, od czego zacząć. Minęło tyle lat.

– Co to za głupie żarty? Halo? – Mężczyzna podniósł głos, a gdy Emilia milczała, poirytowany zerwał połączenie.

Natychmiast wybrała numer ponownie, obiecując sobie, że tym razem się odezwie.

– Posłuchaj, dowcipnisiu, jak cię dorwę, to pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś. Spieprzaj, dopóki masz taką możliwość! – zaczął mężczyzna.

– Zaczekaj! – krzyknęła. – Nie rozłączaj się. To ja, Emilia.

W słuchawce zapadła cisza. Dotarły do niej westchnienie i odgłos przetykania śliny.

– Emilia? – Mężczyzna zdawał się nie wierzyć. – Dawno nie rozmawialiśmy. Minęło wiele lat.

Ścisnęła mocniej telefon i poczuła, jak w gardle rośnie jej wielka, wilgotna gula. Wróciła wspomnieniem do tamtej zimy. Do niekończących się rozmów nad kubkiem aromatycznego grzanego wina i spacerów nad Wisłą. Do uczucia całkowitego oddania, gdy jej drobna dłoń zdawała się niknąć, ukryta w jego, dużej i silnej.

– Coś się stało? – Mężczyzna wydawał się zaniepokojony; w tle słyhać było inny głos, najpewniej kobiecy.

– Ty wiesz, prawda? – Czują wzbierające pod powiekami łzy.

– O czym? Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Nie udawaj! – Drobne krople śliny wylatywały z jej ust, a tama powiek puściła, wylewając na policzki strumienie łez. – Dowiedziałeś się, tak? Po prostu powiedz, czego chcesz, i przestań nas nachodzić. Rozumiesz? Niczego od ciebie nie chciałam przez te wszystkie lata. Nie psuj nam tego. Daj nam święty spokój! – wrzasnęła, obserwując swoje drżące ręce.

– Czego niby miałem się dowiedzieć? Że jesteś kłamliwą suką? Wiem to już od dawna. – wysyczał przez zęby. – Jeśli jeszcze raz zadzwonisz do mnie z jakimiś idiotycznymi oskarżeniami, naślę na ciebie prawnika.

– Mamusiu, ty płaczesz?

Franio stał w piżamie za jej plecami.

Poczuła się zawstydzona, jakby przyłapał ją nagą. Wystraszyła się, że mógł być świadkiem rozmowy, i natychmiast schowała telefon do kieszeni bluzy.

Wytarła szybko oczy i objęła synka, by nie widział jej napuchniętej twarzy.

– Nie, kochanie, po prostu coś wpadło mi do oka – skłamała. – A ty dlaczego nie śpisz? Miałeś zły sen?

Franek kiwnął głową.

– Śniło mi się, że zniknęliście. Ty i tata. Biegaliśmy z Jankiem po domu, wołaliśmy was, ale nigdzie was nie było. – Maluch wygiął usta w podkówkę.

– Kochanie, nic takiego się nie stanie. – Ujęła w dłonie piegowatą buzię. – Nigdy was nie zostawimy.

– Obiecujesz, mamó? Nawet jak ten zły pan przyjdzie?

Na ułamek sekundy zastygła, a po chwili zmusiła się do neutralnego wyrazu twarzy.

– Jaki zły pan, synku?

– No ten ze zdjęcia. Słyszałem, jak mówiłaś tacie, że był u nas w domu. Czy on chce nas zabrać?

Musiała zamrugać szybko powiekami, by nie rozplakać się po raz kolejny.

– Nikt i nigdy was nam nie odbierze. – Jej głos drżał, chwyciła więc Franka za rękę i ściskając mocno drobną dłoń, zaprowadziła go do dziecięcego pokoju.

Przykucnęła na podłodze obok łóżka i głaskała włosy chłopca, aż zasnął.

W myślach odtwarzała rozmowę z mężczyzną raz po raz. Zastanawiała się, w jaki sposób poznał prawdę. Była pewna, że zadbała o wszystko, a jednak coś musiało umknąć jej uwadze. Przesunęła na bok rozsypane klocki i zwinęła się w kłębek na dywanie. Nie miała już siły unosić powiek, więc pozwoliła im opaść. Po chwili zasnęła.

Pokój wypełnił szum trzech miarowych oddechów.



Łukasz Welcer zaparkował czarnego mercedesa AMG obok trzech pozostałych samochodów w przestronnym garażu. Ze schowka na dokumenty wyjął flanelową szmatkę. Potarł nią drobną plamę w okolicy uchwytu na telefon, a później starł kurz z całej deski rozdzielczej. Złożył materiał w niewielki kwadrat i gdy odłożył go na miejsce, wysiadł z samochodu.

Na jego twarzy obok zmęczenia, które gościło tam już od tak dawna,

że zaczęło wpisywać się w jej naturalny wyraz, malowała się satysfakcją. Prawy kącik ust drgał i unosił się nieznacznie, jakby do niepewnego uśmiechu. Przez te dziesięć kroków oddzielające go od drzwi do domu nikogo nie udawał. Nie załączyły się żadne mechanizmy wymuszające czujność. Był sam i zapomniał o kontroli. Może dlatego, gdy wszedł do domu, zamarł, nasłuchując.

Doszły go dwa głosy, najwyraźniej dobiegające z salonu. Jeden niezaprzeczalnie należał do jego żony. Drugi do kogoś, kogo nigdy nie spodziewał się tu spotkać. Przyspieszył kroku i choć wydawało mu się, że pokonanie tego odcinka zajmuje całą wieczność, po chwili był już w salonie. Nieświadomie zamrugnął powiekami, jakby chciał wyostrzyć obraz i upewnić się, że nie ma zwidów. Jego żona, cała rozpromieniona, trzymała w dłoniach rękę tej drugiej kobiety. Obie śmiały się i wyglądało na to, że nigdy wcześniej nie spotkało ich nic lepszego niż wzajemne towarzystwo.

– O, jesteś już! – rzuciła Larysa, uśmiechając się niemal serdecznie.

Welcer zamierzał coś powiedzieć, gdy Maja wstała z za stołu i przykładowo zawisła mu na szyi.

– Gdzie ty ją chowałeś? Jest świetna. Czuję, jakbyśmy się znały od lat – zaszczębiotała, trzepocząc długimi doklejonymi rzęsami.

– Najwyraźniej nie schowałem jej wystarczająco dobrze. – Nie spuszczał wzroku z Larysy, która nie przestawała się uśmiechać, jednak czujne spojrzenie zarejestrowałoby, że tak naprawdę rozciąga tylko usta, a jej oczy pozostają niewzruszone. – Co cię do nas sprowadza?

– Mamy spotkanie, zapomniałeś? – Udawana uprzejmość Larysy drażniła go.

– Chyba coś ci się pomyliło.

Temperatura w salonie spadła o kilka stopni. Maja patrzyła na męża z przekrzywioną głową i odruchowo położyła mu rękę na ramieniu.

– Chciałeś być wtajemniczony we wszystko, co dotyczy mnie, Wiśni i tego, nad czym pracujemy.

– No i?

– Staram ci się to umożliwić.

Welcer milczał.

– Nie dłużej niż godzinę.

– Spoko. Będę cisnąć. – Dała znak głową, by skierowali się do

wyjścia. – Zawiozę cię, tak będzie łatwiej – dodała, widząc, że zgarnął z blatu kluczyki do samochodu.

Łukasz Welcer zawahał się, ale w końcu oddał kluczyki żonie.

– Niedługo wrócę – szepnął, zanim dał jej pospiesznego buziaka w policzek i poszedł za dziewczyną w skórzanej kurtce i obcisłych dżinsach.

Gdy wyszedł na zewnątrz, siedziała już na motocyklu, który wygrała w zakładzie.

– Wsiadaj i mocno się trzymaj.

– Chyba żartujesz?

– Nie mamy czasu. Jedziesz albo nie. – Wcisnęła kask na głowę i odpaliła silnik.

Motocykl zawarczał i zamrugał światłami. Larysa dała Welcerowi znak, by się pospieszył, na co prezes pokręcił głową, ale w końcu usiadł z tyłu, niepewnie obejmując ją rękami.

Jechała szybko, wiedziała, że nie ma dużo czasu. W okolicy Powązek wskoczyła na obwodnicę i w ciągu dwudziestu minut była już na Ursynowie. Tam wjechała w małą, zacienioną uliczkę na tyłach Puławskiej i zaparkowała pod płotem niewielkiego domku obitego sidingiem. Twarz Welcera była blada, a na czole pojawiły się drobne kropelki potu.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– Zobaczysz.

Włożyła rękę między szczeble furtki i nacisnęła klamkę od wewnątrz. Zamek ustąpił, bez wahania popchnęła furtkę i weszła do środka. Łukasz przystanął w pół kroku, ale gdy zobaczył, że Larysa znika za domem, ruszył przed siebie. Gdy ją dogonił, stała już na betonowych schodkach prowadzących do bocznych drzwi. Obłaziła z nich zielona farba i ewidentnie się nie domykały, bo przez szparę wydostawała się smuga światła.

– Kto tu mieszka? – Welcer skrzywił się i wyciągnął z kieszeni bawełnianą chusteczkę, by nie dotykać klamki.

Larysa obrzuciła go krytycznym wzrokiem. Gdyby było tam więcej światła, pewnie dostrzegłby w nim pogardę.

– Masz być cicho. Idziesz za mną, siadasz na krześle, które ci wskażę, i milczysz.

Niechętnie skinął głową.

– Powiesz mi chociaż, co robimy?

– Nie – rzuciła krótko i weszła do środka.

Wewnątrz panował półmrok, tylko na odległym krańcu, najwyraźniej w kuchni, z której dochodziły zapachy mielonych i kapusty zasmażanej, paliła się żarówka. Jakaś kobieta podśpiewywała pod nosem, ale gdy podłoga w przejściu zaskrzypiała, zamilkła.

– To ty, kochanie? – rozglądała się wokół.

Welcer złapał Larysę za rękę, a ta strząsnęła jego dłoń i położyła palec na ustach.

– Nie, to ja, Lara. – Wskazała Łukaszowi krzesło na korytarzu, ustawione w załomie ściany, i podeszła do starszej kobiety przytrzymującej się szafki. – Chodź, usiądziemy. – Chwyciła ją pod ramię i z trudem pomogła doczłapać się do wózka inwalidzkiego.

– Lareńka? – W głosie kobiety brzmiało niedowierzanie. – Wszystko dobrze? – Patrzyła gdzieś obok głowy Lary.

Welcer zdał sobie sprawę, że jest niewidoma.

– Tak, chciałam tylko sprawdzić, jak się masz. – Poprawiła jej dłonią potarganą grzywkę i dotknęła świeżej blizny na czole. – Nie powinnaś sama wstawać, Mario. Wiesz, jak to się kończy.

– Nie mogę przestać próbować. Jeszcze przecież nie umarłam. – Gdy to mówiła, zaczęły jej się trząść ręce. – Poza tym muszę wziąć leki. – Podniosła się i natychmiast niczym ścięta upadła z powrotem na wózek. – Widziałaś je gdzieś?

Lara spojrzała w stronę srebrnej kosmetyczki i zrzuciła ją pod stół.

– Nie. – W jej głosie był spokój.

– Boli mnie, muszę je znaleźć. – Kobieta, drżąc, podniosła się powoli i usiłowała dłońmi wymacać kosmetyczkę. – Gdzieś tu były – mamrotała do siebie. – Opiekunka poszła, a ja... – Obróciła się w stronę kuchenki, ale ból był tak silny, że upadła na podłogę.

Larysa nawet nie drgnęła, odwróciła głowę w stronę Welcera, który patrzył oszołomiony i pokazywał na migi, gdzie leży kosmetyczka.

Kobieta drżała, z twarzą wykrzywioną w spazmie bólu, a spod jej ciała zaczęła płynąć stróżka moczu.

„Zrób coś” – mówiły niemo usta Welcera. Larysa opuściła głowę. Łukasz nie mógł tego znieść, podniósł się z krzesła, sięgnął po kosmetyczkę i włożył ją do ręki kobiety.

– Nie mogę... – wysapała, drżąc.

Welcer ponownie wziął kosmetyczkę, ale Larysa go odepchnęła i zabrała torebkę.

– Ja to zrobię. – Sprawnym ruchem wyjęła ze środka plastry ze środkiem znieczulającym, odsłoniła kobiecie tułów, nakleiła jeden z plastrów i przez dłuższy czas masowała jej plecy.

Tamta zacisnęła na moment zęby. Po pewnym czasie z jej ust wydobyło się westchnienie ulgi, a drżenie ustało.

– Przepraszam. – Z jej oczu popłynęły łzy.

Larysa bez słowa pomogła jej wstać i zaprowadziła kobietę do łazienki. Gdy już zmieniły ubranie, słabym, ledwie słyszalnym głosem chora wyszeptała:

– Jestem zmęczona. – Przecierała niewidzące oczy. – Pomożesz mi się położyć?

Lara przytaknęła i odprowadziła ją do sypialni. Gdy wróciła, Welcer siedział na krześle, które wcześniej zajmowała ona, i piorunował ją wzrokiem.

– Co to, kurwa, było? – wysyczał przez zęby.

– Przyszłość. – Włożyła skórzane rękawiczki, które wyjęła z kieszeni. – Wychodzimy. – Minęła go i zniknęła w cieniu długiego korytarza.

Nie czekając na niego, wskoczyła na motocykl i odpaliła silnik.

– Co ty wyprawiasz? Odbiło ci?

– Zwijam się, zanim wróci Wiśnia.

– Co? – Szok na twarzy Welcera mieszał się z niedowierzaniem.

– To jego żona, Maria. Zamknij gębę, bo głupio wyglądasz.

– Dlaczego jej nie pomogłaś, gdy cię prosiła?

– A od kiedy obchodzi cię los takich ludzi jak ona? Co się tak gapisz? Grozisz Pawłowi, że go wywalisz, i nawet nie zastanawiasz się, co się wtedy stanie z jego żoną. Dokładnie to. Zdechnie na pieprzonym linoleum w tej kuchni.

– Nie wiedziałem...

– Przestań pierdolić – przerwała mu. – Od dawna wiesz, że ma stwardnienie rozsiane. Myślisz, że będą mieli za co żyć, gdy go wywalisz?

– To nie mój problem.

– To będzie twój problem. Bo dopilnuję tego, by Maria śniła ci się każdej nocy.

Łukasz zmrużył oczy; przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Nigdy więcej tego nie rób. – Dźgnął ją palcem w ramię.
Spojrzała na to miejsce.
– Chyba nie zrozumiałeś. Nigdy więcej mi nie groź. I nie proś Wiśni, żeby na mnie donosił. – Uniosła kask.
– Mogę cię zwolnić – zagroził.
Uśmiechnęła się do niego.
– Lepiej wezwij ubera. – Włożyła kask na głowę i odjechała.
– Kurwa! – Welcer kopnął w stojące przy płocie plastikowe wiadro, które potoczyło się, szurając o beton.



– Odstawiłam motocykl pod klatkę. Radzę zejść szybko, zanim ktoś go zwinie. – Larysa stała pod jednym z nowo wybudowanych bloków na Ursynowie z telefonem przy uchu.

– Skąd pewność, że jestem w domu?

Spojrzała w górę i dostrzegła, że postać za firanką na trzecim piętrze cofnęła się w głąb pokoju.

– Bo jeszcze przed chwilą stałeś w oknie i gapiłeś się na mnie.

– No tak. Trudno z tym dyskutować.

Zaskoczyło ją to, że stał właśnie w tym miejscu. W pierwszej chwili pomyślała, że to przypadek, ale zaraz dotarło do niej, że on cały czas musiał wiedzieć, gdzie jest motocykl. Nie dzwonił, nie poszukiwał jej, był zbyt spokojny jak na kogoś, kto oddał taki sprzęt obcej osobie.

– Masz włączoną lokalizację, prawda? To dlatego wiedziałeś, że przyjechałam – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Bingo. Ale nie szalej tak z tymi przejawami błyskotliwości, zabójcza inteligencja to moja domena.

Skrzywiła się. Powinna się tego spodziewać – bezpardonowy dupek o przerośniętym ego; nie rozumiała, jakim cudem nie wpadła wcześniej na to, że jest gliną.

– Nie wiedziałam, że był na nią przetarg. Poza tym nie podejrzewałam, że macie w policji kursy z głupich odzywek. Na pewno skończyłeś go z wyróżnieniem. Powieś dyplom na honorowym miejscu na ścianie. Będzie ładnie wyglądał.

– Wyślę ci kopię, żebyś mogła dzielić ze mną tę dumę. – Uśmiechnął

się.

Nie chciał tego przyznać przed samym sobą, ale imponowało mu, że udało jej się dowiedzieć, kim jest i gdzie mieszka, zaledwie w ciągu kilkunastu godzin. W przeciwieństwie do niego – on nadal nie wiedział o niej nic.

– Nie mogę się doczekać. – Słowo „palancie” jej usta wypowiedziały już bezgłośnie. – Kluczyki masz w schowku. – Rozłączyła się i ruszyła w stronę stacji metra.

Bruno uśmiechnął się do siebie, a gdy się na tym przyłapał, pokręcił głową.

– Nawet o tym nie myśl, stary – przywołał się do porządku, a później narzucił kurtkę i wyszedł z domu przeparkować motocykl do garażu.

Nie był typem faceta, który zaprasza dziewczyny do teatru, kina ani nawet na kolacje. Nudziły go te konwencjonalne do bólu wstępy, które i tak miały prowadzić do jednego.

Kobiety poznawał w różnych miejscach, choć ostatnio głównie w barach, a tam sprawa była prosta, po drinku czy dwóch należało jedynie zdecydować, czy pójdą do niej, czy do niego. Żadnego wymieniania numerów, opowiadania o sobie czy umawiania się na kolejne spotkanie. Seks i taksówka do domu. Bez przytulania, wspólnych żenujących śniadań i krępującego milczenia, albo co gorsza beładnego monologu kobiety, która stara się za wszelką cenę wypełnić ciszę.

Bo tę akurat Bruno wysoko cenił. Rozsmakowywał się w niej, podobnie jak w swojej niezależności.

– Chodź do tatusia. – Podeszedł do motocykla i oglądał go z każdej strony, szukając zadrapań.

Nadal nie mógł uwierzyć, że tak głupio się podłożył. Ale kto by przypuszczał, że dziewczyna sięgająca mu zaledwie do ramienia rozłoży go na łopatki? Zdziwiła go jej siła i koncentracja. To, jak mocno wyprowadzała ciosy, ale przede wszystkim jak szybko podnosiła się po jego uderzeniach. Jakby nie czuła bólu.

Pamiętał siebie takiego.

Tuż po śmierci matki pokłócił się z ojcem. Wywiązała się głupia szarpanina, zamachnął się, ale ojciec uskoczył, a on nie mógł już wyhamować uderzenia. Ręka z trzaskiem grzmotnęła o drewniany blat. Bruno miał wtedy osiem lat. W drodze do szpitala nie uronił nawet

jednej łzy.

Milczał i dusił w sobie gniew. Gdy lekarz na izbie przyjęć go zobaczył, zbladł. Z drobnej, dziecięcej jeszcze ręki wystawała złamana kość. Po operacji ten sam doktor usiadł na brzegu jego łóżka i wpatrywał się w małego pacjenta.

W końcu zebrał się na odwagę i zapytał:

– To było bardzo poważne złamanie, a ty nawet nie pisnąłeś. Dlaczego?

Bruno zacisnął zęby i odwrócił głowę w stronę okna.

– Inne dzieci wrzeszczą, płaczą, a ty nic... – Lekarz wydawał się zmartwiony, przez chwilę czekał na reakcję chłopca, ale gdy ta nie nastąpiła, nabrał tchu. – Myślę, że sporo przeszedłeś.

Bruno drgnął. Mięśnie jego twarzy napięły się.

– Niczego pan o mnie nie wie – rzucił zduszonym głosem.

– Może i tak. – Lekarz wstał z łóżka, włożył dłonie do kieszeni fartucha. – Ale wiem, że jak tego nie wypuścisz, to cię to zje od środka.

Niemal słyszał głos doktora, gdy teraz wracał z garażu windą do mieszkania na trzecim piętrze. Głos faceta, który uratował mu rękę i nauczył go od nowa płakać dzięki temu, że miał dla niego czas i rozmawiał z nim o tym, o czym jego ojciec nie potrafił. Jako chłopiec Bruno odwiedzał go w szpitalu przez jakiś czas po złamaniu, a później każdy poszedł w swoją stronę.

Co się z nim teraz działo? Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Tak samo jak na wiele innych, które nie dawały mu spokoju od czasu znalezienia tej studentki, Niny Zaniewskiej.

Bez namysłu wyciągnął komórkę i wybrał numer Daniela. Po odebraniu zamiast głosu technika usłyszał w słuchawce stękanie i przyspieszony oddech. Uniósł brwi i już zamierzał się rozłączyć, gdy Sikora wysapał:

– Ta kobieta mnie wykończy.

Bruno skrzywił się. Wprawdzie zdarzyło mu się odbierać telefon w trakcie seksu, ale niekoniecznie chciał słuchać jęków Elwiry.

– Kupiła mi rower treningowy i każe mi robić po sto kilometrów dziennie – kontynuował technik.

Wilczyński zaśmiał się. Wyobraził sobie zlanego potem Daniela, który ze strachu przed żoną godzinami pedałuje. Z drugiej strony wiedział, że Elwira ma charakter generała, i gdy ich odwiedzał, sam nigdy nie śmiał

się jej sprzeciwić.

– Jak wraca z pracy, sprawdza, ile przejechałem, a jak nie wyrobię normy, to pół nocy prawi mi kazania.

– Czym się tak naraziłeś?

– Nie mam pojęcia. Zapisła się na zumbę, ślini się na widok jakiegoś pedzia w obcisłych gaciach, a później jak nawiedzona głądzi o tym, że się postarzałem.

– A nie możesz zgarnąć kilku synków spod bloku i zapłacić im trochę hajsu, żeby nabili ci kilometrów? Założę się, że za parę złotych z przyjemnością cię zastąpią.

Daniel milczał, jakby kalkulował ryzyko.

– Kuszące – stwierdził. – A ciebie co przygnało?

– Wiesz, że Zaniewska była uczulona na orzechy ziemne? Gruby mówi, że zabiła ją silna reakcja alergiczna.

– To ta z Wilanowa? No proszę.

– Znalazłeś jakieś skorupki? Opakowania?

– Nie. Może zjadła coś wcześniej?

– Nie wydaje mi się. Pilnowała tego. Kilka godzin przed śmiercią kupiła tort i wyraźnie dopominała się, by sprawdzili skład.

– Dziwne.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza.

– A adrenalina? – drążył Bruno.

– Że niby połknęła fistaszki dla zastrzyku adrenaliny? To byłoby strasznie głupie.

– Nie, chodziło mi o to, czy znalazłeś u niej adrenalinę.

Daniel znów milczał przez chwilę.

– Sorry, nasłuchiwałem, bo cerber wrócił. – Bruno usłyszał dźwięk pracującego roweru treningowego. – Niczego takiego nie znalazłem – rzucił technik, łapiąc oddech.

– Dobra, pantoflu, spadam. Nie zabij się na tym peletonie. I ucałuj Cruellę de Mon.

Bruno usiadł przed komputerem i bębniąc paznokciami o blat, rozważał pewną ewentualność. Po chwili zerwał się z miejsca. Wychodząc z mieszkania, zatrzasnął za sobą drzwi.

I tak kiepsko sypiał, więc wolał przynajmniej zorganizować sobie ciekawsze zajęcie niż gapienie się w sufit.



W Czytelni Zasobu Wieczystego Biblioteki Narodowej panował półmrok. Dochodziło wpół do dziewiątej i pracownicy powoli wyłączali swoje komputery.

– Przypominam, że zaraz zamykamy. – Larysa usłyszała za plecami głos bibliotekarki, a szczupła postać w szarej spódnicy i beżowej bluzce przemknęła obok, by zniknąć za szeregiem regałów.

Wyglądała jak klasyczna nauczycielka niemieckiego. Przypominała Frau Godlewską, germanistkę Larysy z liceum: wąskie usta złożone w ciup, krótka, mało kobieca fryzura i okulary w drucianej oprawie, za którymi kryły się drobne, przeszywające oczka.

To wspomnienie nawet ją rozbawiło, choć po dwunastu godzinach ślęczenia nad archiwalnymi wydaniem czasopism miała wrażenie, że niewiele trzeba, by wybuchła dzikim, niekontrolowanym śmiechem z przemęczenia. Oczy piekły ją, jakby wtarła w nie mydło, a w żołądku przepelnionym dietetyczną colą burczało już tak głośno, że nie dało się tego ukryć.

Cały ten czas szukała jakiegokolwiek wzmianki o Jakubie Andrzejewskim. Tyle że wpadała wciąż na te same mylące tropy prowadzące do zupełnie nieistotnych dla sprawy osób. Wprawdzie przepisała do macbooka sporo informacji, ale była pewna, że do niczego jej się nie przydadzą.

Zaczynała myśleć, że facet, którego teraz szukała, nie jest tym samym, który zwabił ją do hotelu i wykorzystał. Istniało duże prawdopodobieństwo, że sponsor zwyczajnie z niej zakpił. A mimo to nie dawało jej spokoju to z pozoru przypadkowe imię i nazwisko. Mężczyzna z hotelu równie dobrze mógł zostawić w kopercie pustą kartkę, ale z jakiegoś powodu wskazał na konkretną osobę. Zależało jej na tym, by zrozumieć dlaczego.

Oparła się na krzesło i odchyliła na tyle mocno, że bez trudu mogła podziwiać zdobienia na suficie. Wymyślne kwiatowe wzory przykuwały uwagę. Łodygi roślin wiły się na kształt węży i plątały ze sobą w zupełnie nieprzewidywalnych konfiguracjach.

Dopiero po chwili zauważyła, że rozwija się pod nimi zielona pleśń. Właściwie pokrywa aż jedną trzecią powierzchni sufitu. A jeśli

nazwisko jest właśnie takim ozdobnikiem? – pomyślała. Samo w sobie nie musi mieć większego znaczenia. Ważniejsze jest to, co zakrywa.

Wróciła do przeglądania prasy. Czytała te same artykuły, patrząc na nie z innej perspektywy. Szukała jakiegoś klucza. Czegoś, co łączyłoby te postacie. Ale przypominało to zabawę w chowanego w ciemnym lesie, do tego w sytuacji, w której nie masz pojęcia, kogo szukasz. Dostrzegła, że w głębi biblioteki gasną kolejno poszczególne światła, zaczęła więc na oślep wpisywać do wyszukiwarki hasła. „Jakub Andrzejewski sponsor”, „Jakub Andrzejewski biznesmen”, „Jakub Andrzejewski hodowca psów”. Cały czas nic. „Jakub Andrzejewski pieprzony sadysta”. Zachnęła się. Zamierzała wyłączyć komputer, gdy dostrzegła, że system wypłuł wynik.

Pochodził sprzed ponad trzydziestu lat. „Troskliwy ojciec czy perfidny sadysta?” – pytał nagłówek artykułu. Zdjęcie przedstawiało mężczyznę w sali sądowej. Siedział rozparty na ławie oskarżonych w otoczeniu dwóch strażników. Miał na sobie koszulę w kratę i dżinsy. Nie widziała wyraźnie jego twarzy, ale wnioskując z ogólnych rysów, mógł mieć około trzydziestu lat. Wprawdzie imię się nie zgadzało, ale w tym, w jaki sposób siedział, dostrzegła coś znajomego. Jego sylwetka była ludzako podobna do tej, którą widziała w hotelu. Ze zdziwienia przetarła oczy. Zanotowała datę, tytuł i autora artykułu, a później rzuciła się do czytania. „Michał Andrzejewski oskarżony o...” Nagle ekran komputera zgasł.

– Co jest? – Rozejrzała się wokół i dostrzegła stojącą nieopodal bibliotekarkę.

W półcieniu jej uśmiech nabierał złowieszczonego charakteru.

– Zamknięte. Zapraszam jutro. – Uprzejmy ton kobiety był pełen nieukrywanej satysfakcji.

– Potrzebuję pięciu minut. – Larysa nie zamierzała skapitulować.

– Otwieramy o ósmej trzydzieści. – Nowe wcielenie Frau Godlewskiej oddaliło się niemal tanecznym krokiem.

Larysa mogła poczekać do jutra, ale wizja ponownego spotkania z tą kobietą nie zajmowała wysokiej pozycji w rankingu jej pragnień. Mogła też wykonać jeden telefon, który rozwiązałby jej problem, ale wtedy musiałaby narazić kogoś bliskiego na poważne kłopoty. Właściwie nie pierwszy raz.

Da radę, pomyślała i po tym, jak spakowała plecak, wyjęła komórkę.

- Mam robotę – powiedziała do telefonu.
- Coś za coś – usłyszała radosny głos w słuchawce.
- Szybko się uczysz, braciszku.
- Mam od kogo – zaśmiał się.
- Czego chcesz?
- Odwiedzisz ojca.

Na ułamek sekundy zapadła grobowa cisza. Larysa wiele razy miała ochotę powiedzieć bratu, dlaczego nigdy nie wróciła do domu, ale wiedziała, że wtedy i on straci rodziców, że wybierze ją, a tego nie chciała mu zrobić. Genialnie radził sobie z komputerami, ale wewnątrz był jeszcze dzieckiem, potrzebował ich i bardzo w nich wierzył.

- Zapomnij. Żałuję, że zadzwoniłam – rzuciła ostro.
- No to chociaż do niego zadzwoń! – Jego głos brzmiał błagalnie.
- Nie.
- Do matki też się nie odezwiesz? Ona w kółko o tobie opowiada. Minęło tyle lat, ale gdy przyjeżdżam na weekend, to nie pyta o mnie. Jest jedynie ciekawa, czy cię widziałem, jak się masz. Tylko ty i ty.

Nie miała o tym pojęcia. Poczowała niewygodne drapanie w gardle.

- I co jej mówisz?
- Zadzwoń do niej i sama zapytaj, jeśli cię to obchodzi. Ja mam dość zabawy w dobrego brata.

Zapadła między nimi krępująca cisza. Larysa nigdy nie chciała go stawiać w takiej sytuacji; myślała, że gdy zniknie, rodzice zapomną o niej raz na zawsze. Ojciec tak zrobił, matka, jak widać, nie.

- Jeden krótki telefon – zawyrokowała.
- Świetnie! I po co były te dąsy?
- Nie przeciągaj struny, Bartek.
- No dobra, czego tam potrzebujesz?
- Artykułu z Biblioteki Narodowej, archiwalny z osiemdziesiątego roku, maj, numer sto trzydziesty „Rzepy”. Mają to w systemie.
- A nie możesz po prostu przeczytać u nich? Nie wyważa się otwartych drzwi. Nie słyszałaś o tym?

Larysa zerknęła na mężczyznę z kluczem, który właśnie zamykał duże, ciężkie wrota.

- Właśnie zamknęli, a ja nie mogę czekać.
- Cała ty.
- Zamknij się i zrób robotę. – Rozłączyła się.

Niecałe pół godziny później przyszedł mail z plikiem zabezpieczonym hasłem. Od razu zadzwoniła do brata.

– Ciekawy artykuł. – Odebrał z satysfakcją. – Historia tego Andrzejewskiego jest naprawdę wstrząsająca. No i te jego dzieci... – Zagwizdał.

– Przestań pajacować i daj mi hasło.

– Nie mam.

– Nie mam czasu na wygłupy.

– Poważnie. Plik zaszyfowała mama przy mojej małej pomocy. I jak się domyślasz, tylko ona zna hasło.

– Możesz je złamać albo wysłać mi czysty plik.

– Mogę, ale wtedy nie dotrzymasz warunków umowy.

– Kpisz sobie?

– Nigdy w życiu. Na wszelki wypadek usunąłem go też z archiwum Biblioteki, więc nie masz wyjścia.

Tym razem to on się rozłączył. Larysa pokręciła głową. Z jednej strony była dumna z brata, a z drugiej miała ochotę go udusić. Przez chwilę wpatrywała się w ekran telefonu, po czym otworzyła klawiaturę numeryczną i z pamięci wpisała numer. Nieważne, jak bardzo starała się go zapamiętać, ciąg cyfr zapisał się w jej umyśle i nie blaknął mimo upływu czasu. Jej kciuk zawisł nad zielonym symbolem słuchawki.

Wydawało się, że lada moment go naciśnie, ale zamiast tego zablokowała ekran i schowała telefon do kieszeni.



Wilanów o tej porze był cichy i pogrążony w ciemnościach. W większości mieszkań pogasły już światła, a ulicami tylko raz na jakiś czas przejeżdżały samochody.

Bruno objechał dookoła apartamentowiec Niny. Był to sześciopiętrowy budynek ułożony w podkowę, z dużymi oknami w drewnianych ramach i zdobieniami na gzymsie. Na dziedziniec prowadziły cztery wejścia. Dwa od zachodniej, dwa od wschodniej strony. Klasyczne furtki z domofonem, które otwierały się po wpisaniu kodu lub zbliżeniu breloka. Ale tak jak na wielu osiedlach, tak i tu wystarczyło zaczekać, aż ktoś z mieszkańców będzie otwierał bramkę,

i bez problemów można było się wśliznąć za nim do środka.

Znał kiedyś złodzieja, który był mistrzem kamuflażu. Nie tylko niepostrzeżenie dostawał się na ogrodzony i zamknięty teren, ale wymyślił sposób, dzięki któremu mieszkańcy otwierali mu każde drzwi z uśmiechem na ustach. Jednym z jego sztandarowych kostiumów był objuczony paczkami kurier. Wykorzystywał ten motyw głównie w okresie przedświątecznym. Ale prawdziwym majstersztykiem była kobieta z płaczącym niemowlęciem w wózku. Ze swoją urodą, w odpowiedniej charakteryzacji i z lalką zawiniętą w kocyk, włamywacz napotykał wyrozumiałe spojrzenia i otrzymywał mnóstwo wsparcia, szczególnie od kobiet. Łupy pakował do wózka, a później jakby nigdy nic opuszczał osiedle. Z zasady nigdy nie wracał na to samo miejsce, ale pewnego dnia postanowił zrobić wyjątek od reguły.

I wtedy wpadł.

W sądzie dostał pięć lat, a od kumpli z dołka ksywę Mamuśka. Bruno odwiedzał go czasami w barze z automatami na Centralnym. Knajpa „Nie ma jak u mamy” stanowiła podły koloryt lokalny dworcowych podziemi, z ceratowymi obrusami na stolikach i zapachem starego tłuszczu przenikającego skórę. Po kilku piwach zawsze dowiadywał się czegoś ciekawego i choć wiedział, że złodziej nadal zagląda na ciemną stronę mocy, przymykał na to oko.

Na Wilanowie zaczynało się robić coraz chłodniej i dopiero po kwadransie pod budynkiem zatrzymała się taksówka, z której wyszła podchmielona para. Bruno uznał, że właśnie nadeszła jego szansa. Zajęci sobą mężczyzna i kobieta nie zauważyli, że oprócz nich za ogrodzenie wszedł ktoś jeszcze. W ostatniej chwili tuż przed zamknięciem złapał furtkę i pewnym krokiem poszedł w stronę mieszkania Niny. Pod jej drzwiami uniósł żółtą taśmę, poszperał chwilę w zamku, a gdy ten puścił, Bruno niepostrzeżenie zniknął w środku. Tam zapalił światło i rozejrzał się dookoła.

– Jak się tu dostałeś, bydlaku? – Mrużył oczy i przekrzywił głowę na bok.

Usiłował odtworzyć prawdopodobny przebieg zdarzeń, ale nic się nie kleiło. Kamera przed wejściem do klatki, jak i ta przy bramce nie zarejestrowały żadnej podejrzananej osoby wchodzącej do budynku tamtego dnia. Sprawdził wszystkich i nie znalazł niczego budzącego wątpliwości.

Oczywiście brał pod uwagę, że sprawcą mógł być któryś z sąsiadów, ale przesłuchali większość mieszkańców i nie znaleźli niczego niepokojącego w ich zeznaniach. Bruno poczuł, że sprawa wymyka mu się z rąk. Szybkim krokiem przeszedł do sypialni i zaczął skrupulatnie przeszukiwanie pomieszczenia. Wprawdzie technicy zrobili to już wcześniej, ale miał nadzieję, że gdzieś po drodze upuścili jakiś okruch. Chwilę później, gdy rozważał już rozpruwanie materaca, zerknął na obraz wiszący nad łóżkiem. „Nina nie przepadała za sztuką, twierdziła, że jest nudna” – przypomniał sobie słowa jej matki.

Włożył rękawiczki i ściągnął ramę ze ściany. Miał nadzieję, że coś przeoczył, liczył, że na odwrocie znajdzie jakąś wskazówkę od kogoś, kto jej go podarował, ale poza prostą dedykacją: „Dla Niny”, nie było tam niczego. Marna reprodukcja wydrukowana na papierze. Bez nazwiska twórcy czy tytułu dzieła.

Obraz przedstawiał odbijającą się w zaparowanym lustrze sylwetkę mężczyzny. Swoiste rozneglizowane lustrzane selfie. Naga postać znajdowała się w łazience, stała na białym ręczniku, a tuż za nią majaczyły wanna i sinoniebieska ściana. Wydawało się, że bohater malowidła trzyma coś w rękach mniej więcej na wysokości twarzy. Logika podpowiadała, że to aparat fotograficzny, dzięki któremu na obrazie możemy oglądać właśnie to ujęcie. Jednak trudno było o pewność, bo w miejscu, w którym znajdowała się głowa mężczyzny, widniał duży napis. Jakby ktoś zrobił go palcem na zaparowanej powierzchni lustra.

– „Joy Division” – przeczytał szeptem.

Wpisał do wyszukiwarki w komórce hasło „obraz i napis na zaparowanym lustrze”. System wypluł wiele wyników, które Bruno od razu przełączył na grafiki. Przeglądał je skrupulatnie, aż wreszcie dotarł do bardzo podobnego obrazu z napisem „To be continued”, a później podobnego ze słowem „Björk”. Autorem był Zbigniew Rogalski, a praca pochodziła z cyklu *Heroes*, w którym, jak tłumaczył fotograf, rzeczywistość graniczyła ze swoim odbiciem.

Bruno ściągnął brwi i w zamyśleniu zaczął chodzić po pokoju. Nagle wpadł na pewien pomysł. Ruszył szybkim krokiem do łazienki. Zamknął odpływ wanny i puścił wrzątek. Para zbierała się w pomieszczeniu i osiadała na meblach. Wszystko zaczynało lśnić lepłą wilgocią. Lustro stopniowo pokrywało się cienką warstwą mgły,

podobnie jego twarz. Była teraz gorąca i mokra.

Powoli na powierzchni lustra zaczął wyłaniać się napis. Wilczyński nigdy nie spodziewałby się tego, co właśnie ujrzał. Słowo było napisane literami wielkości małego paznokcia. Doskonale wyraźne. „Alicja”. Imię jego matki pulsowało mu przed oczami tak intensywnie, że musiał odwrócić wzrok. Miał ochotę uciec od dusznych wspomnień, ale nie mógł się ruszyć. Stał jak zahipnotyzowany.

Dopiero gdy poczuł w ustach metaliczny smak krwi, przestał gryźć własny język. Teraz był stuprocentowo pewien.

Ta wiadomość była skierowana do niego.

Nigdy nie chodziło o Ninę.



Na wydziale lingwistyki stosowanej UW panował względny spokój. Większość studentów miała właśnie zajęcia, a nieliczni chłonili ostatnie jesienne promienie słońca wpadające przez okna. Larysa skierowała się w stronę szatniarki z trwałą na włosach. Kobieta zmierzyła ją nieufnym spojrzeniem, po czym wróciła do rozwiązywania krzyżówki.

– Szukam profesor Piotrowskiej. – Larysa nie traciła czasu na uprzejmości.

– Ma teraz zajęcia. Poczeka na przerwę. – Szatniarka spojrzała na zegar ścienny. – Dziesięć minut i będzie.

– W której sali?

Kobieta przyjrzała się uważniej nowo przybyłej. Jej wzrok zatrzymał się na ostrzyżonej głowie dziewczyny, a później na ćwiekach w skórzanej kurtce.

– A w jakiej sprawie? – Szatniarka położyła ręce na biodrach.

– Prywatnej.

Kobieta sapnęła zniecierpliwiona i wyjęła spod lady zeszyt formatu A4 z pozaginanymi rogami. Dodała w tabeli nowy numer i odwróciła ją w stronę Larysy, po czym podała jej długopis.

– Wpisze się.

– Po co?

– Musimy pilnować, kto do nas wchodzi.

Larysa przewróciła oczami, uznając, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Zbliżyła długopis do kartki i nagryzmoliła coś drobnymi literami. A później nachyliła się w stronę kobiety i oglądając się za siebie, jakby upewniała się, że nikt ich nie podsłuchuje, konspiracyjnym szeptem zapytała:

– Pamięta pani Annę Mielcarz?

W oczach kobiety pojawił się nagły błysk. Skinęła głową i zaczęła ścisnąć w dłoniach egzemplarz krzyżówek panoramicznych.

– Podobno miała romans ze studentem? – zagaiła Larysa.

Szatniarka niemal podskoczyła z podekscytowania.

– A, da spokój. Zbałamuciła tego chłopaka biednego. Kto to słyszał?

– Jak on się nazywał? Karol, Kamil? – udawała, że nie może sobie przypomnieć.

– A skąd ja mam wiedzieć? – Kobieta wzruszyła ramionami. – Szczupły taki był, w okularach. W akademiku mieszkał. Na moje, to jej się coś poprzestawiało. – Popukała palcem w głowę. – No bo kto normalny na golasa po ulicy biega?

Larysa dostrzegła, że z sali na półpiętrze zaczęli wysypywać się studenci, a korytarze stopniowo wypełniał narastający gwar, co zapewne oznaczało przerwę. Uznała, że nie wycisnie więcej z kobiety, i zrezygnowała z dalszego drażenia tematu.

– To gdzie znajdę profesor Piotrowską?

– Na pierwszym piętrze, najpewniej pod dwudziestką.

Nie czekając na dalsze instrukcje, wspięła się na schody. Kątem oka zauważyła, jak szatniarka czyta jej podpis w rejestrze, marszcząc przy tym brwi.

– Mata Hari? Wszędzie te imigranty – usłyszała i uśmiechnęła się do siebie.

Gdy dotarła na górę, elegancka kobieta z upiętymi rudymi włosami wychodziła właśnie z sali numer dwadzieścia. Była zamyślona, zatrzymała się przy oknie, postawiła torbę na parapecie i niecierpliwie czegoś w niej szukała.

– Skończyły się? Mogę poczęstować – zaproponowała Larysa, wyciągając z wewnętrznej kieszeni kurtki paczkę cienkich zielonych LM-ów z wizerunkiem zwiniętego w embrion nagiego mężczyzny na pościeli i napisem „Palenie zwiększa ryzyko impotencji”.

Profesor Piotrowska spojrzała na papierosy nieufnie.

– Jest pani moją studentką?
– Nie. Pisałam do pani w sprawie profesor Anny Mielcarz.
– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. – Zamknęła torbę. –
Przepraszam, zaraz mam kolejne zajęcia. – Podeszła do schodów
i zaczęła zbiegać w dół, gdy dotarł do niej głos Larysy:

– Chętnie się na nich pojawię. Jestem pewna, że ta historia
zainteresuje pani studentów.

Beata Piotrowska zatrzymała się w połowie drogi.

– Pięć minut, nie więcej. Wyjdźmy na zewnątrz – zaproponowała.

Gdy znalazły się pod budynkiem, Larysa przekazała kobiecie paczkę
papierosów.

– To za fatygę.

Piotrowska wgapiała się w tekturowe opakowanie, jakby nie była
pewna, czy chce je otworzyć, ale w końcu uległa pokusie i wyciągnęła
z paczki papierosa. Zanim zdążyła się zorientować, dziewczyna
w ramonesce podstawiła jej ogień, a znajome uczucie rozluźnienia
wypełniło jej płuca.

– Co chce pani wiedzieć?

– Jak się nazywał chłopak, z którym Mielcarz miała romans?

– Niewiarygodne, że kogoś to jeszcze obchodzi po tylu latach. Byłam
wtedy na nią zła, dlatego dodałam ten komentarz na forum. –
Strzepnęła popiół na chodnik. – To był Igor Szymanowicz. Zdolny
dzieciak.

– W jaki sposób się pani dowiedziała?

– Anka mi się przyznała, gdy ją przycisnęłam. Widziałam, jak na
siebie patrzy na przerwach. Zresztą wszyscy widzieli. Poprosiła mnie
o pomoc w załatwieniu mu pracy w Brukseli. Chyba bała się, że jej
mąż w końcu się dowie, i chciała ochronić Igora.

– Co się z nim stało?

– To właśnie jest najciekawsze. Wyprowadził się z akademika i słuch
po nim zaginął. Nigdy nie dotarł do Brukseli, chociaż podobno cieszył
się na tę pracę. Dzwonili po tym do nas na wydział i szukali kogoś na
zastępstwo.

– Co na to Mielcarz?

– Nie chciała o tym rozmawiać, stała się jakaś rozdrażniona. –
Zaciągnęła się dymem.

– Policja twierdzi, że leczyła się psychiatrycznie.

– Z tego, co wiem, to był pomysł jej męża. Z nią było wszystko w porządku. – Rzuciła na ziemię resztkę papierosa i przydeptała go butem. – Dzięki. – Wyciągnęła w stronę Larysy rękę z paczką papierosów.

– Nie palę. Zostaw je sobie.

– Właściwie to kilka dni temu rzuciłam.

– Naprawdę? – Dziewczyna uśmiechnęła się. – W takim razie masz słabą silną wolę.

Przed spotkaniem dokładnie obejrzała w internecie profil Beaty Piotrowskiej. Widziała, że lingwistka polubiła kilka fanpage'ów wspierających w rzucaniu palenia i wychwalała książkę Alana Carra. Postanowiła tę słabość wykorzystać.



– Jaś? Franek? – Z przerażeniem rozglądała się po dziecięcym pokoju w poszukiwaniu synów.

W domu było cicho, a łóżeczka chłopców straszyły zmiętoloną w nieregularny kształt pościelą. Emilia uznała, że dzieci pewnie skaczą po łóżku w sypialni rodziców, ale tam też ich nie znalazła. Po drodze weszła do łazienki, by przepłukać twarz wodą. Chciała zmyć z siebie ślady nocy spędzonej na dywaniku w dziecięcym pokoju. Nabrała lodowatej wody w dłonie i pochylona nad umywalką, spryskała nią twarz. Raz za razem, powoli odzyskując przytomność. Zaniepokoiła ją cisza, a gdy podniosła wzrok i spojrzała w lustro, zamarła. Na wysokości jej wzroku widniał napis „Ja wiem, suko”. Przerażona rzuciła na podłogę ręcznik, którym wycierała twarz, i wybiegła z łazienki.

– Chłopaki, gdzie jesteście!? – nawoływała, biegając po piętrze i otwierając wszystkie drzwi po kolei. – Koniec zabawy w chowanego. Wyłaźcie! – krzyczała, ale dzieci nigdzie nie było.

W myślach ganiła się za to, że nie słyszała, kiedy się obudzili. Zbiegała po schodach, kiedy poczuła, że jej lewa stopa nastąpiła na coś twardego. Automatycznie poderwała nogę do góry, dostrzegając kątem oka metalowy wóz strażacki, ale wtedy już straciła równowagę i siłą rozpędu leciała do przodu. Wyciągnęła rękę, by chwycić się balustrady,

jednak nie wymierzyła dobrze odległości i chybiła zaledwie o włos. Przekoziołkowała na plecy, uderzając boleśnie głową, a później nogą o kant schodów, i zatrzymała się dopiero na dole. Mrugnęła kilkakrotnie oczami, nadal oszołomiona upadkiem. Wydawało jej się, że słyszała chrzęst przypominający łamanie kruchej gałęzi, sprawdziła więc, czy nos znajduje się na swoim miejscu. Wszystko było w porządku. Powoli się podniosła, i wtedy to poczuła. Jakby ktoś przejechał piłą mechaniczną po jej łydce. Lewa noga złożyła się niczym spróchniały kawałek drewna, a ona upadła na podłogę.

– Aaaa! – krzyczała.

Znajdowała się teraz na kolanach. Przed oczyma pływały jej ciemne obłoczki. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Zaciśnęła mocno zęby i na trzy odwróciła się na plecy. Całe jej ciało dygotało. Rękami z przerażeniem macała lewą nogę; była złamana w połowie łydki. Emilia uniosła do góry nogawkę spodni i z ulgą stwierdziła, że kość nie przebiła skóry.

– Franiu! Janku! – zawołała łamiącym się głosem, a gdy nikt nie odpowiedział, zaczęła cicho płakać.

Uczucie bezsilności było tak obezwładniające, że łkanie przeszło w szloch, a później w dzikie zawrodozenie. Jednak przyczyną jej stanu nie był fizyczny ból złamanej nogi – ten właściwie neutralizowała adrenalina zalewająca mózg – bolał ją strach o to, co się stało z chłopcami. Jacek wyjechał do Londynu, a dzieci miały zakaz wychodzenia do ogrodu bez jej pozwolenia. Tyle że nie było ich nigdzie w domu, a to inspirowało najczarniejsze wizje. Szczególnie że widziała te słowa na lustrze, a lampka na centrali alarmowej nie świeciła się, co oznaczało, że system nie był uzbrojony. Emilia rozejrzała się w panice za telefonem, który podczas upadku wysunął jej się z tylnej kieszeni spodni. Dostrzegła go zaledwie kilka kroków od siebie, ale ta odległość, którą zdrowy człowiek pokonałby w parę sekund, jej wydawała się wymagającym maratonem. Przygryzła wargi i ignorując szum w uszach oraz palący ból nogi, z mozołem ślizgała się na pośladkach w stronę smartfona. Kiedy go w końcu dosięgła, odetchnęła z ulgą i natychmiast wybrała numer. Nie zadzwoniła jednak do szpitala, ale do mężczyzny, któremu winna była wiele wyjaśnień.

– Odbierz, błagam – szeptała do siebie w oczekiwaniu na nawiązanie połączenia.

– Hej, kochanie – przywitał ją pogodny głos męża.
– Jacek, nie wiem, gdzie są chłopcy. Boję się, że on ich zabrał. – Jej ręka trzęsła się równie mocno, co głos.

– Co? Dobrze się czujesz? Nikt ich nie zabrał! – zaśmiał się.

– Nic nie rozumiesz – przerwała mu. – Ktoś rozbroił alarm, a gdy się obudziłam, naszych dzieci nie było w domu. Musimy natychmiast zawiadomić policję.

– Jezu Chryste, Emi, oni są ze mną. Gramy w piłkę za domem. Powiedzieli, że śpisz na górze, więc ci nie przeszkadzaliśmy. Co w ciebie wstąpiło?

– Ale... – zaczęła, usiłując połączyć ze sobą wszystkie fakty. – Miałeś być w Londynie.

– To długa historia. Nie dogadaliśmy się z klientem. – Westchnął ciężko. – W każdym razie wróciłem w nocy, gdy już spałaś. Musiałem jeszcze popracować, a później, żeby cię nie budzić, położyłem się w salonie.

Drzwi otworzyły się i do środka wbiegło dwóch roześmianych sześciolatków. Na widok Emilii zatrzymali się w połowie drogi, a ich twarze stężały.

– Mamo, co ci się stało? – Franio patrzył na nią przerażonym wzrokiem, a Janek przylgnął do nogi taty.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że musi kiepsko wyglądać. W ubraniu z poprzedniego dnia, poobijana, rozczochrana i z rozmazanym od płaczu makijażem przypominała straszdyło z bajek, które czytali na dobranoc.

– Wszystko w porządku? – Jacek przyklęknął obok niej, a ona bezgłośnie pokręciła głową, starając się w ten sposób stłumić łzy.

Nie wytrzymała jednak długo i po chwili zaczęła ponownie płakać, co wprawiło dzieci w jeszcze większą dezorientację.

– Spadłam ze schodów i chyba złamałam nogę – wyrzuciła, siakając nosem, a głową pokazując na odsłoniętą lewą łydkę, która zdążyła już spuchnąć.

Chłopcy spojrzeli po sobie i niczym na hejnał ruszyli w stronę mamy. Małe ramionka obejmowały jej szyję, a drobne palce zanurzały się w jej potargane włosy.

– Moja mamusia – powtarzał Jaś, a jego brat sam miał łzy w oczach. Przyglądający się tej scenie Jacek ciężko westchnął.

– Dobra chłopaki, dosyć tej czułości. Zawieziemy mamę do szpitala. – Usiłował wziąć ją na ręce, ale gdy tylko lekko uniósł jej ciało do góry, Emilia zaczęła potwornie krzyczeć.

– Nie! – Wyciągnęła rękę, by ochronić się przed jego dotykiem. – Przepraszam cię, ale musisz wezwać karetkę. – Cała spocona dotknęła przepraszająco dłonią twarzy męża. – Oni unieruchomią mi nogę i przeniosą mnie na noszach. Inaczej nie damy rady.

– Racja, racja. – Jacek niczym w amoku kiwał głową. Z jego twarzy odpłynęła cała krew, a blade usta drżały, gdy tłumaczył dyspozytorowi, co się stało.

W tym czasie Janek pocieszał brata i powtarzał mu, że wszystko będzie dobrze. Właściwie to nie miał pojęcia, jak będzie, ale słyszał to zdanie od rodziców za każdym razem, gdy się martwił. Był więc przekonany, że jest to coś, co należy w takiej sytuacji powiedzieć, i ze zdziwieniem odkrył, że Franio się uspokaja.

– Będą w ciągu kilkunastu minut. – Jacek otarł krople potu z czoła. – Coś ci podać? Może chcesz wody?

– Nie, po prostu złap mnie za rękę. – Uśmiechnęła się blado i oparła plecy o ścianę za sobą.

Jej głos był coraz cichszy, a powieki jedynie ledwie uchylone.

– O Boże, Emi, nie mdlej! Biegnę po wodę. – Trzęsły mu się ręce. – Mówcie do mamy, rozmawiajcie z nią – poprosił dzieci, wybiegając z holu.

Emilia nie odpowiedziała. Z błogim uśmiechem zamknęła oczy, a jej serce wypełnił spokój, bo czuła dotyk drobnych paluszków na policzkach.

– Mamusiu – docierało do jej uszu niczym najśłodsza melodia, a później zlało się z dźwiękiem syreny karetki pogotowia.



Było około południa, gdy aspirant Sylwia Konopacka położyła mu na biurku plik płyt DVD. Zamierzała je tam porzucić i od razu wyjść, by nie narażać się na niewybredne komentarze kolegi, ale widok Wilczyńskiego schowanego za numerem „Playboya” sprawił, że odezwała się mimowolnie, czego natychmiast pożałowała.

- Ukrywasz się przede mną?
- Ja? - Bruno wychylił się znad magazynu. - Nigdy w życiu.
- To dlaczego trzymasz to do góry nogami?
- Żeby spojrzeć na sprawy z innej perspektywy.

Sylwia uniosła brwi, a jej usta wykrzywiły się w wyrazie zniesmaczenia.

- Jesteś pewien, że powinieneś to robić w pracy?
- Nie wiem, ale przygotowałem kilka świetnych usprawiedliwień. Chcesz posłuchać?

- Niekoniecznie.

Sylwia wskazała na płyty, które przyniosła.

- Ostatnie dwa dni nagrań z monitoringu w tym bloku na Wilanowie. Furtka, dziedziniec i wejście do klatki. Mam ci też przekazać wiadomość z laboratorium. - Zerknęła na żółtą karteczkę. - Brak śladów orzechów w torcie.

Bruno cmoknął z niezadowoleniem, po czym wyciągnął rękę po nagrania.

- Czyli to nie są twoje sweet focie?
- Nie.
- Fatalnie.

Sylwia utkwiała wzrok w gąszczu żółtych karteczek Post-it przyklejanych do blatu biurka Wilczyńskiego. Było ich co najmniej sto. Ułożone w równych rzędach, niekiedy poprzedzielane nieco większymi odstępami, tworzyły grupy. Na większości z nich znajdował się tylko jeden wyraz, niekiedy dwa, gdy było to imię i nazwisko.

- Coś jeszcze? Bo chętnie wrócę do lektury. - Bruno rozłożył ostentacyjnie magazyn na stronie z nagą modelką rozchylającą nogi na plaży.

- Pękała się wścieknie. - Wskazała głową w stronę biurka.
- No coś ty, pożyczamy sobie archiwalne numery.
- Mówię o twoim zaangażowaniu w sprawę tej dziewczyny. Musiałam ukryć przed nim nagrania, bo zabronił nam tracić czas na bzdury.

Bruno spowaźniał.

- Więc gdybyś mógł... - Rozłożyła ręce, jakby poproszenie go o cokolwiek było dla niej zbyt dużym wyzwaniem.
- Spoko. Dołożę to do listy naszych sekretów. - Puścił do niej oko, a później obserwował, jak odwraca się w stronę wyjścia i w ostatniej

chwili zatrzymuje.

Nie spodziewał się tego po niej, więc za sam akt odwagi w myślach przyznał jej punkt.

– Dlaczego zachowujesz się jak palant?

Bruno niemal poczuł, jak pytanie wystrzelone przez aspirant Konopacką trafia go w splot słoneczny i na ułamek sekundy pozbawia tchu. Sylwia zadała je spokojnym, poważnym tonem. Nie brzmiało jak oskarżenie, które łatwo było zbyć, ale jakby naprawdę chciała go zrozumieć, a na to nie był gotowy.

– Bo mogę – odpowiedział z uśmiechem, choć wcale go to nie bawiło.

Konopacka spojrzała na niego smutno i wyszła, a on skłął się w myślach. Początkowo jego strategia miała onieśmielać kobiety, sprawiać, że będą trzymały się od niego na dystans. Oschłość i niewybredne żarty były skutecznym odstraszcaczem. Dzięki temu zyskiwał więcej przestrzeni dla siebie i nikt nie zawracał mu głowy pierdołami.

Przywdziewał tę skórę ekscentryka tak często, że z czasem zrosła się z nim i trudno było mu wyjść z roli, którą sam dla siebie napisał. Poczul w ustach gorycz na myśl o tym, jaką opinię musi mieć o nim młoda policjantka, ale szybko zdławił w sobie ten odruch sumienia i wrócił do karteczek przyklejonych na biurku. Czemu powinno go obchodzić, co ktoś o nim myśli? Miał teraz ważniejsze sprawy na głowie.

Potrzebował uporządkować wszystkie elementy i zobaczyć je z lotu ptaka. Liczył na to, że dostrzeże coś, co nieustannie mu umykało. Na liście rzeczy do zrobienia zapisał rozmowę z przyjaciółką Niny, przesłuchanie osób, które kontaktowały się z nią w ostatnich dniach, oraz przejrzenie nagrań z monitoringu. Po rozmowie z dziekanem uczelni wiedział już, że dziewczyna od kilku miesięcy nie pokazywała się na zajęciach. W ostatnim tygodniu władze uniwersytetu skreśliły ją nawet z listy studentów, a zawiadomienie o tym wysłano do jej rodzinnego domu. A więc oni też się zaraz dowiedzą, pomyślał.

W grupie kartek zaczynających się od słowa TAJEMNICE dokleił nową, z napisem UCZELNIA. Gdy podniósł głowę, zauważył stojącą nad nim dziewczynę. Miała okulary w stylu Harry'ego Pottera na nosie, równo przycięte włosy o mysim kolorze i udające eleganckie, ale jednak tanie ubranie, najpewniej z lumpeksu.

– Komisarz Wilczyński? – upewniła się.

Skinął głową, zastanawiając się, z kim ma do czynienia. Wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia lat.

Dziewczyna usiadła na krześle naprzeciwko, założyła nogę na nogę i splótła palce, jakby zamierzała odmawiać pacierz.

– Będziemy się modlić? – Zerknął na jej ręce.

Skonsternowana dziewczyna spojrzała na swoje dłonie i zaśmiała się.

– Nie. Po prostu trochę się denerwuję.

– To dobrze, bo zapomniałem dziś swojego różańca.

– Mam na imię Ewa, byłam współlokatorką Niny. Dzwonił pan do mnie. – Przycisnęła do siebie mocniej torebkę, którą trzymała na kolanach, jakby chciała się za nią ukryć.

Od razu przeszedł do rzeczy.

– Kiedy ostatnio miałyście ze sobą kontakt?

– Jakiś tydzień temu. Wpadłyśmy na siebie przypadkiem na patelni, wie pan, tam w centrum, przy wejściu do metra. Wymieniłyśmy uprzejmości, a gdy rozmowa przestała się kleić, każda poszła w swoją stronę. – Zaczęła skubać nitkę, która pruć się przy zamku torebki. – Od czasu jej wyprowadzki nie układało się między nami najlepiej.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Właściwie stałyśmy się sobie obce – odparła, patrząc w podłogę.

– Czemu się wyprowadziła?

Po tym pytaniu nastąpiła długa pauza. Ewa poruszyła się nerwowo na krześle, które zaskrzypiało, a następnie zdjęła okulary, przetała je rogiem bluzki i umieściła ponownie na nosie.

– Nie wiem, jak to powiedzieć. Nina zawsze miała swoje tajemnice. Długo obserwowałam, jak przynosiła do domu drogie ubrania i perfumy. Jak wracała opalona z weekendów u rodziców, choć w całej Polsce lało. Patrzyłam przez okno, jak wysiada z ekskluzywnych samochodów. Wiedziałam, że coś jest nie tak, ale zaczęłam pytać dopiero, gdy przestała chodzić na zajęcia. Nie chciałam, żeby zawałiła studia – westchnęła. – Była na mnie wściekła. Twierdziła, że za bardzo się wtrącam. W końcu powiedziała, że potrzebuje więcej przestrzeni, i się wyprowadziła.

– Wiedziałaś, czym się zajmowała, gdy opuszczała wykłady?

Ewa bawiła się pierścionkiem na palcu.

– Na początku nie, ale później odkryłam, że prowadzi konto na

portalu erotycznym. Umawiała się z facetami za kasę. Prezenty i wyjazdy były wynagrodzeniem od sponsorów. – Dziewczyna wzięła głęboki wdech i płaczącym głosem dodała: – Powiedziałam jej, że jest dziwką, i wtedy trzasnęła drzwiami i więcej nie wróciła do mieszkania. Teraz tego żałuję. Gdyby nie to...

Bruno obserwował, jak Ewa przytula się do torebki i łąka. Jej niewielka postać skuliła się na krześle, tworząc szarą, drgającą plamę.

– Jeśli cię to pocieszy, ja nieustannie mówię ludziom takie rzeczy.

Dziewczyna uznała, że policjant żartuje, i z uprzejmości parsknęła nerwowym śmiechem.

– Znasz jakieś nazwiska? Pseudonimy tych sponsorów?

– Nie. – Pokręciła głową. – Nina była w tym bardzo dyskretna.

– To jak trafiłaś na to jej konto?

– Chciałam jej zrobić niespodziankę. Miała urodziny, udałam, że wychodzę na uczelnię, a później zakradłam się po cichu z ciastkiem i świeczką. – Ewa schowała włosy za uszy. – Najpierw myślałam, że przegląda Facebooka, ale potem zobaczyłam jej nagie zdjęcia i zupełnie mnie zatkało.

– Zapisz mi nazwę tego portalu. – Bruno podsunął dziewczynie karteczkę i długopis. – I jej nick.

– To nic nie da, usunęła konto od razu po naszej kłótni. Może myślała, że się komuś wygadam.

– Obawiała się kogoś? Zazdrosnego chłopaka? Któregoś ze swoich kochanków? Rodziców?

– Ona nie miała chłopaka, ale może...

Ewa opuściła głowę, westchnęła ciężko i zaczęła szukać czegoś w torebce. Po chwili wyciągnęła z niej zmiętą gazetę.

– Może po prostu nie dawała już rady. – Podała policjantowi złożony na pół „Magazyn”. – Myślę, że to o niej. – Wskazała palcem na artykuł.

Bruno zerknął na nagłówek. „Pretty woman płacze”.

– Kiedy to się ukazało? – mruknął do siebie i zaczął wertować pismo. – Kwiecień.

– Wtedy już nie mieszkała ze mną.

– A skąd pewność, że to o niej?

– Ta dziewczyna mówi jak Nina. Poza tym zgadza się kilka detali.

– Myślisz, że była zdolna do samobójstwa?

Ewa zagryzła usta, nieznacznie pokiwała głową.

– Po tym, co przeczytałam, myślę, że Nina była zdolna do wszystkiego
– wyjaśniła ze smutkiem w oczach.

Policjant uznał, że tyle na ten moment wystarczy. Podziękował dziewczynie za rozmowę i do kartek na biurku dokleił nową, o której właściwie myślał już wcześniej: SPONSOR.



Larysa robiła pompki w swoim mieszkaniu przy Sarmackiej. Jej ciało, zroszone potem, było idealnie wyprostowane, a oddech ciężki. Mięśnie pulsowały pod skórą, jej wzrok zaś utkwiony był w jednym punkcie. Gdyby nie posapywała z wysiłku, przypominałoby to medytację, precyzyjny ruch w pełnym skupieniu. Tak dokładny i powtarzalny, jakby wykonywała go maszyna, a nie człowiek.

Przy ostatniej pompce wydała z siebie zwierzęcy okrzyk, po czym upadła na plecy, dysząc. Jej twarz była czerwona, a odrastające na głowie włosy mokre. Przez moment patrzyła w sufit, śledząc przesuwające się po nim cienie przejeżdżających samochodów. Wiedziała, że musi to zrobić. Od samego myślenia o telefonie do matki robiło jej się niedobrze, ale odsuwanie tego w czasie nie polepszało sprawy. Poza tym chciała przeczytać artykuł z archiwum i zrozumieć, czemu sponsor naprowadził ją na Andrzejewskiego. Zacisnęła zęby i sięgnęła po komórkę. Sygnał oczekiwania na połączenie powtarzał się tak długo, że uznała to za zachętę do kapitulacji, ale w chwili, gdy zamierzała się rozłączyć, dotarł do niej dawno niesłyszany głos. Był jak szponiaste dłonie z koszmaru, które chwytają ofiarę i wciągają ją w największą ciemność.

– No proszę, w końcu przypomniałaś sobie o matce? – Głos przypominał chłodny dotyk metalu. – Ile to już lat?

– Daj mi hasło.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia po tym, co zrobiłaś?

Larysa milczała, zacisnęła mocno powieki, a jej lewa dłoń zwinęła się w pięść.

– Wiesz, jak nas upokorzyłaś? Zastanowiłaś się chociaż raz, co przeżywaliśmy?

Czuła, że pod zimną i twardą skorupą, którą nadbudowywała przez ostatnie lata, zaczyna bulgotać gorąca lawa, gotowa, by wybuchnąć w każdej chwili. Nie rób tego, mówiła sobie w myślach, nie daj się sprowokować.

– Potrzebne mi hasło – powtórzyła najspokojniej, jak potrafiła,

wkładając w to więcej wysiłku niż w kilkadziesiąt pompek, które zrobiła przed momentem.

– Ty, ty i zawsze ty. Kiedy przestaniesz być taką egoistką? Bartek mylił się co do ciebie; wcale się nie zmieniłaś przez te wszystkie lata. Nadal jesteś tak głupio uparta jak wtedy.

– Zamknij się – rzuciła cicho przez zaciśnięte zęby, ale jej matka zdołała to wychwycić.

– O nie, moja droga. Nie będziesz się tak odzywać do matki. Jesteś nam winna wyjaśnienia. Przyjedziesz tu i przeprosisz ojca. Zbyt wiele dla ciebie zrobiliśmy, żebyś nas tak traktowała.

– Niby co zrobiliście?! Sprzedaliście za skrzynkę wódki i święty spokój?

Wiedziała, że jest już za późno. Nie była w stanie tego zatrzymać.

– Przesadzasz – odpowiedziała matka. – Nie stało się nic wielkiego. Nic, co usprawiedliwiłoby porzucenie szkoły i zerwanie kontaktów z rodziną.

– Czy ty siebie słyszysz? Zostałam zgwałcona, a ciebie i ojca obchodziło jedynie to, by wyciszyć tę sprawę i pozbyć się problemu. Zostawiliście mnie z tym samą.

– Nie waż się...

– Wiesz, dlaczego uciekłam i nigdy się do was nie odezwałam? – przerwała matce. – Chcesz usłyszeć, co powiedział ojciec, gdy wrócił pijany od starego Kamińskiego? „Załatwione”. Tylko że nic, kurwa, nie było załatwione. Bo synalek prezesa masarni w obstawie syna burmistrza zgwałcił waszą córkę. Sama śmietanka, nieprawdaż? Chcesz wiedzieć, co robili? Pluli mi w twarz, nazywali dziwką i śmiali się, gdy płakałam z bólu. Myślisz, że to można w ogóle w jakikolwiek sposób załatwić?

– Trzeba było nosić jeszcze krótsze spódniczki.

– Pierdol się. – Zerwała połączenie i rzuciła telefonem o ścianę tak, że rozpadł się na kilka kawałków. – Aaaaa!!! – wrzasnęła.

Opadła na podłogę i rozplakała się. Pierwszy raz od bardzo dawna. Przyciągnęła nogi do klatki piersiowej, objęła je ramionami i bujała się, przełykając słone łzy. Jednostajny ruch powoli przywracał spokój. Koił ból, który nosiła w sobie od lat. Muszę się skupić na pracy, pomyślała. Zaangażowanie w sprawy innych ludzi zawsze było remedium na jej problemy.

Podniosła się z podłogi, by pozbierać szczątki telefonu. Okazało się, że zniszczenia nie były tak tragiczne, jak przewidywała. Przy uderzeniu otworzyła i złamała się obudowa, a ekran pękł, tworząc efektownego pajęczka. Larysa docisnęła uszkodzoną pokrywę, wpisała PIN i z zaskoczeniem odkryła, że komórka nadal działa.

Przekonała się o tym chwilę później, gdy trzymany w dłoniach świeżo zmontowany smartfon zaczął nagle dzwonić. W pierwszym odruchu pomyślała, że to matka chce dokończyć swoją tyradę i na samą myśl o tym się spięła, ale chwilę później dostrzegła napis na ekranie. „Numer prywatny”.

Przed oczami stanął jej mężczyzna z hotelu. Sponsor, który zwabił ją w pułapkę i napuścił na nią rottweilera.

– Oszukałeś mnie – odebrała.

– Wręcz przeciwnie, dałem ci prezent. A może nawet zaproszenie? Zależy, jak to wykorzystasz.

– Nie bawią mnie twoje gierki. Umówiliśmy się, że powiesz mi, kim jesteś.

– Widzę, że jeszcze nie odrobiłaś lekcji. Wielka szkoda, miałem cię za sprytniejszą.

Larysa pokręciła głową. Wiedziała, że ją podpuszcza, a jednocześnie czuła narastającą irytację.

– Nie do twarzy ci z taką marsową miną – skomentował, a ona natychmiast rozejrzała się wokół i odsunęła od okna.

To absurd, wyjaśniła sobie, facet się mną bawi. Nie ma możliwości, by mnie obserwował. Odrzuciła tę możliwość, ale jej umysł analizował otoczenie.

– Masz jeszcze jakiś bluff w zanadrzu? – zapytała.

– A ty masz drugi telefon? Ten pewnie za długo nie pociągnie po tym, jak rzuciłaś nim o ścianę.

Ta informacja ją zmroziła.

– Gdzie jesteś? – Zbliżyła się do szyby i przesuwiała wzrokiem po oknach mieszkań w bloku po drugiej stronie ulicy.

Mężczyzna zaśmiał się.

– Wszędzie i nigdzie. Ja po prostu lubię obserwować. Ludzie są tacy ciekawi, gdy nie wiedzą, że ktoś na nich patrzy. Prawda?

Zastanawiała się, czy widział moment jej słabości. Czy udało mu się uchwycić tę jedną chwilę, gdy odsłoniła wszystkie pancerze i pokazała

swoje najdelikatniejsze miejsce.

– Znajdę cię – powiedziała, patrząc przez okno.

– Na to liczę – rzucił, nim się rozłączył.

Z wściekłości zakłęta pod nosem. Nie chciała tego przyznać, ale czuła, że sponsor ma nad nią przewagę. Był zawsze o kilka ruchów do przodu i obawiała się, że nie jest w stanie przewidzieć jego następnych posunięć. Coś jednak jej się nie zgadzało. Była pewna, że w tej rozmowie był jakiś inny. Zastanawiała się nad tym i po chwili doszła do wniosku, że chodziło o jego głos. Wydawał się łagodniejszy i nieco głębszy, ale to nie miałyby żadnego sensu. Ostatecznie stwierdziła, że coś sobie ubzduriała.

Gdy ponownie zerknęła na wyświetlacz telefonu, zobaczyła, że ma nieodczytaną wiadomość od matki. Wzdrygnęła się i zamierzała ją usunąć, ale w ostatniej chwili cofnęła palec i otworzyła SMS-a. W treści było tylko jedno słowo: Larysa. Zdziwiła się, ale nagle dopadła ją irracjonalna myśl. Otworzyła laptopa, znalazła plik od Bartka i kliknęła dwukrotnie. Gdy na ekranie zamigotało okienko z miejscem na hasło zabezpieczające dostęp do dokumentu, wpisała własne imię. Ku jej zaskoczeniu plik się otworzył, a przed oczami miała artykuł o Michale Andrzejewskim.

Troskliwy ojciec czy perfidny sadysta?

Michał Andrzejewski, oskarżony o znęcanie się nad dzieckiem, odpowie dziś przed sądem. Grozi mu za to nawet do kilku lat pozbawienia wolności. Według prokuratury matka i ojciec chłopca od jego urodzenia, czyli od października 1975 roku, do maja 1980, to jest do momentu ujawnienia sprawy, znęcali się fizycznie i psychicznie nad synem, m.in. w ten sposób, że zamykali go w ciasnym pomieszczeniu, nie wyprowadzali z mieszkania, izolowali od rodziny i innych ludzi, nie odżywiali w sposób właściwy, zaniedbywali emocjonalnie i społecznie. W ocenie prokuratury spowodowało to znaczne opóźnienie rozwoju fizycznego, obniżony wzrost i zaniki mięśniowe, a także spowolnienie rozwoju psychoruchowego i emocjonalnego.

Według ustaleń prokuratury matka chłopca wpadła w depresję i odrzuciła go zaraz po urodzeniu. Chciała zostawić syna w szpitalu, ale mąż się nie zgodził. Zapewniał, że będzie się nim zajmował, lecz się z tej obietnicy nie wywiązał. Kobieta zmarła pod koniec 1979 roku w wyniku wylewu krwi do mózgu. Bulwersującą prawdę ujawnił pod koniec maja lokalny ośrodek pomocy społecznej po sygnale od osoby, która odwiedziła rodzinę. Osoba ta zobaczyła zaniedbane dziecko ukrywane w kojcu za regałem. Pięcioletniego chłopca, który wyglądał na trzy lata. Oprócz niego małżeństwo miało jeszcze czworo dzieci

w wieku piętnastu, jedenastu, dziewięciu i siedmiu lat. Na wniosek Ośrodka Pomocy Społecznej Sąd Rodzinny wszczął postępowanie przeciwko ojcu. Do odebrania chłopca nie doszło, gdyż ojciec sam zrzekł się opieki nad nim. Chłopiec został umieszczony w rodzinie zastępczej. Obecnie rozwija się prawidłowo. Sąd Rodzinny skontrolował natomiast opiekę nad czwórką pozostałych dzieci tego małżeństwa. Dopatrzył się nieprawidłowości i ograniczył ojcu władzę rodzicielską. Rodzina jest pod stałym nadzorem kuratora sądowego.

Larysa przeczytała artykuł kilkakrotnie, czując coraz bardziej zaciskający się żołądek. Jakim potworem trzeba być, by zrobić coś takiego? Dlaczego starsze dzieci nie reagowały? Czy tak bardzo bały się ojca? Wpisała do wyszukiwarki hasło „Michał Andrzejewski” i kilka naprowadzających słów, ale nie znalazła niczego, co wiązałoby się ze sprawą. Wiedziała jednak, kto może jej pomóc.

Skopiowała artykuł i wysłała go Wiśniewskiemu. Jeśli cokolwiek pojawiło się w archiwach „Magazynu”, Paweł to znajdzie. A im szybciej to zrobi, tym lepiej.



Marian Pękała poprawił się na obrotowym krześle, które zaskrzypiało pod jego ciężarem. Wyciągnął z dolnej szuflady kanapkę, którą złapał rano na stacji benzynowej, i odwinął ją z szeleszczącej folii. Niewielki pokoiik wypełnił zapach zielonej cebulki, a Pękała zwilżył językiem usta i cmoknął. Następnie zatopił zęby w podejrzanie miękkiej bagietce, a na jego twarzy zaczął malować się wyraz błogości.

– Co tu tak śmierdzi? – zapytał Bruno, który bez ostrzeżenia wtargnął do gabinetu szefa. – Litości, wieszaj tę tabliczkę ode mnie na drzwiach, gdy robisz takie rzeczy.

– Nie mam takiego zamiaru – odpowiedział naczelnik, przeżuwając swój posiłek.

– Dlaczego? Lubisz, jak ktoś patrzy?

Pękała pokręcił głową z niedowierzaniem, po czym sięgnął do szuflady po metalową zawieszkę i rzucił ją na biurko.

– „Uwaga, zły pies” – przeczytał napis obok wizerunku owczarka niemieckiego. – Serio miałbym to wywiesić?

– Mają jeszcze takie z napisem: „Uwaga, dobry pies, ale ma słabe nerwy”. Może rzeczywiście to bardziej do ciebie pasuje? – Bruno udał, że popada w zadumę.

Naczelnik westchnął.

– Mam nadzieję, że jest jakiś ważny powód, dla którego zawracasz mi dupę – wysapał, mlaskając.

– Nina Zaniewska.

– Nie mamy o czym rozmawiać. Brak znamion czynu zabronionego.

– Niezupełnie.

Pękała odłożył kanapkę. Poprawił okulary na nosie i odchrząknął.

– Powiem to ostatni raz i nie będę powtarzał. Zapomnij o tej CHOLERNEJ SPRAWIE! – Przy ostatnim słowie naczelnik uderzył pięścią w stół. – Masz jakieś DNA? Podejrzanych? Cokolwiek? Nie? To o czym my tu, kurwa, rozmawiamy?! – Nad górną wargą zwiślała mu kropla potu. – Kogo za to wsadzisz? Duszka Kacpra? Swoimi dowodami możesz sobie podetrzeć tyłek. Żaden sąd się na to nie nabierze. – Wytarł dłonią usta. – Zrozumiałeś?

Bruno wpatrywał się w szefa, zastanawiając się, jaką strategię przyjąć.

Mógł wyłożyć przed nim wiele argumentów. Powiedzieć o wstrząsie anafilaktycznym, uczuleniu na orzechy, choć te informacje zapewne Pękała już widział w raporcie. Mógł go zaskoczyć tym, że Zaniewska miała sponsora, a może kilku sponsorów, co potencjalnie otwierało cały wachlarz motywów zabójstwa. I wreszcie mógł ujawnić, że w mieszkaniu ofiary na lustrze znalazł ukrytą wiadomość, imię swojej matki, która popełniła samobójstwo dokładnie trzydzieści lat wcześniej.

Tylko że naczelnik był za starym wyjadaczem, by go to ruszyło. Obaj wiedzieli, że na dobrą sprawę te wszystkie informacje nic nie znaczą. No, chyba że o obsesji Brunona na punkcie śmierci matki, co Pękała z pewnością by podkreślił. W takich okolicznościach trzeba było wybrać inne rozwiązanie.

Jeśli nie możesz ich pokonać, przyłącz się do nich.

– Jasne, szefie. Załatwione.

– Naprawdę? – Naczelnik spojrzał na niego podejrzliwie znad okularów; zdziwił się, że tak szybko poszło. – Żadnej pyskówki? Buntu?

– Bunt wyszedł z mody. Będę cię hejtował w sieci. Tak to się dzisiaj robi.

– Zachowaj te głupie żarciki dla swoich kumpli. O ile jeszcze jakichś masz.

– Auć! To było wredne. I muszę przyznać, że nawet mi się podobało.

Wilczyński wyciągnął dłoń w stronę szefa, jakby chciał mu przybić piątkę, ale Pękała to zlekceważył.

– I zostaw Sylwię w spokoju – dorzucił. – Jak się dowiem, że znowu ją do czegoś angażujesz, oboje będziecie mieli przesrane.

– Jak to: znowu?

– Wiem, że kazałeś jej przygotować nagrania z monitoringu.

– Nigdy w życiu. – Bruno udał zaskoczonego.

– Masz mnie za idiotę?

Wilczyński wzruszył ramionami.

– Udam, że nie słyszałem tego pytania.

– Posłuchaj Bruno, to, że jesteś... choć nie wiem, czy nie powinienem powiedzieć: byłeś... dobrym glina, nie znaczy, że wolno ci więcej niż innym. Obowiązują cię takie same zasady i konsekwencje. A wierz mi, osobiście dopilnuję, żebyś dostał porządny wpierdol, jeśli coś spieprzysz.

– Zmieniłeś się w mojego ojca? Będziesz mi teraz prawić kazania?

– Ktoś musi. – Surowe spojrzenie Pękały złagodniało. – Nadal z nim nie rozmawiasz?

Bruno wstał z krzesła.

– Kanapka ci stygnie – rzucił i wyszedł z pokoju.

Na korytarzu wpadł na Sylwię.

– O Boże, nie. Byłeś u Pękały. Wie o DVD? – Jej oczy zrobiły się jeszcze większe niż zazwyczaj.

– Coś ty, to idiota, w życiu się nie domyśli. – Objął ją ramieniem i prowadził korytarzem w stronę swojego biurka. – Ale jest inny temat.

– Nie mogę. – Zaczęła kręcić głową.

– Prosta sprawa. Dam ci kilka numerów telefonów, a ty sprawdzisz, do kogo należą.

– Sam to zrób. Ja nie chcę kłopotów.

– Mam ważne spotkanie. Poza tym zataję twój udział w tym niecnym procederze.

– Prędzej czy później to i tak wyjdzie na jaw.

- Niekoniecznie. Problem oddalony to problem nieistniejący.
- Jesteś stuknięty. Masz jakiś problem z ego.
- Diagnozujesz mnie? W sumie to nie takie złe, dzięki tobie zaoszczędzę na psychoanalityku. – Wzruszył ramionami.
- Na twoim miejscu radziłabym nie oszczędzać. – Spojrzała na niego poważnie i zniknęła za drzwiami toalety.



- Hej, księżniczka! Gdzie się tak spieszysz?

Larysa usłyszała za plecami głos jednego z dziennikarzy „Magazynu”. Zatrzymała się i powoli odwróciła w stronę, z której docierało wołanie. Przyglądała się niedogolonej twarzy Kuby, który miał na głowie czapkę z daszkiem z napisem: „not impressed”. Gdy stanął obok niej, poczuła zapach przetrawionego alkoholu i marihuany. Miał w sobie tę zadziorność co zwykle, wysoko podniesiony podbródek, ręce na biodrach i tubalny głos, którego używał tak, jakby chciał, by wszyscy go słyszeli. Nic groźnego, od początku był zazdrosny o jej relację z Wiśniewskim i nigdy nie krył się z tym, że za nią nie przepada. Jednak tym razem coś w jego spojrzeniu i uśmiechu błakającym się po twarzy ją zaniepokoiło.

- Nie mam czasu. Streszczaj się.
- Mam dla ciebie prezent.
- Niepotrzebna fatyga. – Odwróciła się, by odejść, ale złapał ją za ramię.
- Wiesz, gdybym wcześniej wiedział, jak wyglądasz, gdy nie masz na sobie tych męskich łańców, pewnie byłbym dla ciebie miłszy.

- Co ty pieprzysz?

Kuba sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął z niej pendrive’a.

- Mam tu kilka ciekawych zdjęć i zachodzę w głowę, co robiłaś w recepcji Intercontinentalu ubrana w kusą kieckę. – Bawił się urządzeniem. – Przyznam, że nie od razu cię poznałem, ale wreszcie zaczynam rozumieć, dlaczego naczelny tak cię lubi. Wyjaśnisz, co tam robiłaś? Chyba Wiśnia nie płaci ci tak mało, że musisz dorabiać po godzinach?

Larysa wyrwała mu pendrive’a. Nie musiała długo myśleć, by

zrozumieć, co na nim było. Sponsor najwyraźniej nie zamierzał jej tak zostawić i właśnie wyciągnął asa z rękawa.

– Skąd to masz? – zapytała.

– Po co od razu te nerwy? Dziewczyny z recepcji na dole zadzwoniły, że jest do mnie przesyłka. Skąd mogły wiedzieć, że wygrałem w totka?

Larysa zacisnęła szczęki, jej umysł pracował na najwyższych obrotach.

– Wiesz, kto to zostawił?

– Jakiś dzieciak. Na kopercie było napisane: „Jakub Gola, do rąk własnych”.

– Żadnego nadawcy? Ani wiadomości?

– *Null*.

– Kto jeszcze to widział?

– Nikt. Za kogo mnie masz?

– To ostatnia rzecz, którą chciałbyś usłyszeć.

Patrzyła na dziennikarza spod ściągniętych brwi. To brzmiało zbyt pięknie. Była pewna, że zwołał przed monitor pół redakcji, odpalili popcorn, a później przekrzykiwali się w komentarzach. Usiłowała zrozumieć, czemu sponsor wysłał zdjęcia Kubie. To nie miało sensu. W ten sposób podniósł jej jedynie ciśnienie i sprawił, że miała jeszcze większą motywację, by go odnaleźć. A więc o to ci chodziło, pomyślała. Odwróciła się i zaczęła iść korytarzem w stronę gabinetu Pawła.

– Nie ma za co! – usłyszała za sobą.

Zatrzymała się i spojrzała na Kubę przez ramię.

– Zrobiłeś kopię?

Uśmiechnął się.

– Na wszelki wypadek. Zachowam ją na czarną godzinę.



– Przez rok?! – Emilia nie mogła uwierzyć, że metalowa blacha, która została przykręcona do jej kości piszczelowej, będzie znajdować się w jej ciele przez kolejne dwanaście miesięcy.

– Dokładnie tak. Będiesz dzwonić na wszystkich lotniskach. – Mąż uśmiechnął się do niej. – Za rok przyjdiesz na chwilę do szpitala, lekarze usuną metal i wszystko będzie jak dawniej.

Leżąc na szpitalnym łóżku, zamknęła oczy i powoli wypuściła powietrze. Jacek odsunął jej włosy z twarzy, po czym mocniej uścisnął jej rękę.

– Nic się nie martw. Za dwa miesiące zdejmiesz gips i odstawisz kule. A po rehabilitacji nie będziesz nawet pamiętać o wypadku.

Pokiwiała głową, ale myśl o tym, że przez jakiś czas będzie uwięziona we własnym ciele, zdana na jego łaskę, paraliżowała ją. Jeśli mężczyzna, do którego dzwoniła, znał prawdę, pewnym było, że prędzej czy później zjawi się w ich domu ponownie, a ona nie będzie w stanie obronić przed nim chłopców.

– Coś cię niepokoi? – Mąż przyglądał się jej z uwagą. – Myślisz cały czas o tym mężczyźnie?

Emilia wstrzymała oddech, a jej serce zaczęło uderzać tak mocno, że była pewna, iż Jacek to słyszy.

– To jakiś przypadkowy facet – kontynuował jej mąż. – Może czegoś szukał, wszedł na chwilę na podwórko i akurat uchwyciłeś go na zdjęciu. Dzieciaki pewnie zostawiły uchyloną bramkę, zresztą sama wiesz, co się wtedy działo. – Wzruszył ramionami. – Nie rozumiem, czemu aż tak się tym przejęłaś. I w ogóle co to za pomysł, żeby ktoś miał zabrać nasze dzieci?

Zaciskała zęby, zastanawiając się, co mu odpowiedzieć. Tak bardzo chciałyby przyznać się do wszystkiego, do jednego małego błędu, przez który stała się kłębkiem nerwów. Los otwierał przed nią furtkę do wyznania. Zapraszał i kusił, by uwolniła tajemnicę, która trawiła ją od środka. Jakby słyszała szept: „zrób to, później będzie tylko trudniej”. A mimo to nie potrafiła odpuścić kontroli, bała się, że konsekwencje będą jak tajfun, który nie wybiera ofiar, pochłania je bez względu na czystość sumienia i rodzaj intencji. Ale najbardziej obawiała się, że wrzask, który przez cały czas dusiła w sobie, wydostanie się na zewnątrz, a wtedy wszyscy zobaczą, kim jest naprawdę.

– To się zdarza – powiedziała powoli. – Żli ludzie porywają niewinne dzieci. – Patrzyła na swoje dłonie i bawiła się obrączką.

– Ale dlaczego mieliby je porwać właśnie nam? Twój strach jest irracjonalny. – Ujął jej twarz w dłonie, a jego ton przypominał sposób mówienia ojca do małej dziewczynki.

– A co ty o nim wiesz, co? – Wyrwała się mężowi. – Ktoś był u nas podczas przyjęcia i wrócił.

Jej mąż westchnął, a jego oczy posmutniały.

– Myślę, że powinnaś odpocząć. – Objął ją delikatnie ramieniem, ale odepchnęła go.

– A ja myślę, że powinieneś pojechać do domu i przeczytać napis na lustrze w łazience. – Patrzyła na męża wzrokiem nietolerującym odmowy, a jej dłonie drżały.

Jacek wyglądał teraz jak zbity pies. Jakby było mu żal Emilii i czuł się odpowiedzialny za jej stan. Zbyt wiele zostawił na jej głowie. Samo wychowanie dzieci musiało być dla niej obciążeniem, a do tego jeszcze prowadzenie bloga, dbanie o dom i stresy związane z samotnymi wieczorami.

– Powiniennem mniej pracować... – zaczął, ale żona mu przerwała.

– Nie o to chodzi – rzuciła przez zaciśnięte zęby. – Po prostu jedź tam i zobacz ten cholerny napis. Proszę cię. – Jej oczy zaszklily się.

Kiwnął głową i postanowił, że dla świętego spokoju zrobi to, na czym jej zależy. Po drodze do samochodu wstąpił do gabinetu lekarskiego i poprosił, by z jego żoną porozmawiał jakiś psychiatra. Na potrzeby chwili wyjaśnił, że martwi się, czy Emilia przypadkiem nie jest w szoku. Pół godziny później, stojąc przed lustrem w łazience, wybrał jej numer.

– I co? – zapytała, obgryzając skórki wokół paznokci.

Była pewna, że lada chwila będzie musiała mu wyjaśnić, co sugeruje napis na lustrze i dlaczego tak ją przeraził. Na samą myśl o tym trudno było jej oddychać.

– Tu nic nie ma, Emi. Lustro jest czyste.

– To niemożliwe! Przyjrzyj się dokładnie.

Miała ochotę wyskoczyć z łóżka i pobiec do domu, by sprawdzić to osobiście.

– Zrobiłem to, kochanie. Sprawdziłem kilka razy. Nie ma na nim nawet rysy. Może byłaś zaspana albo miałaś złe sny?

Emilia opuściła z rezygnacją telefon na szpitalne łóżko. To możliwe, pomyślała. Ostatnio umysł płatał jej figle. Była tak bardzo napięta, że niekiedy nie oddzielała własnych wyobrażeń od rzeczywistości. Zrobiło jej się smutno i już zamierzała przeprosić, gdy przypomniało jej się coś istotnego.

– Czy w łazience pachnie octem? – zapytała nagle.

– Nie mam pojęcia. – Wciągnął nosem powietrze, skrzywił się

i wzruszył ramionami. – Nie wiem, może trochę.

– Pani Wala – powiedziała Emilia.

Jacek przez moment zastanawiał się, co jego żona miała na myśli, aż w końcu dotarło do niego. Pani Wala była ich sprzątaczką. Przychodziła raz na dwa tygodnie pomóc w porządkach. Miała swój klucz i stałe obowiązki. Dzięki temu dom był czysty, a oni mieli więcej czasu dla siebie.

– Powiesz mi chociaż, co to był za napis?

– To już nieważne – odparła zrezygnowana.

– Jeszcze przed chwilą było śmiertelnie istotne.

– Tak myślałam, ale teraz uważam, że chyba jednak miałeś rację. Jestem przemęczona, muszę się zdrzemnąć.

Brzydziła się kłamstwami, jednak świadomość, że będzie zmuszona wyciągnąć z cienia swój sekret, poddać się i postawić na szali rodzinę, spowodowała, że zdecydowała się brnąć w iluzję, w którą sama chciała uwierzyć.



Paweł Wiśniewski zdjął z nosa okulary w rogowej oprawie i przetarł ręką spoconą skórę na nosie. Miał potargane włosy, a fioletowe cienie pod oczami świadczyły o tym, że kiepsko spał poprzedniej nocy.

Prawda była taka, że odkąd otworzył maila od Larysy, nie umiał sobie znaleźć miejsca. Historia rodziny Andrzejewskich spowodowała, że cały czas czuł swędzenie, jakby ktoś wrzucił mu za koszulkę garść owoców dzikiej róży. Świadomość krzywdy dziecka ukrywanego za regałem, chłopca, który musiał być niewidzialny i cichy, budziła w nim niewyobrażalny gniew. Tak wielki, że nie mógł go w sobie pomieścić, a przez to stawał się trudny dla otoczenia. Od rana zdążył nakrzyczeć na Marię i pogonić stażystkę, co właściwie mu się nie zdarzało.

Siedział więc teraz zgarbiony pod ciężarem wyrzutów sumienia i rozważał, czy to dobry moment, by wyciągnąć z biurka małą porcję gorzkiej żołądkowej. Substancji, która mogła zneutralizować złość albo ją spotęgować. Mogła przynieść ulgę albo zamienić jego udręki w jeszcze większy koszmar.

Nim zdążył podjąć decyzję, drzwi gabinetu otworzyły się i do środka

weszła Larysa. Rzuciła plecak na jego biurko, a następnie usiadła w obrotowym fotelu po drugiej stronie stołu.

– Masz coś? – rzuciła, nie siląc się na uprzejmości.

Wiśniewski pokiwał głową. Podał jej plik kartek wydrukowanych z archiwum i czekał. Nie było tego wiele, zaledwie trzy artykuły. Dwa dotyczące samego Michała Andrzejewskiego i jeden, który mógł ją zainteresować. Ten położył na samym spodzie, chciał, by przeczytała go na końcu. Oparł głowę na dłoniach i patrzył, jak jej oczy przeskakują po kolejnych wersach, aż wreszcie źrenice robią się większe, usta uchylają, a ona czyta fragment, który znał na pamięć.

– „J. Andrzejewski został oddany do adopcji, zyskując tym samym szansę na normalny dom” – powtórzyła na głos.

– Właśnie tak.

– Jakub Andrzejewski? – zastanawiała się na głos. – Muszę się spotkać z dziennikarzem, który to napisał. – Zerknęła na wydruk. – Grzegorz Brzozowski, znasz?

– A i owszem. – Paweł podrapał się za uchem. – Należeliśmy kiedyś razem do Stowarzyszenia Dziennikarzy. Zarozumiały gbur, ale całkiem nieźle pisał.

– Dasz mi jego numer?

– Nie potrzebujesz. Zaprosiłem go, gdy tylko zorientowałem się, że wie coś o tej sprawie, wpadnie tu za chwilę.

Jak na komendę za drzwiami zawrzało. Słysząc było jakieś przepychanki, a podniesiony głos sekretarki z nerwów przechodził w pisk.

– Nie ma mowy. Nie może sobie pan tak po prostu tam wejść.

– Tak? To spróbuj mnie zatrzymać. – Mężczyzna w T-shircie i sportowej marynarce zręcznie wyminął kobietę i po chwili wpadł do gabinetu Pawła.

– Dzień dobry – rzucił z czarującym uśmiechem, który zbladł, gdy tylko jego wzrok napotkał Larysę.

Nim jednak zdążył zareagować, do środka weszła sekretarka.

– Panie redaktorze, przepraszam, ale nie byłam go w stanie zatrzymać – mówiła, łapiąc oddech. – Wezwę ochronę.

– Nie trzeba. – Larysa obrzuciła mężczyznę wzrokiem i spojrzała na Wiśniewskiego. – Nie uprzedziłeś, że mamy tu zlot zarozumiałych gburów.

– Och, przestań mnie wielbić, bo się zawstydzę. – Intruz posłał Larysie nienawistne spojrzenie, ale ona je zignorowała.

Paweł z sekretarką wydawali się skołowani. Wiśniewski dał kobiecie znak, by wyszła, a sam zwrócił się do Larysy.

– Znacie się?

– Nie – zaprotestowała.

– Tak! – potwierdził w tej samej chwili nieproszony gość.

– Zapowiada się ciekawie – podsumował Paweł, pocierając czoło. – Może się chociaż przedstawisz, skoro tak tu wparadowałeś?

– Dupek, mizantrop, cynik – uprzedziła mężczyznę Larysa. – Pomagam, na wypadek gdyby opanowała cię nieśmiałość.

– Tyle komplementów naraz. Nie wiem, czy to udźwignę.

– Dość! – Paweł spojrzał na Larysę, która otworzyła usta, gotowa do rzucenia kolejnej riposty.

Intruz zaśmiał się pod nosem.

– Komisarz Bruno Wilczyński. Chcę wiedzieć, kto pisze do „Magazynu” pod pseudonimem Sting.

– Nie mogę tego ujawnić – wyjaśnił Paweł.

– Musisz. Dziewczyna, o której pisaliście niedawno, nie żyje. Muszę porozmawiać z dziennikarzem, który przygotował o niej reportaż.

Larysa zerknęła na szefa.

– Przykro mi, ale to nic nie zmienia. – Paweł bronił zasad, które sam kiedyś ustanowił.

– Popełniła dziwne samobójstwo. Udusiła się po zjedzeniu orzechów, na które była śmiertelnie uczulona.

Larysa drgnęła, a Wiśniewski westchnął. Miętosił w dłoniach długopis, a jego zęby przygryzały wewnętrzną stronę policzka, gdy zastanawiał się, jak wybrnąć z tej sytuacji.

– Przekażę tę informację swojemu reporterowi – odparł w końcu.

– Myślę, że on już ją słyszał. – Wilczyński spojrzał na Larysę. – Prawda, Sting?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Doskonale wiesz. Zdradził cię wyraz twarzy. Zwykle patrzysz na mnie z nienawiścią, ale przed chwilą jej miejsce zajęła ciekawość. Jestem pewien, że ta dziewczyna nie była ci obojętna. Lepszy ze mnie śledczy niż bokser – dodał komisarz z uśmiechem.

Nie miał racji, ale skąd mógł wiedzieć, że Nina Zaniewska, jak

większość ludzi, nie miała dla Larysy wielkiego znaczenia? Jedyńm, na czym jej zależało, było zdemaskowanie mężczyzny, którzy krzywdził kobiety.

– Skończyłeś? Mamy za chwilę spotkanie.

– Zaczekam na dole, w Nero. Zamówić ci ciastko?

– Daruj sobie.

– No tak, jesteś wystarczająco słodka. – Puścił oko do Pawła i wyszedł z jego gabinetu.

Wiśniewski odprowadził go wzrokiem, a później poprawił się na krześle.

– Nie wiedziałem, że masz kolegów w policji. Właściwie w ogóle nie wiedziałem, że masz jakichkolwiek kolegów.

– Nie mam.

W tej samej chwili na biurku rozdzwonił się telefon.

– Wpuść go – rzucił chwilę później do słuchawki Paweł. – To skąd się znacie? – zrećznie wrócił do rozmowy z Larysą.

– Nie znamy się. Pamiętasz, jak pytałeś o siniak na policzku? Pobiłam tego gościa w klubie u Griszy.

– Policjanta?

Wzruszyła ramionami.

– A jakie to ma znaczenie?

– Nienawidzisz glin, więc myślę, że dość duże.

– Po prostu im nie ufam.

– Martwi mnie samobójstwo Niny Zaniewskiej – zmienił temat. – Myślisz, że komuś mogła przeszkadzać ta publikacja o niej? To może być sprawa sponsora?

Larysa nic nie powiedziała; wydawało się jej, że nad ich głowami zbierają się wyjątkowo ciężkie, czarne chmury i że to, co obserwują, jest jedynie preludium do piekła, które się niebawem rozpęta. Doskonale pamiętała słowa Niny. „On zawsze panuje nad sytuacją. Jest nieprzewidywalny i niebezpieczny. Nie możesz się z nim skontaktować. To on skontaktuje się z tobą”.

Rozległo się pukanie do drzwi, które przerwało jej myśli. Po chwili do środka wszedł starszy mężczyzna z łysą głową i pewnym siebie uśmiechem na twarzy.

– Widzę, że zrobiłeś się na Kojaka. – Wiśniewski wstał, by przywitać kolegę.

Uścisnęli sobie ręce.

– Kopę lat. – Grzegorz Brzozowski rozglądał się po gabinecie. – Nieźle gniazdko tu sobie urządziłeś. Trochę staromodnie i pachnie stęchlizną, ale przynajmniej twoje własne – zarechotał, po czym zwrócił się do Larysy: – Kawę z mlekiem poproszę.

Dziewczyna ani drgnęła, obrzuciła go sceptycznym spojrzeniem i splotła ramiona na piersiach. Zauważyła, że mężczyzna ma na koszulce plamę z keczupu, a po rozmiarze jego brzucha i unoszącym się wokół niego zapachu wносиła, że w drodze na spotkanie zapewne pochłonał niejednego hot doga. Brzozowski patrzył na Wiśniewskiego w nadziei, że przedstawi mu koleżankę, ale Paweł nigdy tego nie robił. Im mniej osób wiedziało o Larysie, tym lepiej. Umówili się tak kilka lat temu i tego się trzymali.

W pokoju na ułamek sekundy zapanowała niezręczna cisza. Dziennikarz spochmurniał, po czym machnął ręką.

– No dobra. Skoro omijamy część oficjalną, może dowiem się, czemu interesuje was sprawa Andrzejewskich? To było wieki temu, nikt już nic nie pamięta.

– W swoim artykule użyłeś inicjału J. Andrzejewski. Pamiętasz, jak miał na imię ten chłopiec? – przeszła do sedna Larysa.

– Konkret i bezpośredniość. Też kiedyś taki byłem. – Pokiwał głową w zamyśleniu. – To ciekawe, bo kilka dni temu ktoś pytał o to samo.

– Kto?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Jakiś facet zadzwonił do mnie z zastrzeżonego numeru. Nie przedstawił się. Zadał tylko to pytanie, a gdy odpowiedziałem, rozłączył się.

– I co mu powiedziałeś? – Paweł nachylił się w stronę rozmówcy.

– Prawdę. Dzieciak Andrzejewskich miał na imię Jakub.

Larysa poczuła, jak krew odpływa z jej twarzy. Jakub Andrzejewski miałby dzisiaj około czterdziestu pięciu lat. Pasował do układanki. Do tego po przeżyciach, jakie zafundowali mu rodzice, mógł zmienić się w bezduszną bestię. Jakub Andrzejewski mógł być sponsorem.

– Wiesz, co się z nim później stało? – Naczelnny miał skupiony wyraz twarzy.

– Nie bardzo. Jego ojciec odgrażał się, że po niego wróci, dlatego opieka społeczna utajniła miejsce pobytu małego. Z tego, co wiem, dla bezpieczeństwa zmienili mu też imię i nazwisko.

– Może znajdziemy coś w aktach. – Larysa zerknęła na szefa.
– Nie wydaje mi się. Moglibyście porozmawiać z jego rodzeństwem, ale ostatnie z nich zabiło się dwa lata temu. – Rozłożył ręce – To był popieprzony dom. Te dzieciaki jadły obiad z ojcem przy stole i udawały, że nie słyszą krzyków brata uwięzionego za szafką. Wyobrażacie to sobie? Nic dziwnego, że wszyscy po kolei popełnili samobójstwo.

Paweł z Larysą spojrzeli po sobie.

– Co takiego? – dopytała z niedowierzaniem dziennikarka.

– Cała czwórka. Jedno po drugim. A może nawet piątka, jeśli Jakub też podzielił ich los. Tylko stary Andrzejewski nadal siedzi w Choroszczy i żyje na koszt państwa.

Larysa chwyciła swój plecak, wrzuciła do niego artykuły wydrukowane przez Wiśniewskiego i skierowała się do drzwi.

– Lara! – zawołał Paweł.

Odwróciła się, pewna, że usłyszy jakieś idiotyczne zdanie w stylu: „Uważaj na siebie” albo zagrzewające do walki: „Dorwij go”, ale tym razem się myliła.

– Masz trzy dni, żeby mi dostarczyć reportaż o sponsorze. Jeśli go nie dostanę, biorę na jedynekę artykuł Kuby.

Takiego Wiśnię ceniła – zdecydowanego, twardego i pewnego swoich decyzji. Właściwie męczyła ją taryfa ulgowa, o którą nigdy nie prosiła. Co więcej, zachowywała się w sposób, który powinien ją pozbawić jakichkolwiek przywilejów.

– Witaj z powrotem, szefie – rzuciła, a potem wyszła.

Mijając kawiarnię, dostrzegła siedzącego w środku policjanta, ale rozmowa z nim była ostatnim, czego teraz potrzebowała. Dlatego pokazała mu środkowy palec, po czym wsiadła w samochód i odjechała.



Bruno zauważył Larysę, gdy wsiadła do samochodu i odpalała silnik. Rzucił nadgryzionego croissanta i kawę i pognął na parking, popychając po drodze jakąś dziewczynę w niewiarygodnie krótkiej spódnicy, co na ułamek sekundy rozproszyło jego uwagę.

– Stój! – wrzasnął, biegnąc za sportowym citroënem, ale zdążyła już

zeskanować kartę i znikła powoli za opadającym szlabanem. – Cholera jasna. – Sięgnął po telefon i wybrał jej numer.

– Pała z bieganina – rzuciła, gdy tylko podniosła słuchawkę. – Ale nie miej kompleksów, kupiłam go od wicemistrza rajdu PPC.

– Zzieleniałem z zazdrości. A teraz zatrzymaj tego gruchota i wracaj. Mieliśmy pogadać o Zaniewskiej.

– Co chcesz wiedzieć?

– Będziemy rozmawiać przez telefon? Tak bez patrzenia sobie w oczy?

– Następnym razem, gdy powiesz coś równie głupiego, rozłączę się.

– Po prostu przyznaj, że nie możesz znieść napięcia między nami. – Gdy tylko to powiedział, usłyszał w słuchawce dźwięk zerwanego połączenia. – Przynajmniej jest konsekwentna – rzucił do siebie i wrócił do środka dopić kawę.

Przez duże kawiarniane okno obserwował chmury przesuwające się nienaturalnie szybko po szarym niebie. Ten widok przypominał mu pewien dzień z odległej przeszłości. Dzień, którego starał się nie pamiętać, a który powracał, odkąd przyjechał do mieszkania Niny Zaniewskiej.

Niechciane obrazy z przeszłości zaczęły zalewać go falami. Bronił się przed tym. Nie miał zamiaru tam wracać. Zacisnął z całej siły powieki, ale to nie pomagało. Czuł, że wciąga go czarny lej wspomnień. Zasysa i porywa do kolorowego wesołego miasteczka rozstawionego na obrzeżach Warszawy pod burzowym niebem.

Znowu tam był.

Obchodził właśnie swoje ósme urodziny. Obok szli jego rodzice, Alicja i Aleksander. Kłócili się, ale on udawał, że tego nie słyszy. Zadzierał do góry głowę, by patrzeć na gigantyczny diabelski młyn, tak wielki, że niemal zaczepiał o pędzące po niebie chmury. Pomyślał, że jeśli znajdzie się tak wysoko, być może będzie w stanie uchwycić jedną z nich. Z wypiekami na twarzy pobiegł do okienka i za pieniądze, które dostał od ojca, kupił trzy bilety. Gdy się odwrócił, zobaczył, jak ojciec szarpie jego mamę za nadgarstek i siłą ciągnie w kierunku parkingu.

– Koniec urodzin, synu – powiedział tylko i za moment drugą ręką popchnął jego drobne, zgarbione plecy.

Matka spojrzała na niego ze łzami w oczach.

– Przykro mi, kochanie – wyszeptwała.

– Ale tato, przecież obiecałeś! – Był taki drobny przy potężnym ojcu,

że nie był pewien, czy dziecięcy głosik dociera do uszu taty.

– Powiedziałem.

Bruno zmiął w dłoni bilety i cisnął nimi o ziemię. Przez całą drogę do domu wtulał się w miękkie, pachnące waniliowym budyniem ciało matki, a ojca obdarzał pogardliwym spojrzeniem. Nienawidził go. W duchu poprzysiągł sobie, że nigdy już nie odezwie się do niego i że do końca życia w każdej ich kłótni będzie stał po stronie matki.

W trakcie godzinnej podróży w samochodzie padły zaledwie dwa zdania.

– Alicjo, wystarczy, że przeprosisz. – Ojciec nawet na nią nie spojrzał.

– Nie mam takiego zamiaru.

Resztę trasy odbywali w milczeniu. Bruno był dumny z matki. To przecież ojciec ją szarpał na widoku przed wszystkimi. To ojciec zepsuł jego urodziny. To on powinien przeprosić.

W domu każde z nich zajęło się swoimi sprawami. Aleksander zamknął się w gabinecie, Alicja zniknęła w kuchni, skąd co jakiś czas dobiegały dźwięki tłuczonych naczyń, a Bruno schował się w swoim pokoju.

Na podłodze przed sobą rozłożył części drewnianego modelu samolotu. Urodzinowego prezentu, który mama wygrała mu na strzelnicy w lunaparku. Czytał instrukcję po raz wtóry, ale nadal nie miał pojęcia, od czego zacząć. „O pomoc przy sklejaneniu należy poprosić kogoś dorosłego” – przeczytał i rzucił instrukcję w kąt. Nie zamierzał nikogo o nic prosić, a już na pewno nie ojca. Zdenerwował się i zaczął łamać poszczególne elementy. Rzucał je ze złością na podłogę i skakał po nich.

Chwilę później do pokoju weszła matka.

– Bruno, co ty robisz? – Uklękła przy nim i objęła drobne ramiona syna.

– Nie potrafię go złożyć!

Popatrzyła na połamane fragmenty. Wzięła je do ręki. I wtedy się rozplakał. Drobne ramiona trzęsły się, ciekło mu z nosa, twarz zrobiła się czerwona, a jego usta mamrotały coś niewyraźnie. Alicja przyciągnęła syna do siebie.

– To nie twoja wina – wyszeptała, głaszcząc włosy dziecka, które powoli uspokajało się w ramionach matki. – Trzymaj. – Podąła mu dwa kawałki kadłuba. – Zaczynj od tego. Sklej je, a później dobierz następny

element. Zobacz, są ponumerowane. – Wskazała mu obrazek w instrukcji, ukradkiem ocierając łzy.

Pomyślał, że skoro ona tak mówi, to może rzeczywiście się uda. Chciał to zrobić dla niej. Chwytał klej i zrobił dokładnie to, o co poprosiła. Na uszkodzonych częściach została jedynie cienka rysa po złamaniu. Był z siebie dumny.

– Wiedziałam, że dasz radę. Czasem coś się psuje, ale można to naprawić. Nieważne, jak trudne by się to wydawało – powiedziała, patrząc w dal, a później włożyła mu w dłoń małą, zwiniętą karteczkę. – Przekaż to tacie, już się na niego nie złościę. I przynieś mi samolot, gdy skończysz.

Po tych słowach wyszła z pokoju, a on otworzył zwitek papieru, wzruszył ramionami i schował go głęboko w kieszeni. Nie zamierzał go nikomu przekazywać. Uznał, że ojciec zasłużył na karę, i nawet jeśli matka mu wybaczyła, on nie zamierzał. To przez niego mieli zepsuty dzień i przez niego mama była smutna.

Jakiś czas później wbiegł na piętro z gotowym samolotem.

– Mamo?! – nawoływał, zaglądnąwszy do kolejnych pomieszczeń, ale nigdzie jej nie było.

W końcu zatrzymał się przed drzwiami łazienki. Zapukał i czekał na pozwolenie, a gdy go nie usłyszał, powoli nacisnął klamkę. Alicja leżała w wypełnionej krwią marmurowej wannie. Miała otwarte, zimne oczy. Z jej szyi płynęła bordowa strużka. Spływała na piersi, a później rozpływała się w krwistej wodzie. Bruno szarpnął jej ciałem, jakby chciał ją obudzić, ale to nic nie dało. Zanosząc się płaczem, zbiegł na dół, by zawołać ojca.

– Mama! – krzyczał. – Mama nie żyje – wydusił z siebie.

Aleksander natychmiast podniósł się z miejsca. Wybiegł z gabinetu, przewracając po drodze krzesło, i rzucił się na schody, a po chwili dom wypełniło jego wycie. Dźwięk, jaki wydają z siebie zranione zwierzęta.

Bruno wpełzł pod biurko ojca. Z kieszeni wydobył kartkę, którą dostał od matki. „Kocham cię. Przepraszam. Przyjdiesz mnie przytulić?” – przeczytał i gorzko zapłakał.



Czarny citroën saxo z piskiem opon zaparkował pod ceglanym budynkiem szpitala psychiatrycznego w Choroszczy. Obecność auta na placu Brodowicza natychmiast przyciągnęła uwagę wszystkich, którzy akurat znajdowali się na parkingu. Nie dość, że silnik wydawał głośne pomruki, karoseria i szyby były oklejone pamiątkami po wszystkich rajdach, w których wziął udział, to jeszcze wysiadła z niego niemal ogolona na rekruta dziewczyna w skórzanej kurtce.

Na Podlasiu takie sceny sprawiały, że ludzie odwracali głowy i przez chwilę z otwartymi ustami obserwowali przyjezdnych. Tyle że Larysa była zdecydowanie bardziej swoja niż obca. Świadomość tego, że od domu dzieliło ją jakieś pięćdziesiąt kilometrów, sprawiała, że cały czas była napięta i nerwowa. Wprawdzie nie spodziewała się spotkać w szpitalu nikogo znajomego, ale już sam zapach powietrza i możliwe do wychwycenia w rozmowach podlaskie zaciąganie wywoływały w niej mdłości. Zatrzymała się przed mapą ośrodka, a jej oczy szukały oddziału psychiatrii sądowej o wzmocnionym zabezpieczeniu. Z tego, co udało się jej ustalić w drodze do Choroszczy, to właśnie tam trzymano aresztowanych kierowanych przez prokuratora na obserwację sądowo-psychiatryczną, którzy ze względu na stan zdrowia nie mogli przebywać w areszcie śledczym, przestępców z zaburzeniami psychicznymi i szczególnie niebezpiecznych pacjentów. A Michał Andrzejewski, ojciec Jakuba, doskonale wpisywał się w ten obraz.

Teraz pozostawało jedynie przekonać kierownika oddziału, by umożliwił jej rozmowę z pacjentem.

– Dzień dobry. – Podchodząc do pielęgniarki na dyżurce, Larysa przybrała najbardziej neutralny wyraz twarzy. – Chciałabym porozmawiać z kierownikiem oddziału. Jestem reporterką „Magazynu”. – Celowo użyła nazwy, którą kojarzyło większość osób w kraju i która niekiedy otwierała pożądane drzwi.

Kobieta w białym fartuchu przyjrzała jej się nieufnie, jakby w jej głowie trwał proces decyzyjny, od którego będzie zależeć, czy uwierzy dziewczynie po drugiej stronie lady, czy też nie. Najwyraźniej tego dnia Larysa miała szczęście, bo po chwili pielęgniarka skinęła głową i podniosła słuchawkę telefonu stacjonarnego.

– Pani kierownik, jest tu dziennikarka z „Magazynu”. Chce z panią porozmawiać. – Kobieta kiwnęła głową. – Dobrze. Zajmę się tym.

Larysie wydawało się, że pielęgniarka dygnęła, odkładając

słuchawkę, ale uznała, że ma przywidzenia. Choć nie zdziwiłaby się, gdyby był to przejaw podlaskiej subordynacji, który sprawiał, że wielu mieszkańców tego regionu z niemal nabożną czcią podchodziło do osób na stanowiskach, tych wykonujących prestiżowe zawody i cieszących się autorytetem.

Głównie dotyczyło to dyrektorów, prezesów, lekarzy, sędziów i księży. Tych, od których inni w jakiś sposób zależeli. Tym osobom nie należało się sprzeciwiać, trzeba je było przesadnie szanować i wchodzić im w tyłek, bo inaczej można było narobić sobie kłopotów. A nikt ich przecież nie pragnął, ludzie chcieli normalnie żyć, mieć dobrą opinię, w weekend zrobić grilla z sąsiadami, wypić trochę za dużo alkoholu i raz w roku pojechać na wakacje do Egiptu. Nieważne, że w środku często gotowali się z nienawiści – rzeczy miały ładnie wyglądać na zewnątrz.

I choć zdawała sobie sprawę, że ten pogląd znacznie upraszcza rzeczywistość, to miała świadomość, że w niektórych domach ta postawa nadal była bardzo silna.

– Proszę zaczekać. – Kobieta w kitlu wskazała krzesło nieopodal recepcji. – Pani Lidia za chwilę do pani przyjdzie.

Czekanie było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Kątem oka zauważyła, że z oddziału wychodzi pielęgniarz, i postanowiła tę okazję wykorzystać. Ruszyła pędem w stronę drzwi, wymijając mężczyznę i słysząc za sobą nerwowe krzyki pielęgniarki.

– Nie może pani tam wchodzić! Stefan, zatrzymaj ją!

Rosły pielęgniarz cofnął się i doskoczył do Larysy. Jego silne ręce, zapewne przyzwyczajone do unieruchamiania wierzgających pacjentów, chwyciły ją za ramiona, a później wykręciły je do tyłu tak, że pisnęła z bólu.

– Puść mnie! – zażądała, wyrywając się.

– Słyszysz, Haniu? – krzyczał do pielęgniarki, wlokąc Larysę do poczekalni. – Chce, żeby ją puścić. Może zamknę ją na chwilę w piątce? – zaśmiał się, stojąc w drzwiach.

Pielęgniarka nie zdążyła nic odpowiedzieć, ale z jej twarzy odpłynęła krew.

– Panie Jabłoński, proszę spakować manatki. Wylatuje pan dyscyplinarnie – usłyszeli za sobą tubalny głos. – A panią zapraszam do mojego gabinetu. – Postawna kobieta spojrzała na Larysę.

– Ale... – Oszołomiony pielęgniarz usiłował się bronić.

– Bez dyskusji – zamknęła mu usta kierowniczka.

Lidia Molenda była wysoką kobietą po pięćdziesiątce, w spódnicy i kremowym golfie, z włosami obciętymi na pazia. Gdyby nie to ubranie, przez jej barwę głosu i ruchy można by ją wziąć za mężczyznę. Chodziła twardo, lekko kołysząc się na boki, a jej głos był mocny i niski.

– Proszę usiąść. – Kobieta wygrzebała spod sterty papierów krzesło i podsunęła je Larysie. – Naprawdę nie mogła pani zaczekać? Straszny tu burdel.

Molenda zatoczyła ręką koło, prezentując setki walających się teczek, kartonów i luźnych dokumentów.

– W weekend mamy malowanie, więc przy okazji staram się to jakoś uporządkować. Kawy?

– Nie przyszedł tu towarzysko. Chcę porozmawiać z Michałem Andrzejewskim.

Lekarka zaśmiała się i założyła ręce przed sobą.

– Może wybierze sobie pani kogoś innego? Akurat Andrzejewski nie jest specjalnie rozmowny.

– Poradzę sobie z nim.

– Tak jak z Jabłońskim? Chyba nie jest pani świadoma, kogo trzymamy na oddziale. To nie przedszkole.

– Jak już skończymy etap straszenia, przejdźmy do konkretów. Okej? Molenda wychyliła się na krzesło i obrzuciła Larysę wzrokiem.

– Do czego jest wam potrzebny Andrzejewski?

– Może mieć informacje o groźnym człowieku związanym z seksbiznesem.

– A co ja będę z tego miała?

– Zapomnę o tym, jak potraktował mnie wasz pielęgniarz.

– Myślałam, że zamknęliśmy już etap straszenia? – Uśmiechnęła się.

– W porządku, zaprowadzę panią do Andrzejewskiego, ale musi pani ściśle przestrzegać reguł. Nie wolno go dotykać ani podchodzić do niego bliżej niż na metr.

Larysa kiwnęła głową.

– Ile będę miała czasu?

– Tyle, ile zdoła pani wytrzymać. Szacuję, że jakieś dziesięć minut. A teraz proszę zdjąć kurtkę, pasek, opróżnić kieszenie i zostawić

w moim gabinecie wszystkie rzeczy osobiste.

– Brzmi, jakbym wchodziła do San Quentin.

– Oni mają seryjnych zabójców, my tylko gwałcicieli, psychopatów i degeneratów. Tym się różnimy.

Larysa wyjęła z kieszeni telefon, a kluczyki i kurtkę rzuciła na biurko lekarki. Obserwowała, jak kobieta wkłada fartuch, po czym wyjmując z przeszklonej lodówki niewielką strzykawkę i umieszcza ją w kieszeni kitla obok zielonego ołówka Bic.

– Później wypełni mi pani papiery, a teraz chodźmy.

Molenda szła pierwsza, otwierając drzwi kartą magnetyczną.

– Zaczeka pani w sali terapeutycznej. – Wskazała odrapane wejście po lewej stronie. – A ja pójdę po Andrzejewskiego.

Larysa usiadła na skrzypiącym krześle w niewielkiej salce, oparła łokcie na stoliku i wpatrywała się w drzwi. Gdy ukazała się w nich wychudzona sylwetka, drgnęła na krześle i miała ochotę odwrócić wzrok. Lidia Molenda przyprowadziła mężczyznę z poparzoną twarzą. Jego jedno oko było niemal całe zakryte przez płat zwisającej, zdeformowanej skóry, a drugie czujnie lustrowało gościa, którego się nie spodziewał. Na głowie pozostały jedynie rzadkie kępki włosów, a ręce były skrępowane skórzanym rzemieniem.

Larysa poczuła między piersiami strużkę potu i odwróciła głowę, nie mogąc dłużej znieść widoku jego zniekształconej twarzy.

– Patrz na mnie, suko! – wrzasnął, a ona podskoczyła na krześle.

Zerknęła na Molendę, ale ta po tym, jak zostawiła pacjenta na krześle naprzeciwko dziennikarki, oparła się plecami o ścianę i z założonymi rękami oraz gumą do żucia w ustach przyglądała się rozgrywającej się scenie. Larysa zacisnęła więc zęby i spojrzała w oczy Michałowi Andrzejewskiemu. Mężczyzna nie miał brwi, a wokół jego ust było kilka drobnych, niezabliźnionych ran.

– Czego chcesz? – Andrzejewski splunął na podłogę.

– Muszę się dowiedzieć, jak znaleźć Jakuba.

Molenda natychmiast przestała żuć gumę i usztywniła całe ciało, a jej dłoń automatycznie powędrowała w stronę kieszeni ze strzykawką. Podobnie szybkiej reakcji spodziewała się po swoim pacjencie, ale ten spokojnie zaczął nucić coś pod nosem. Larysa nie była w stanie rozpoznać melodii.

– To jakaś piosenka? – zapytała. – Coś z jego dzieciństwa?

Andrzejewski roześmiał się i odpowiedział tak cicho, że nie zrozumiała.

– Słucham? – Instynktownie nachyliła się nad stolikiem, zapominając o wszystkich ostrzeżeniach.

Wtedy niespodziewanie ojciec Jakuba odwrócił się i z całej siły uderzył Molendę w brzuch. Gdy ta, zgięta wpół i zamroczona bólem, nie była w stanie zareagować, sięgnął do jej kieszeni i wyciągnął z niej ołówek. Jego dłonie były nadal związane ze sobą, ale manewrował nimi bez trudności. Wykonał błyskawiczny obrót i z całej siły wbił ołówek w dłoń zdezorientowanej Larysy.

Dziewczyna wrzasnęła, patrząc na krew zalewającą blat stołu.

Andrzejewski złapał ją za koszulkę i przyciągnął do swojej twarzy. Czuła na skórze jego kwaśny oddech i przyglądała się z bliska przerażającym bliznom.

– To piosenka, którą ci zaśpiewa, gdy przyjdzie cię zabić. – Dotknął językiem jej ucha i zanucił fragment melodii. – Widzisz, co mi zrobił? Patrz! – Podniósł jej głowę.

Nie mogła myśleć rozsądnie, ból rozsadzał ją od środka.

– Oszpecił mnie! Podpalił własnego ojca! – wrzeszczał.

Nagle Larysa zauważyła dłoń biorącą zamach i wbijającą strzykawkę w ciało Andrzejewskiego.

– On cały czas na ciebie patrzy, dziwko! – Andrzejewski nie przestawał wrzeszczeć. – Zabije cię tak, jak ich wszystkich. – Otworzył usta, by powiedzieć coś jeszcze, ale nim zdołał to zrobić, upadł z hukiem na podłogę.

Z jego ramienia sterczała strzykawka. Tuż obok stała spocona doktor Lidia Molenda, a do pokoju wbiegło właśnie dwóch pielęgniarzy.

– Boże. – Niższy, otyły mężczyzna rozglądał się bezradnie po salce.

– Ogarnijcie panią. Andrzejewski chwilowo jest bezobsługowy – rzuciła lekarka i wyszła z pomieszczenia.



Oglądanie żywej Niny Zaniewskiej na nagraniach z monitoringu sprawiało, że Bruno czuł się, jakby wszedł do maszyny umożliwiającej podróże w czasie.

Dziewczyna przypominała nieco młodszą Malenę z filmu Giuseppe Tornatorego. Z rozłożystymi biodrami, pełnymi ustami i czernią włosów spływających na ramiona nie pozwalała oderwać od siebie wzroku. Każdy jej ruch zdawał się przesycony erotyzmem. To, jak kołysała biodrami i jak oblizywała wargi, poruszało wyobraźnię. Bruno zaczynał rozumieć, czemu ktoś był skłonny słono płacić za towarzystwo tej dziewczyny.

Na nagraniach widział ją kilkakrotnie opuszczającą osiedle i wracającą tam. Nikt jej nie zaczepiał, nikt za nią nie szedł. W dniu swojej śmierci wracała do domu objuczona torbami z zakupami. Szła wolniej niż zwykle, przeczesywała dłonią włosy i odrzucała je na plecy. Miał nadzieję, że kamera przy wejściu do klatki pokaże coś więcej, ale jej oczy przysłaniały modne okulary pilotki z niebieskimi szklami. Kiedy postawiła torby na ziemi, by wystukać kod na domofonie, w okularach coś błysnęło. Bruno początkowo nie był pewien, co się wydarzyło, ale cofnął nagranie i obejrzał je ponownie, a później jeszcze raz. W końcu zwolnił tempo odtwarzania i obserwował sytuację klatka po klatce. Rozbłysk odbijający się w lusterkowych szklach przypominał lampę błyskową aparatu fotograficznego.

Wilczyński powiększył maksymalnie obraz i poprawił ostrość. Widok nie był najlepszy, ale umożliwił stwierdzenie, że na skrajnym balkonie trzeciego piętra ktoś stoi. W myślach rozrysował układ mieszkań, a gdy dotarło do niego, że to lokal zajmowany przez przetykającego ślinę sąsiada, zagwizdał.

– Znowu oglądasz zakazane strony w pracy? – Głowa Daniela, technika kryminalistyki, z ironicznym uśmiechem pojawiła się w drzwiach.

– Znudziły mi się. Puszczają same powtórki.

– To co cię tak ucieszyło?

Bruno odwrócił komputer w stronę kolegi.

– *Voilà!* Poznajesz?

– Nie, a powinienem? – Daniel przybliżył twarz do ekranu, by się lepiej przyjrzeć.

– To blok Zaniewskiej. Zobacz.

Bruno włączył nagranie, w którym Nina wraca do domu, a później zatrzymał je po tym, jak coś błysnęło, i ponownie powiększył obraz.

– Tutaj. – Wskazał długopisem konkretny punkt na monitorze.

– Ktoś tam jest?

Wilczyński pokiwał głową i zaczął grzebać w teczkach porozkładanych na biurku.

– Miłosz Bączek – czytał, patrząc w dokumenty. – To ten sąsiad, który zadzwonił na policję. Nie widzę tego wyraźnie, ale zakładam się o butelkę jacka danielsa, że to on zrobił jej zdjęcie. Tylko po co?

– Może lubił na nią patrzeć. – Daniel ściągnął brwi. – Obserwował ją ukradkiem, kolekcjonował zdjęcia, zbierał upuszczone przez nią przedmioty, a później robił z nich ołtarzyk.

– To było w *Bodyguardzie*. Znowu mieliście z Elwirą jeden z tych waszych wieczorków oglądania smętnych filmów z lat dziewięćdziesiątych?

– Uznanych melodramatów podnoszących libido mojej małżonki – sprostował technik. – To aż tak ewidentne?

– Niestety. Jakie to szczęście, że pobudza nas inna kinematografia. – Bruno pokręcił głową, a później zupełnie niespodziewanie zapytał: – Wierzysz w to samobójstwo?

Daniel potarł dłonią skroń i nieporadnie wzruszył ramionami, unikając wzroku przyjaciela.

– Sam już nie wiem. Niby nie wszystko się składa, ale z drugiej strony nie znalazłem tam niczego, co by niezaprzeczalnie wskazywało na morderstwo.

Bruno drgnął, jakby słowa technika go ubodły. Sięgnął po telefon, po czym otworzył galerię zdjęć na fotografii lustra w łazience Zaniewskiej i podał smartfon koledze.

– Poszedłem do jej mieszkania coś sprawdzić. Miała tam obraz niejakiego Rogalskiego z napisem na zaparowanym lustrze. Obraz z dedykacją, który zupełnie do niej nie pasował, bo z tego, co wiem od jej starych, mdliło ją na samą myśl o sztuce. Pomyślałem, że może facet, którego szukamy, to ten sam, od którego dostała obraz.

– Chcesz powiedzieć, że zaparowałaś lustro i znalazłaś tam imię swojej matki?

Bruno kiwnął głową. Spodziewał się zobaczyć na twarzy Daniela zaciekawienie, ale to, co się na niej odmalowywało, było raczej smutkiem połączonym z żalem, a może nawet rozczarowaniem.

– Czasami mam wrażenie, że robisz wszystko, żeby ją wybielić. – Głos jego przyjaciela był spokojny, kolejne słowa wypływały z jego ust

ostrożnie niczym stąpające na palcach istoty. – Jakbyś potrzebował ochronić idealny wizerunek matki, która nie mogłaby zrobić czegoś takiego swojemu dziecku.

– Przestań pierdolić. Gadasz jak psychoterapeuta.

– Może powinieneś się spotkać z jednym z nich?

– A ty powinieneś poszukać swoich jaj, bo gdzieś ewidentnie zaginęły.

A! Wiem! Elwira pewnie właśnie robi z nich jajecznicę.

Przez chwilę obaj mierzyli się wzrokiem. W końcu ciszę przerwał Daniel.

– Jeśli będziesz tak traktował wszystkich, którzy chcą ci pomóc, zostaniesz całkiem sam.

– Nie mogę się tego doczekać.

Technik pokiwał głową i bez słowa wyszedł. Bruno obserwował jego zgarbione plecy i słuchał ciężkich kroków, zanim technik zniknął za drzwiami. Następnie usiadł do komputera i próbował skupić się na pracy, ale był tak wściekły, że nie potrafił wytrzymać w jednym miejscu. Sięgnął po telefon i wystukał wiadomość.



Jaś i Franek czekali przy oknie ubrani w odświętne stroje, w czasie gdy ich tata pojechał do szpitala po mamę. W powietrzu unosił się aromat świeżo upieczonego ciasta z jabłkami i czekoladą. Chłopcy przygotowali je w asyście pani Wali, która dzięki temu doświadczeniu odkryła, jak dużo czekolady można zmieścić w szarlotce. Franio pierwszy zauważył auto wjeżdżające na podjazd.

– Już są! – krzyknął i obaj z bratem podbiegli do drzwi.

Emilia, opierając się na kulach, ostrożnie weszła do domu, a drobna łza spłynęła po jej policzku. Nie miała jednak nic wspólnego ze wzruszeniem, a za to z poczuciem bezsilności i lęku, które wróciło, gdy tylko auto zaparkowało na podjeździe. Przez ostatnie kilka dni zawzięcie tłumaczyła Jackowi, że nie jest w stanie przebywać w domu, że każdy jego kąt napawa ją niepokojem, ale on jej nie słuchał. Wmawiał jej, że zadba o to, by czuła się bezpieczna. Za jej plecami przygotował to całe świętowanie. A do tego nasłał na nią psychiatrę.

Czuła w gardle nabrzmiewającą słoną kulę. Jakby połknęła mokry

zwitek papierowych ręczników i dusiła się nimi teraz.

– Jacek, ja nie potrafię – wyszeptała mu do ucha i odwróciła się tyłem do synów. – Chcę stąd wyjść.

– Poczekaj, daj nam szansę... – Ścisnął jej ramię.

Przełknęła łzy i zwróciła się do dzieci.

– To co tam pysznego przygotowaliście dla mnie?

– Ciasto – powiedział Janek. – I coś jeszcze... – zaczął, ale brat zaserwował mu kuksańca w bok i zgromił go wzrokiem.

– A co to za tajemnica? – zapytała.

– No dobra, chłopaki, możecie przynieść prezent – włączył się do rozmowy Jacek. – Wprawdzie miałaś go dostać dopiero po obiedzie, ale skoro tak się niecierpliwią, to nie będziemy czekać.

Po chwili prezent sam wszedł do pokoju. Był nim duży owczarek niemiecki o łagodnym spojrzeniu. Chłopcy biegli za nim i usiłowali złapać go za ogon. Tylko Emilia zastygła z szeroko otwartymi oczyma.

– Po moim trupie – powiedziała.

Miny chłopców natychmiast zrzedły.

– Ale mamo, dlaczego? – domagał się wyjaśnień Franek. Założył drobne ręce przed sobą, a jego twarz zrobiła się czerwona, jakby miał zaraz wybuchnąć płaczem.

– Synu, weźcie go na spacer, a my z mamą porozmawiamy, dobrze? – zaproponował Jacek.

Gdy zniknęli za drzwiami, Emilia przeszła męża pełnym wyrzutów spojrzeniem.

– Jak mogłeś? Przecież wiesz, że nie znoszę psów. Śmierdzą, liżą ręce i zostawiają wszędzie sierść. Poza tym kto się będzie nim zajmował? Ty jesteś wiecznie w pracy, a ja i bez tego mam co robić. Dzieciom zwierzak znudzi się za kilka dni, a wtedy co z nim będzie?

– Musisz od razu zakładać najgorszy scenariusz? Może rzeczywiście powinienem to z tobą skonsultować, ale przecież nigdy byś się nie zgodziła.

– No właśnie!

– Wiesz, dlaczego Jaś i Franek wpadli na ten pomysł? Powiedzieli, że oni mają siebie, a ty jesteś ciągle sama. – Spojrzał w podłogę. – I choć czuję się tym cholernie dotknięty, to muszę przyznać im rację.

– Doskonale radzę sobie sama, dobrze o tym wiesz.

– Tak jak ostatnio? – Dostrzegł grymas bólu na jej twarzy. – Emila,

jesteś kłębkim nerwów. Odkąd znalazłaś to zdjęcie, drżysz na każdy drobny hałas i wszędzie widzisz zagrożenie. A pomysł z przeprowadzką jest co najmniej absurdalny. – Położył jej ręce na biodrach. – Chodzi mi tylko o to, byś czuła się w naszym domu bezpiecznie. To szkolony pies, w razie potrzeby stanie w twojej obronie. Spróbuj z nim wytrzymać chociaż kilka dni. Jeśli się nie uda, odpuszczę.

Wizja psa rzucającego się do gardła intruzowi złagodziła opór Emilii. Pomyślała, że może rzeczywiście dobrze jej zrobi towarzystwo.

– Tydzień – odpowiedziała. – Później zrobisz z nim to, co ci powiem. A jutro pójdziesz ze mną na komendę. To mój warunek.

– Na komendę? Ale po co? Chcesz im opowiedzieć o zdjęciu i o tym, że miewasz koszmary?

– Przestań, Jacek. – Odsunęła się od niego. – Ostatnio odbieram dziwne telefony, znalazłam ten napis na lustrze, a któregoś dnia ktoś przełożył moje ubrania.

Jej mąż zaczął się śmiać.

– Przepraszam cię. – Złapał się za brzuch, nie mogąc opanować nerwowego śmiechu. – Ty żartujesz, prawda?

– Nie. – Jej mina była śmiertelnie poważna.

– Wyśmieją cię, zanim zdążysz się przywitać. To jest policja, a nie gabinet terapeutyczny.

– Mam to gdzieś. – Jej usta ułożyły się w wąską kreskę. – Zostanę w domu tylko, jeśli mnie tam jutro zawieziesz. W przeciwnym razie albo tu zwariuję, albo wyprowadzimy się do mojej mamy.

Patrzyli sobie w oczy jak przeciwnicy na ringu. Emilia czuła, że ma go w garści. Jacek kochał ten dom – tak ciężko na niego pracował – poza tym bardzo zależało mu na tym, by chłopcy mieli blisko do amerykańskiej szkoły i mogli bawić się z dziećmi sąsiadów.

– W porządku, ale przygotuj się na to, że uznają cię za wariatkę.

– Tak jak ty?

Przez długi czas milczał i Emilia zdążyła pomyśleć, że woli nie poznawać odpowiedzi na to pytanie.

– Moim zdaniem po prostu masz za dużo na głowie i powinnaś z kimś porozmawiać. – Pokręcił głową i wyszedł z domu.



„Rewanż w Pięściarzu dziś wieczorem. Odważysz się?”

Larysa przeczytała wiadomość w telefonie i spojrzała na swoją zabandażowaną dłoń.

„Stawka?” – wystukała i niemal od razu dostała odpowiedź.

„Buziak. To opcja win-win. Każdy będzie zadowolony”.

Zamierzała odpisać, gdy do pokoju wparowała kierowniczka oddziału.

– Do kurwy nędzy, trzeba mnie było uprzedzić, że będziecie rozmawiać o Jakubie! – Doktor Molenda wymachiwała rękami i grzmiała niskim głosem. – Andrzejewski ma schizofrenię paranoidalną, jest pewien, że jego syn czyha na jego życie i że zabił jego pozostałe dzieci. Na sam dźwięk jego imienia dostaje szału.

Larysa zrobiła minę niewiniątka, a jej usta wypowiedziały bezgłośnie: „Ups”.

– Co mu się stało? Naprawdę ktoś go podpalił? – zapytała zaintrygowana.

Molenda westchnęła.

– Nie sądzę. Po tym, jak od nas wyszedł, mieszkał w jakiejś ruderze, znosił tam wszystkie śmieci, papiery, które zbierał na makulaturę, jakieś plastiki, opony. Obudowywał się tym, jakby się szykował na wojnę. Któregoś wieczoru zabalował, za dużo wypił i zaprószył ogień. Podobno zapomniał zgasić świeczkę, której używał do oświetlania pokoju. Czysta sprawa, strażacy nie mieli się do czego przyczepić.

– Czemu go wypuściliście? Nie wyglądał na zdrowego.

– Odsiedział karę. Poza tym wcześniej był inny. Wydawało się, że naprawdę jest z nim lepiej, przestał mówić o Jakubie, stał się spokojniejszy. Przeszedł komisję, zrobiliśmy mu testy i wszystko wskazywało na to, że może wrócić do społeczeństwa.

– Ale?

– Okazało się, że tylko udawał. W zgliszcach szopy, w której mieszkał, strażacy znaleźli mnóstwo napisów na ścianach, świadczących o tym, że nie było z nim dobrze. Wszędzie ponaklejał zdjęcia wyciętych z gazet męskich oczu. W dodatku okoliczni mieszkańcy twierdzili, że się kogoś bał i opowiadał niestworzone rzeczy.

– Te napisy dotyczyły Jakuba?

Lidia Molenda pokiwała głową.

– Czasami tak, niekiedy nawiązywały też do religii. „On patrzy”, „Zło nadchodzi”, „Albowiem karą za grzech jest śmierć”, „Moja wina, moja bardzo wielka wina”. To kilka, które pamiętam. Podobno Andrzejewscy byli kiedyś bardzo religijną rodziną.

– Jasne, i dlatego trzymali dziecko za regałem.

– Andrzejewski winił je za stan swojej żony. Matka Jakuba wpadła w depresję po urodzeniu chłopaka i nigdy już nie odzyskała zdrowia. To wtedy stary uznał, że urodziła „złego”, wcielenie diabła, które niszczy ją i całą ich rodzinę. Wierzył, że jeśli się go wyrzeknie, jego żona wróci do zdrowia. Wmówił dzieciom, że Bóg się na nich rozgniewał i że odzyskają matkę tylko wtedy, gdy ich brat odpokutuje swoje winy. Co wieczór całą rodziną odmawiali na klęczkach różaniec, by wybłagać jej zdrowie, a w tym czasie jego najmłodszy syn wył z głodu i zimna.

– Chore. – Larysa patrzyła w przestrzeń przed sobą.

– Myślę, że rodzeństwo Jakuba zabiło się, nie mogąc sobie poradzić z wyrzutami sumienia. To nie były małe dzieci, one doskonale wiedziały, co się dzieje. Przez pięć lat udawali, że ich brat nie istnieje. Byli głusi na jego płacz i smród dochodzący z kojca. A każdy, kto próbował pomóc Jakubowi, był surowo karany przez starego Andrzejewskiego. Właściwie gdyby chłopca nie znalazła ta kobieta z opieki społecznej, pewnie nie przeżyłby kolejnego roku.

– A tak zapadł się pod ziemię – skomentowała Larysa.

– Gdybym miała takiego ojca jak Andrzejewski, też chciałabym zniknąć. Nie dziwi mnie, że zmienił nazwisko, a jego dane utajniono. Kochany tatuś już podczas procesu odgrażał się, że go odnajdzie i odwdzięczy się mu za każde upokorzenie, które go spotkało z powodu syna.

Larysa potarła dłońmi ostrzyżoną na krótko głowę i zamyśliła się.

– Dlaczego Andrzejewski nie uciekał z szopy, gdy tylko się ocknął i zauważył pożar?

– Był pijany, może nie był w stanie się podnieść? Do tego płomienie odcięły mu drogę. Choć według niego Jakub coś mu zrobił. Mówił, że był tam i patrzył, jak płonie. Bzdury.

Larysa nie była tego taka pewna, ale postanowiła te rozważania zatrzymać dla siebie. Podniosła się z krzesła i wyszła bez słowa. W drodze do samochodu sięgnęła po telefon i wystukała wiadomość.

„Podbijam stawkę. Wymienimy się informacjami. Jeśli wygrasz, powiem ci wszystko, co wiem o Zaniewskiej”.

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast. „A jeśli jakimś dziwnym niespodziewanym trafem, przeczącym rachunkowi prawdopodobieństwa, przegram?”

„Pomożesz mi kogoś znaleźć”.

„Ok. Bądź o 20. Nie lubię, jak dziewczyny spóźniają się na randki”.

– Dupek – rzuciła pod nosem i wsunęła telefon do kieszeni.



Miłosz Bączek biegał między kuchnią a salonem ze zroszonym czołem. Nieczęsto miewał gości. A już na pewno nie byli nimi policjanci. Tak więc wizyta Wilczyńskiego wprowadziła go w stan dygotu.

Zaparzył kawę w dużym dzbanku, a później przygotował naczynia i sztucce. Wszystko ułożył na tacy i zaniósł do pokoju. Nagle przypomniało mu się, że w szafce nad zlewem widział paczkę herbatników. Leżały tam na tyle długo, że powinny już wystarczająco zmięknąć. Wrócił po nie i rozsypał kilka sztuk na papierowej serwetce.

Nie ma powodu do niepokoju, powiedział do siebie w myślach, gdy siadał naprzeciwko swojego gościa. Bruno przyglądał się poczynaniom Bączka z zainteresowaniem. Już sam wygląd apartamentu sprawił go w osłupienie. Podłogę pokrywał gęsty, gruby na długość kciuka dywan. Ciągnął się od ściany do ściany, nie zostawiając nawet milimetra nagiej posadzki. Cały wystrój salonu stanowiły kanapa, fotel oraz stolik kawowy w pokrowcu z pluszu. Przypadkowe zetknięcie ze ścianą uświadomiło mu, że także one wyłożone są miękkim materiałem. Czymś, co przypominało gąbkę, z jakiej robi się stroje dla surferów i płetwonurków.

Nie widział reszty mieszkania, ale był gotów postawić stówkę, że wszędzie jest tak samo.

– Proszę się częstować. – Miłosz podsunął mu pod nos kawę.

Bruno podniósł do ust naczynie i z obrzydzeniem przełknął gorzki, smolisty napój z niedomytego plastikowego kubka. Zauważył, że wszystkie naczynia i sztucce wykonane są z plastiku. Przypominały turystyczną zastawę, jaką można kupić wraz z koszem piknikowym.

Sięgnął po ciastko, by zabić smak asfaltu w ustach, jednak gdy tylko je ugryzł, pożałował swojej decyzji. Było miękkie, rozlaźle i lepkie. Jakby jadł wypiek przeżuty wcześniej przez kogoś innego. Z trudem powstrzymał odruch wymiotny.

Odłożył niedojedzony kawałek i zwrócił się do chłopaka.

– Widzę, że z okiem jest już lepiej – skomentował brak opatrunku.

– Tak, dziękuję.

– Wspominałeś, że w którym szpitalu była operacja?

– Nie wspominałem. – Uśmiechnął się. – W Instytucie Oka na Niepodległości.

Bruno zauważył, że już od kilku minut nie słyszał dźwięku przetykanej śliny. Czegoś, co dla Bączka było tak naturalne, jak dla innych oddychanie.

– Co pana do mnie sprowadza? Powiedziałem już wszystko, co wiem w sprawie Niny.

– Tak dobrze nam się ostatnio rozmawiało, że pomyślałem: „Czemu by tego nie powtórzyć?”.

Bączek zaśmiał się nerwowo, wycierając spocone dłonie o nogawki spodni, i nie mogąc się dłużej kontrolować, przełknął ślinę.

– Poza tym myślę, że nie powiedziałeś mi jeszcze wszystkiego. – Bruno nie spuszczał z niego wzroku. – Na nagraniu z monitoringu widać, jak obserwujesz Ninę ze swojego balkonu, gdy wraca do domu na kilka godzin przed śmiercią.

– Ach nie. – Zaśmiał się i machnął ręką. – Wyszedłem zdjąć z balkonu pranie, nie chciałem, by zmokło, gdy będę w szpitalu.

– Zawsze zdejmujesz pranie z aparatem fotograficznym w rękę?

Miłosz Bączek zapowietrzył się. Wpatrywał się w policjanta, wytrzeszczając coraz bardziej oczy, a Bruno w myślach przyklasnął sobie za trafny strzał z tym aparatem.

– Ja... – zaczął chłopak niepewnie. – Po prostu wyglądała wtedy tak pięknie...

– Pięknie? Człowieku, ta dziewczyna to chodząca viagra, gdyby się nie zawinęła, lekarze wypisywaliby jej nazwisko na receptach.

– Zawinęła się? – Bączek ściągnął brwi.

– Wykorkowała, kojfnęła, przekręciła się. Choć ty pewnie należysz do tej grupy, która używa frazy „przeniosła się na łono Abrahama”. – Puścił oko do zdeorientowanego chłopaka, zanim przygwoździł go

kolejnym pytaniem: – Leciałeś na nią, co nie?

– To nie tak. – Miłosz zarumienił się i spuścił wzrok.

– Uuuu, czyli to poważna sprawa. Byłeś w niej zakochany. Musiało zboleć, gdy zrozumiałeś, czym się zajmuje i skąd ma pieniądze. Bo wiedziałeś, prawda?

Chłopak jakby zapadł się w sobie, nieznacznie pokiwał głową, a później zaczął skubać skórki wokół paznokci.

– I tak myślę, że go nie kochała. Po prostu była od niego zależna.

– Od kogo? – Bruno wyprostował się na fotelu.

– Tego Roberta. Słyszałem, jak rozmawiała z nim przez telefon. Opowiadała, co ma na sobie i... – przerwał, gdy zauważył pełne powątpiewania spojrzenie policjanta, a pąs na jego twarzy pociemniał.

– Nie krępuj się, mów dalej, chętnie posłucham.

– W sumie niewiele więcej wiem. – Wzruszył ramionami.

– Widziałeś go kiedyś?

– Nie. – Pokręcił głową. – Właściwie nigdy nie zauważyłem, by ktoś ją odwiedzał.

Bruno pokiwał głową i zerknął do notesu, który wyjął z kieszeni.

– Wcześniej powiedziałeś, że słyszałeś, jak tamtego dnia nalewała wodę do wanny, chociaż nie było jej w domu. – Stukał końcówką długopisu w otwartą stronę notesu. – A teraz zastanawiam się, jak to możliwe, skoro masz wygłuszone ściany. – Dotknął palcami grubej, miękkiej tapety za fotelem.

Chłopak westchnął i przetarł czoło dłonią.

– Byłem kilka razy pod jej drzwiami. Rano, zanim pojechałem do szpitala, i następnego dnia, wtedy gdy zadzwoniłem na policję.

– Nieładnie tak oszukiwać funkcjonariuszy prawa. Skąd mam teraz wiedzieć, które z twoich opowieści są prawdziwe, a które zmyślane? Może tak naprawdę niczego nie słyszałeś. Odrzucony zakompleksiony prawiczek zabija obiekt swoich westchnień. – Bruno spojrzał w przerażone oczy Bączka. – Niezły nagłówek do „Superaka”, co?

– Przestań! – wyrzucił z siebie chłopak, zaciskając pięści. – Wiem, co słyszałem! Potrzebowałem się skupić, a ten szum doprowadzał mnie do szału. Pewnie gównu pan wie o nadwrażliwości słuchowej, co? To jak cholerny ból zęba. Wyobraża sobie pan dziesięć lat z bólem zęba? Nie słucham muzyki, nie oglądam telewizji, większość czasu chodzę w stoperach. Ktoś tam był i urządził sobie kurewsko długą kąpiel! –

otarł ślinę, która wytoczyła się na jego usta.

Bruno uśmiechnął się, gdy zrozumiał, skąd te plastikowe sztucce, naczynia i puchaty dywan. Wszystko miało tłumić potencjalne hałasy. Cieszyło go też, że wreszcie zobaczył prawdziwą twarz Miłosza, sfrustrowanego dziwaka cierpiącego na uciążliwą przypadłość.

Zastanawiało go tylko jedno. Skoro kamera wyraźnie zarejestrowała, jak Nina wychodzi z domu w czwartek po południu i wraca dzień później o piętnastej, to kto kąpał się w jej domu w piątek rano? I jakim cudem nie zostawił po sobie żadnych śladów?

Ktokolwiek to był, wydawał się kluczem do rozwikłania zagadki.



Larysa czekała w samochodzie pod Pięściarzem, gdy dostała wiadomość.

„Jeśli za chwilę nie przytargasz tu swojej chudej dupy, wycofuję się z układu”.

Zerknęła na zegarek. Była dwudziesta, co oznaczało, że już się spóźniła, ale musiała załatwić jeszcze jedną sprawę. Zamierzała odpisać policjantowi, ale usłyszała pukanie do okna, które sprawiło, że aż podskoczyła.

– Rety, Suchar, nie skradaj się tak. – Podniosła z siedzenia pasażera plecak i przełożyła go na tylne siedzenie, by zrobić miejsce znajomemu. – Wskakuj. Masz apteczkę?

– Mam. – Maciej Sachara pokazał na okazałą skórzaną torbę à la doktor Quinn. – Sorry za spóźnienie. Musiałem jeszcze załatwić sprawy w szpitalu – wysapał. – Ale zrobiła się mała afera i zajęło to więcej czasu, niż planowałem.

– Co się stało?

– Jakaś kretyńka bez poczucia humoru dała mi formularz i powiedziała tym swoim cienkim głosikiem: „Proszę pozaznaczać odpowiedzi ptaszkiem”. Więc jej powiedziałem, że wolałbym długopisem, a ona wezwała kierownika i oskarżyła mnie o molestowanie. Później okazało się, że kierownik to też kobieta, i obie zaczęły się na mnie wydierać.

– Mówiłam ci, żebyś nie rzucał tymi swoimi sucharami w miejscach

publicznych.

– Spoko, dały się w końcu jakoś ugadać, ale i tak je załatwiłem. – Zachichotał i zatarł ręce. – Narysowałem w okienkach odpowiedzi mikrofiutki. Jak się przyjrzą, to pewnie się zorientują, ale na razie nie zauważyły. Chciały ptaszki, mają ptaszki.

– Jesteś stuknięty.

– Nikt nie jest normalny z bliska, moja droga. Lepiej powiedz, co tam znowu nawywijałaś.

Larysa bez słowa podała mu zabandażowaną dłoń. Suchar wyciągnął z torby nożyczki chirurgiczne i przeciął opatrunek.

– Uuuu! – Wciągnął powietrze z sykiem, gdy zobaczył spuchniętą dłoń i ranę. – Niech zgadnę, robiłaś na drutach i niechcący jeden z nich wbił ci się w dłoń.

– To ołówek. Powiedzmy, że robiłam notatki.

Weterynarz przyglądał się jej dłoni.

– Masz szczęście, nie jest bardzo głęboka. Dasz radę w ogóle ruszać ręką? – Gdy kiwnęła głową, wyjął środki dezynfekujące i zaczął oczyszczać ranę. – Kto ci to opatrzył?

– Pielęgniarka w szpitalu psychiatrycznym.

– I to ja jestem ten nienormalny? – Pokręcił głową. – Dali ci jakiś antybiotyk?

– Nie.

– Przepiszę ci coś przeciwbólowego. Ale pokaż to też jakiemuś chirurgowi ręki albo nawet neurochirurgowi. Sprawdzi, czy nie masz uszkodzonych nerwów, bo jeśli coś przerwałaś, będziesz musiała zacząć wystukiwać artykuły jedną ręką.

– Spoko. A możesz mi dać coś, żeby mnie nie bolało teraz, powiedzmy, przez najbliższe dwie godziny? Mam sprawę do załatwienia. – Jej wzrok przesunął się po szyldzie Pięściarza.

– Tylko mi nie mów, że zamierzasz się bić w tym stanie. – Zorientował się, że unika jego spojrzenia. – Kurwa, Lara. – Uderzył ręką w tapicerkę. – Nie no, ciebie całkiem pogięło. Jak chcesz być inwalidą, to sama się tym zajmuj, na mnie nie licz. – Zaczął pakować bandaż do torby.

Larysa złapała go za rękaw i przez chwilę oboje mierzyli się wzrokiem.

– Nie mogę ci tego znieczulić miejscowo, bo nie będziesz jej wtedy w ogóle czuła. Pierwsze lepsze chuchro zmiecie cię z ringu.

– Daj mi adrenalinę.
– Chyba żartujesz. Twoje serce może tego nie wytrzymać. Poza tym adrenalina nie sprawi, że będzie bolało mniej. Dostaniesz tylko chwilowego kopa, który nie wystarczy nawet na całą walkę, bo epinefryna działa krótkoterminowo.

– Wystarczy, że będę miała mocne wejście. A o serce się nie martw, już raz wytrzymało.

Oczy Suchara zrobiły się duże niczym spodki.

– Czasami się zastanawiam, czy istnieje cokolwiek, na czym ci zależy. Wydajesz się za wszelką cenę dążyć do autodestrukcji.

– To nie twoja sprawa.

– Nie no, jasne. Moja jest tylko wtedy, gdy trzeba zszywać rany, bandażować złamane żebra i sprawdzać, czy ktoś nie naćpał cię jakimś świństwem. Zastanawiałaś się nad tym, że jeśli coś ci się stanie, to pójdę siedzieć? Albo że do końca życia będę miał pieprzone wyrzuty sumienia i w końcu sam strzelę sobie w łeb? Przyszło ci to do tego egoistycznego łba?

– Wiesz co, nie mam czasu na czułości. Jak nie chcesz mi pomóc, to lepiej już idź.

– To ty nie chcesz sobie pomóc. Ja zrobiłem wszystko, co było trzeba, żeby cię ocalić – rzucił, po czym wygramolił się z samochodu i trzasnął drzwiami.

Larysa patrzyła, jak jego obfita sylwetka oddala się, by wreszcie zniknąć z horyzontu za rogami.

Dotychczas Suchar prawił jej kazania, ale jeszcze nigdy nie miał w sobie tego ciężaru i smutku, jakim emanował, opuszczając samochód. To właśnie ta matowość w jego spojrzeniu kazała jej sądzić, że być może tym razem naprawdę z niej zrezygnował. Że nie zadzwoni za kilka dni jakby nigdy nic i nie zapyta, czy ma ochotę obejrzeć z nim kilku odcinków *Gry o tron* albo starego koncertu Metalliki.

Może, pomyślała, istnieje jakaś ilość rozczarowań, które ludzie są w stanie unieść, a później szala się przechyla i nie da się jej już tak po prostu podnieść. Poczwała napływającą falę osamotnienia.

Odepchnęła ją jak najszybciej, chwyciła torbę i wyszła z samochodu. *My way or highway*, powiedziała w myślach, przypominając sobie napis na koszulce Pawła Wiśniewskiego, i skierowała się w stronę Pięściarza.



Bruno był w klubie już od dobrej godziny. Zdążył zrobić trening, wejść w dyskusję z kilkoma osiłkami i narazić się Griszy, który dziś ewidentnie nie był w humorze, bo co chwilę pokrzykiwał i rzucał pod nosem ukraińskie przekleństwa.

– Co on dziś taki nerwowy? – zagadnął go jakiś student w lancerskim ubraniu.

Wilczyński obrzucił dzieciaka wzrokiem i zaśmiał się.

– Mama ci nie urwała metki. – Wskazał na kartonik zwisający z tyłu przy spodenkach.

Młody spłonął rumieńcem, po czym oderwał metkę i wyrzucił ją do kosza.

– I po sprawie. – Chłopak usiłował udawać, że drobna wpadka nic dla niego nie znaczyła. – Chcesz potrenować? Może jakiś sparing?

– Z tobą? Nie obraż się, ale jestem ambasadorem akcji „Dzieciństwo bez przemocy”. Nie powinienes być teraz w łóżeczku, tulić misia i takie tam?

To musiało chłopaka dotknąć, bo jego uśmiech zrzędł. Bruno poczuł się jak świnia, ale uznał, że przynajmniej nikt nie będzie mu zawracał głowy. Podszedł do okna, zdjął rękawicę i wysłał wiadomość do Larasy. Nie sądził, żeby stchórzyła, była na to zbyt ambitna, raczej chciała go wyprowadzić z równowagi swoim spóźnieniem.

– Nie przyjdzie? – usłyszał za plecami głos młodzika.

– Kto? – Obrócił się przez ramię i spojrzał na strojnisia.

– Twój partner. Widziałem, jak zerkasz na zegarek i odwracasz się w stronę drzwi. Wyglądasz, jakby cię ktoś wystawił, więc może jednak?

– Uniósł rękawice, jakby szykował się do walki.

Bruno pomyślał, że naiwność i niezłomność tego dzieciaka coś mu przypominają. Uśmiechnął się do siebie.

– Mama nie będzie zła, że nie wróciłeś na dobranockę? – zapytał.

– Posiedzę trochę na karnym języku i jej przejdzie. – Młody puścił do niego oko.

– Ale się nie rozplaczesz, gdy przegrasz, co nie? Serce by mi chyba pękło. – Bruno dotknął rękawicą klatki piersiowej i zrobił udręczoną

minę.

– A kto powiedział, że ja przegram? Lepiej od razu zainwestuj w balkonik, emerycie.

Wilczyński zaśmiał się.

– Szybko się uczysz, gówniarzu. Mam nadzieję, że równie bystry będziesz na ringu, bo jak nie, to zrobię ci małe kuku.

Młodzik zaśmiał się i przystąpił do rozgrzewki, podczas gdy Bruno zapinał rękawice.

– *Szczo wy robicie?* – zaniepokojony Grisza nagle znalazł się obok nich.

Wilczyński klepnął go w ramię.

– Tak się tylko wygłupiamy z moim nowym kolegą. Co nie? – Zerknął na chłopaka. – Poćwiczmy sobie razem na ringu, i tyle.

– Prawdę mówi, panie trenerze. Nic się nikomu nie stanie.

Grisza przyglądał się przez chwilę obu, po czym rzucił jakieś przekleństwo pod nosem, machnął ręką i odszedł, mamrocząc po ukraińsku. Bruno i chłopak parsknęli śmiechem jak na komendę.

– Dość tych żartów, chłopczyku. Chodź no tutaj, bo muszę sprać komuś tyłek. – Wilczyński wszedł na ring i włożył w usta ochraniacz na zęby.

Dzieciak podążył za nim na swoich chudych nogach i z niezachwianą ufnością w swoje możliwości.

– Do pierwszej krwi? – rzucił, a Bruno odpowiedział mu zniekształconym przez ochraniacz chichotem i skinieniem głowy.

Obaj ruszyli do ostrej wymiany. Wilczyński poruszał się lekko na nogach, niemal jakby tańczył, a chłopak starał się mu w tym wtórować. Nie chciał czekać na akcję przeciwnika, dlatego postanowił zaatakować pierwszy. Jednak gdy to zrobił, został natychmiast skontrowany, a seria ciosów zakończona prostym i sierpem sprawiła, że wylądował na deskach. Bruno stanął jak wryty; spodziewał się, że pójdzie gładko, ale nie że walka skończy się, zanim się na dobre rozkręci.

Nagle obok ringu pojawiła się Larysa.

– Co tu się dzieje?! – warknęła.

– Znudziło mi się czekanie na ciebie, więc postanowiłem się zabawić z pierwszym lepszym leszczem. Myślałem, że nikt nie będzie się bił gorzej od ciebie, a tu proszę. Chyba masz konkurencję.

W czasie gdy mówił, chłopak zdołał podnieść się na nogi i teraz pędził w jego stronę z dzikim okrzykiem. Seria ciosów spadła na głowę Wilczyńskiego i choć starał się osłaniać, to jedno z uderzeń umknęło jego czujności. Pięść przeciwnika trafiła prosto w brew, a Bruno zacisnął zęby z bólu. Teraz to on się zdenerwował. Wymierzył mocny prawy z dołu, trafiając młokosa w szczękę, i zanim tamten zdążył odzyskać rezon, natychmiast poprawił lewym sierpowym, który sprawił, że nos chłopaka eksplodował strumieniem krwi. Młody upadł i nie podnosił się przez dłuższy czas.

– Bartek! – Larysa rzuciła torbę i wskoczyła na ring.

Podbiegła do leżącego chłopaka i uderzyła go w policzek. Młody otworzył senne oczy i uśmiechnął się.

– Następnym razem go załatwię – obiecywał słabym głosem.

– Jeśli jeszcze raz zobaczę, że się z nim bijesz, to ja cię załatwię.

– Och, jaka słodka scena. Niech ktoś mi da wiadro, bo zaraz chyba puszcze pawia. – Bruno zamarkował wymioty, po czym nachylił się nad Larysą i dodał: – Gdybym wiedział, że to twój lowelas, biłbym mocniej.

– To moja... – zaczął Bartek, ale nie mógł skończyć, bo Larysa przytknęła mu dłoń do ust.

– Zamknij się i leż – warknęła, przytrzymując brata drugą ręką.

– Jestem zazdrosny. Czemu do mnie tak nie mówisz? Szczególnie ta druga część wydaje się kusząca.

Larysa zacisnęła pięści; miała ochotę uderzyć policjanta, ale gdy zerknęła na bandaż owijający dłoń, szybko skalkulowała, że nie byłaby to jednak najlepsza decyzja. Powoli podniosła się i spojrzała na Wilczyńskiego wzrokiem płonącym gniewem. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, dostrzegła, że jego wyraz twarzy się zmienia. Nie było w nim tej buty, którą widziała przed chwilą, a jej miejsce zajęło coś na kształt skruchy.

A więc ten palant ma sumienie, pomyślała, ale nie zdołała rzucić pod jego adresem złośliwego komentarza, ponieważ odezwał się pierwszy.

– Przenieśmy go do szatni. Trzeba opatrzyć ranę.

Kiwnęła jedynie głową i chwyciła brata pod ramię, pozwalając, by Bruno złapał go z drugiej strony.



Mimo promieni słońca za oknem przy stoliku w wietnamskiej knajpie Bao Bao panowała lodowata atmosfera. Bartek, przykładając worek z lodem do nosa, pochłaniał pierogi z wołowiną i chrupiącym selerem, a Larysa w napięciu jadła słodko-ostrą zupę hủ tiếu sa tẻ, specjalność mieszkańców delty Mekongu. Oboje udawali, że nie widzą trzeciego towarzysza posiłku.

– Rety! – Bruno z rozpalonym wzrokiem wgryzał się w bao burgera z kaczką, mango i łydygą lotosu. – Warto było dać ci w zęby, żeby trafić do tej knajpy.

Bartek zaśmiał się, po czym zerknął na Larysę, która piorunowała Wilczyńskiego wzrokiem.

– Tak dla jasności: nadal cię nie lubię – wyjaśnił Bartek, spłoszony spojrzeniem siostry.

Była wściekła od chwili, gdy zauważyła, że komisarz jedzie za nimi na swoim motocyklu. Później bezpardonowo przysiadł się do nich w lokalu.

– Zwolnił się stolik przy drzwiach. Możesz się przesiąść – zasugerowała.

– Nie ma opcji. Nie zniósłbym tej rozłąki z tobą.

Larysa jedynie pokręciła głową.

– On naprawdę jest policjantem? – Bartek nachylił się ku niej.

– Idiotą. Dupkiem. Egocentrykiem – rzucała pomiędzy kolejnymi łyżkami zupy.

– Czy wiesz, że w każdej minucie, gdy nie ma między nami miłości, gdzieś na świecie płacze mały kotek? – Bruno zrobił smutną minę.

Bartek parsknął śmiechem. Larysa przez moment patrzyła w okno, po czym odwróciła się do Wilczyńskiego.

– Dobra, zrobmy to szybko i bezboleśnie. Bo domyślam się, że nie jesteś tu dla przyjemności ani dlatego, że masz wyrzuty sumienia.

– Ani ociupinkę. Bez urazy, młody. – Zerknął na Bartka przepraszająco.

– Zamknij się. Teraz ja ustalam warunki – wtrąciła Larysa. – Zdobądź mi informacje o Jakubie Andrzejewskim, synu Michała Andrzejewskiego. Stary trzymał go do piątego roku życia za regałem, potem zwinęła go opieka społeczna, zmienili mu nazwisko, po czym trafił do rodziny zastępczej, aż w końcu ślad po nim zaginął. Chcę też

wiedzieć wszystko o samobójstwach czwórki jego rodzeństwa. Nie robisz notatek?

– Nie muszę. Mam dobrą pamięć. – Bruno zmrużył oczy. Pytania Larysy go zaciekały.

– Twoja kolej. Co chcesz wiedzieć o Zaniewskiej?

– Wszystko, czego nie napisałaś w artykule.

Larysa zerknęła na brata; nie chciała, by wiedział więcej, niż powinien. W świecie, w którym informacja była towarem, każdy mógł stać się zakładnikiem albo celem, i choć słowo „miłość” nie przeszłoby jej przez gardło, to na myśl o krzywdzie chłopaka o identycznych jak jej błękitnych oczach, chłopaka, który w dzieciństwie przed zaśnięciem trzymał jej dłoń i co roku wkładał pod choinkę prezent dla niej, opakowany nieporadnie dziecięcymi rączkami, czuła ucisk w żołądku.

– Bartek, nie potrzebujesz iść do toalety? – zapytała.

– Nie. – Nie zrozumiał od razu, ale gdy napotkał jej wzrok, dotarło do niego, że to nie jest wyraz troski o jego potrzeby. – No dobra. – Podniósł się ciężko i wyszedł na zewnątrz.

Bruno obserwował relację tych dwojga z zaciekawieniem.

– Lubisz związki, w których grasz rolę opiekunki? – usiłował ją sprowokować, by dowiedzieć się więcej. – To w sumie wyjaśnia, czemu nam nie wyszło.

– Twoje żarty mnie nie bawią. Nie wiem, co chowasz pod tą cyniczną maską, i nie chcę wiedzieć, ale jeśli mamy się nie pozabijać, zamknij się i posłuchaj.

Bruno poczuł się w jakiś sposób obnażony. Miał ochotę powiedzieć jej, że nic o nim nie wie i niczego nie rozumie, ale zamiast tego zacisnął zęby i założył ramiona na piersi.

– Mów – rzucił ostro.

– Nina Zaniewska spotykała się z różnymi facetami, ale jej życie kontrolował jeden mężczyzna. To on dawał jej pieniądze na mieszkanie, które wcześniej wyszukał i kazał jej wynająć. Był zawsze bardzo dyskretny. Żadnych przelewów, żadnych spotkań w miejscach publicznych, żadnych telefonów. Poza jednym w miesiącu. Zawsze z telefonu na kartę. Dokładnie o tej samej godzinie, jakby miał obsesję na punkcie czasu. Podawał wtedy szczegóły kolejnego spotkania, miejsca i daty schadzki. Nie mogła odmówić, bo przerwałby układ. Miała być do jego dyspozycji wtedy, kiedy jej potrzebował. To on

kontaktował się z nią, ona z nim nigdy. Był brutalny, lubił ją wiązać i bić. Robił z nią straszne rzeczy, nigdy nie pytając o zgodę. Najczęściej w swoim własnym domu, do którego zawoził ją jego szofer. Kręciło go to, że później w tym samym łóżku kochał się z niczego nieświadomą żoną.

– Wiesz, kto to był?

Larysa zawahała się. Przez ułamek sekundy rozważała podzielenie się z nim informacją o spotkaniu w hotelu, ale szybko uznała, że dolałaby w ten sposób oliwy do ognia.

– Nie wiem, jak się nazywa. Nazywała go sponsorem. Wiem jedynie, że to ktoś, kogo stać na takie numery. Ma władzę, układy i pieniądze, które wielu zamykają usta. Biznesmen albo polityk. Nina mówiła, że kierowca dawał jej tabletkę nasenną, zawiązywał oczy jedwabną apaszką i zawoził do swojego szefa. Gdy się budziła, była najczęściej naga i przywiązana do łóżka.

– Dlaczego nie powiedziała ci, kto to był?

– Nagrywał ją w trakcie ich spotkań. Wystarczył jeden fałszywy ruch, by jej najbliżsi dostali nagrania, od których pewnie zrobiłoby im się niedobrze. Złota klatka. Miała wszystko, ale tylko wtedy, gdy była bezwarunkowo uległa. Układ zamknięty.

– Mógł ją zabić za nieposłuszeństwo?

– Według mnie mógł z nią zrobić wszystko i wierz mi, morderstwo byłoby jedną z bardziej łagodnych opcji.

Wilczyński zamyślił się. W nadzwyczaj grubym portfolio osób, którym zalaż za skórę, miał kilku potencjalnych kandydatów na sponsora Niny, ale nie wyobrażał sobie, by któryś z nich był na tyle zdeterminowany, by prowadzić z nim tak subtelną grę. Zabić – tak, ale ułożyć misterny plan i perfekcyjnie zatrzeć ślady – już nie. Więc może był to ktoś, kogo nie znał, ktoś, kto znał jego historię i postanowił przypomnieć mu najczarniejszy okres jego życia? Osobnik wyrafinowany i inteligentny na tyle, by planować kilka ruchów do przodu.

– Według mnie ona nie popełniła samobójstwa – powiedział. – Ale ktoś, kto ją zabił, przemyślał każdy najdrobniejszy szczegół. Tyle że nie ma ludzi idealnych i każdy w końcu popełni błąd.

– Może już to zrobił, tylko nieuważnie patrzyłeś?

– Nie pytasz, skąd wiem, że nie zabiła się sama? Gdzie się podział

twój krytycyzm?

– Ona nienawidziła siebie za to, co robiła, ale jednocześnie nie mogła z tym zerwać. Jak wszystkie te dziewczyny oszukiwała się, że niebawem z tym skończy. W każdy weekend łykała garść tabletek nasennych i zapijała alkoholem, by jakoś przetrwać długie, puste godziny obcowania tylko ze sobą. Była idealną kandydatką na samobójczynię. Ale kiedy widziałam się z nią w pubie, odsunęła od siebie orzeszki stojące na barze. Nie chciała umrzeć. Czasami po prostu chciała nic nie czuć, dlatego brała leki i zapadała w sen.

Bruno pomyślał, że opowiada o dziewczynie, jakby sama знаła ten stan i uczucie dojmującej pustki przeżerającej każdą komórkę. Nagła świadomość niespodziewanej bliskości z siedzącą naprzeciwko dziewczyną wywołała w nim dyskomfort. Jakby zaczynał go otaczać smolisty dym, muskał skórę i wdierał się do płuc. Nie zastanawiał się długo, otworzył usta i zrobił to, co zwykle w takich chwilach.

– Następnym razem, jak będziesz chciała mi zaimponować, po prostu włóż coś fajnego. Te psychologiczne bzdury są zbędne. Wystarczy bluzka z dekoltem. – Puścił do niej oko.

Larysa poczuła, jakby dostała pięścią w brzuch. Była zła na siebie, że zdobyła się na taką otwartość. Nie rozumiała, czemu w ogóle zakładała, że może zaufać temu egocentrycznemu palantowi. Miała ochotę złapać go za włosy i rąbnąć jego zadowoloną twarzą o talerz hủ tiếu sa tẻ, gdy poczuła czyjąś rękę na ramieniu.

– No proszę. – Bartek wrócił do stolika i z szelmowskim uśmiechem patrzył na siostrę. – Nie było mnie chwilę, a wy pijecie sobie z dzióbków.

– Niezupenie. – Strząsnęła rękę brata i zgarnęła ze stołu kluczyki. – Zbieramy się.

– Ale chwila, może weźmiemy jeszcze deser? – Bartek wydawał się skonsternowany tym nagłym zakończeniem posiłku.

– Idziesz ze mną czy będziesz wracał autobusem? – Larysa wpatrywała się w brata, całkowicie ignorując policjanta.

Chłopak wybiegł za nią, a gdy byli już na zewnątrz, usłyszeli wołanie Brunona:

– Zadzwoń w temacie Andrzejewskiego.

– Nie mogę się doczekać – rzuciła pod nosem.



Gdy tylko czarny citroën saxo zniknął z horyzontu, Bruno wsiadł na motocykl i pojechał na komendę.

O tej porze było tam cicho i w miarę pusto, a on potrzebował się skupić. Słowa Larysy nie dawały mu spokoju. Jeśli morderca rzeczywiście mógł się gdzieś dotychczas potknąć, musiał znaleźć to miejsce. Musiał patrzeć szerzej, za bardzo skupił się na detalach, a przez to przeoczył tak ewidentne rzeczy, jak chociażby regularny kontakt w pierwszy wtorek każdego miesiąca dokładnie o dwudziestej. Widział to teraz wyraźnie, siedząc nad biurkiem i przeglądając billingi Niny.

Zdażył już sprawdzić wszystkie numery i upewnić się, że połączenia były wykonywane z prepaidów. Udało mu się też ustalić potencjalne ostatnie miejsca logowania do sieci tych numerów. Były określone orientacyjnie, z dokładnością do pięćdziesięciu metrów w mieście, gdzie aż roi się od stacji bazowych, z którymi łączy się telefon, tzw. BTS-ów, i do trzystu metrów poza miastem, gdzie stacji jest mniej.

Bruno pozaznaczał na mapie położenie stacji i zakreślił okręgami obszary, z których mogło być wykonane każde połączenie. Nie było w tym żadnej logiki. Bo właściwie mógł dzwonić każdy. Policjant wściekł się, zmiażdżył mapę i zrzucił ją na podłogę. Upadła obok sterty innych papierów i gazet, które Bruno uważał za zbędne, ale był zbyt zajęty, by zanieść je do kosza. Jego wzrok zatrzymał się na rankingu najbogatszych Polaków magazynu „Forbes” i nagle coś go tknęło. Drobiazg, który zauważył wcześniej, ale uznał go za nieznaczący zbieg okoliczności.

Schylił się po mapę, położył ją na biurku i rozprostował. W jednym z okręgów odnalazł Haller Investments, firmę należącą do rodu Hallerów, kierowaną od jakichś dziesięciu lat przez najmłodszego syna, Roberta. Wilczyński przypomniał sobie, że to imię padło w rozmowie z sąsiadem Niny, otworzył magazyn na krótkiej notce o biznesmenie i uważnie przyjrzał się jego zdjęciu. Było zrobione w jego gabinecie, a sam Haller siedział bokiem na biurku z założonymi rękami i poważną miną. Najciekawsze jednak było to, co udało się fotografowi uchwycić w tle.

Otóż na ścianie, na lewo od biurka, wisiały tuziny zegarów. Bruno aż zagwizdał. Potentat wynajmu nieruchomości i właściciel kilku centrów handlowych z pewnością był człowiekiem wpływowym i nietykalnym, a zegary pasowały do określenia, którego użyła Larysa: „miał obsesję na punkcie czasu”.

Bruno poczuł mrowienie w dłoniach. Natychmiast chwycił za telefon i skontaktował się bezpośrednio z Haller Investments.

Po ujawnieniu, kim jest, został przekierowany do osobistej asystentki prezesa, a ta zapisała wszystkie informacje i obiecała oddzwonić w ciągu godziny, gdy tylko prezes odpowie na jego prośbę o spotkanie. W oczekiwaniu na telefon Wilczyński przeglądał w internecie wszelkie doniesienia na temat Roberta Hallera, ale nie znalazł tam niczego, co mogłoby budzić czujność.

Z nudów zaczął grzebać w systemie w poszukiwaniu Jakuba Andrzejewskiego, o którym wspominała Larysa, ale poza wzmianką o utajnieniu jego danych i miejsca pobytu w ramach ochrony pokrzywdzonych nie znalazł niczego więcej. Dowiedział się za to sporo o jego ojcu, Michale Andrzejewskim. Mężczyzna został skazany na dziesięć lat z artykułu dwieście siódmego kodeksu karnego, czyli za znęcanie się nad małoletnim z zastosowaniem szczególnego okrucieństwa. Facet wykpił się od więzienia chorobą psychiczną i trafił do Choroszczycy na oddział psychiatrii sądowej o wzmocnionym zabezpieczeniu. Odsiedział karę, wyszedł, a po kilku latach wrócił z orzeczeniem o schizofrenii paranoidalnej i siedzi tam do dzisiaj.

Bruno zastanawiał się, dlaczego Larysę obchodzi los tego dzieciaka. To była stara historia, o której nikt raczej już nie pamiętał. Przejrzał raz jeszcze listę osób zaangażowanych w sprawę i zauważył nazwisko budzące w nim jednoznaczne wspomnienia.

– Teresa Myszkowska. Kto by się spodziewał? – rzucił do siebie z uśmiechem pełnym satysfakcji.

We wspomnieniach zachował wiecznie zafrapowaną twarz nobliwej prokurator Teresy Myszkowskiej. Wprawdzie kobieta zmarła kilka lat temu na raka, ale jej córka Joanna, która poszła w ślady matki i na dobre związała się z prawem, była mu swego czasu szczególnie bliska. Z tego, co pamiętał, Joanna Myszkowska już dawno się tak nie nazywała. Kilka lat po tym, jak zerwali, wyszła za Waldemara Rysia i stała się Joanną Ryś, a wraz ze zmianą personaliów przekształceniu

uległa także jej osobowość.

Z nieśmiałej, acz piekielnie inteligentnej dziewczyny z prowincji, chodzącej w babcinych garsonkach, przeobraziła się w bezwzględną prokurator w seksownych kostiumach, szpilkach i z czerwoną szminką na ustach. Bruno nie widział jej nowego wcielenia, ale słyszał od chłopaków, że nikt nie ma teraz u niej taryfy ulgowej. Nie bez znaczenia zapewne było, że jej mąż, pan Ryś, był sędzią cieszącym się wysoką estymą i zarazem znanym ze swojej nieustępliwości. Mycha nie miała najwyraźniej wyjścia i musiała zamienić się w Rysicę.

Bruno sięgnął po telefon i wybrał numer, którego przezornie, w przeciwieństwie do kontaktów do innych kobiet, z którymi spał, nie wykasował. Joanna Ryś zachowała się najpewniej zgoła odmiennie, gdyż odebrała sucho i niechętnie, nie wiedząc, z kim ma do czynienia.

– Słucham.

– Po tym, co przeszliśmy, zasłużyłem chyba na miłsze powitanie.

– Kto mówi? Nie mam czasu na pierdoły.

– A więc to prawda, co o tobie mówią. Nowa Rysica zjadła starą dobrą Mychę.

– Bruno? Bruno Wilczyński? – zaśmiała się. – Czyżbyś umierał i przyszedł czas na rachunek sumienia?

– Rachunek sumienia mam wciąż otwarty, więc nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy powspominali dawne czasy.

– Wiesz, jakoś nie jestem sentymentalna. Poza tym potrafię rozpoznać, kiedy ktoś kłamie; nie zapominaj, że jestem prokuratorem. Ponadto wzorowałam się na najlepszych. Lepiej powiedz, z czym dzwonicz.

– A takie tam stare sprawy. Twoja matka oskarżała kiedyś, w czasach, gdy nosiłaś jeszcze pieluchy, niejakiego Michała Andrzejewskiego. Dane jego syna, Jakuba, zostały utajnione, a tak się składa, że chętnie bym z nim porozmawiał.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza.

– Domyślam się, że mój głos nadal robi na tobie wrażenie, ale czy mogłabyś poczekać z omdleniem do czasu, gdy skończymy rozmawiać?

– Czy to ty nasłałeś na mnie tamtego faceta? – zapytała poważnie Joanna.

Bruno zmarszczył brwi.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Jakiego faceta?

– Miał taki przyjemny głos. Głęboki i lekko aksamitny. Dzwonił kilka dni temu i pytał o to samo. Oczywiście niczego mu nie powiedziałam, ale to mnie strasznie męczyło, więc wczoraj dzięki kilku starym znajomym matki odgrzebałam akta w archiwum i odkryłam, że są niekompletne. Brakuje informacji o nowym nazwisku i o rodzinie, która adoptowała chłopca. Wszystko wyparowało. Sprawdziłam rejestry, zadzwoniłam do kilku osób i... nic. Według oficjalnego zapisu nikt nie zaglądał do tych akt od bardzo dawna. A nie muszę ci chyba mówić, że i tak dostęp do nich miało tylko kilkoro pracowników.

– A ten ojciec, który obiecywał, że się na nim zemści?

– Siedzi w Choroszczy, nie wydaje mi się, żeby był zdolny do takich wyczynów. Poza tym to świr. Prędzej biegałby nago po ulicach, przeklinając swojego syna, niż kradł jego dane.

Bruno uznał, że sprawy Larysy nie są tak nudne, jak wydawało mu się na początku.

– Czemu w ogóle z tym zadzwoniłeś? To była jedna z ważniejszych spraw mamy, ojciec zawsze twierdził, że stała się po niej inna, jakby smutniejsza. Od kiedy to interesują cię postępowania sprzed prawie czterdziestu lat?

– Szukałem jakiegoś pretekstu, by się do ciebie odezwać, i ten wydawał mi się całkiem interesujący.

– Łżesz jak pies.

– Z uwagi na nasze relacje udam, że nie słyszałem tej obelgi.

– A ja przycisnę, kogo trzeba, i spróbuję wyciągnąć jakieś informacje.

– Mnie zawsze możesz przycisnąć, gdybyś się stęskniła.

– Uważaj, czego pragniesz, bo możesz to otrzymać.

– Straszysz czy obiecujesz?

– Jedyne, co mogę ci obiecać, to to, że jeśli nie przestaniesz do mnie wydzwaniać, przycisnę, a może raczej dociśnię cię niejaki Waldemar Ryś. Słyszałeś może o nim?

– Nie bardzo, a jeśli nawet, to na stówę zignorowałem tę informację. Mam tyle rzeczy w dupie, że każdego dnia zastanawiam się, jakim cudem jeszcze mieszczę się w spodnie.

Bruno rozłączył się, a wtedy zobaczył nieodebrane połączenie i informację o wiadomości na poczcie głosowej. Nacisnął guzik jak najszybciej i po chwili usłyszał wypowiedane w pełni profesjonalnym tonem: „Pan Haller zaprasza pana do swojej rezydencji w Milanówku.

Proszę przybyć jutro punktualnie o siódmej rano, pan Haller nie toleruje spóźnień”.



Jacek i Emilia czekali już od ponad dwóch kwadransów i choć atmosfera na komendzie wydawała się raczej ospała, wszyscy kazali im być cierpliwymi. Emilia obserwowała, jak jakaś kobieta leniwie przekłada dokumenty, ktoś z kimś rozmawiał o minionym weekendzie, a dwóch pijaczków awanturowało się przy wejściu. Zaczynała powątpiewać w swoje plany i coraz bardziej rozumieć sceptycyzm męża. Nagle dostrzegła idącego szybkim krokiem wysokiego mężczyznę, za którym biegł otyły facet z wąsami.

– Bruno! Masz się tym zająć, rozumiesz? – krzyczał wąsaty, czerwony na twarzy mężczyzna, wymachując rękami.

– Czytaj ze zrozumieniem. – Ten drugi pokazał mu palcem napis na swojej koszulce: „Nie wiem, nie znam się, nie orientuję się, zarobiony jestem”. – Zrób notatki. Ogarnę to, jak wrócę z terenu.

– Jak wrócisz z terenu, to szukaj swojej dupy w drogówce – rzucił wąsaty, gdy tamten opuszczał komendę. Następnie podszedł do kobiety, która przyjmowała od Emilii zgłoszenie, a ta wskazała na nich.

Wydawało się jej, że mężczyzna przewrócił oczami, ale łudziła się, że mimo to ktoś w końcu się nimi zajmie. Tyle że wąsaty, zamiast podejść do nich, obrócił się na pięcie i zniknął w długim korytarzu.

– Nie no, to już jakaś przesada. Widziałaś to? – Jacek od początku siedział jak na szpilkach, co chwilę zerkał na zegarek i wiercił się na krześle, a teraz jego cierpliwość najwyraźniej się wyczerpała. – Idę z nim pogadać – powiedział, a potem poszedł śladem mężczyzny.

Bez pardonowo otworzył drzwi gabinetu, które właśnie zamknęły się za wąsatym, i wparował do środka.

– Co pan tu robi? – Mężczyzna nie krył niezadowolenia, a jego ręka od razu powędrowała w stronę broni.

– Spokojnie, chciałem tylko pogadać. – Jacek uniósł ręce. – Jacek Lewicki. – Wyciągnął dłoń, ale mężczyzna ją zignorował. – Proszę wybaczyć, ale czekamy tu już prawie od godziny. Wiem, że pan nie ma ochoty tego słuchać, ale ja nie mam ochoty dłużej tu siedzieć. Proponuję taki układ: za chwilę przyprowadzę tu moją żonę. Poświęci

jej pan dziesięć minut, a później odeśle do domu.

– Że co? Człowieku, chyba upadłeś na głowę. Widziałeś napis na drzwiach? Podpowiem ci: naczelnik wydziału Marian Pękała. A teraz zabieraj swoje cztery litery, zanim się naprawdę zdenerwuję.

– Proszę tylko o dziesięć minut. – Lewicki wyciągał błagalnie złożone ręce. – Moja żona odchodzi od zmysłów. Boi się, że ktoś chce zrobić krzywdę naszym synom.

Pękała zawiesił wzrok na zdjęciu z czarną wstążką, które stało na jego biurku. Wydawało się, że jest nieobecny, jakby jego myśli zabrały go gdzieś daleko. Westchnął ciężko, po czym spojrzał na Jacka.

– Dziesięć minut i ani sekundy dłużej – rzucił ostro.

Jacek natychmiast pobiegł po Emilię, która z wrażenia, idąc o kulach, prawie potknęła się w drodze do gabinetu naczelnika.

– Spokojnie, kochanie, dasz radę. Mam wejść z tobą? – zapytał, gdy znaleźli się już przed drzwiami.

– Nie. Oszczędzę ci tego. Wiem, że musisz pracować. Jedź, wróć taksówką. – Poczowała ulgę, że Jacek nie będzie słuchał jej rozmowy z policjantem; bała się, że może w niej powiedzieć o słowo za dużo.

Mąż ucałował ją w policzek i zniknął, a ona wzięła głęboki wdech, a później wyjęła z torebki zdjęcie z urodzin. Dasz radę, powtórzyła sobie w myślach. Gdy otworzyła drzwi, wąsaty mężczyzna siedział za biurkiem.

– Proszę od razu przejść do konkretów. Nie mam czasu – zapowiedział.

Emilia poczuła, że poca jej się dłonie. Ostrożnie usiadła na krześle, odstawiając kule z boku.

– To się zaczęło na urodzinach chłopców. – Wyciągnęła z torebki zdjęcie. – Ten mężczyzna pojawił się znikąd. – Wskazała go palcem.

Opisała dokładnie całą sytuację, wspomniała o złożonym ubraniu na leżaku, napisie na lustrze, dziwnym telefonie i o tym, jak złamała nogę.

Naczelnik słuchał tego, krzywiąc się mocno, w połowie opowieści przestał robić notatki i ziewnął przeciągle, po czym zapisał coś na małej, żółtej karteczce, którą wręczył Emilii.

– Nikodem Sztark? Kto to jest? – Obracała karteczkę w dłoniach.

– Dobry psycholog. Pomógł mojej żonie pozbierać się po... – Zamilkł, po czym odchrząknął. – Pomógł jej w trudnym momencie. Myślę, że i pani pomoże.

Emilia zgmiotła papierek w kulkę.

– Nikt mi nie wierzy! – Zaśmiała się gorzko. – Będziecie czekać, aż komuś stanie się krzywda? Aż ktoś porwie moich synów?

– Niby na jakiej podstawie ma się im stać krzywda? Pani wymysłów? Byłem naprawdę cierpliwy, ale już wystarczy. – Drobną bąbel śliny pojawiły się w kącikach ust Mariana Pękały, a jego twarz nabierała ciemnoczerwonej barwy. – Proszę stąd wyjść. Muszę się zająć prawdziwymi zbrodniami. Jakby coś, Ghostbusters pracują w budynku obok. – Zaczął przeglądać papiery na biurku, wyraźnie dając znak, że rozmowa właśnie się skończyła.

Emilia zacisnęła dłonie w pięści.

– Czy obowiązuje pana tajemnica? – Jej głos drżał. – Chodzi o to, że nie chcę, by mój mąż się dowiedział. – Obserwowała, jak naczelnik unosi wzrok i patrzy na nią z ciekawością, a później potwierdza skinieniem głowy. – W takim razie proszę wziąć długopis do ręki.



Przed siedzibą Mielcarz Constructions stało dużo błyszczących, koszmarnie drogich samochodów. Larysa doskonale wiedziała, który z nich należy do Tadeusza Mielcarza, męża zmarłej profesor Anny Mielcarz. Obserwowała przedsiębiorcę od jakiegoś czasu, przy pomocy Bartka zainstalowała mu nawet mały podsłuch w samochodzie, ale dziś znudziło się jej patrzeć i postanowiła go odwiedzić.

Weszła do środka w ciężkich butach, skórzanej ramonesce i lenonkach na oczach. Nie zatrzymywała się nawet na chwilę.

– Przepraszam, a pani do kogo? – zawołała ładna recepcjonistka.

Larysa nic nie odpowiedziała.

Szła korytarzem w stronę gabinetu prezesa, nie oglądając się za siebie. Mijała po drodze oszklone pokoiki przypominające akwaria, a pracujące w nich osoby unosiły z zaciekawieniem głowy i z ustami otwartymi niczym u ryb przyglądały się niespodziewanemu gościowi.

Znała dokładnie położenie gabinetu, bo kilka dni spędziła na dachu budynku po drugiej stronie ulicy, robiąc zdjęcia mężowi Anny Mielcarz. Niektóre z nich uznała za wyjątkowo udane i nie mogła się doczekać, kiedy pokaże Tadeuszowi, jak bardzo może być fotogeniczny.

– Nie może pani tam teraz wejść. Prezes ma spotkanie – usłyszała truchtającą za nią recepcjonistkę.

Ale zanim dziewczyna zdążyła ją dogonić, Larysa dotarła już do szklanych drzwi i położyła rękę na klamce. Nie widziała, co się dzieje za zsuniętymi żaluzjami, ale gdy drzwi okazały się zaryglowane, zrozumiała, że najpewniej przyszła w idealnym momencie.

Odwróciła się do recepcjonistki i położyła palec na ustach, dając jej do zrozumienia, by przestała mówić. Skonsternowana dziewczyna rozglądała się wokół, jakby rozważała ewentualne konsekwencje sprzeciwienia się dziwnej nieznajomej, ale w końcu uległa i zamilkła.

– Prezes bardzo nie lubi, gdy ktoś mu przeszkadza. Proszę zaczekać – wyszeptała niemal błagalnie, cała przejęta, z zaróżowioną twarzą i drżącymi rękami.

– Odsuń się – rzuciła Larysa i kopnęła w zamek na tyle mocno, że bez problemu puścił.

Szklane drzwi uderzyły z hukiem o ścianę i przez chwilę wydawało się, że rozsypią się w morze kryształowych odłamków, ale o dziwo pojawiły się na nich tylko długie rysy.

– Co jest, do cholery!?! – wrzasnął zaskoczony Mielcarz, w pośpiechu zapinając rozporek spodni.

Zza biurka podniosła się kobieta, która otarła dłonią usta, a później przygładziła rozczochrane włosy. Oczy recepcjonistki zrobiły się ogromne; usiłowała coś powiedzieć, ale była tak zaskoczona widokiem dyrektora marketingu na kolanach, że bąkała tylko pod nosem niezrozumiałe monosylaby.

– Co tak stoisz i się gapisz? Wezwij ochronę! – zakomenderował Mielcarz.

Recepcjonistka skinęła głową i już zerwała się, by biec do telefonu, gdy usłyszała Larysę.

– Na twoim miejscu bym tego nie robiła.

Dziewczyna przystanąła, jakby nie wiedziała już, kogo ma słuchać. Zerknęła to na szefa, to na nieznajomą w lenonkach.

– Po prostu porozmawiamy sobie chwilę z Tadeuszem. Nie ma powodu, by robić aferę, prawda? – Larysa zerknęła na prezesa, podsuwając mu jednocześnie swój telefon.

Kiedy Mielcarz zobaczył zdjęcia na ekranie smartfona, zaczął uważniej przyglądać się dziewczynie.

– Zostaw nas samych na chwilę – rzucił do recepcjonistki, która szybkim krokiem odpłynęła w stronę swojego biurka, a później odwrócił się do dyrektora marketingu, na której twarzy malowało się przerażenie. – Ty też możesz już iść. Dokończymy nasz projekt później.

Kobieta poprawiła spódnicę, sięgnęła ręką do dekoltu, skąd wyjęła pluskwę, podała ją Larysie i bez słowa skierowała się w stronę wyjścia.

– Idź do kadr i złóż wypowiedzenie! – zawołała za nią Larysa. – Później poszukaj dobrego prawnika, który zaproponuje Tadeuszowi ugodę. Minimum trzysta tysięcy plus koszty procesowe. Materiały znajdziesz w swojej skrzynce.

Kobieta patrzyła na nią pełnym uznania wzrokiem, ale gdy Mielcarz zaczął się śmiać, nieśmiało spuściła głowę.

– Idź – powtórzyła ostro Larysa, a gdy dyrektor do spraw marketingu wyszła, przymknęła uszkodzone drzwi.

– To jakiś żart? – Prezes nadal miał na twarzy wraz rozbawienia. – Z tego, co wiem, pieprzenie jest legalne.

Larysa usiadła na krześle naprzeciwko biurka, położyła nogi na blacie i wzięła do ręki jabłko z designerskiego koszyczka. Ugryzła owoc i otarła palcem sok spływający z jej ust.

– Pieprzenie tak, ale to już nie. – Uruchomiła w komórce plik i podkreśliła głośność.

„Marianno, nic nie umiesz. Wiesz, że nie jesteś zbyt bystrą kobietą. Nie wiem, jakim cudem w ogóle dostałaś tu pracę. Przespałaś się z kimś? Tak? Jeśli tak, musiałaś to robić dobrze, skoro cię zatrudniliśmy. Powiedz, jesteś w tym dobra? A może mi pokażesz?” Nieśmiało kobiecie: „Nie”. „Nie wygłupiaj się, masz dwoje dzieci, twój mąż nie żyje, sama spłacasz kredyt i chyba nie chciałabyś, by rynek dowiedział się, jaka z ciebie głupia suka”. „Auu, proszę mnie puścić!” „Może rzeczywiście nieco mnie poniosło. Nie chciałem cię wystraszyć. Chcę ci tylko pomóc. Chcę, żebyś robiła w naszej firmie to, w czym jesteś najlepsza. Możesz na przykład zacząć od zrobienia mi lodu”. Dźwięk rozpinanego rozporka. „Nie mogę...” – mówi kobieta prawie przez łzy.

Larysa zatrzymała nagranie.

– Oszczędzę ci dalszego ciągu, bo pewnie doskonale pamiętasz, co mówiłaś.

Mielcarz wpatrywał się w ścianę, zaciskając przy tym szczęki.

– I co z tym zrobisz? Pójdiesz do mediów? – Spojrzał na Larysę wzrokiem pełnym nienawiści.

– Może. – Ugryzła trzymane w ręku jabłko.

– Wiesz, jak się kończą takie sprawy. Przez chwilę zrobi się głośno, a potem wszyscy o tym zapomną. Poza tym mam wystarczająco dużo pieniędzy, by udowodnić, że ta kobieta jest stuknięta. Bez wysiłku mogę zniszczyć życie jej i jej rodziny. Dojadę ją tak, że wycofa zeznania, jeszcze zanim je złoży. Szkoda twojego zachodu.

– A co z Wiolettą Grabowską i Malwiną Biedroń? Je też zastraszysz? – Z satysfakcją obserwowała, jak krew odpływa z jego twarzy. – Wiesz, mam sporo wolnego czasu, więc pogrzebałam nieco w twoim życiu i mocno się zawiodłam. Tadeusz M., właściciel firmy budowlanej i wdowiec, mężczyzna z zasadami, który regularnie łoży na cele charytatywne, okazał się mobberem zmuszającym podwładne do seksu. Rozczarowałeś mnie. A to całe dobroczyenne zatrudnianie kobiet samotnych i pokrzywdzonych tylko po to, by móc je później zastraszать... – Pokręciła głową. – Robi mi się od tego niedobrze.

Prezes Mielcarz podszedł do biurka, wyciągnął notes i długopis i podał je Larysie.

– Ile? – rzucił, wpatrując się w jej twarz.

Larysa zaśmiała się.

– Trzysta tysięcy dla każdej z nich, przelewem z tytułem „Zwrot pożyczki”. Jeśli nie dostaną pieniędzy do jutra albo jeśli kiedykolwiek dotrze do mnie informacja, że znów wykorzystujesz swoją pozycję, rozpętam taką burzę, że będziesz miał ochotę publicznie odciąć sobie fiuta.

Tadeusz skrzywił się, a później nieznacznie skinął głową.

– Dlaczego to robisz? Ktoś cię wynajął? Moja konkurencja?

Larysa ściągnęła lenonki i spojrzała mężczyźnie w oczy. Zauważyła, że wzdrygnął się i odwrócił wzrok.

– Powiedzmy, że nie spodobało mi się, jak traktowałeś żonę – wyjaśniła.

– Annę? – Uniósł brwi. – A co ona ma z tym wspólnego? Zginęła w wypadku dziesięć lat temu.

– I to jakim! Spektakularnym. Naga kobieta w środku nocy wbiega na ulicę. Ciekawe, jak bardzo przyczynił się do tego fakt, że zrobiłeś jej pranie mózgu? Bo przecież to ty kazałeś jej chodzić do psychiatrii

i faszerowałaś ją lekami, prawda? Za co? Za Igora Szymanowicza? Tak bardzo nie mogłeś znieść tego, że wołała sypiać z kimś, kto nie musiał zmuszać jej do seksu?

– Dość! – wrzasnął Mielcarz, a jego dłonie zaczęły drżeć. – Anna była chora. To był cholerny wypadek. Nie miałem z tym nic wspólnego. – Zamknął oczy i wziął głęboki wdech.

– To co według ciebie się stało?

Tadeusz milczał, wzruszył jedynie ramionami. Wspomnienie żony obudziło w nim smutek, który przygarbił plecy biznesmena i zeszklił jego spojrzenie.

– Rozmawiała o tym głównie z lekarzem – zaczął powoli. – Ja nie chciałem słuchać tych bzdur. Dostawałem szału, gdy tylko widziałem jej udręczoną minę. Miałem ochotę ją spoliczkować i zmusić do uśmiechu. Wszystko, byle tylko nie zamieniła się w swoją stukniętą matkę.

– Nie bądź taki skromny, jestem pewna, że zrobiłeś to nie raz. Musiałeś przecież jakoś odreagować romans żony ze studentem.

Prezes zacisnął dłonie w pięści.

– Wyjdź – wycedził przez zęby.

Larysa wstała i sięgnęła po jeszcze jedno jabłko.

– Jak nazywał się jej terapeuta?

Mielcarz przez chwilę się namyślał, po czym odchylił się na krześle.

– Stark czy Sztark, jakoś tak. – Podsunął krzesło do biurka i zaczął uderzać w klawiaturę komputera, dając znak, że limit jego uwagi został już wyczerpany.

– Mam nadzieję, że nie zaginał jak Igor Szymanowicz – rzuciła tuż przed wyjściem i choć była odwrócona tyłem, poczuła, że mąż Anny Mielcarz na nią patrzy, a jego wzrok oblepia ją niczym kleista smoła.



Bruno słuchał, jak drobne kamienie wyskakują spod kół samochodu. Wprowadzało go to w rodzaj transu, który powodował, że miał ochotę zjechać na pobocze, oprzeć głowę o boczną szybę i uciąć sobie drzemkę.

Poprzedniej nocy dla rozrywki na chwilę odpalił seriale w sieci

i skończyło się tym, co zawsze. Poszedł spać grubo po trzeciej, a gdy kilka godzin później zadzwonił jego budzik, miał ochotę gołymi rękami udusić Davida Benioffa i D.B. Weissa, twórców *Gry o tron*. Według Wilczyńskiego platformy streamingowe i producenci seriali byli nowoczesnymi, legalnymi i zupełnie bezkarnymi dilerami. Działali dokładnie na tych samych zasadach. Częstowali za darmo niewielką porcją, a gdy głód narastał, podsuwali cyrograf i konsekwentnie pobierali opłaty za każdą kolejną działkę. Zostawiali człowieka zdewastowanego, wyczerpanego i łaknącego nowej dawki przeżyć.

Jechał zwirową alejką prowadzącą do rezydencji Roberta Hallera, mając nadzieję, że jego spóźnienie zmieści się w dopuszczalnym kwadransie. Biznesman zdecydował się go przyjąć w domu pewnie dlatego, że nie chciał, by policja przechadzała się korytarzami jego firmy. Gdy zaparkował na obszernym podjeździe, auto wydawało mu się mniejsze niż w rzeczywistości. Z lotu ptaka musiało wyglądać jak pudełko zapalek na usianym jasnymi kamyczkami dywanie.

Zatrzymał się przed drewnianymi drzwiami i zastukał kołatką w kształcie lwa. Po chwili coś po drugiej stronie poruszyło się i oczom Brunona ukazała się starsza kobieta w schludnej spódnicy, sweterku i fartuszkach. Zerknęła na zegarek na prawym nadgarstku i pokręciła głową.

Bruno poczuł się jak dziecko, które za chwilę dostanie burę za spóźnienie, ale na szczęście nic takiego się nie wydarzyło.

– Proszę rozgościć się w bibliotece. – Dłonią wskazała korytarz po lewej stronie. – Do końca i schodami na górę. Pan Haller zaraz do pana dołączy, jak tylko skończy bawić się z psami.

Mimo że Wilczyński wychowywał się w bogatym domu, wewnątrz zrobiło na nim ogromne wrażenie. Ascetyczne, jasne i niezwykle czyste. Biel i marmury wywoływały uczucie chłodu, które sprawiło, że przeszedł go dreszcz. Ale najbardziej uwagę przyciągał jeden element wystroju.

Zegary.

Ściany korytarza przyozdobione były nimi niczym choinka bożonarodzeniowa bombkami. Od wysokości jego ramion do sufitu tykały każdy w swoim rytmie. Setki zegarów wskazówkowych z wahadłami. Kilka dużych drewnianych budek z kukułką, egzemplarze w stylu art deco i nowoczesne designerskie wzory.

Nieustanne „cyk, cyk” mogło przyprawić człowieka o obłąd. Dźwięk wprowadzał w dziwny stan napięcia i niepokoju.

Z ulgą zamknął za sobą drzwi biblioteki i opadł na skórzany fotel. Z nieukrywaną satysfakcją obserwował bogate zbiory biznesmena. Egzemplarze w skórzanych oprawach, dzieła klasyków i książki, które należały do kanonu światowej literatury. Po chwili zatrzymał wzrok na zdjęciu Hallera z psami, które wisiało na ścianie.

– Siedemset czterdzieści siedem – powiedział mężczyzna, który wszedł do pomieszczenia tylnymi drzwiami, zerkając na swojego złotego rolexa. – Tyle sekund spóźnił się pan na nasze spotkanie.

Bruno roześmiał się, choć mina gospodarza nie świadczyła raczej o tym, by żartował.

Mężczyzna zajął miejsce na fotelu po drugiej stronie drewnianego stolika i z niesmakiem przyglądał się policjantowi.

– Bawi to pana? – Szmaragdowa marynarka podkreślała błękitny kolor jego oczu i nadawała mu dostojny wyraz. – Czas jest najbardziej pożądanym i jedynym niemożliwym do odzyskania zasobem. Jeśli nie powiedział pan o czymś bliskiej osobie, a ona odeszła, już nigdy nie będzie takiej możliwości. Nie istnieją drugie szanse.

Czy to możliwe, by nawiązywał do mojej matki? – pomyślał Bruno. Ta myśl wydawała mu się niedorzeczna.

– W takim razie nie traćmy czasu. Zabił pan Ninę Zaniewską?

– Nie. – Haller uśmiechnął się delikatnie. Był w nim ten rodzaj opanowania, który doprowadzał ludzi do szaleństwa. – Choć przyznam, że zirytowała mnie wiadomość o jej śmierci. Mieliśmy naprawdę idealny układ. Nina była moją kochanką przez wiele miesięcy. Nasza relacja opierała się na wymianie. Jej ciało za moje pieniądze.

– Dlatego dzwonił pan do niej co miesiąc?

– Tak, zawsze o tej samej porze. Jak pan zauważył, cenię swój czas, lubię, gdy wszystko jest poukładane. – Odruchowo zerknął na zegarek.

– Dzwoniłem, by przekazać, gdzie i kiedy ma się stawić. Za każdym razem to było inne miejsce. Czasem wyjeżdżaliśmy także za granicę.

– Był pan u niej ósmego lipca?

– Nie, ona była u mnie. Nigdy nie pojawiłem się w jej mieszkaniu. Przyszła w czwartek wieczorem. Tej nocy nagrywaliśmy film. Wyjątkowo dobry, zapewniam. – Uniósł prawy kącik ust. – Wyszła stąd w piątek w południe.

Bruno przypomniał sobie ślady na nadgarstkach Niny.

– Czy tamtej nocy uprawialiście seks?

Haller zaśmiał się, wyciągnął z kieszeni cygaro i zapalił je niespiesznie.

– A co innego mielibyśmy robić? Chyba nie sądzi pan, że graliśmy w szachy?

Cynizm biznesmena drażnił go jak miejsce po ugryzieniu komara.

– Gdzie był pan w piątek między piętnastą a północą?

– W biurze. Wprawdzie przez większość dnia siedziałem zamknięty w swoim gabinecie, ale z pewnością kilka osób to potwierdzi.

Bruno uznał, że nikt przy zdrowych zmysłach nie doniesie na szefa i nie narazi się na utratę pracy.

– O ile wiem, nie był pan jedynym, z którym sypiała. Był pan o nią zazdrosny?

Robert Haller uśmiechnął się i strzepnął popiół z cygara.

– Niewiele pan wie o związkach. – Jego wzrok zawisł na twarzy Brunona. – Nina była moją własnością. Kupiłem ją. Nie mogłem sobie pozwolić na brak kontroli. Wiedziałem o jej każdym ruchu. Gdzie jest i z kim. Nie po to, by urządzać sceny zazdrości, ale by wiedzieć. – Poprawił krawat. – Wie pan, dlaczego z trójki rodzeństwa to ja przejąłem firmę i majątek ojca?

Wilczyński pokręcił głową.

– Dlatego, że zawsze lubiłem wiedzieć. Wszystko i o wszystkich. Byłem bardziej dociekliwy niż mój brat i siostra. Chłonałem informacje, zapamiętywałem je, a później korzystałem z nich dla swoich celów. – Zgasił cygaro. – Kontrola i dyscyplina zrobiły ze mnie tego, kim jestem dziś.

– Czyli kogo?

Haller spojrział na rolexa, po czym podniósł się z fotela.

– Przykro mi, ale nasz czas już minął. Chciałbym z panem jeszcze porozmawiać, ale mam umówioną wizytę u krawca. – Biznesmen rozłożył ręce w geście bezradności, która z pewnością nigdy nie była jego udziałem. – Płytę z filmem zostawiłem panu na stoliku w holu. – Zwrócił się w stronę wyjścia, ale gdy położył rękę na kłamce, odwrócił się jeszcze na moment. – Mam nadzieję, że nie jest pan przesadnie wrażliwy. To nie będzie film dla grzecznych chłopców.



Od kilku dni było spokojnie.

Nikt nie dzwonił, nie działo się nic niepokojącego, a obecność owczarka, którego ochrzcili imieniem Drops, o dziwo okazała się nie tak męcząca, jak przewidywała.

Mimo to przepełniała ją gorycz. Była zła na naczelnika Pękałę, który wprawdzie spisał protokół z jej zeznaniami, ale powiedział, że nie ma podstaw do wszczęcia postępowania. Szczególnie że zdecydowała się nie ujawniać danych mężczyzny, którego się obawiała. Policjant zasugerował, żeby ubiegała się o zakaz zbliżania, ale wtedy czekałoby ją postępowanie karne w sądzie, a to była ostatnia rzecz, na którą miała ochotę.

Wróciła więc do punktu wyjścia, ale przynajmniej miała poczucie, że próbowała. Westchnęła ciężko, bo po tym, jak położyła chłopców do łóżek i schowała naczynia do zmywarki, czuła się wykończona. Noga jej nie bolała, ale chodzenie o kulach, mimo że nie było jakąś wielką sztuką, wymagało sporo wysiłku.

Dlatego z przyjemnością usiadła na kanapie z nogą wyciągniętą na podnóżku i otworzyła butelkę kalifornijskiego wina. Wolałaby je wypić z Jackiem, ale skoro musiał pracować, delektowała się nim sama. Chłodny różowy alkohol mile rozluźniał napięte mięśnie i uspokajał splątane myśli. Emilia zdziwiła się, że wcześniej nie wpadła na to, by w ten sposób przegonić stresy.

Odchyliła głowę i przymknęła oczy, kiedy nagle ktoś zadzwonił do furtki. Podskoczyła, a wino z kieliszka wylądowało na kanapie.

– Cholera!

Zaczęła zbierać chusteczkami alkohol, a wtedy dzwonek zadzwieczał ponownie.

Całe jej rozluźnienie przysło niczym bańka mydlana.

Dochodziła dziesiąta, a o tej porze raczej nikt ich nie odwiedzał. Nie przypuszczała też, by ktoś się zgubił, co zdarzało się w weekendy, gdy ludzie przyjeżdżali nad pobliskie jezioro i często przez pomyłkę skręcali w ich uliczkę.

Z wysiłkiem dokuśtykała do domofonu, ale gdy podniosła słuchawkę, nikt się nie odezwał.

– Halo? – zawołała raz jeszcze, a jej głos zdradzał coraz więcej desperacji.

Wyobraźnia podsuwała jej najgorsze obrazy, dlatego otworzyła drzwi, by udowodnić sobie, że nie ma powodu do obaw. Wmawiała sobie, że przy furtce nikogo nie będzie, ale gdy wyszła na ganek, z wrażenia aż wypuściła jedną kulę z ręki.

Stała teraz, podtrzymując się ściany, z nogą w górze, i patrzyła, jak mężczyzna w kombinezonie i czapce z daszkiem szybkim krokiem oddala się od jej domu. Zrobiło jej się słabo i miała wrażenie, że za chwilę zwymiotuje.

Otworzyła usta, by krzyknąć, ale wydobył się z nich jedynie dziwny skrzek. Cała roztrzęsiona schyliła się po kulę i mimo tego, że serce waliło jej jak oszalałe, z determinacją pokuśtykała w stronę bramki.

– Zostaw nas w spokoju! Słyszysz!?! – krzyknęła ostatkiem sił, po czym osunęła się na trawę.

Płakała z powodu swojej niemocy wobec przeszłości i dlatego, że w pełni zrozumiała, że to nigdy się nie skończy. Nikt jej nie uwierzy, nikt nie pomoże ani nawet nie zrozumie. Została z tym sama.

Coraz jaśniej rysowało się przed nią rozwiązanie, które mogło ją uwolnić, ale mogło też pozbawić ją wszystkiego. Nie była gotowa o tym teraz myśleć.

Pragnęła zamknąć się w domu, położyć na miękkim dywaniku w pokoju chłopców i zasnąć przy akompaniamencie ich spokojnych oddechów. Powoli podniosła się z trawy i wtedy zobaczyła białą kopertę zatknietą za ogrodzenie.

Wiedziała, że nie powinna jej otwierać. Trzeba było ją od razu wyrzucić do kosza albo spalić, ale ciekawość była silniejsza.

Rozszarpała palcami kopertę, z której wysypały się zdjęcia jej synów zrobione przez kogoś ukradkiem. Jaś i Franio uchwyceni przez ogrodzenie w szkole, bawiący się w ogrodzie i na placu zabaw.

Czuła, jak gdzieś w środku niej wzbiera panika.



Paweł Wiśniewski przyjechał do redakcji, gdy na zewnątrz było jeszcze ciemno. Miał sporo pracy i chciał zrobić, co się da, zanim pochłoną go

nic niewnoszące serie jałowych zebrań z zarządem, które Welcer zapowiedział na dzisiaj.

Prezes planował duże zmiany ze względu na nieustannie spadającą sprzedaż papierowej prasy, chciał też przedstawić redaktorom naczelnym poszczególnych tytułów nowego inwestora.

W kuluarach mówiło się o zwolnieniach i o znacznym rozbudowywaniu treści online, które od jakiegoś czasu były dostępne jedynie w fragmentach – za dostęp do całości trzeba było zapłacić. Wiśniewski uważał, że długofalowo system abonamentowy uratuje wprawdzie zyski koncernów, ale doprowadzi do jeszcze większego rozwarstwienia wśród czytelników. Świadomi, bogaci i inteligentni będą inwestować w wiedzę, natomiast średnio zamożni i mniej ambitni intelektualnie skonsumują te wydatki raczej na prostą, niewymagającą rozrywkę. Co więcej, czasopisma w walce o masowego czytelnika będą musiały obniżać standardy, a Paweł na samą myśl o tym dostawał gęsiej skórki.

Zrezygnowany, z opuszczonymi ramionami odbił kartę przy ciężkich drewnianych drzwiach na piętro, a później wszedł do swojego gabinetu i zapalił światło.

– O Boże! Lara? – Podskoczył na widok zakapturzonej postaci, która przeraziła go swoją niespodziewaną obecnością. – Co tu robisz o tej porze?

– Poczekaj – rzuciła. Jeszcze przez kilka minut wpatrywała się w ekran, a później wystukała na klawiaturze parę zdań i podniosła głowę. – Pracuję.

– Masz artykuł? I co ci się, do cholery, stało w rękę?

– Pamiątka z Choroszczy. Wiesz, coś jak fotka z misiem na Krupówkach. A o tekst się nie martw. Wyślę ci dziś w nocy. Muszę jeszcze dopracować kilka szczegółów.

Paweł odetchnął z ulgą i przetarł dłonią zroszone potem czoło.

– Dobrze, bo już myślałem, że nadal jesteśmy w lesie i będę musiał cię bronić przed Welcerem.

– Potrafię obronić się sama.

– Tak? To się przyszykuj, bo twój taksówkarz Ireneusz wychodzi.

Larysa na moment zaniemówiła.

– Jak to możliwe? – zapytała, marszcząc czoło.

– Podobno się rozpruł. Poukładał się z dawnymi kolegami z komendy

i sypie grupę Listwy, aż miło.

– Czyli do tego dostanie świadka – powiedziała Larysa do siebie, jakby głośno wyrażała swoje myśli. – Nie najlepiej.

Redaktor naczelny popatrzył na nią z niedowierzaniem i pokręcił głową.

– Jesteś niemożliwa. Facet nie marzy o niczym innym jak o tym, by rozwalić ci łeb, a ty zachowujesz się, jakbyś miała ochotę upiec ciasto i zaprosić go na herbatkę.

Larysa wydawała się nie słuchać szefa. Wyjęła z kieszeni telefon i odczytała nową wiadomość od Brunona. „Wiem, kto był sponsorem Zaniewskiej”. W ramach odpowiedzi wysłała znak zapytania i wstrzymała oddech w oczekiwaniu na informację, ale odpowiedź nie nadeszła.

– Halo, jesteś tu? – Wiśniewski pomachał jej ręką przed oczami, wrywając ją tym samym z zamyślenia. – Coś się stało?

– Może. – Wzruszyła ramionami i zaczęła się zbierać. – Muszę skoczyć na komendę. – Uchwyciła przerażone spojrzenie Pawła. – Spokojna twoja rozczochna, nie w sprawie Ireneusza. – Klepnęła szefa w ramię i zanim opuściła jego gabinet, rzuciła: – A tak dla twojej wiadomości, nie piekę ciast. Herbaty też raczej nie pijam.

Paweł uśmiechnął się. Od zawsze wiedział, że Larysa jest inna.

To, co go fascynowało, budziło niepokój w pozostałych pracownikach „Magazynu” i potęgowało ich niechęć do niezależnej reporterki. Jej wygląd, bezpośredniość i wierność własnemu kodeksowi uruchamiały w ludziach dziwną mieszankę wstrętu i lęku. W nim dla odmiany pojawiała się jedynie czysta ciekawość. Taka, która sprawiała, że chciał zrozumieć, kim ona jest i w jaki sposób stała się tą dziewczyną, którą znał.

Od chwili, gdy trafił w sieci na wpis Marka Kamińskiego i potwierdził swoje przypuszczenia, że została kiedyś bardzo skrzywdzona, sypiał jeszcze gorzej. Zaczął śledzić faceta na portalach społecznościowych i forach, dzięki czemu z każdym dniem wiedział o nim więcej, i choć był osobą, która nawet gdy uniosła głos, przeżywała później godzinami katusze wyrzutów sumienia, to w tym przypadku miał niedającą się niczym zdławić ochotę, by zrobić temu mężczyźnie jakąś krzywdę. Jakby to mogło odwrócić bieg wydarzeń i dać Larysie szansę na normalne życie.

Gdy tylko przyłapał się na tej myśli, poczuł, jakie to naiwne. Zaczął zastanawiać się, od kiedy stał się dla niej aniołem stróżem, o którego nigdy nie prosiła. A kiedy zrozumiał, że nastąpiło to w dniu, w którym dowiedział się, że choroba Marii nie skończy się niczym innym niż śmiercią, schował twarz w dłoniach i zaczął głośno szlochać.



Bruno widział w życiu niejedyn film pornograficzny, ale gdy obejrzał nagranie od Hallera, zrobiło mu się niedobrze. Do tego stopnia, że wyrzucił do kosza nadgryzioną kanapkę i odstawił kawę.

– Kurwa, co to jest? – wyszeptał do siebie.

To, co zobaczył, nie było żadnym BDSM czy innym greyopodobnym wynalazkiem, ale czystym sadyzmem.

Ręce Niny związane cieniutką żyłką, która przy każdym ruchu dziewczyny wrzynała się w jej skórę i zostawiała krwawe rany. Haller, wyposażony w metalowe dildo, gwałcił Zaniewską i domagał się, by mówiła, jak bardzo ją boli. Dziewczyna krzyczała, niekiedy mdlała, a wtedy jej oprawca ją cucił i zaczynał wszystko od początku.

Wilczyński przełknął ślinę na widok łez spływających po policzkach Niny, która leżała później nieruchomo na łóżku, wpatrując się tępo w sufit. „Tego chciałaś?” – słychać było zasapany głos Roberta Hallera zza kadru. „Tak. Zrobiłam to dobrowolnie i chętnie to powtórzę” – recytowała, jakby ktoś puścił nagranie z taśmy.

Haller odstawił kamerę na statyw i przytulił drżące, nagie ciało dziewczyny, jakby to, co się wydarzyło przed chwilą, nigdy nie miało miejsca. Delikatnie głaskał jej mokre od potu włosy i składał na skroniach drobne pocałunki niczym najczulszy kochanek.

Bruno wstał z krzesła i nie zastanawiając się długo, uderzył pięścią w ścianę. Zabolało na tyle, że wyrzucił z siebie siarczyste przekleństwo. Zadawał sobie ból, ilekroć przytłaczała go rzeczywistość, a jego utkany z ironii pancierz nie wystarczał, by go przed tym ciężarem uchronić.

Wmawiał sobie, że nie jest z nim źle. Nie ciął się, nie brał dragów, właściwie można było nawet powiedzieć, że pił z umiarem, ale to, że czasem zastępował uczucia nie do zniesienia porcją krótkotrwałego bólu, uznawał za drobną skazę.

– Są inne metody na radzenie sobie z problemami – usłyszał za sobą, a gdy się odwrócił, zobaczył Larysę stojącą w progu. Jej trafna uwaga sprawiła, że poczuł oblewającą go falę gorąca.

– Jakie? Joga, terapia uśmiechu i medytacja? A może znalazłaś kogoś, kto uzdrowi moje czakry? – automatycznie zareagował sarkazmem.

Larysa westchnęła, położyła dłonie na biodrach i wycelowała w Wilczyńskiego niecierpliwe spojrzenie.

– Podasz mi nazwisko sponsora czy będziemy kontynuować tę idiotyczną rozmowę?

– Większość udanych małżeństw opiera się na idiotycznych rozmowach. Wróżę nam świetlaną przyszłość.

– Nie ma czegoś takiego jak udane małżeństwo. To oksymoron.

– Zapunktuję, jeśli udam, że przejąłem się twoją głęboką myślą?

– To nie ma sensu. – Pokręciła głową. – Zadzwoń, jak wydoroslejesz – rzuciła i odwróciła się do wyjścia, gdy poczuła, że złapał ją za ramię.

– Zaczekaj! – zawołał, a ona poczuła niepokój, którego doznawała za każdym razem, gdy nagle i niespodziewanie dotykał jej mężczyzna.

Strząsnęła jego rękę, jakby parzyła, i odwróciła się, zaciskając szczęki. Bruno najwyraźniej poczuł jej złość, bo podniósł ręce do góry i cofnął się w stronę biurka.

– Robert Haller – powiedział, przysiadając na blacie. – To on był sponsorem Niny Zaniewskiej. Potwierdził to.

Larysa ściągnęła brwi.

Doskonale знаła to nazwisko. Haller znajdował się w pierwszej dziesiątce najbogatszych biznesmenów według corocznych rankingów „Forbesa”. Słynął ze swojego perfekcjonizmu i pedantyzmu. Zawsze nienagannie ubrany, w garniturze od najlepszego krawca, lśniących butach i drogim zegarku.

Przejął Haller Investments po ojcu, który zaskoczył wszystkich na rynku, oddając firmę w ręce najmłodszego dziedzica. Media spekulowały wtedy na temat decyzji Ryszarda Hallera, ale ten wyjaśniał powierzenie interesów Robertowi względami pragmatycznymi. Twierdził, że jego starszy i zarazem pierworodny syn Maciej zostanie członkiem rady nadzorczej i będzie wspierał brata w prowadzeniu biznesu, a córka skupi się na obszarze, który jest jej bliski, czyli architekturze wnętrz, i będzie odpowiedzialna za estetykę

inwestycji Hallerów. Mówiło się wtedy o nieprzejeźdzanym charakterze i dyscyplinie najmłodszego z rodu, które to cechy stawiano obok rozrzutności i skłonności do używek jego starszego brata, a te, jak twierdzili dziennikarze, mogłyby zaszkodzić interesom firmy.

– Co konkretnie powiedział? – Larysa cały czas odtwarzała w pamięci spotkanie ze sponsorem w hotelu i starała się wyobrazić sobie w tej roli Roberta Hallera.

– Że wkurzyło go jej samobójstwo, bo nie ma się teraz z kim zabawiać. Choć nie wyglądał na specjalnie załamane. Żadnych łez, darcia włosów z głowy czy ckliwych wspomnień. – Zrobił przesadnie smutną minę.

– Dla niego to tylko zmiana obiektu. Nina była środkiem do celu, znalazł więc inny i może nadal realizować swoje chore fantazje.

– Jedną z nich możesz sobie nawet obejrzeć. – Kiwnął głową w stronę komputera. – Tylko weź od razu coś na pawia, bo nie chcę mieć tu bałaganu.

Larysa podeszła do komputera i już zamierzała usiąść, gdy spojrzała na Brunona.

– A co z Jakubem Andrzejewskim? Znalazłeś coś ciekawego?

– Nie chcę źle mówić o dawnej znajomej, zwłaszcza że to puszczalska i kiepska prokurator, ale nie miała dla nas dobrych wiadomości. Akta Andrzejewskiego zaginęły i nikt z tych patafianów nie wie, gdzie są.

– A te samobójstwa? – Patrzyła na niego zaniepokojona.

– Czekam na dokumenty. Ale z tego, co zapamiętałem, jeden z braci się zastrzelił, drugi, ten ze Zgierza, skoczył z dachu, zostawiając żonę, a siostra przedawkowała leki. Nie wiem jeszcze, co się stało z trzecim bratem, bo nie zdążyłem tego odkopać, ale stawiam na coś makabrycznego. Cholernie pokręcona rodzina. – Popukał palcem w czoło i przewrócił oczami.

– Żebyś wiedział. – Usiadła przed komputerem Wilczyńskiego, po czym uruchomiła odtwarzanie i zastygła.

Przez cały film nie poruszyła się nawet o milimetr.

Obserwujący ją z boku Bruno miał wrażenie, że nawet nie mrugała. Jej gałki oczne śledziły wydarzenia na ekranie, ale twarz pozostawała niewzruszona.

Gdy nagranie się skończyło, wstała z krzesła i po prostu wyszła. Nawet na niego nie spojrzała.

– Hej! – krzyknął za nią, ale się nie zatrzymała.

Po chwili usłyszał charakterystyczne warknięcie silnika podrasowanego saxo i zobaczył przez okno, jak odjeżdża z parkingu przed komendą. W myślach skrytykował ją za tę ucieczkę, a później niechętnie zauważył, że niewiele się od siebie różnili. Jego autodestrukcyjne akty nie były niczym innym jak unikaniem spotkania z tym, co wydawało się zbyt trudne do udźwignięcia.

Najwyraźniej ona też miała swoje demony, które starała się poskromić.



Larysa pędziła przed siebie, bez opamiętania wciskając pedał gazu.

Przejechała dwa razy na czerwonym, a na Sobieskiego strzelił ją fotoradar. Słyszała trąbiące samochody, ale miała to gdzieś. Dopiero gdy zauważyła jadący za nią radiowóz na sygnale, zwolniła.

Policjanci wyprzedzili ją i po kilku metrach zatrzymali się w zatoczce. Początkowo miała ochotę ich minąć i jechać dalej, ale problemy z prawem były ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowała, zaparkowała więc za radiowozem i czekała w środku.

Widziała, jak policjant wysiada z samochodu i idzie w jej stronę. Dyskretnie uruchomiła dyktafon w telefonie, a następnie schowała go za plecakiem stojącym na siedzeniu pasażera. Funkcjonariusz w mundurze zastukał w szybę, którą bez pośpiechu opuściła.

– Dzień dobry. Dokumenty poproszę. Prawo jazdy, dowód rejestracyjny pojazdu i pani dowód – wymieniał beznamiętnie.

Podawała mu papiery, bez słowa patrząc cały czas przed siebie.

– Wie pani, ile pani jechała?

Larysa nie raczyła odpowiedzieć; szacowała, że mogła być to prędkość kwalifikująca do zabrania jej prawa jazdy.

– Sto dziesięć na dozwolonej sześćdziesiątce – wyjaśnił. – Do tego dwukrotne niezastosowanie się do sygnałów świetlnych. To będzie minimum szesnaście punktów. Proszę się nad tym zastanowić, gdy będziemy sprawdzać dokumenty. – Skierował się w stronę radiowozu.

Nie miała zamiaru zastanawiać się nad karą za wykroczenia na drodze. Od chwili, gdy obejrzała film z Niną, jej myśli zaprzętało tylko

jedno, a jej umysł gorączkowo pracował nad tym, jak dopaść Hallera.

Musiała go wziąć z zaskoczenia, darować sobie prowokacje i działać w chwili, gdy będzie się tego najmniej spodziewał. Przygryzła dolną wargę, w myślach krystalizując pożądaną wizję ich spotkania. Nie myślała racjonalnie, buzowało w niej pragnienie zemsty i złość tak wielka, że nieświadomie pogryzła się aż do krwi.

Otrzeźwiło ją dopiero pojawienie się policjanta.

– Dokumenty są w porządku. – Podał jej plik. – Zlitowaliśmy się nad panią i daliśmy tylko dziesięć punktów za prędkość. Powiedzmy, że na sygnalizacji było mocne pomarańczowe.

Funkcjonariusz najwyraźniej spodziewał się po niej entuzjazmu i wyrazów wdzięczności, bo jego ręka z mandatem zawisła w powietrzu.

– Co tak pani ucichła? Wystarczy powiedzieć: „dziękuję” – uśmiechnął się. – Moglibyśmy się może jakoś dogadać, gdyby była pani nieco miłsza.

Larysa spiorunowała go wzrokiem i sięgnęła po mandat, ale policjant zdążył cofnąć rękę.

– Dokąd pani tak spieszo? Do męża chyba nie, bo obrączki nie ma. – Obrzucił ją wzrokiem. – A zresztą nie ma takiego wagonika... – Zarechotał.

– Odsuń się – powiedziała cicho przez zęby.

– Coś pani mówiła? Dam pani jeszcze jedną szansę na negocjacje, zanim się rozmyślę. I radzę się szybko zdecydować, bo kolega raczej z tych niecierpliwych. – Machnął głową w stronę radiowozu.

Larysa zacisnęła dłonie w pięści, wbijając paznokcie w wewnętrzną stronę dłoni, a później położyła lewą rękę na kierownicy, a prawą przekręciła kluczyk. Kątem oka zauważyła, że źrenice policjanta zrobiły się okrągłe i że drgnął na niespodziewany ryk silnika.

Oczyma wyobraźni widziała konsekwencje swojej decyzji, ale było już za późno na zmianę. Wycofała, wjeżdżając na trawnik, i z piskiem opon ominęła radiowóz. Widziała w lusterku wstecznym wymachującego rękami policjanta, który najwyraźniej coś krzyczał, bo jego usta to otwierały się, to zamykały, ale nie raczyła się tym widokiem zbyt długo, bo już po chwili funkcjonariusz zmienił się w odległą bezkształtną kropkę, a później całkowicie znikł.

Czuła, że napięcie rozsadza jej głowę, a żołądek robi salta.

Odjechała jeszcze kawałek, ale musiała się zatrzymać. Wysiadła

z samochodu i zwymiotowała poranną kawę i bajgła pod drzewem. Gdy wróciła do Citroëna, zobaczyła trzy nieodebrane połączenia od Wiśniewskiego. Oddzwoniła, ale redaktor nie odbierał. Po chwili jednak przyszła wiadomość od Pawła. „Zobacz, kto jest nowym inwestorem”.

Zdjęcie, które pojawiło się na wyświetlaczu, spowodowało, że ze złości uderzyła dłonią w kierownicę, po czym zawróciła i skierowała się w stronę redakcji.

Musiała wymyślić fortel, by dostać się na zebranie zarządu i uniemożliwić Welcerowi wyrzucenie jej z sali. I choć początkowo wydawało się to niemożliwe, to na wysokości stadionu Legii знаła już sposób. Zainspirował ją billboard biura podróży z hasłem: „Odkrywaj nieznane”.

Musiała tylko wykonać jeden bardzo ważny telefon, od którego zależało powodzenie jej planu.



Po wyjściu Larysy zrobił sobie mocną kawę i usiadł do biurka.

Przez chwilę stukał długopisem o okładkę notesu i myślał o tym, jak sprytnie Haller rozegrał sprawy. Sponsoring był legalny, na portalach z erotycznymi anonsami aż roiło się od ogłoszeń typu „zasponsoruję panią”. Jeśli dziewczyna dobrowolnie godziła się na wyuzdane zabawy, była pełnoletnia i nikt poza nią samą nie czerpał finansowej korzyści z tego układu, czyli nie było mowy o stręczycielstwie, to prawnicy nie mieli tu czego szukać. Co najwyżej urząd skarbowy mógłby się zainteresować nieopodatkowanymi dochodami takich kobiet jak Nina. Ale było ich zbyt wiele, by komukolwiek chciało się to śledzić. Wedle statystyk nawet jedna piąta polskich studentek utrzymywała się ze sponsoringu.

Bruno obserwował poprzyklejane na biurku post-ity. Były na nich zapisane wszystkie informacje i tropy, jakie udało mu się do tej pory zebrać. Najważniejsze z nich umieścił na górze swojej układanki i podkreślił słowa czerwonym flamastrem. UCZULENIE NA ORZECHY, PYTAŁA O RECEPTURĘ, ANAFILAKSJA, ROGALSKI OBRAZ, STERYLNE MIESZKANIE, 10 WRZEŚNIA, NAPIS NA LUSTRZE, KTO SIĘ KAPAŁ?, SPONSORING, MIŁOSZ BĄCZEK.

A teraz obok nich dokleił nową, której nadał priorytetowe znaczenie:
ROBERT HALLER!

Gdy stawiał obok nazwiska biznesmena wykrzyknik, usłyszał pukanie do drzwi.

– Nikogo nie ma w domu! – krzyknął i po chwili zobaczył w drzwiach nieśmiało spoglądającego Daniela.

– A, to ty. Jeśli przyszedłeś pogadać o moich uczuciach, to sorry, ale zostawiłem je w drugich spodniach. – Położył nogi na biurku i bawił się długopisem.

Technik przeczesał dłonią rzedniejące włosy i uśmiechnął się ostrożnie. Był wyraźnie zdenerwowany, chciał coś powiedzieć, otworzył usta, ale zamiast słów wykrztusił jakiś nieartykułowany dźwięk, jakby się zapowietrzył.

– Gdzieś tam na zewnątrz cała masa roślin cholernie ciężko pracuje, by wyprodukować tlen. Zrób im przysługę i zacznij, do licha, oddychać, starcze. – Bruno wycelował w Daniela długopisem.

Tym razem mężczyzna zaśmiał się głośno, a jego napięcie najwyraźniej się rozpuściło, bo podszedł do biurka kolegi i usiadł na krześle. Wilczyński widział, że drży mu dolna warga i że splata ręce ze sobą, jakby chciał ukryć ich delikatny dygot.

– Przez ostatnie dni czułem, że czegoś mi brakuje, a teraz już wiem, o co mi chodziło. O ciebie i twoje poczucie humoru. – Daniel powiedział to tak szczerze, że Bruno poczuł się zakłopotany. Teatralnie otarł niewidzialną łzę z policzka.

– Wzruszyłem się na trzy sekundy, a potem zapomniałem, o czym mówiłeś. To było coś ważnego? – Nachylił się, jakby naprawdę interesowała go odpowiedź Daniela.

Przyjaciel machnął ręką.

– Nic takiego. Zwyczajne wynurzenia starego człowieka. – Wzruszył ramionami. – Poza tym za tydzień idę na emeryturę, więc uznałem, że wpadnę się pożegnać.

– Trzeba było od razu mówić, że idziemy na wódkę. Po co te emocjonalne wstępy? – Bruno podniósł się z krzesła i zaczął przeglądać szafki z nową energią. – Gdzieś tu miałem szczeniaki jacka danielsa, pasuje ci taki biforek?

– Jasne, ale nie dzisiaj. Umówiłem się już z Elwirą. Wpadnij do nas w weekend, zrobimy grilla, pogadamy. Wysłałem ci zaproszenie

mailem, nie widziałeś? – Zarejestrował, jak Bruno kręci głową. – Będzie jak kiedyś. Skrzyńka piwa i my dwaj. Oczywiście jak cerber pójdzie spać.

Wilczyński poczuł ukłucie żalu, które zamaskował sztucznym uśmiechem i kiwnięciem głowy. Nie wiedział, czy to efekt rozczarowania tym, że jednak nie spędzą ze sobą wieczoru, czy może chodziło o piekącą myśl, że po tym, co ostatnio usłyszał od Daniela, nic nie będzie już jak dawniej.

– No tak, dziś piątek. Wieczór smętnych filmów pobudzających libido twojej małżonki – skwitował.

– Coś w tym stylu. A ty nadal nad tym ślęczysz? – Wskazał na karteczki przyklejone do blatu. – Czym ci zawinił Robert Haller? – Dotknął palcem nazwiska biznesmena.

– Sypiał z naszą Lolitą. Znaną ci jako Nina Zaniewska.

Daniel uniósł brwi.

– Serio? Robi się coraz ciekawiej. Chyba nie myślisz, że ktoś taki jak on bawiłby się w mordowanie studentek? – Patrząc na minę Wilczyńskiego, złapał się za głowę. – Daj spokój, za duże ryzyko. Poza tym nic na niego nie masz. Mieszkanie było czyste. I wszystko wskazuje na... – Zawahał się, widząc wzrok Brunona. – Sam wiesz na co.

– Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli. Święty Tomaszu służb mundurowych, takich ludzi jak Haller stać na to, by opłacić najlepszych zawodowców. A do tego facet ma motyw. Lolita mogła mu grozić ujawnieniem ich relacji. Szczególnie że tuż przed śmiercią udzieliła wywiadu dla „Magazynu”. Mógł się wkurzyć. Nie wiedział, do czego dziewczyna może się jeszcze posunąć.

– Nadal uważam, że to za grube na niego. To jest facet, który przekupuje ludzi, a nie morduje. I wierz mi, nie spotkałem jeszcze zawodowca, który nie zostawiłby śladu. To nie hollywoodzki film. Każdy gdzieś się wysypuje, a ja jestem od tego, by znaleźć okruszki.

Bruno zamyślił się. Technik miał rację. Nie istniała zbrodnia doskonała. Co prawda niektóre zagadki rozwiązywano dopiero po latach, ale prawda zawsze w końcu wychodziła na jaw. Tym razem jednak nic nie wyglądało jak zazwyczaj i to męczyło Wilczyńskiego jak uwierający kamyk w bucie.

– Wiesz co, idź już sobie na tę emeryturę. Może rzeczywiście pora

zastąpić cię młodszym modelem, skoro tak kiepsko ci idzie.

– Auć! – Daniel położył rękę na sercu. – Myślę, że twój komentarz był złośliwy.

– A ja myślę, że twój brzuch jest obwisły. Zarzuciłeś rower?

– Chrzań się, Wilczyński. Do zobaczenia na grillu. – Technik posłał mu buziaka i wyszedł.

Bruno otworzył maila, by sprawdzić, czy Sikora rzeczywiście wysłał mu zaproszenie, ale nie mógł go znaleźć. Zajrzał do folderu spam i tam znalazł zagubioną wiadomość. Zapisał w elektronicznym kalendarzu, o której ma być u Elwiry i Daniela; później zamierzał odwiedzić Pękałę i zamienić z nim kilka słów, ale coś rzuciło mu się w oczy. Mail sprzed kilku dni, którego nadawcą był Instytut Oka. Bruno przypomniał sobie, że prosił ich o potwierdzenie operacji Miłosza Bączka, dziwnaczego sąsiada Niny.

Z ciekawością kliknął w wiadomość, a później uśmiechnął się do siebie.



Nie powiedziała Jackowi o zdjęciach.

To i tak niczego by nie zmieniło. Była już zdecydowana. Myślała o tym dwie niekończące się noce i dwa koszmarnie długie dni. Połknęła leki uspokajające, a do torebki włożyła kilka czekoladowych muffinków z trutką na szczury w środku. Założyła, że nikt jej z tym nie powiąże. Nie miała z nim kontaktu od prawie siedmiu lat. Musiała tylko zrobić to tak, by nikt jej tam nie zobaczył.

Sprawę ułatwiało to, że jego dom stał blisko torów, ale z dala od innych domów. Mogła więc pokonać odcinek ze stacji, przechodząc przez zarośla przy torowisku. Na samą myśl o tym poczuła, że oblewa się potem.

Nie masz wyjścia, powtórzyła w myślach, ściskając w dłoni bilet na kolejkę WKD, która chwilę później wjechała ze świstem na peron, zapowiadana przez megafon nosowym głosem. „Pociąg Warszawskiej Kolei Dojazdowej do stacji Podkowa Leśna wjeżdża na tor drugi przy peronie drugim. Proszę odsunąć się od krawędzi peronu”. Wzięła głęboki wdech i wsiadła do środka. Uderzyło ją to, jak niewiele wie

o ludziach, którzy są wokół. Tak jak oni nie mogli wiedzieć, że zadbana pasażerka o kulach, na którą patrzą, zamierza kogoś zabić.

Naprzeciwko niej siedziała kobieta w kwiciastej sukni, z trzyletnim synem na kolanach. Malec sam pochwalił się swoim wiekiem oraz tym, że umie liczyć do dziesięciu po angielsku, i przekonywał, że trzeba myć zęby, bo inaczej przyjdzie czarownica próchnica. Emilia uśmiechnęła się do niego, a gdy sięgnęła po telefon, by pokazać mu zdjęcia swoich synów, niechcący popchnęła torbę, która spadła na ziemię. Pierwszym, co zobaczyła, był błysk w oczach dziecka, a drugim jego rączka zbliżająca się do muffinka, który wypadł z torby i leżał na podłodze.

– Nie jedz tego! – zareagowała gwałtownie i wyrwała mu ciastko z ręki.

Poczuła na sobie zdziwione spojrzenie kobiety, która przytulała przestraszonego chłopca.

– Przepraszam, ale tu jest tyle włosów i piasku, że lepiej nie jeść niczego z podłogi – tłumaczyła się zawstydzona Emilia.

Kobieta nie odpowiedziała, odwróciła głowę w stronę okna i do końca podróży nie odezwała się do niej ani słowem. Lewickiej nie było przykro. Myśl o konsekwencjach zjedzenia przez chłopca babeczki mroziła jej krew w żyłach. Gdyby coś takiego przytrafiło się jej dzieciom, rozszarpałaby idiotkę, która upiekła ciastka.

Musiała się doprowadzić do porządku. Skoncentrować na celu i wrócić do domu. Kiedy pociąg hamował w Podkowie, dotarło do niej, że nie jest na to gotowa. Stała przerażona na stacji, nie wiedząc, w którą pójść stronę. Nagle cały ten pomysł wydał jej się bezsensowny. Po pierwsze, jeśli policja znajdzie ślady trucizny w muffinkach, tamta kobieta na pewno zawiadomi ich o dziwnej pasażerze kolejki. Co więcej, przypomniało się jej, że dzwoniła do niego niedawno, a to z pewnością nie umknie uwadze śledczych i zaczną zadawać niewygodne pytania. Kiedy tak biła się z myślami, usłyszała dzwoniący telefon. „Jacek” – przeczytała na wyświetlaczu i natychmiast odrzuciła połączenie.

Złapała się za głowę.

– Myśl, myśl – mówiła do siebie cicho.

I wtedy go zobaczyła.

Wysiadł z następnego pociągu, w dżinsowej koszuli i czapce z daszkiem. Szczupły i diabelnie przystojny. Nawet bardziej niż kiedyś.

Na jego widok poczuła ukłucie w środku. Nadal pamiętała smak jego ust, drżenie ciała pod dotykiem jego dłoni i ciepły oddech na karku, gdy mrucał jej do ucha. Nie zastanawiała się ani chwili. Skręciła w stronę zarośli przy torowisku, a później krok za krokiem, wspierając się o kulach, szła w stronę jego domu. Założyła, że będzie miała wystarczająco dużo czasu, by przemyśleć swój plan, ale gdy stanęła pod jego domem, miała pustkę w głowie.

Czuła suchość w ustach, a jej żołądek burczał, przypominając o tym, że nie zjadła niczego od kilku godzin. Obejrzała się wokół i pospiesznie zastukała do drzwi. Nikt się nawet nie odezwał. Nacisnęła więc dzwonek, ale i wtedy odpowiedziała jej jedynie głucha cisza. Pomyślała, że może skręcił gdzieś po drodze i jeszcze nie dotarł do domu, ale dla pewności nacisnęła klamkę, a ta o dziwo ustąpiła.

Wnętrze niewiele się zmieniło przez te wszystkie lata. Dom nadal pachniał drewnem i lawendą. Dookoła panował półmrok, ale i w nim dostrzegła jego ubrania porozrzucane na schodach. Podniosła koszulę i zaciągnęła się dobrze znanym piżmowym zapachem, a później powoli wspinała się po schodach. Domyślała się, gdzie jest. Tam się to stało pierwszy raz. Wyobrażała sobie, jak nagi siedzi w saunie, a jego ciało lśni od potu. I nie myliła się, znalazła go na gorze.

Leżał na ławce w saunie fińskiej, którą wybudował po swojej wizycie w Finlandii. Miał zamknięte oczy i oddychał spokojnie, a ona zrozumiała, że nie mogło jej spotkać więcej szczęścia. Ten model sauny miał wadliwy zamek. Doświadczyli tego kiedyś, gdy zbyt impulsywnie zatrzasnęli drzwi, i myśleli, że nie wyjdą stamtąd żywi. Wystarczyło, że ktoś mocniej uderzył drzwiami albo włożył coś w zamek, a mechanizm blokował się i trudno było je otworzyć. Początkowo miał je wymienić, ale gdy nauczył się z nimi obchodzić, uznał to za zawracanie głowy.

Z pewnością nie spodziewał się, że pewnego dnia jego dawna kochanka wyjmie z torebki pilniczki do paznokci i zablokuje nim mechanizm. A już na pewno nie przewidział, że później podejdzie do sterownika zewnętrznego i podniesie temperaturę w środku do maksymalnej wysokości.

Emilia obserwowała, jak zaniepokojony mężczyzna się podnosi i podchodzi do termometru, później zbliża się do drzwi i usiłuje je popchnąć, ale one nie chcą nawet drgnąć. Walczy z nimi, napina mięśnie ramion, ale to wszystko na marne. Kiedy to do niego dotarło,

zaczął rozpaczliwie uderzać w szybę, pot zalewał mu oczy...

I wtedy ją zobaczył.

– Otwórz! – wrzeszczał.

Chwycił drewniany podgłówek i walił nim z całej siły w niewielkie okienko. Emilia nie mogła tego słuchać. Usiadła na podłodze, położyła ręce na uszach i ścisnęła nimi głowę, tak by docierało do niej jak najmniej dźwięków. Gdy zamilkł, podeszła do okienka i zobaczyła, że leży nagi na podłodze. Jeszcze oddychał. Trzymał się dłońmi za klatkę piersiową, a jego usta wykrzywiał grymas bólu. Musiał ją zauważyć, bo otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale w tej samej chwili jego ciałem targnął wstrząs. Wargi mężczyzny znieruchomiały, a oczy tępo patrzyły w sufit.

Emilia oparła czoło o szybę.

Boże, co ja zrobiłam? Co ja najlepszego narobiłam? – pomyślała.

Nagle w pełni zrozumiała nieodwracalność tego, co się przed chwilą stało. Chciała w ten sposób uwolnić się od strachu, a niespodziewanie poczuła, że ten żelazną łapą ścisnął ją za gardło. Nawet jeśli teraz w jej domu wreszcie zapanuje spokój, to i tak do końca życia będzie oglądała się za siebie z lękiem.

Zrobiłam, co musiałam, usprawiedliwiała się w myślach. On znał prawdę i chciał mnie wykończyć. Zamierzał zabrać mi dzieci.

Zamknęła na chwilę oczy i pomyślała o swoich synach. To wszystko dla was, pomyślała. Wzięła głęboki wdech i odwróciła się w kierunku łazienki.

Dokładnie w tej chwili zobaczyła, że nie jest w domu sama.

– Boże... nie... – powiedziała i poczuła, jak jedna z kul ślizga się na podłodze, a później wraz z nią ona upada z hukiem.



Serce Larysy waliło jak oszalałe, gdy przemierzała korytarze Media Corp., koncernu, do którego należał „Magazyn”. Nie miało to jednak nic wspólnego z niepokojem, lecz raczej ze wściekłością, która bulgotała w jej żyłach.

Na ósmym piętrze wypadła zdyszana z klatki schodowej i od razu skierowała się w stronę oszklonej sali konferencyjnej z widokiem na

panoramę Warszawy. Przez szybę widziała Welcera, dwóch członków zarządu i kilku redaktorów naczelnych najważniejszych tytułów. Dostrzegła też człowieka, którego szukała. Siedział uśmiechnięty na prawo od prezesa i gładził dłonią idealnie skrojony garnitur. Nie czekając na zaproszenie, weszła do środka i zajęła miejsce przy stole konferencyjnym, dokładnie naprzeciwko nowego inwestora i Łukasza Welcera.

Prezes zamilkł i wbił w nią nienawistne spojrzenie. Pozostali, łącznie z Pawłem Wiśniewskim, który zbladł z przerażenia, wstrzymywali oddech, czekając na rozwój wydarzeń.

– To zebranie wyłącznie dla członków zarządu i kadry wyższej – wycedził Welcer z wymuszonym spokojem.

– A zatem kontynuujmy. – Larysa buntowniczo mierzyła się z nim wzrokiem.

– Będziemy mogli to zrobić dopiero, gdy opuścisz pokój. Bo z tego, co wiem, nie należysz ani do jednej, ani do drugiej grupy.

Larysa zerknęła na zegar ścienny.

– Dokładnie w tej chwili Patryk Wierzbicki ze swojego resortu w Zanzibarze przefaksowuje ci pełnomocnictwo, które upoważnia mnie do udziału w tym spotkaniu.

Paweł Wiśniewski uniósł brwi; wiedział, że Larysa nigdy nawet nie rozmawiała z Wierzbickim, a to oznaczało jedynie tyle, że albo coś na niego miała i użyła tego do szantażu, albo – i tego redaktor naczelny „Magazynu” obawiał się najbardziej – zrećcznie manipulowała Welcerem.

Prezes zerknął na swoją asystentkę, a ona po tym, jak dygnęła, wybiegła z sali konferencyjnej.

– Sprawdźmy – powiedział Łukasz.

Wszyscy zebrani w napięciu oczekiwali na powrót asystentki, a gdy otworzyła drzwi i z dokumentem w ręku podeszła do prezesa, atmosfera w pokoju stała się już tak gęsta, że można było ją kroić nożem.

Wiśniewski starał się nawiązać kontakt wzrokowy z Larysą, ale ona nie spuszczała wzroku z Welcera i nowego inwestora, który wydawał się niemal ubawiony całą tą sytuacją. Prezes przeczytał wydruk, po czym wyjął z kieszeni marynarki telefon komórkowy i wybrał numer w systemie głośnomówiącym. Abonent długo się nie zgłaszał, po czym

uruchomiła się poczta głosowa: „Patrik Wierzbicki, Media Corp. Proszę o pozostawienie wiadomości”. Łukasz Welcer rozłączył się i bez słowa komentarza przeszedł do prowadzenia spotkania.

– Jak mówiłem, zanim mi przerwano, nasz nowy inwestor znany jest z wielu okazałych inwestycji na rynku nieruchomości oraz kilku ekskluzywnych galerii handlowych łączących walory ekonomiczne z kulturalnymi. Jego ideą od lat jest łączenie biznesu z kulturą oraz upowszechnianie dostępu do informacji. Niewielu z państwa wie, że nasz gość stoi za jednym z bardziej znanych biznesowych portali, Wiadomości Gospodarcze, i już niebawem będzie chciał podzielić się z nami koncepcjami rozwiązań strategicznych, które pozwolą Media Corp. odnaleźć się w zmieniających się realiach rynku. – Welcer potoczył wzrokiem po zebranych. – Przywitajmy pana Roberta Hallera z należytym mu szacunkiem. – Zaczął bić brawo, a za jego przykładem poszli wszyscy poza Larysą, która założyła ręce na piersi.

Haller z udawaną skromnością starał się powstrzymać brawa, a gdy wybrzmiały, wyprostował się i zabrał głos.

– To dla mnie zaszczyt pracować z ludźmi, którzy stworzyli polskie dziennikarstwo. Liczę na ciężką pracę, zaangażowanie i wiele innowacyjnych pomysłów. I choć przyszłość jest wielką niewiadomą, to jedynym, czego wszyscy możemy być pewni, jest fakt, że czekają nas duże zmiany. – Wypowiadając ostatnie zdanie, patrzył na Larysę, a ona poczuła zimny dreszcz.

Kilku redaktorów naczelnych pokiwało głowami, a dwóch członków zarządu spojrzało na siebie porozumiewawczo. Welcer wspomniał nieco o planowanych modyfikacjach w pracy poszczególnych redakcji i systemie raportowania, ale zapowiedział, że szczegóły będzie ustalał z każdym z redaktorów odrębnie. Gdy spotkanie dobiegło końca, Larysa wystrzeliła w kierunku Roberta Hallera.

– Nie wiem, co kombinujesz, ale dowiem się i zrobię wszystko, żeby każdy w tej firmie dowiedział się, kim naprawdę jesteś – wyrzuciła z siebie.

– Czyli kim? – zapytał z uśmiechem uwodziciela Haller.

– No właśnie. – Obok nich wyrósł Welcer.

– Niech sam ci pokaże jeden ze swoich filmików. Lubi się nimi chwalić.

– Wystarczy – warknął prezes.

– Nie obchodzi cię to, że twój nowy inwestor jest perfidnym zbrodźcą?

– Gównu mnie to obchodzi. Może być zoofilem albo nawet nekrofilem, jeśli chce. – Haller słuchał słów Welcera z zaciekawieniem. – Interesuje mnie tylko to, że dzięki jego pieniądзом cały ten burdel nie pójdzie na dno.

– Mnie natomiast obchodzą zyski i wpływy, które zamierzam osiągnąć dzięki Media Corp. Grzeje mnie to, jak często Welcer odwiedza męskie łaźnie w Amsterdamie, i nie zastanawiam się nad tym, czy jego piękna żona o tym wie. – Haller posłał Welcerowi niemalże przyjacielski uśmiech, w czasie gdy tamten z kamienną twarzą usiłował się pozbierać po zadany ciosie. – A teraz przepraszam. – Zastukał palcem w cyferblat zegarka na nadgarstku i wyszedł z pokoju.

Prezes zamrugał, po czym spojrzał na Larysę w taki sposób, jakby lada moment miał się na nią rzucić i skrócić jej kark.

– Mam nadzieję, że masz ten artykuł dla Wiśni, bo jeśli nie pójdzie w najbliższym numerze „Magazynu”, wylatujesz.

– Nie możesz. Henryk...

– Henryka już nie ma – wszedł jej w słowo. – A ja mogę więcej, niż ci się wydaje. Stać mnie na prawników, którzy w godzinę zarabiają tyle, ile ty w ciągu miesiąca, i zrobię wszystko, by nie zapłacić ci kary za zerwanie umowy. A że nadal nie wiemy, kto wydał nazwiska polityków z sekskandalu w telewizji, to być może trafi na ciebie. Szczególnie że logowałaś się wtedy do systemu.

– Jesteś świnią.

– Nie dramatyzuj. Dam ci wybór. Ty albo Wiśnia! – Zaśmiał się i zatarł ręce. – Wygra egoizm czy wiara w ideały?

Larysa podeszła bliżej Welcera i spojrzała mu w oczy. Prezes drgnął, ale nadal rozciągał usta w triumfującym uśmiechu.



– Tak? – niepewny głos Miłosza Bączka zadźwięczał w domofonie.

– Bruno Wilczyński z policji.

W słuchawce zapadła cisza, dopiero po kilku chwilach Bruno

usłyszał brzęczyk i popchnął bramkę. Gdy wyszedł z windy na piętrze, na którym mieszkali Nina i jej ekstrawertyczny sąsiad, zauważył, że Bączek czeka już na niego w uchylonych drzwiach do swojego mieszkania.

– Coś się stało? – Chłopak przełknął ślinę.

– No coś ty, stary? Przecież się kumplujemy. – Poklepał go koleżeńsko po ramieniu. – Po prostu wpadłem w odwiedziny.

Chłopak patrzył na policjanta skołowany.

– Naprawdę? – Wyrzwał zza okularów.

– Nie – rzucił Bruno poważnie, mijając skonsternowanego Bączka, i wszedł do środka. Skierował się od razu do dużego pokoju.

Miłosz biegł za nim z zarumienioną twarzą i z przejęciem obserwował, jak policjant zajmuje miejsce w fotelu.

– Wiesz, tak naprawdę to ja cię nawet nie lubię, ale bez urazy. Wolę seriale niż ludzi. Są mniej przewidywalne i jak cię wkurzą, możesz je wyłączyć.

Chłopak pokiwał głową i przełknął ślinę. Był wyraźnie zagubiony, chciał usiąść na drugim fotelu obok stolika, ale cofnął się i zatrzymał pod oknem. Bruno zauważył, że tamten stara się zasłonić swoje palce. Wilczyński uważniej przyjrzał się jego dłoniom i dostrzegł, że skóra pokryta jest zaschniętym klejem.

– Jeśli serial traktuje cię jak idiotę i perfidnie okłamuje, możesz pierdolnąć laptopem o ścianę. Bum! – kontynuował, odgrywając scenę rozbijania sprzętu. – Ale co zrobić z człowiekiem? Jak potraktować gnidę, która kłamie w żywe oczy?

– Porozmawiać z nim?

– Źle! Według mnie trzeba go złapać za jaja. – Bruno podniósł się z fotela i zrobił kilka kroków w stronę Bączka, który chciał się cofnąć, ale trafił na ścianę. – Urwać je i wepchnąć mu do gardła tak, by się łgarz udławił.

Twarz Wilczyńskiego znalazła się naprzeciwko twarzy chłopaka, który oddychał coraz ciężiej i częściej przełykał ślinę.

– Jak uważasz? – dodał, klepiąc Miłosza w policzek jak uczniaka.

– Że to brutalne. – Gospodarz starał się odsunąć, ale Bruno zapędził go w róg między ścianą a fotelem.

– Nie bardziej niż robienie policjanta w wała, Bączek. Choć przyznaję, że nie podejrzewałem cię o taką finezję. – Bruno pokręcił głową. –

Wyobraź sobie, że Instytut Oka sprawdził twoją operację i okazuje się, że nigdy jej nie miałeś. Tamtego dnia operowali Miłosza Bączka, a jakże, ale był to osiemdziesięcioletni staruszek z jaskrą. A zatem, parafrazując Kisielewskiego: „To, że jesteś w dupie, jest jasne, problem w tym, że zacząłeś się w niej urządzać”. Chciałbyś mi coś wyjaśnić?

Chłopak skulił się, jakby oczekiwał, że lada moment spadną na niego gromy. Na jego twarzy i szyi pojawiły się czerwone plamy.

– Ja naprawdę miałem mieć zabieg – wydukał. – Zadzwonili do mnie i kazali przyjechać, ale przy rejestracji okazało się, że jest dwóch Miłoszów Bączków. Doszło do pomyłki i na operację przyjechaliśmy ja i ten drugi. Jego przyjęli, a mnie zaproponowali inny termin.

– Co w takim razie robiłeś tamtego dnia? Na monitoringu widać, jak wychodzisz koło piętnastej, po tym, jak zrobiłeś zdjęcie Ninie, i wracasz dopiero późnym wieczorem.

Bączek westchnął i zaczął się drapać za uchem, a gdy zauważył, że policjant się temu przygląda, opuścił rękę.

– Byłem tutaj, w domu – wyjaśnił zrezygnowany. – Ale wszedłem przez garaż. Akurat ktoś wjeżdżał, więc wśliznąłem się za nim. Nienawidzę tych wysokich dźwięków, które słychać przy wpisywaniu kodu do domofonu.

– Ale później jakimś cudem wyszedłeś niezauważony i wróciłeś przez główną bramkę, jakbyś chciał, by kamery zarejestrowały twój powrót.

– To nie tak. Ja po prostu poszedłem na spacer.

– Dlaczego, do cholery, wyszedłeś przez garaż? – Bruno złapał mężczyznę za koszulę w kratę.

– Po południu na patio roi się od dzieciaków. Wracają z przedszkola i wrzeszczą jak mały w zoo. Zwykle wtedy uciekam i wracam, jak już pójda spać. Droga przez garaż pozwala mi ominąć pisk tych małych... – Urwał w połowie zdania, jakby zawstydził się swojej myśli. – No a potem widziałem, że sąsiad spod czwórki wraca z psem, i poszedłem za nim, żeby nie musieć wpisywać kodu.

Bruno przyglądał się uważnie Miłoszowi. Chłopak nerwowo pocierał dłonie, na czoło wystąpiły mu krople potu, a w oczach miał strach. Część tego, co mówił, była prawdą. Monitoring zarejestrował, jak mężczyzna z psem wyjmuje z kieszeni klucz, otwiera nim furtkę, a później dostrzega Bączka i przytrzymuje mu bramkę. Reszta wydawała się zrećźnie utkaną opowieścią, która, choć oparta na

racjonalnych argumentach, budziła wątpliwości Wilczyńskiego.

– Bramkę można otworzyć kluczem albo kodem. Dlaczego nie skorzystałeś ze swojego klucza? Ktoś tak wrażliwy na HAŁASY – policjant niemal wykrzyczał to słowo – powinien mieć klucz zawsze przy sobie.

– Zgubiłem go – wyjaśnił Miłosz, odwracając wzrok.

– Oby się nie okazało, że zgubiłeś też rozum. Bo widzisz, mój mentor, doktor House, mawia, że „kłamstwa są jak dzieci. To ciężka harówka, ale są tego warte, bo twoja przyszłość zależy od nich”. Myślę, że właśnie spieprzyłeś swoją przyszłość.

Miłosz Bączek spuścił głowę i zaczął obskubywać z palców płyty zaschniętego kleju.

– I o co, do diabła, chodzi z tym klejem? Ubrałeś się jak dzieciak.

– Wklejałem zdjęcia do albumu – wyjaśnił chłopak cicho.

– Pochwal się.

– Wolałbym nie. To prywatny album.

Bruno wyjął z kieszeni komórkę, uruchomił aplikację You Tube'a i wcisnął „play”. Pokój wypełnił przerażający dźwięk paznokci trących o tablicę.

– Wyłącz to! – Miłosz przyciskał dłonie do uszu.

– Trwa prawie dwadzieścia minut. Jakie świry nagrywają takie rzeczy? – przekrzykiwał nagranie Bruno. – Mają jeszcze utwór pod tytułem „gwóźdź o tablicę”. Posłuchamy?

– Nie! Proszę!

– A pokażesz mi album?

Bączek kiwnął głową, a wtedy Wilczyński wyłączył nagranie.

– Paskudne, zaczynam rozumieć twoją przypadłość. – Bruno pomasaował swoje małżowiny. – To gdzie te zdjęcia?

Chłopak minął śledczego i schylił się, by sięgnąć pod fotel. Wyciągnął stamtąd duży album w kremowej okładce i podał go policjantowi. Bruno przerzucał kolejne kartki, a jego źrenice stawały się coraz większe. Był tak pochłonięty i zaskoczony, że nie potrafił skomentować tego na swój złośliwy sposób.

Co jakiś czas spoglądał tylko na Bączka, który uporczywie unikał jego wzroku. Nie mógłby znieść teraz jego spojrzenia.



Przy windzie czekał na nią Wiśniewski. Z założonymi rękami i zmarszczonym czołem wydawał się jeszcze starszy i bardziej zmęczony.

– Co ty wyprawiasz? – rzucił, gdy tylko pojawiła się na korytarzu. – I jakim cudem Wierzbicki dał ci kwity?

Larysa minęła go i wcisnęła guzik przywołujący windę.

– Nie dał. – Trzymała ręce w kieszeniach i patrzyła na zmieniające się cyfry pięter na wyświetlaczu.

Gdy winda podjechała, Larysa wsiadła do środka i spojrzała na zszokowanego Pawła, który nadal stał nieruchomo w tym samym miejscu.

– Będę u ciebie, gdybyś mnie szukał – rzuciła, gdy drzwi zaczęły się zamykać. W tym samym momencie redaktor naczelny oprzytomniał i w ostatniej chwili wskoczył do środka, uderzając się w ramię.

Stanął bokiem do niej, opierając się plecami o ścianę, dzięki czemu Larysa widziała, jak pod warstwą skóry pracuje jego napięta szczeka.

– Będiesz miała kłopoty – wydusił w końcu, gdy zadzwieczał dzwonek i oboje wyszli z windy, kierując się do jego gabinetu.

– Nie tylko takie.

Moment później Paweł zatrzasnął drzwi swojego pokoju z hukiem i nie czekając na nic, zaczął krzyczeć.

– Czy ty kompletnie straciłaś rozum?! Co to było?! – wyrzucał z siebie kolejne pytania, nie tracąc nawet czasu na wzięcie oddechu. – Wiesz, kim jest Haller? Takich jak Welcer zjada na śniadanie, a na nas nawet nie spojrzy. Zanim się obejrzysz, będziesz pukać do pośredniaka! – Westchnął, kręcąc głową. – Pomyślałaś o tym, co się stanie z Marią? O tym, że od tygodnia nie wstaje już z łóżka, że robi pod siebie, a jak mnie wyleją, to nie będzie mnie stać na opiekunkę?

Larysa poczuła ciężar słów Pawła. Jej bunt wydał jej się nagle śmieszny i dziecinny. Tak bardzo skupiła się na tym, by pogrzyść Hallera, że nie widziała ostro. Nie dostrzegła konsekwencji, których nie weźmie na siebie, bo nikt nie będzie jej o to pytał.

Zacisnęła powieki, a gdy ponownie otworzyła oczy, była w nich jedynie determinacja.

– Robert Haller był sponsorem Niny Zaniewskiej. To z nim widziałam się tamtej nocy w hotelu.

– To niemożliwe. – Wiśniewski skrzywił się z niedowierzaniem, a po jego mimice widać było, że zastanawia się nad prawdopodobieństwem i następstwami tej ewentualności; wreszcie ściągnął brwi, jakby uświadomił sobie coś trudnego. – Ale jeśli masz rację, to oznacza, że nie możesz o nim napisać.

– Wiem, jak to obejść.

– Niby jak? Napiszesz „Robert H. inwestor, biznesmen i perfidny sadysta”? A później będziesz liczyć na to, że nikt się nie dowie? – parsknął nerwowym śmiechem. – On ma nas w garści. Nie widzisz tego?

Trudno było odmówić Pawłowi racji. Sprawy naprawdę się skomplikowały, a rozwiązanie, które wymyśliła, nie satysfakcjonowało jej nawet w połowie. Budziło coraz więcej wątpliwości i sugerowało, jakoby zgubiła kilka elementów w tej układance.

– Napiszę o Jakubie Andrzejewskim. Jego dzieciństwie, chorym ojcu i samobójstwach w tej rodzinie. O naszym spotkaniu w hotelu i jego relacji z Niną. Stworzę portret zwyrodnialca, który nie zawaha się przed niczym, by zdobyć to, czego chce.

Wiśniewski kalkulował ryzyko takiego posunięcia. Ściągnął z nosa okulary, przetaił je kawałkiem koszuli i westchnął.

– Myślisz, że Haller był kiedyś Andrzejewskim? Że to on jest tym dzieckiem, któremu zmieniono personalia i którego tożsamość została później utajniona? Nie rozumiem, po co by się do tego teraz przyznawał. Co miałyby tym osiągnąć? Poza tym Haller senior raczej nie mianowałby na swojego następcę adoptowanego dziecka.

Larysa zadawała sobie podobne pytania, odkąd Bruno ujawnił jej personalia sponsora Niny. Była pewna, że to z Hallerem widziała się w hotelu, ale nie rozumiała, czemu przekazał jej właśnie to nazwisko, gdy zażądała informacji o jego tożsamości. Nigdzie nie znalazła oficjalnych dokumentów potwierdzających adopcję Roberta Hallera, ale nie namierzyła też jego aktu urodzenia. Paradoksalnie im więcej wiedziała, tym bardziej czuła, że oddała się od rozwiązania.

– Dowiem się. Do północy wyślę ci artykuł.

– Mam nadzieję, że potwierdziłaś informacje u trzech niezależnych źródeł?

– Prawie. Właśnie zamierzam odwiedzić trzecie. Potrzebuję tylko sprawdzić jedną rzecz. Mogę? – Zerknęła na komputer szefa.

– Tak. – Kiwnął głową i nagle zeszywniał, bo przypomniało mu się, co robił, zanim w pośpiechu wyszedł na zebranie.

Obserwował Larysę i czekał na nieunikniony wybuch.

Niczym w zwolnionym tempie widział, jak odsuwa krzesło, wpisuje hasło, którym była data urodzenia jego żony, i przekrzywia głowę na bok w ten charakterystyczny dla siebie sposób. Widział, jak jej wzrok przebiega po kolejnych liniijkach, a klatka piersiowa porusza się coraz szybciej w rytmie łapanego oddechu. Dostrzegał ciemniejące źrenice i moment, w którym zacisnęła szczęki.

Larysa wstała od komputera i nie racząc go nawet jednym spojrzeniem, wyszła, trzaskając drzwiami. Oczekiwał, że na niego nawrzeszczy, że powie coś o zaufaniu i jego nieodwracalnej stracie. Miał nadzieję, że wykrzyczy mu, że nie miał prawa grzebać w jej przeszłości, szukać informacji o niej i o Marku Kamińskim, mężczyźnie, który skrzywdził ją w liceum.

Ale ona nie zrobiła niczego takiego.

Podobno gdy ludzie się kłócą, wzajemnie oskarżają i mają do siebie pretensje, to znaczy, że im jeszcze na sobie zależy. Ale gdy nie podejmują już walki, odpuszczają i wycofują się z relacji, to znaczy, że ich związek umarł, a jego miejsce zajęła chłodna obojętność.

Taka, jaka teraz wypełniała każdy centymetr sześcienny gabinetu Pawła Wiśniewskiego.



Bruno obudził się z drzemki ze zdrętwiałą ręką, na której leżał, i tym samym uczuciem zagubienia, z którym wrócił do domu po przesłuchaniu Miłosza Bączka.

W pamięci miał dziesiątki zdjęć, które sąsiad zrobił Ninie, a później starannie powycinał i powklejał do albumu. A właściwie albumów, bo okazało się, że ma jeszcze dwa. Najwięcej fotografii robił ze swojego balkonu, ale kilka wykonał z dachu przeciwległego budynku, gdzie, jak się okazało, ktoś uszkodził kłódkę przy włączniku, więc każdy bez problemu mógł wejść na górę. Smutne zdjęcia pięknej dziewczyny.

Wilczyński przeciągnął się. Ostatnio żył w odwróconym rytmie, coraz więcej sypiał za dnia, po czym pracował w nocy jak oszalały. Ponieważ dochodziła dopiero szósta, postanowił usiąść do komputera i raz jeszcze przejrzeć wszystko, co udało mu się znaleźć na temat chłopaka. Ale po dwóch godzinach wytężonej pracy wiedział niewiele więcej niż wcześniej.

Niekarany, pracował z domu jako social media manager dla kilku niewielkich firm, beznadziejnie zakochany w swojej sąsiadce. Chorował na nadwrażliwość słuchową i miał problemy z siatkówką oka, które leczył w Instytucie Oka na Niepodległości. Rzeczywiście tamtego dnia recepcjonistki nie zsynchronizowały umawiania pacjentów i każda z nich zaprosiła na zabieg innego pacjenta o tym samym imieniu i nazwisku. Co Bączek robił po wizycie w szpitalu, pozostawało tajemnicą – nie było nagrań z garażu ani świadków powrotu chłopaka do domu w ciągu dnia.

Ochroniarz potwierdził natomiast, że tuż po dziesiątej wieczorem Miłosz wchodził na teren osiedla. I o ile Bruno widział czytelny motyw zbrodni na Ninie Zaniewskiej, o tyle nie wyobrażał sobie, czemu ten dziwak miałby interesować się kimś takim jak on. Bączek nie mógł wiedzieć o jego matce i o tym, co ją spotkało. Kiedy umarła, był zaledwie niemowlakiem, a przez to łączenie go z jej śmiercią było czystym nonsensem.

Wyciągnął telefon i zadzwonił do Daniela.

– Miałeś rację! Skubaniec jest jak ten świr z *Bodyguarda*.

– Bruno, nie mogę gadać – wyszeptał do słuchawki przyjaciel. – Mamy teraz seans z Elwirą, która właśnie łypie na mnie wzrokiem bazyliuszka.

– Kup jej może bilet na maraton zumby czy coś, bo cię wykończy. Jaki film oglądacie w ramach gry wstępnej?

– *Titanic*.

– Jest gorzej, niż myślałem. – Wykrzywił usta w wyrazie niesmaku. – Pogadamy w sobotę...

Gdy się rozłączył, zaczął przeglądać najświeższe doniesienia na najważniejszych portalach informacyjnych.

Bawiło go, że w zależności od opcji politycznej, jaką reprezentowali twórcy danego serwisu, otrzymuje inny rodzaj informacji. Na kilometr widać było, kto z kim trzyma i że obiektywne przekazywanie treści nie

istnieje. W którymś momencie natknął się na artykuł mówiący o tym, że Robert Haller został inwestorem koncernu Media Corp., i bezwiednie pomyślał o Larysie.

Wyobrażał sobie, jak wściekła musiała być, gdy się dowiedziała, i przez chwilę pożałował, że nie mógł się z nią wtedy spotkać w ringu albo w łóżku, w którym miałyby szansę uwolnić buzujące emocje. Kiedy przyłapał się na tej myśli, popukał się w głowę. Zupełnie niespodziewanie zawstydziło go, że potrafił ją postrzegać w taki sposób. Że poza silną, pyskącą dziennikarką widział w niej również kobietę.

Dotychczas jego komentarze były jedynie słownymi tarczami, z których korzystał, by się za nimi schować, ale teraz po raz pierwszy zrozumiał, że upatrzył sobie w niej szansę na ocalenie. Na zupełnie nieświadomym poziomie uwierzył, że ta zagadkowa kobieta z ogoloną na Sinead O'Connor głową i trudnością w kontaktach z mężczyznami mogłaby dotrzeć tam, gdzie dotychczas nikogo nie dopuszczał. Mogłaby zobaczyć go naprawdę, a on by jej na to pozwolił.

Ta wizja była dla niego tak przerażająca, że musiał się natychmiast czymś zająć, by zagłuszyć myśli.

Zamierzał właśnie odpalić grę *The last of us* na Play Station, gdy usłyszał dzwonek do drzwi. Niechętnie podniósł się z kanapy i powłócząc nogami, podszedł do wizjera. Widok osoby po drugiej stronie zaskoczył go. Miał ochotę udać, że go nie ma, i po cichu wycofać się do sypialni, ale pukanie się wzmogło.

Bruno pokręcił głową i odblokował zasuwę.

– Alkohol się skończył, lodówka jest pusta, a ja mam dużo pracy, masturbacja sama się nie robi – wyrecytował, otwierając drzwi ojcu.

Aleksander Wilczyński podał synowi butelkę czterdziestoletniej whisky i wszedł do środka.

– Jeśli jesteś głodny, możemy zamówić pizzę, ale z masturbacją raczej nie pomogę – odpowiedział, obrzucając wzrokiem wnętrze mieszkania syna.

– To zabawne, że przychodzisz do mnie po tylu latach. Chwilę zajęło mi, zanim przypomniałem sobie, kim jesteś. Wiesz, że są trzy typy osób, których ludzie nie powinni zapominać. Ci, którzy pomogli im w kłopotach, ci, którzy zostawili ich, gdy było im ciężko, i ci, przez których mieli te problemy. Tak się składa, że należysz do dwóch z tych kategorii. Więc zrób mi uprzejmość i sprawdź, czy nie ma cię po drugiej

stronie drzwi.

– To ty się ode mnie odciąłeś, Bruno. – Aleksander wskazywał na niego palcem. – Nie możesz cały czas się wściekać. To tak, jakbyś pił truciznę i oczekiwał, że to ja od niej umrę. Naprawdę chcesz, żeby tak wyglądała nasza relacja? – Po chwili wpatrywania się w syna dodał: – Zareagujesz jakoś?

– A to nie było pytanie retoryczne? – Młodszy z Wilczyńskich zrobił zdziwioną minę.

Aleksander opuścił ręce i przysiadł na kanapie. Przez chwilę ciężko oddychał, po czym schował twarz w dłoniach i załkał.

– Świetne przedstawienie, ale melodramaty mnie nie bawią – skomentował Bruno. – Zdecydowanie wolę ostrzejsze kino.

Jego ojciec podniósł głowę; miał zaczerwienione, wilgotne oczy.

– Nigdy się nie zmienisz, co? – Wytarł oczy wierzchem dłoni. – Nieustannie chodzę do tej cholерnej łazienki i żałuję, że podniosłem na nią wtedy rękę. Może gdybym nie dał się sprowokować, byłaby dzisiaj z nami. Mogłem znieść upokorzenie jak mężczyzna, ale nie potrafiłem. Byłem głupi – mówił ni to do syna, ni to do siebie.

– Coś w tym jest.

– Wtedy, w wesołym miasteczku, Alicja mnie uderzyła, a ja poczułem się zawstydzony. Wrzeszczałem na nią, szarpałem ją jak wariat i włókłem przez cały lunapark, ośmieszając przed wszystkimi, byle tylko ochronić swoją urażoną dumę. Kazałem jej się przeproszać, jak jakiś dupek.

Bruno zamrugał powiekami. Nie miał pojęcia o tym, że jego matka uderzyła ojca, za to doskonale pamiętał agresywny wybuch Aleksandra.

– Czemu miałyby cię uderzyć?

Aleksander Wilczyński wziął głęboki wdech.

– Alicja chciała mieć drugie dziecko. Ale po tym, jak cię urodziła, przeszła poważną operację i nie mogliśmy mieć już swoich dzieci. Wymyśliła więc adopcję. Męczyła mnie o to latami, a w końcu poznała chłopca niewiele starszego od ciebie. Nigdy go nie spotkałem, ale czasami twoja matka mi o nim opowiadała. Podobno był niezwykle inteligentny i wrażliwy. Z jakiegoś powodu uparła się, że stworzy dla niego dom. Chciała go uratować. Gdy mnie o to pytała, kategorycznie odmawiałem. Wtedy w lunaparku także. Powiedziałem jej, że powinna

się najpierw zająć wychowaniem własnego syna, który wszedł jej na głowę. A później od słowa do słowa wyrzuciłem jej, że nie nadaje się na matkę i że fakt, że nie może mieć więcej dzieci, powinien jej dać do myślenia.

Bruno patrzył na ojca oszołomiony. Sięgnął po butelkę whisky, którą przyniósł Aleksander, otworzył ją i nalał do dwóch szklanek.

– Dzięki. – Jego ojciec przechylił naczynie i wypił alkohol duszkiem.

– To nie twoja wina – powiedział cicho Bruno.

– I mówi to ktoś, kto się nie odzywa do własnego ojca od ponad dwudziestu lat?

– Gdybyś zapomniał, mam kilka powodów. Spieprzyłeś wszystko. Odkąd umarła, nie przytuliłeś mnie ani razu. Właściwie gdy żyła, też tego nie robiłeś. Zamykałeś się w tym swoim pierdolonym gabinecie i udawałeś, że wszystko jest okej. Oświecę cię: nie było. Ale to nie ty ją zabiłeś. Pokażę ci coś.

Bruno wstał z podłogi, poszedł do przedpokoju i z kieszeni kurtki wyjął portfel. Wygrzebał z niego niewielką pogiętą i pożółkłą karteczkę z napisem, którego niemal nie dało się już odczytać. Tusz wyblakł przez te lata i tylko w niektórych miejscach można było odszyfrować pojedyncze litery napisane ręką Alicji, matki Brunona.

Aleksander wziął papierek w dłonie, rozłożył go, po czym zerknął na syna z zakłopotaniem.

– Dała mi to, zanim poszła na górę do wanny. Chciała się z tobą pogodzić. Na kartce było napisane: „Kocham cię. Przepraszam. Przyjdiesz mnie przytulić?” – wyrecytował Bruno, nawet nie patrząc na papierek.

Znał te słowa na pamięć. Wracali do niego w koszmarach, tych samych, które wabiły go do łazienki i wanny wypełnionej krwią.

– To dlatego przez cały czas upierałeś się przy morderstwie? – Głos Aleksandra drżał. – Dlaczego nie pokazałeś tego milicji?

– Nienawidziłem cię wtedy. Chciałem, żebyś czuł się winny. To przez ciebie płakała całe tamto południe i wiele innych, gdy zostawiałeś ją samą, wymagając od niej tak dużo, że nikt nie byłby w stanie temu sprostać. Ty zabijałeś ją powoli, jakbyś z pomieszczenia, w którym była, wysysał tlen, a ona słabła z dnia na dzień. Ty uświadamiałeś jej, że cokolwiek by zrobiła, nigdy nie będzie wystarczająco dobra. A jednak ktoś cię uprzedził. Ktoś inny zadał ten ostatni cios. To

absurdalne, ale ona naprawdę chciała się z tobą pogodzić. Chciała jak zwykle się podłożyć i ci wybaczyć. A ja uznałem, że na to nie zasługujesz. – Sięgnął po szklankę. – Gdybym dał ci wtedy tę kartkę, nic by się nie wydarzyło. Ktokolwiek był wtedy w naszym domu, nie zrobiłby jej krzywdy. Latami myślałem o tym, jak czekała na ciebie w wannie wypełnionej ciepłą wodą, usłyszała, że ktoś wchodzi do łazienki, uśmiechnęła się na myśl o tobie, straciła czujność i wtedy zginęła.

Aleksander milczał przez dłuższy czas, patrząc w podłogę nieruchomym wzrokiem. Wyglądał jak ktoś, kto oszukiwał się całe życie i wreszcie dotarło do niego, że karmił się kłamstwami. Po jego pomarszczonych policzkach pociekły łzy.

– Pójdę już – powiedział, wstając z kanapy i utykając w stronę drzwi.

Bruno nawet nie zareagował. Gniew palił go w żołądku równie mocno co wypity alkohol.



– To był wypadek. Przysięgam – mówiła, patrząc przez łzy na nic nierozumiejącego Jacka, który stał w progu pomieszczenia z sauną.

– O czym ty mówisz, kochanie? Co ty tu w ogóle robisz? Czyj to dom?

– Mąż podszedł do niej, ale wcześniej spojrział w okienko sauny i zbladł. Natychmiast złapał za klamkę i zaczął ją szarpać.

– Pomóż mi! – krzyczał. – Drzwi się zacięły. Musimy wyciągnąć tego mężczyznę.

Emilia oparła się plecami o przeciwległą ścianę; wyglądała jak pogrążona w letargu. Nie reagowała na żadne bodźce, a jej wzrok zawieszony był w próżni.

– Jezu, Emi, musimy zadzwonić po policję i na pogotowie.

Usiłował wybrać numer, ale ręce drżały mu tak bardzo, że miał trudność z utrzymaniem telefonu. Naciskał bezładnie ekran, jakby był dzieckiem, które bawi się telefonem.

Gdy w końcu udało mu się połączyć, poczuł ucisk na przedramieniu i zobaczył obok swojej żony kręcącą błagalnie głową.

– Nie rób tego – szeptała.

Odepchnął ją i czekał na zgłoszenie dyspozytora.

– Co się, do cholery, z tobą dzieje? – Wpatrywał się z przerażeniem w Emilię.

– Jacek, odłóż telefon. To ja go zabiłam.

Usłyszał, że ktoś właśnie zgłosił się po drugiej stronie, ale nie był w stanie niczego powiedzieć. Gapił się na własną żonę, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu, a później się rozłączył.

– Co takiego?

– Musiałam to zrobić. Nie mogłam wytrzymać życia w ciągłym strachu. To on. To ten mężczyzna, który nas nachodził. Rozumiesz? To on chciał nam zabrać chłopców. Od teraz już nic nam nie grozi.

– Nie, nie. Ty oszalałaś. To się nie dzieje naprawdę. – Jacek położył dłoń na ustach i rozpaczliwie kręcił głową, jakby mógł w ten sposób zakłamać rzeczywistość. – Ale dlaczego? Boże, myślałem, że masz romans. Pojechałem za tobą. Kto to w ogóle jest?

– To zły człowiek. Chciał mnie zastraszyć. Zniszczyć naszą rodzinę... Ale już po wszystkim.

– Kochanie, jesteś chora... – Ujął w dłonie jej mokrą, brudną twarz.

– Przestań! – Odtrąciła jego rękę. – Dlaczego mi nie wierzysz, Jacek? Ten bydlak chciał porwać naszych synów. Zobacz, do czego mnie doprowadził! To wszystko jego wina!

– Boże, to jakiś zły sen. – Uniósł oczy w stronę nieba. – Czy ty rozumiesz, co zrobiłaś? Zabiłaś człowieka. Musisz się zgłosić na policję i przyznać do wszystkiego.

– Nigdy. Nie pozwolę na to, by moje dzieci żyły z piętnem matki morderczyni.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim tu przyszłaś i zabiłaś jakiegoś niewinnego człowieka. Co cię opętało? – Chodził w kółko i bezładnie wymachiwał drżącymi rękami. – A ta cała bajka, którą opowiedziałaś matce? Że jedziesz do przyjaciółki? Gdyby nie to, że zainstalowałem ci aplikację do lokalizacji po tym, jak w kółko mówiłaś o potencjalnym porwaniu, to w życiu nie dowiedziałbym się, gdzie jesteś.

– Nie chcę tego słuchać!

– A powinnaś. W więzieniu usłyszysz dużo gorsze rzeczy. Przygotuj się na to.

– Nie zamierzam iść do więzienia. Chcę wrócić do domu i żyć jak dawniej. Nikt nie musi się o niczym dowiedzieć. – Chwyciła go za ramiona. – Zrozum, w końcu nikt nie będzie nas prześladował.

Skończą się wszystkie problemy.

Jacek wytrzeszczył oczy w jeszcze większym zdumieniu.

– To jakiś obłąd. Czy ty się słyszysz? Problemy się dopiero zaczną.

– Przestań! Pomyśl o dzieciach. One potrzebują mieć normalne dzieciństwo. – Starła z policzków łzy i oparła dłonie na jego klatce piersiowej. – Obiecuję ci, że będę najlepszą żoną, jaką kiedykolwiek miałeś. Nigdy więcej nie wrócimy do tego wieczoru. Nikt się nie dowie, że tu byłam. Nic mnie z tym człowiekiem nie łączy. A my w końcu zapomnimy. Błagam, kochanie. Spróbujmy to wszystko posklejać.

Przytulała go i płakała, a on razem z nią.

Myślał o synach. O tym, jak odwrócą się od nich znajomi, rodzina, jak straci pracę i jak bardzo dzieci będą przerażone tym wszystkim. Byli zbyt mali, by cokolwiek z tego zrozumieć, ale wystarczająco duzi, by poczuć ból, gdy zawali się ich cały dotychczasowy świat. Mógł brzydzić się nią, kobietą, którą do niedawna kochał ponad wszystko, ale nie dziećmi. One przecież nic nie zrobiły.

Nie chciał decydować. Nie miał teraz na to siły. Musiał się przespać, jakby naiwnie wierzył, że gdy się obudzi, ten niepojęty koszmar rozpułynie się i zniknie. Czuł, że cały dygocze, na przemian robiło mu się zimno i gorąco, a żołądek zwinął się w supeł. Musiał przemyśleć wszystko raz jeszcze, odzyskać jasność umysłu.

– Jedźmy stąd – rzucił krótko, ale nie spojrzał jej w oczy.

Gdy opuszczali dom, złapała go za ramię.

– Dziękuję – wyszeptała.

– Nie chcę twojej wdzięczności. Nie robię tego dla ciebie.



W drodze do Zgierza Larysa odpaliła składankę *The Best of Heavy Metal* i puściła ją na maksymalnej głośności. Wrzeszczała teksty piosenek i trzęsła głową w rytm muzyki. Miała nadzieję, że to uśmierzy gniew.

Ale gdy zaparkowała na Mielczarskiego pod szarym, czteropiętrowym blokiem, nadal czuła gryzącą od wewnątrz złość. Decyzja o tym, że musi zakończyć relację z Pawłem, nie była dla niej łatwa, ale stanowiła konieczność. Wiśniewski podeptał zaufanie, jakim go obdarzyła, mimo

wyraźnego ostrzeżenia grzebał w jej życiu, zaglądał w miejsca, o których nigdy nie powinien nawet myśleć. To już nie był o jeden krok za daleko, to był cały cholerny maraton kroków.

Potarła dłonią odrastające na głowie włosy i wysiadła z samochodu. Długo naciskała numer dziewięć na panelu domofonu, ale nikt nie otwierał. Wyciągnęła telefon, by zadzwonić do osoby, z którą się umówiła, jednak zanim wybrała numer, usłyszała czyjeś wołanie.

– A pani do kogo? – Na pierwszym piętrze w oknie starsza kobieta oparta ramionami na poduszce obserwowała obcą czujnym wzrokiem.

Osiedlowy monitoring, pomyślała Larysa i uśmiechnęła się do siebie.

– Szukam Magdaleny Andrzejewskiej – wyjaśniła.

– Zaraz będzie. Pranie ściąga za blokiem. – Kobieta wskazała ręką kierunek. – A pani w jakiej sprawie?

– Prywatnej – rzuciła Larysa i skręciła za róg budynku, nie oglądając się na wydęte usta staruszki.

Gdy znalazła się za blokiem, niemal od razu ją dostrzegła. Andrzejewska zdejmowała pranie ze sznurów rozciągniętych między metalowymi podporami. Była drobną, pulchną kobietą w okolicy pięćdziesiątki. Przypominała kucharkę z przydrożnego baru. Głośną i rubaszną, taką, która umiała nie tylko dobrze ugotować, ale też opowiedzieć sprośny dowcip. Sięgała po ubrania i wkładała je do plastikowego kosza stojącego na trawie, nucąc przy tym jakiś popularny przebój komercyjnych rozgłośni radiowych.

– Magdalena Andrzejewska? – Larysa podeszła bliżej. – Dzwoniłam do pani w sprawie rozmowy.

– Dziennikarka – wypowiedziała to słowo z wahaniem, uważnie obserwując Larysę. – Spodziewałam się kogoś bardziej... – Urwała, nie wiedząc, jakiego słowa użyć.

– Eleganckiego? – Zerknęła na swoją skórzaną ramoneskę. – Musiałam oddać garsonkę do pralni.

– A szpilki do szewca. – Kobieta uśmiechnęła się.

– Czyta pani w moich myślach.

– Nie sędzę. – Andrzejewska zdjęła ostatnie dwa podkoszulki i kiwnęła głową na Larysę. – Chodźmy, nie piłam dziś jeszcze kawy.

Larysie podobała się przenikliwość kobiety i jej odwaga w wyrażaniu poglądów. Z ciekawością wspinała się za gospodynią na czwarte piętro, słuchając, jak Magdalena posapuje z wysiłku.

– Za stara już jestem na te schody – rzuciła, otwierając drzwi do mieszkania. – Proszę. Kuchnia jest po lewej. Zaniosę tylko kosz do łazienki i zaraz będę.

Mieszkanie wypełniał słodki zapach ciasta, który prowadził do kuchni. Winowajcą okazała się szarlotka. Stała na stole, a na jej widok Larysa poczuła napływającą do ust ślinę.

Rozejrzała się po kuchni i dostrzegła koszyk do robótek ręcznych stojący na krześle, w nim zaś niemal skończony szalik z grubej włóczki w kolorze cytryny. Dotknęła go ręką i przymknęła powieki – przypominał w dotyku kaczki puch. Tuż za stołem dostrzegła stary drewniany kredens na grubych nogach, a wewnątrz, na półce za szklanymi drzwiczkami, zdjęcia oprawione w ramki. Na jednym z nich Magdalena obejmowała jakiegoś mężczyznę, najpewniej Ignacego, swojego męża. Na drugim zaś czwórka dzieci, trzech chłopców i dziewczynka, przeżyło muskuły, śmiejąc się do obiektywu.

Larysa otworzyła drzwiczki i wzięła do ręki zdjęcie. „Maj 1980” – przeczytała w prawym dolnym rogu. Nagle usłyszała za sobą kroki, odwróciła się gwałtownie i zanim zdążyła zareagować, poczuła, że fotografia wyslizguje jej się z ręki.

Ramka upadła na podłogę, uderzając w taki sposób, że szkło pękło na kilka kawałków, a zdjęcie się wysunęło.

– Zapłacę za nią. – Schyliła się, by podnieść ramkę.

– Nie musi pani. Poza tym i tak zamierzałam ją wymienić. – Kobieta wzięła zdjęcie do ręki i przejechała po nim palcem. – Cała czwórka. To mój mąż Ignacy i jego rodzeństwo. Miał wtedy siedem lat.

Larysa podążyła wzrokiem za postacią chłopca w sztruksowych ogrodniczkach i fryzurze na miskę. Wyglądał jak normalne dziecko. Uśmiechnięty, z piegami na policzkach i zadartym nosem, przytulał starszego brata.

– To Stasiek. – Magdalena pokazała osobę na fotografii. – Dwa lata starszy od Ignacego, a tu Krystian i najstarsza z rodzeństwa, Jola. Miała wtedy piętnaście lat. Ich ojciec zrobił to zdjęcie na kilka dni przed odkryciem. – Zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech. – Tak o tym mówił Ignacy. Odkrycie. Jakby sam nie wiedział, co mieści się za regałem. – Kobieta spuściła wzrok i przez chwilę sprawiała wrażenie nieobecnej, po czym nagle się ocknęła. – Wstawię wodę na kawę.

Larysa obserwowała krzątanicę Andrzejewskiej, widziała, jak

dwukrotnie usiłuje podpalić zapałką gaz i nie udaje jej się to. Gdy spróbowała trzeci raz, była tak zdenerwowana, że złamała zapałkę, pocierając nią o draskę.

– Ja to zrobię. – Larysa wyjęła jej z ręki zapałki i podpaliła gaz pod czajnikiem, pozwalając kobiecie usiąść przy stole.

– To zabawne, że gdy mówię o tym na głos, mam wrażenie, jakbym się dusiła. – Magdalena dotknęła dłonią gardła. – Jakby ubranie tego w słowa przywoływało duchy zmarłych, którzy nie chcą, by o nich mówiono.

– Czemu miałyby tego nie chcieć?

– Bo wszyscy byli winni. Wszyscy wiedzieli o tym, że Jakub jest za regałem, ale żadne z nich nie zrobiło niczego. – Schowała kosmyki włosów za uszy. – Proszę spojrzeć. – Pokazała na zdjęcie. – Schludnie ubrani, zadowoleni, bez cienia wyrzutów sumienia. A tuż obok ich najmłodszy brat zapewne płakał z głodu i samotności.

– To dzieci.

– Wiem, wiem. To samo mówiłam Ignacemu. Miał tylko siedem lat, co mógł zrobić? Bał się ojca i jego skórzanego pasa z metalową sprzączką. – Zaczęła skubać skórki wokół paznokci. – A jednak nigdy nie przestałam myśleć o tym, że mogli wezwać pomoc. Powiedzieć komuś. Mogli go uratować.

Ciszę, która zapadła po jej słowach, przerwał dźwięk gwizdka czajnika, ale żadna z kobiet się nie ruszyła. Dopiero po chwili Magdalena wstała i szybkim ruchem zakręciła gaz. Stojąc tyłem, kontynuowała swoją opowieść.

– Przez wiele lat nie miałam pojęcia o tym, co się stało. Ignacy powiedział mi, że jego rodzice umarli, a rodzeństwo mieszka za granicą. Dopiero tuż przed ślubem przyznał, że Jola i Krystian nie żyją, a ze Staszkiem, który wyemigrował do Stanów, nie miał kontaktu.

– Wspominał o Jakubie?

– Nigdy. Dopiero gdy dostał wiadomość o śmierci Stanisława, coś w nim pękło. Upił się wtedy pierwszy raz w życiu i powiedział mi o wszystkim. – Kobieta bawiła się obrączką, którą miała na palcu. – Gdy skończył, wyszłam z domu i wróciłam dopiero po dwóch dniach. Przeraziło mnie to, że mieszkam z kimś, o kim nic nie wiem. Kogo właściwie nie znam. – Pokręciła głową.

– Dlaczego pani wróciła?

– Bo przysięgałam. „Dopóki śmierć nas nie rozłączy”. – Zaśmiała się gorzko. – Głupie zabobony. Powinnam była ratować siebie, a ja postanowiłam uratować jego.

– Jak zginął?

Magdalena wzięła łyk kawy.

– To był zwyczajny dzień, taki jak ten. – Patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. – Ignacy wrócił z pracy, był elektrykiem. Porozmawialiśmy chwilę, zjedliśmy kolację, a później oglądaliśmy w telewizji film po dzienniku. Wieczorem pocałował mnie na dobranoc i powiedział, że przyjdzie, jak tylko skończy czytać gazetę. Zasypiałam z myślą, że lada moment otuli mnie jego ciepłe ramię. Że jeszcze wszystko między nami się ułoży. Słyszałam w oddali dzwoniący telefon, ale nie miałam już siły się podnieść i gdy tylko zamknęłam oczy, zasnęłam. Obudził mnie głośny, rytmiczny dźwięk. Początkowo wydawało mi się, że to nadal dzwoni telefon, ale gdy oprzytomniałam, zrozumiałam, że słyszę syreny alarmowe. – Drżącą ręką podniosła do ust kubek kawy i odstawiła go, bo nie była w stanie upić nawet łyka. – Podeszłam do okna i zobaczyłam radiowóz i karetkę na sygnale, a później człowieka na chodniku, wykrzywionego w dziwnej pozycji. – Otarła łzę. – Pamiętam jak dziś, że obejrzałam się za siebie, spojrzałam na puste miejsce po jego stronie łóżka i natychmiast zbiegłam na dół. Myślę, że już wtedy wiedziałam, co się stało.

– Zastanawiała się pani dlaczego?

– Z tych samych powodów co inni. Śmierć była antidotum na wyrzuty sumienia. Ucinała je z miejsca. Była lekarstwem na ból nie do zniesienia. Przynajmniej tak powiedziałam prokuratorowi.

Larysa poczuła, że robi jej się gorąco.

– Słucham? – Uniosła brwi.

– Mój mąż wierzył, że Jakub po niego przyjdzie. Tak jak przyszedł po Jolę, Krystiana i Staszka. Zapowiedział mu to przez telefon, chciał, by Ignacy się bał. Ale on już nie czuł strachu. Zbyt długo z tym żył. Czasami wręcz sprawiał wrażenie, jakby już dawno był martwy w środku, a przecież zmarli nie boją się śmierci. Mąż naiwnie zakładał, że się spotkają i wyjaśni wszystko Jakubowi. Nie wiem, na co liczył, na rozgrzeszenie?

Larysie od tych informacji kręciło się w głowie.

– To jakiś obłąd. Jego ojciec mówił to samo, ale to nie ma sensu.

Jakim cudem zdołałby upozorować cztery samobójstwa?

Andrzejewska napięła mięśnie twarzy, a jej wzrok pociemniał.

– Nic pani o nim nie wie! – zachnęła się. – Jakub jest jak wytrawny myśliwy. Miesiącami, a może nawet latami musiał ich obserwować i planować zemstę. Długo o tym myślałam. To musiało w nim narastać. Kręciło go to, że oni czuli, jakby na to zasłużyli. Jakby nieświadomie sami pragnęli śmierci i prosili się o to spotkanie. – Potarła czoło. – Krystian się zastrzelił po pijaku, Jola przedawkowała leki, a Staszek... – Głos jej się załamał, odchrząknęła i ścisnęła mocno kubek, nim kontynuowała: – Zginął pod kołami pociągu. I nigdzie żaden śledczy nie dopatrzył się śladów zbrodni. Bo niby po co ich szukać? Ojciec psychopata, trauma z dzieciństwa, idealny scenariusz.

– A Ignacy? W jaki sposób Jakub nakłonił go do skoku z dachu?

– Nie musiał. Po prostu go popchnął. Tak myślę.

Larysa analizowała wszystko, co usłyszała, ale choć bardzo pragnęła uwierzyć Magdalenie, miała w głowie mętlik. Nie wierzyła w morderców idealnych, dużo bardziej prawdopodobna wydawała jej się wersja o nieudolnych śledczych.

– Wie pani, gdzie mogę go znaleźć? – Spojrzała na zmęczoną twarz Andrzejewskiej.

Kobieta pokręciła głową.

– Jakub jest jak duch. Po śmierci Ignacego próbowałam go odnaleźć, ale zapadł się pod ziemię. Może gdybym jeszcze знаła jego nowe nazwisko... – Wzruszyła ramionami. – Czemu on panią tak interesuje?

– Powiedzmy, że jest moim antidotum.



Bruno szedł przez komendę szybkim krokiem, z miną zwiastującą kłopoty.

Kiedy dotarł do drzwi gabinetu Pękały, zastukał w nie trzykrotnie pięścią, po czym nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka.

Szef siedział za biurkiem zawalonym papierami i przeglądał jakieś dokumenty. Na widok Wilczyńskiego przekrzywił głowę i przewrócił oczami.

– Nie mam teraz czasu – rzucił, zanim jego podwładny zdołał się

odezwać.

– Szkoda, bo ja się cholernie stęskniłem.

– Uważaj na słowa. – Górna warga Mariana Pękały lekko drgała, co zwykle zapowiadało nadchodzący wybuch.

Bruno to zauważył, ale nie zamierzał się zatrzymywać.

– Dlaczego, do kurwy nędzy, ten pinduś zdecydował o odmowie wszczęcia śledztwa?

Naczelnik wygrzebał z jednej z teczek dokument i zaczął czytać.

– „Brak jest danych uzasadniających podejrzenie popełnienia czynu przestępczego. Analiza materiału dowodowego nie pozwala na uznanie, iż doszło do realizacji znamion czynu zabronionego. Decyzja opiera się także na opinii biegłego z zakresu medycyny sądowej”... – Pękała chciał kontynuować, ale Wilczyński wyrwał mu kartkę.

– Przecież to są jakieś brednie. – Zgniółł dokument w kulkę i rzucił ją za siebie. – Polegasz na zdaniu kogoś, kogo IQ jest tylko odrobinę wyższe od IQ gibona?

– Polegam na opinii kogoś, kto nie jest zaślepiiony swoim niezaleczonym bólem i traumą z dzieciństwa. – Szef poprawił się na krześle i westchnął ciężko. – Wystarczy już, Bruno, zajmij się swoją robotą. Musisz się ogarnąć.

– Wiesz, że gdyby jego DNA zmieniło się o dwa procent, byłby szympansem?

Naczelnik pokazał mu drzwi.

– Nie ma cię tu. Dyskusja skończona. – Wrócił do czytania dokumentów, jakby jego podwładnego nie było w pokoju.

Bruno zacisnął szczęki. Zamierzał kontynuować dyskusję i w myślach przygotowywał kolejne argumenty, ale stwierdził, że energię, którą wykorzystalby na słowne przepychanki z szefem, lepiej zarezerwować na dochodzenie, którego ani myślał porzucić.

– Na twoim miejscu odstawiłbym buraki. – Wskazał na butelkę soku.

Marian Pękała powoli podniósł głowę znad dokumentów i zerknął nieufnie na stojący na biurku napój.

– Niby czemu? Podobno usuwają toksyny z organizmu.

– Tego nie wiem, ale wierzę w teorię, że jesteś tym, co jesz.

Szef chwycił kalendarz w skórzanej oprawie i rzucił nim w Wilczyńskiego, który w ostatniej chwili zdołał się uchylić.

– Hej, uważaj, lubię swoją głowę, mam ją, od kiedy pamiętam! –

oburzył się, pocierając ucho, którego dotknął lecący przedmiot.

– To idź i jej użyj. – Pękała sięgnął po teczkę z biurka, po czym podał ją Wilczyńskiemu. – Masz tu dla rozrywki tę babkę, z którą nie miałeś czasu porozmawiać.

– Coś ciekawego?

– Dla psychiatry na pewno. A teraz spadaj, audyencja skończona.

Gdy tylko Bruno opuścił gabinet szefa, poczuł wibrujący w kieszeni telefon. Na wyświetlaczu zobaczył nazwisko Joanny Ryś.

– Już rozgrzewam kserokopiarkę – odebrał z uwodzicielskim uśmiechem.

– Wyrosłam z tego.

– Za każdym razem, gdy mi odmawiasz, moja aura ciemnieje i blokują się moje czakry. – Udał, że pociąga nosem.

– Gdybym cię nie znała, może nawet bym się nabrała, ale... dość tej gry wstępnej, mam coś, co cię zainteresuje. – Zrobiła wymowną pauzę.

– Sprawdziłam wszystkich, którzy mogli mieć dostęp do akt, i okazuje się, że jeden z pracowników sądowego archiwum niedawno zmienił miejsce zatrudnienia.

– Nudy. – Ziewnął przeciągle.

– Poczekaj. Zaintrygowało mnie to, bo został mu tylko rok do emerytury. Jaki facet w tym wieku rzuca stabilną posadę? Zgadnij, gdzie go przyjęli?

– Raczej nie na chippendalesa w Explosion.

– Jest teraz koordynatorem archiwizacji dokumentów w Haller Investments. Przyciśnięty wyznał, że umożliwił człowiekowi Hallera cichy dostęp do akt w zamian za intratną posadę.

Bruno gładził dłonią podbródek, nie mogąc zrozumieć, po co biznesmenowi informacje o tożsamości jakiegoś maltretowanego dzieciaka.

Nagle pomyślał o Larysie, jej przesadnym zainteresowaniu Jakubem Andrzejewskim, zaangażowaniu w sprawę Niny i nienawiści do Hallera. Przyszło mu do głowy coś zupełnie irracjonalnego.

– Dzięki. Gdybyś czegoś potrzebowała, pamiętaj, że moja kserokopiarka nadal nieźle pracuje.



Oczy piekły ją ze zmęczenia, a kark drętwiał od nachylania się nad laptopem, którego trzymała na kolanach. Do tego ręka, w którą Michał Andrzejewski wbił ołówek, dawała o sobie znać i Larysie było coraz trudniej wystukiwać tekst na klawiaturze.

Zerknęła na zegar ścienny i dotarło do niej, że nie spała już od prawie dwudziestu godzin. I choć myśl o miękkiej poduszce była potwornie kusząca, teraz nie mogła pozwolić sobie na odpoczynek. Musiała dokończyć artykuł i wysłać go Wiśni. Nie była pewna, czy naczelny go przyjmie po tym, co się między nimi wydarzyło, ale zakładała, że będzie opierał się na merytoryce, a nie na zranionej dumie.

W skupieniu przeczytała reportaż, który zaczęła słowami: „»Nie przejmuj się. Zawsze jest ktoś, kto patrzy« – mówił, gdy zażądał, żebym się rozebrała”, a później, nie pomijając najdrobniejszych szczegółów, zrelacjonowała swoje spotkanie ze sponsorem w Intercontinentalu. Napisała o kopercie z imieniem i nazwiskiem Andrzejewskiego oraz o wszystkim, co udało się jej ustalić na temat losów więzionego dziecka. Materiał był dobry, a dzięki jego publikacji istniała szansa, że do redakcji odezwie się ktoś, kto wie coś więcej na temat Jakuba.

Po raz pierwszy tak bardzo odsłoniła siebie w artykule, wyszła zza kurtyny i stała się bohaterką historii, o której w innych okolicznościach nie chciałaby nawet czytać. W całym reportażu ani razu nie użyła jednak nazwiska Hallera ani żadnych poszlak wskazujących na przedsiębiorcę. Po tym, jak został inwestorem w koncernie, to posunięcie byłoby strzałem w kolano. Welcer zablokowałby publikację, a ona musiałaby się pożegnać z pracą, być może ciągnąc za sobą na dno Pawła Wiśniewskiego. Nie mogła tego zrobić Marii.

Zamierzała właśnie wysłać artykuł do naczelnego, gdy usłyszała znajomy dźwięk sygnalizujący połączenie na Skype. Przygryzła wargę i zastanawiała się, co zrobić, ale w końcu uległa. Choć nie chciała tego przyznać przed sobą, brakowało jej tej ciepłej barwy głosu i rozmów,

jakich nie prowadziła z nikim innym. Nacisnęła zieloną słuchawkę.

– Jesteś – męski głos zawibrował w głośnikach.

– To czemu czuję się tak, jakby mnie nie było? – Włożyła na głowę bezprzewodowe słuchawki i poszła do lodówki po mleko.

– Może tego potrzebujesz? Chciałabyś zniknąć? Stać się niewidzialna?

Zastanawiała się nad jego pytaniem, wracając na kanapę.

– Może. Ale tylko po to, by dokopać paru dupkom. – Zaśmiała się i wzięła łyk mleka z kartonu. – Wszystko się skomplikowało – dodała ciężko.

– Na tym to polega. Inaczej zanudzilibyśmy się na śmierć. Według mnie dramaty lubią publiczność. Dopóki nie ma publiczności, nic nie jest prawdziwe.

Larysę coś tknęło; nie umiała tego uchwycić, ale poczuła na barkach chłodny powiew niepokoju. Jakby mignęła jej przed oczami jakaś anomalia, ale na tyle nieostra, by nie umiała jej określić.

Ich relacja od początku była nietypowa. Mężczyzna zadzwonił do niej jakieś dwa lata temu. Przypadkiem. Dopiero zaczynała pracę w „Magazynie” i oprócz Henryka nie знаła w Warszawie zbyt wielu osób. Nieznajomy wydawał się odtrutką na toksyny wielkiego miasta. Pojawił się w momencie, w którym dusiła się już swoją niezależnością. W chwili, gdy była gotowa uchylić gardę i wpuścić kogoś do swojego życia. Pozwolić mu się zbliżyć i dotknąć. Może nie w tradycyjny sposób, bo żadne z nich nigdy nie ujawniło swoich personaliów ani nie pokazało twarzy, ale dogłębnie i dziko, mimo dystansu szklanych ekranów.

Dla niektórych byłby to zwyczajny seks przez telefon, ale dla niej był to długi i pełen dziur pomost do normalności, do której chciała wrócić.

– A ty jesteś prawdziwy?

– Tak bardzo jak gęsia skórka na twoim karku.

Wzdrygnęła się i mechanicznie dotknęła dłonią szyi.

– Bo chyba dlatego rozmawiamy, prawda? – kontynuował. – Dotykamy się słowami. Bo oboje tego potrzebujemy.

Poczuła twardniejące sutki pod koszulką. Nie czekając na jego zachętę, rozpięła dżinsy i włożyła dłoń w majtki.

– Opowiedz mi jakąś historię – zaproponowała.

A później zamknęła oczy i dała się ponieść jego słowom. Muskał jej

ciało zdaniem, pomrukami i ciszą, która niekiedy zamieniała się w krzyk. Pieścił językiem odważnym i wyrafinowanym tak bardzo, że zapominała o całym złu, które ją spotkało. Wtedy naprawdę znikła, rozpływała się w doznaniach. Nie wiedziała już, gdzie się kończy i gdzie zaczyna, a jednocześnie nie potrzebowała nic więcej, by czuć się bezpieczna i spełniona.



Po tym, jak dwukrotnie usiłował dodzwonić się do Larisy i za każdym razem był konsekwentnie ignorowany, zdecydował się zająć pracą. Wcześniej wystukał tylko szybkiego SMS-a z informacją, że za zaginięcie dokumentów Andrzejewskiego odpowiada Haller, ale nawet na to nie zareagowała.

Wyciągnął więc teczkę z zeznaniami Emilii Lewickiej i choć wiedział, czego dotyczy zawiadomienie, parsknął śmiechem, gdy tylko przeczytał pierwsze zdania. Kobieta była przekonana, że ktoś włamał się kilkukrotnie do jej domu, a na dowód swojej tezy przyniosła zdjęcie z urodzin synów, na którym rzekomo widać było włamywacza. Bruno przyglądał się wnikliwie fotografii przedstawiającej bandę roześmianych dzieci skaczących po jakimś starszym mężczyźnie z pokaźnym brzuchem i ubawionych tym incydentem rodziców małych pasożytów. Człowiek w tle, uchwycony na zdjęciu, jako jedyny nie interesował się wydarzeniem. Wydawało się, że patrzy w stronę osoby wykonującej zdjęcie, jakby chciał ją sprowokować.

Miał niebieski kombinezon i czerwoną czapkę z daszkiem. Najzwyklejszy model, jaki kupić można było na większości bazarów. Według właścicielki domu nie był to nikt z gości ani przypadkowy odwiedzający. Co więcej, twierdziła, że nic z domu nie zginęło.

– Strata czasu – mruknął pod nosem Wilczyński i pokręcił głową.

Dalsza lektura notatek policyjnych upewniała go jedynie w przekonaniu, że kobieta kwalifikowała się raczej do leczenia psychiatrycznego niż do dochodzenia. Przedmioty zmieniające miejsca, głuche telefony i tajemnicze wiadomości były w jego mniemaniu żalną próbą zwrócenia na siebie uwagi. Szczególnie że z rezydencji nic nie zginęło.

Z tego, co przeczytał, pani Lewicka od sześciu lat zajmowała się domem i poświęcała rodzinie, w czasie gdy jej mąż na haju korporacyjnego życia pracował po czternaście godzin dziennie. Do tego jej blog pozostawał daleko w tyle za wiodącymi influencerami parentingowymi, co mogło budzić dodatkowe frustracje.

– Wariatka – skomentował i dostrzegł w drzwiach aspirant Sylwię Konopacką, na której widok zrobił dziwnie zadowoloną minę.

Policjantka przyglądała mu się z ciekawością, ścigając brwi.

– Przychodzę nie w porę? Co robisz? – zapytała ostrożnie.

– To, co lubię najbardziej: nic. Robiłem to już wczoraj, ale nie skończyłem, więc sama rozumiesz.

Po twarzy Sylwii przemknął delikatny uśmiech.

– Nie powinieneś trochę popracować? Prędzej czy później Pękała cię dopadnie.

– Z dwojga złego wolę później. Poza tym pracowałem w ubiegłym tygodniu, nie przesadzajmy z tą nadgorliwością.

Aspirant Konopacka pokręciła głową i ciężko westchnęła.

– Przyszły dokumenty, o które prosisz. – Pokazała mu teczki, które trzymała w rękach, po czym położyła je na biurku. – Co to za Andrzejewscy? Nie wiedziałam, że się nimi zajmujemy. Poczytałam o nich trochę, strasznie ciężka historia.

– Na pewno nie wiedziałaś też, że w piekle jest specjalne miejsce dla kobiet, które grzebią w nie swoich teczkach.

– Nie miałam pojęcia. Wiem za to, gdzie jest miejsce dla policjantów z kryminalnego, którzy się opieprzają i nie słuchają przełożonego. – Spojrzała na niego wymownie z rękami opartymi na biodrach. – W drogówce, komisarzu Krawężniku.

– Cytujesz mi tu Pękałę? A ja wstrzymywałem oddech w oczekiwaniu na erupcję twojej błyskotliwości. – Rzucił jej ciasteczko, które leżało na biurku. – Zabieraj nagrodę za rozczarowanie miesiąca i spadaj.

Sylwia opuszczała pokój Wilczyńskiego, patrząc na niego jak na wysłannika obcej cywilizacji, który właśnie wysiadł ze statku kosmicznego i jeszcze nie zdążył się zorientować, jakie zasady obowiązują na tej planecie.

Tymczasem Bruno otworzył pierwszą teczkę i poczuł nadchodzące falami mdłości. Wprawdzie nieraz miał do czynienia z samobójstwami, ale były wśród nich obrazy, na które nie można było się uodpornić. Bez

względu na lata doświadczenia i dystans do otaczającego świata. Brutalność pozostawała brutalnością, a świadomość tego, że była elementem autodestrukcji i ktoś stosował ją wobec siebie, wywoływała złość pomieszaną z przytłaczającą bezradnością.

Niewielu ludzi miało świadomość, że w Polsce na skutek samobójstw ginie rocznie więcej osób niż w wypadkach drogowych czy w wyniku zabójstw. Oczywiście część z tych samobójstw stanowiły zakamuflowane przestępstwa, które nie zawsze wychodziły na jaw nawet przy dzisiejszej technologii i wiedzy policji.

Wilczyński rozłożył akta na stole, otworzył każde z nich i patrzył na zdjęcia z miejsc zdarzenia. Nie mógł się pozbyć natrętnej myśli o tym, że krzywda, której rodzeństwo Andrzejewskich doznało w dzieciństwie, nieodwracalnie ich uszkodziła. Siedziała w nich przez te wszystkie lata, zagłuszana alkoholem, przesadną religijnością i działalnością w domach dziecka. Ta krzywda, która szeptała im do ucha, że to oni są winni, która tłumaczyła każde ich zranienie i niepowodzenie jako karę za to, czego się dopuścili, rosła i puchła. Nie dało się jej zrzucić jak starego gryzącego palta ani zmyć, bez względu na to, jak mocno tarli skórę raniącym pumeksem. Była jak rana, która nigdy się nie goi i nie zabliznia. Jak jątrząca się dziura w ciele, z której sączy się śmierdząca ropa i która pewnego dnia zabija rannego.

Przed oczyma wirowały mu obrazy z dnia, w którym znalazł matkę. Mdły zapach krwi i olejku lawendowego, które wlała do wanny. Cichy szum wentylatora i czerwień wody. Jej nieruchoma blada twarz i włosy wijące się na podobieństwo węży Meduzy. Miał nadzieję, że przekazanie ojcu wiadomości od niej zdejmie z niego część tego ciężaru, ale nic takiego nie nastąpiło. Właściwie poczucie odpowiedzialności napęczniało. Tysiące razy zadawał sobie pytanie, jak potoczyłyby się losy jego rodziny, gdyby przekazał wtedy ojcu tę małą karteczkę.

A teraz czuł, że Andrzejewscy także musieli zadręczać się pytaniami.

Piętnastoletnia Jola mogła powiedzieć komuś o istnieniu Jakuba za ścianą mebli, jedenastoletni Krystian mógł przytulić brata, gdy nocami nie mógł spać z powodu jego płaczu. Młodszy Stanisław i Ignacy mogli wygadać się na podwórku, poprosić kogoś o pomoc.

Ale nikt nie zrobił niczego.

Bruno złapał się na tym, że patrzy tępo przed siebie i traci kontakt z rzeczywistością. Przetarł dłońmi zmęczone oczy i zaczął czytać

raporty. Jolanta Andrzejewska przedawkowała leki. Pracowała w domu dziecka w Otwocku, gdzie uważano ją za niezwykle serdeczną i miłą. Przez lata usiłowała odkupić swoje winy, a gdy zrozumiała, że to nie jest możliwe, wróciła do domu, nalała do wanny gorącej wody i połknęła garść tabletek nasennych. Większość kolegów z pracy nie spodziewała się tego po tak uczynnej kobiecie, ale jedna z jej przyjaciółek знаła prawdę.

Jolanta opowiedziała jej swoją historię, o tym, co działo się w jej domu, i o tym, czemu nigdy nie wyszła za mąż ani nie zdecydowała się na własne dzieci. „Kiedyś zapytałam ją, dlaczego tak bardzo chce pomagać innym i kto ją tak bardzo skrzywdził. A ona rozplakała się i opowiedziała mi o bracie” – wspominała w raporcie przyjaciółka Jolanty.

Krystian Andrzejewski znosił traumę znacznie gorzej. Pił, sypiał w melinach i zadawał się z szemranym towarzystwem. Jego koledzy od butelki twierdzili, że miał impulsywny charakter. Właściwie nikogo nie zdziwiło, kiedy zastrzelił się z broni myśliwskiej pożyczonej od znajomego. Specjalna grupa policjantów, biegły sądowy i biegły z zakresu balistyki wykluczyli działanie osób trzecich.

Stanisław Andrzejewski położył się na torach, był kompletnie pijany. Tego dnia stracił pracę w Zarządzie Transportu Miejskiego w Warszawie, gdzie po powrocie ze Stanów zarabiał jako kierowca, a później został zdegradowany do poziomu sprzątacza. Jego przełożony twierdził, że było z nim coś nie tak. Wszystko robił dwa razy dłużej niż inni, zawieszał się i tracił kontakt z rzeczywistością.

Wilczyński aż się skrzywił, gdy oglądał zdjęcia z miejsca zdarzenia. Na jednym z nich zobaczył leżącą w trawie czerwoną bejsbolówkę poplamioną krwią. Łudząco przypominała tę z fotografii Emilii Lewickiej, ale miał świadomość, że takich czapek było w Polsce mnóstwo i absurdem byłoby szukanie w tym jakiegoś sensu. Choć jego dewizą była wiara w to, że nie ma przypadków, więc dla pewności zanotował sobie adres kobiety.

I wreszcie najmłodszy – Ignacy Andrzejewski. Wydawało się, że z całej czwórki poradził sobie najlepiej. Ożenił się, zamieszkał w Zgierzu i znalazł stabilną pracę w Zakładzie Obsługi Energetyki. W niedzielę przykładowie chodził do kościoła, nie pił alkoholu i zawsze trzymał swoją żonę za rękę. Którejś nocy skoczył z dachu bloku, w którym

mieszkał. Policji trudno było cokolwiek badać ze względu na uszkodzenie ciała, ale wszystkie ustalenia wskazywały na samobójstwo. Jakby domknął krąg winnych i dołączył do rodzeństwa, które nie udźwignęło ciężaru odpowiedzialności.

Bruno zamknął oczy i odchylił głowę. W opuszkach palców czuł pulsującą krew, a w nozdrzach kłujące powietrze, które zachłannie wciągał do płuc.

Krzywda rodzi krzywdę, pomyślał. A później zrobił kilka zdjęć dokumentom i przesłał je na telefon Larysy, pewien, że nie otrzyma żadnej odpowiedzi.



– Policja? – Siliła się na naturalnie zdziwiony ton i za wszelką cenę starała się ukryć strach, przyklejając do twarzy delikatny uśmiech. – Zapraszam. – Otworzyła szerzej drzwi i zaprosiła gościa do środka.

Piekła właśnie ciasteczka, gdy usłyszała dzwonek. Za drzwiami zobaczyła około czterdziestoletniego mężczyznę, który przedstawił się jako Bruno Wilczyński, policjant wydziału kryminalnego. Nie była pewna, czy widzi, jak trzęsą jej się ręce i jak niezdarnie porusza się o kulach, ale czuła, że nadszedł koniec.

Postanowiła sobie, że nie będzie walczyć, wyciągnie ręce, pozwoli się skuć i zadzwoni do dobrego, cholernie drogiego adwokata.

– Ma pan ochotę na ciasteczko maślane? Właśnie upiekłam. Moi synowie są zwykle szalenie głodni, gdy wracają z basenu.

– Mam ochotę na nowy sezon *Domu z papieru*, butelkę jacka danielsa i jakąś ekskluzywną koleżankę. Ale skoro do wyboru są tylko ciasteczka, to wezmę. – Poczęstował się jednym z nich i dodał z pełnymi ustami: – Uhm. Bomba!

Emilia uśmiechnęła się, ale czuła, że coraz bardziej brakuje jej powietrza.

– Coś się stało? Co pana do mnie sprowadza?

– Przechodziłem obok i poczułem zapach ciasteczek – powiedział śmiertelnie poważnie, po czym się uśmiechnął. – A na serio: widziałem pani zawiadomienie o przestępstwie w komendzie i zdjęcie z urodzin pani synów.

Kiwnęła głową, niepewna, dokąd to wszystko zmierza.

– To drobiazg, ale zauważyłem pewną zbieżność z jeszcze jedną sprawą, którą prowadzę, i pomyślałem, że zapytam. Czy kiedykolwiek miała pani styczność z Jakubem Andrzejewskim albo kimś o takim nazwisku?

Emilia poczuła, jak opuszcza ją całe napięcie. A zatem nie chodziło o Podkowę Leśną i mężczyznę z sauny. Pokręciła przecząco głową i z lekkim uśmiechem dodała:

– Jeśli chodzi o to zgłoszenie, to właściwie myślę, że rzeczywiście mogłam nieco przesadzić z obawami. Mąż kupił niedawno psa i muszę przyznać, że wszystkie dziwne sytuacje się skończyły.

Policjant przyglądał jej się podejrzliwie.

– A co z pani dawnym kochankiem, który rzekomo miał się mścić? Już się go pani nie boi? Znudziło mu się straszenie pani?

– Najwyraźniej. – Rozłożyła ręce, jakby sama była zdziwiona takim obrotem spraw.

– Jak się nazywa ten człowiek?

– To już nie ma znaczenia.

– Ciekawe, że tak łatwo odpuścił. W końcu to jego dzieci. – Policjant nie spuszczał jej z oka.

Emilia zerknęła za siebie, jakby upewniała się, że nikt niczego nie słyszy.

– Powtórzę raz jeszcze. – Drapała nerwowo skórę na przedramieniu. – Wszystko jest już w porządku. Niepotrzebnie się pan fatygował.

– Wręcz przeciwnie. Dotychczas ta historia wydawała mi się nudna jak flaki z olejem, a teraz nabrała rumieńców. – Wstał i skierował się do wyjścia, ale zanim opuścił jej dom, zatrzymał się na chwilę. – Wie pani, jak rozpoznać kłamcę?

Na sam dźwięk tego słowa napięła z powrotem wszystkie mięśnie.

– Normalni ludzie, gdy z kimś rozmawiają, utrzymują z nim sporadyczny kontakt wzrokowy – kontynuował, gestykulując. – Kłamcy unikają patrzenia w oczy albo wpatrują się w nie wręcz natrętnie, jakby chcieli zaznaczyć, że nie mają nic do ukrycia. Pani należy do tej ostatniej grupy. Nie wiem jeszcze dlaczego, ale w końcu się dowiem. – Uśmiechnął się i wyszedł.

Emilia stała w korytarzu wsparta o kule. Huczało jej w głowie i było jej słabo. Czuła się, jakby patrzyła z boku na przewracające się kostki

domina, których nie była w stanie zatrzymać.



Gdy się ocknęła, miała na sobie ten sam podkoszulek i dżinsy, co poprzedniego dnia. Leżała na kanapie, a obok na podłodze stał zamknięty laptop.

Było po szóstej, więc Paweł zapewne już przeczytał artykuł i zdążył wysłać do drukarni projekt wydania. Larysa zerknęła na telefon, by sprawdzić, czy nie dzwonił, ale z jakiegoś powodu jej smartfon był wyłączony.

To ją zastanowiło.

Natychmiast zerwała się z kanapy i otworzyła skrzynkę w komputerze. Minutę po północy dostała suchego maila od Wiśniewskiego: „Nie dostałem tekstu. Puszczam materiał Kuby”. Drżącymi rękami weszła do skrzynki z wysłanymi wiadomościami, pewna, że doszło do jakiegoś nieporozumienia, ale w folderze nie znalazła maila do szefa.

To niemożliwe, pomyślała, szukając w komputerze tekstu.

Była pewna, że po spotkaniu na Skypie wysłała reportaż Wiśniewskiemu, ale może się myliła? Była tak zmęczona, że wszystko odbierała jak przez warstwę tiulu. Zamglone i rozmyte. Otworzyła folder „Artykuły 2019” i kliknęła dwukrotnie plik zatytułowany „Reportaż Andrzejewski”. Kiedy się uruchomił, aż rozchyliła usta ze zdziwienia. Przeciągnęła myszką w dół, ale to niczego nie zmieniło.

Dokument był pusty.

Nie było w nim ani jednego zdania.

– Co jest, do cholery?

Sprawdziła godzinę zapisania pliku. „Ostatnio używany dwudziesta trzecia czterdzieści osiem” – przeczytała i kręcąc głową, sięgnęła po telefon.

Zanim smartfon się uruchomił i przyjął PIN, Larysa zdążyła zdecydować, do kogo zadzwoni w pierwszej kolejności.

– Ktoś się włamał do mojego komputera. Sprawdź to – rzuciła, gdy tylko jej rozmówca podniósł słuchawkę.

– Nie no, siostra, ja też się cieszę, że cię słyszę. Wszystko u mnie

dobrze, głowa już nie boli, choć na polibudzie chujnia, a w Fotolabie kiepsko płacą. A ty jak się masz? – wyrecytował Bartek z charakterystycznym dla siebie poczuciem humoru.

– Nie teraz. Jestem w czarnej dupie i muszę zrozumieć, co się stało.

– Jak bardzo w dupie? Jak przy akcji z Ireneuszem czy może tak bardzo jak wtedy, gdy potrzebowałam lewego kwitu na spotkanie zarządu?

– Bardziej. Kurewsko w dupie.

– To widzę, że się rozwijasz. Pięknie. – Zaśmiał się – No dobra, nie ma co się nabijać z siostry, lecimy. Widzisz komunikat na ekranie? – Począł na jej twierdzącą odpowiedź. – Wyraż zgodę, muszę mieć zdalny dostęp do twojego komputera.

Larysa kliknęła, a później obserwowała wyskakujące okienka dialogowe, dziwne ciągi cyfr, liter i znaków.

– Ciekawe – rzucił Bartek do słuchawki.

– Znalazłeś coś?

– A możesz mi powiedzieć, co właściwie się stało? Bo w sumie nic tu nie widzę.

– Otwórz plik „Reportaż Andrzejewski”. Jest w artykułach z tego roku.

– Pusty – stwierdził po chwili jej brat.

Obydwoje patrzyli teraz na migający kursor na białej kartce Worda.

– No właśnie, a nie powinien być. Zanim zasnęłam, napisałam reportaż. Nie jestem pewna, czy wysłałam go do szefa, ale na pewno tam był. Nie wykasowałam go i na bank zapisałam.

– Daj mi chwilę.

Patrzyła na otwierające się pliki i foldery.

– Nie jestem w stanie niczego odzyskać, ciekawe. Piłaś coś?

– Przestań. Wiesz, że nie piję. Chyba że mleko.

– A byłaś wczoraj sama?

Larysa poczuła ciepło wypływające na policzki na wspomnienie rozmowy przez Skype'a.

– Tak. – Odchrząknęła.

W słuchawce zapadła cisza. Larysa zaczynała się niecierpliwic i gdy już miała ponaglić brata, Bartek ponownie się odezwał.

– Jest jeszcze jedna potencjalna dziura w systemie. Nie sądzę, byś była tak głupia, ale sprawdźmy. Podejdz do drzwi wejściowych.

Ściągnęła brwi w niedowierzaniu, ale posłusznie zastosowała się do wskazówek brata.

– Już? – Zaczekał na jej odpowiedź. – A teraz sprawdź, czy są zamknięte.

Położyła dłoń na klamce i gdy ją nacisnęła, drzwi bez problemu ustąpiły. Patrzyła w pusty korytarz, słysząc dudnienie swojego serca. Przez głowę przelatywały jej tysiące myśli, głównie o tym, że kiedy spała, ktoś musiał wejść do jej mieszkania.

Było to tak nieprawdopodobne, że aż poczuła mdłości.

– Nic nie mówisz, więc wnioskuję, że nie jest dobrze. – Westchnął. – Wiesz, ja nigdy nie pytałem, czym dokładnie się zajmujesz, chociaż mam swoje typy. Pomagałem ci, kiedy tylko mogłem, i siedziałem cicho. Ale myślę, że powinnaś się zastanowić nad tym, w co się pakujesz, bo następnym razem spotka cię coś o wiele gorszego niż wykasowanie dokumentu.

– Wiem – powiedziała cicho, jakby nagle uświadomiła sobie, że władowała się w poważne kłopoty.

W tej drobnej chwili to ona stała się maleńką, bezbronną siostrą, a on jej dużym i rozsądnym bratem.

W myślach rysowała scenariusze minionego wieczoru. Była zmasakrowana, skupiała się na artykule i presji czasu, do tego ciążyły jej kłótnia z Wiśniewskim i potworne kadry z filmu Hallera. Działała, metodycznie wykonując czynności, które znała na pamięć.

I to mogło okazać się pułapką.

Scenariusz z reguły jest prosty. Naciskasz klamkę, wchodzisz do środka, zamykasz drzwi za sobą i przekręcasz łuczniczek. Nawykowe odruchy, które większość ludzi wykonuje na autopilocie. Ale wystarczy jeden drobiazg, jedno rozkojarzenie po drodze, anomalia i system się sypie. Wystarczy upadający przedmiot, obraz, który przyciągnie uwagę, albo niespodziewany dźwięk i w sekwencji rutynowych czynności powstanie nieuświadomiona dziura. To w tych chwilach ludziom wydaje się, że zamknęli za sobą drzwi, a w rzeczywistości nigdy się to nie wydarzyło.

Najwyraźniej tak się stało poprzedniego wieczoru. Nie była wystarczająco uważna i nie zarygłowała drzwi – ale dlaczego nie słyszała, że ktoś wchodzi do środka? Dlaczego czuła tę mgłę w głowie i miała luki w pamięci? Nie potrafiła tego zrozumieć.

– Muszę zrobić jeszcze tylko jedną rzecz, potem wyhamuję – powiedziała po chwili namysłu. – Pisziesz się?

– Dlaczego brzmi to tak, jakbym dostawał darmową wejściówkę do pierdła?

– Bo tym razem rzeczywiście to się może tak skończyć.

Bartek milczał. Niemal słyszała w słuchawce jego wahanie.

– Czy w razie czego Bruno nas z tego wyciągnie?

– Nikt nas z tego nie wyciągnie.

Nagle zdała sobie sprawę, że może wymaga od brata zbyt wiele. Ona nie miała już nic do stracenia, tak długo balansowała na krawędzi, że przywykła do myśli o tym, że może spaść, ale on? Był młody, miał przed sobą całe życie i nie musiał wchodzić na drogę, z której być może nie będzie powrotu.

– Sorry, Lara, ale nie mogę. – Jego głos był tak pewny i zdecydowany, że poczuła dławiący w gardle smutek. – Tym razem musisz poradzić sobie sama.

Gdy się rozłączył, usiadła na podłodze, która nagle wydała się jej wyjątkowo zimna i obca.

Białe, puste ściany pokoju bezgłośnie krzyczały: „Nie masz niczego, jesteś sama”, i choć dotychczas jej to nie ruszało, tym razem organicznie to do niej dotarło i zatrzęsło drobnym, umięśnionym ciałem. Do niedawna mogła liczyć na Wiśnię, Suchara czy brata, ale teraz mogła stawiać tylko na siebie. Nie mogła być na nich zła, bo tak naprawdę sama doprowadziła do tego, że się odwrócili. Nie mieli innego wyjścia.

Właściwie został tylko jeden człowiek, który jeszcze chciał z nią rozmawiać. Pomyślała o Brunonie i skrzywiła się kwaśno, chwilę walcząc z uśmiechem, który czał się w kącikach ust. Wtedy też spojrzała na pusty karton po mleku stojący na podłodze i przypomniała sobie pytanie Bartka: „Piłaś coś?”.

Obudziłby mnie hałas, pomyślała.

Wzięła karton mleka i wyszła z nim z mieszkania.



– Jesteś. – Daniel poklepał go po ramieniu i nachylił się, by Elwira nie

zdołała usłyszeć słów męża. – Straszna z niej dziś osa, więc lepiej nie zadzieraj.

– Co tam sobie szepczecie? – Elwira spojrzała na nich podejrzliwie. – A ty, Bruniu, do każdego się tak spóźniasz?

– W zasadzie tak – przyznał z udawanym namysłem. – Niech ci się nie wydaje, że traktuję cię wyjątkowo. – Pocałował ją w policzek, a ona przegoniła go niczym natrętną muchę. – Odwiedziłem po drodze jedną babkę, która wierzy w duchy.

Daniel przełożył na drugą stronę mięso na grillu i podał Wilczyńskiemu piwo. Policjant uważnie przyjrzał się etykietce na butelce.

– „Idiota”? – przeczytał napis na nalepce. – To jakieś przesłanie?

– Nigdy w życiu! – zaśmiał się technik. – To mój ulubiony browar rzemieślniczy.

– Idąc tym tropem, twoja żona powinna dostać piwo Ruda Maruda.

– Wszystko słyszę! – zawołała Elwira, grożąc im palcem. – Lepiej pochwal się, jak tam twoje życie osobiste.

– Konsekwentnie go unikam.

– To niedobrze. Miłość nadaje życiu sens.

– Wystarczają mi Netflix, alkohol i seks.

Elwira pokręciła głową, a Daniel podał na stół upieczoną karkówkę. Jedli, wspominając dawne czasy, opowiadając niekiedy przydługie anegdoty z policyjnego życia i żartując z siebie nawzajem. W ogrodzie unosił się zapach pieczonego mięsa i swobody.

Bruno przyglądał się zmarszczkom wokół oczu przyjaciela i choć nigdy by się do tego nie przyznał, poczuł, że będzie za nim tęsknił.

– Był u mnie ojciec – rzucił nagle i obserwował, jak atmosfera w altanie tężeje. – Zanim się zapowietrzycie, od razu powiem, że wyszedł o własnych siłach.

– Czyli już wiesz. – Elwira położyła dłoń na rękę Brunona, a w jej oczach zaszklily się łzy.

– Że na mnie lecis i chcesz pooglądać razem *Titanica*? – Uniósł brwi, zaskoczony zachowaniem kobiety – Wybacz, ale to nie mój repertuar. Choć najpierw chciałem powiedzieć, że nie zrobiłbym tego koledze ani że nie interesują mnie mężatki, ale obie te rzeczy byłyby kłamstwem. – Posłał jej buziaka.

– Bruno, twój ojciec jest chory. Dlatego do ciebie poszedł. – Daniel

unikał patrzenia przyjacielowi w oczy. – Ma nowotwór żołądka.

Wilczyńskiemu na moment odebrało mowę.

– Co?! Od dawna o tym wiesz? – wydusił wreszcie. W jego głosie pojawił się wyrzut.

– Jakiś czas. – Daniel wzruszył przepaszająco ramionami. – Prosił, żebym ci nie mówił. Nie chciał twojej litości. Uznał, że porozmawia z tobą, gdy będzie na to gotowy.

– To najwyraźniej, kurwa, jeszcze nie był, bo nawet się na ten temat nie zająknął. – Bruno podniósł głos. – Jezu, Daniel, chciałeś czekać, aż się przekręci? Wtedy byś mi powiedział?

– Pójdę do domu, a wy sobie pogadajcie. – Elwira dotknęła lekko ramienia Wilczyńskiego i niemal na paluszkach wycofała się z altany.

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie, ciężko oddychając, ich oczy mierzyły się w nieruchomym pojedynku. Pierwszy odwrócił wzrok Daniel.

– Nie oszukuj się, że coś by się zmieniło, gdybyś wiedział – rzucił na swoje usprawiedliwienie. – Nie odzywałeś się do niego od ponad dwudziestu lat.

– Bo go nienawidziłem. Najpierw opuścił ją, a później mnie. Był w tym pierdolonym mistrzem. Uciekał w pracę, bo ona go ratowała, ale zapomniał, że ma jeszcze syna, który był za mały, żeby uratować się sam! – wykrzyczał ostatnie słowa.

– No więc po co chciałbyś wiedzieć?

Bruno patrzył w dal, w stronę zachodzącego słońca. Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Nadal czuł do ojca żal, ale po lekturze akt Andrzejewskich dotarło do niego, że pielęgnowanie krzywdy prowadzi jedynie do tragedii i zgorzknienia. Zrobił głęboki wdech i odwrócił się w stronę przyjaciela.

– Wiedziałaś o tym, że moja matka chciała adoptować jakiegoś dzieciaka?

Daniel posmutniał, przymknął oczy i pokiwał głową.

– Czemu? Nie wystarczałem jej? Przyjaźniliście się, na pewno coś mówiła na ten temat.

– To nie tak. – Sikora potarł dłonią czoło. – To był trudny czas, ty nie byłeś łatwym dzieckiem, buntowałeś się, a ona chyba nie umiała się w tym odnaleźć. Do tego często kłócili się z Aleksandrem i chyba poszukiwała czegoś, w czym nie zawiedzie. Była wtedy wolontariuszką

w domu dziecka w Opaczowie. Spotkała tam chłopca, który stał się jej szczególnie bliski. Przeszedł potworną traumę jako dziecko, nikt go nie chciał, a Alicja go pokochała. Myślę, że widziała w nim ratunek dla ciebie i siebie. Chciała dać ci brata, którego nigdy nie miałeś, a sobie szansę na odzyskanie wiary w to, że jest wystarczająco dobra.

– Ale mój ojciec się nie zgodził.

– Tak. – Daniel wstał i zaczął zbierać talerze ze stołu. – Prosiłem, żeby nie rozbudzała w tym dziecku nadziei. Chłopak zbyt wiele przeszedł i mógł się załamać, gdyby okazało się, że kolejna osoba go nie chce. Błagałem, żeby nie obiecywała niczego, zanim nie porozmawia z Aleksandrem, ale ona nie posłuchała.

– Co się z nim stało?

– Nie wiem. – Schylił się, by pozbiierać papierki spod stołu, a później chwycił w ręce talerze. – Zaniosę to do domu, chcesz jeszcze jedno piwo?

Bruno pokręcił głową. Patrzył, jak Daniel idzie w stronę budynku chwiejnym krokiem.

– Pamiętasz, jak się nazywał? Ten chłopak?! – zawołał za przyjacielem.

Technik zatrzymał się na moment i nie patrząc na Wilczyńskiego, odkrzyknął:

– Igor! Igor Szymanowicz!



Maciej Sachara nie zdawał sobie sprawy, że jest obserwowany przez Larysę, gdy z wypiekami na twarzy przyjmował wyrazy wdzięczności od właścicielki golden retrievera.

Pies z obandażowaną łapą opuszczał właśnie gabinet weterynaryjny Tygrysek. Wprawdzie lekko utykał, ale jego ogon tańczył z radości, szczególnie gdy właścicielka częstowała pupila chrupiącymi ciasteczkami.

Po ich wyjściu lekarz umył ręce i zabrał się do sprzątania. Chciał się z tym szybko uporać, by przed następnym pacjentem zdążyć zaradzić coś na coraz głośniejsze burczenie w brzuchu. W myślach planował, co wybierze z bogatego menu pobliskiego chińczyka, gdy usłyszał pukanie

w szybę.

Podniósł głowę i ujrzał za oknem Larysę, która trzymała w rękach pudełka z jedzeniem.

– O! Dieta pudełkowa. Czytasz w moich myślach? – przywitał się, otwierając jej drzwi. – Na chwilę wybaczę ci te bzdury, które wygadywałaś ostatnio, bo skręca mnie z głodu, ale nie myśl, że zapomniałem. – Spojrzał na nią poważnie.

– Na całym Mokotowie słyhać, jak ci burczy w brzuchu. – Uśmiechnęła się. – Tajskie, może być?

Maciek kiwnął głową i wziął od niej pudełka. Postawił je na biurku, a później podsunął krzesła i zaprosił Larysę, by usiadła na jednym z nich. Początkowo jedli w milczeniu, gabinet wypełniały dźwięki wciąganego makaronu i pomruki zachwytu nad smakiem potraw, ale gdy weterynarz zaspokoił pierwszy głód, odstawił pudełko i spojrzał na swojego gościa.

– Kiedy powiesz mi, o co tym razem chodzi? Przed deserem czy po? – zapytał.

– A jak wolisz? – zerknęła na przeszkloną szafę za jego plecami.

– Wolałbym, żebyś trzymała się z daleka od kłopotów.

– Trochę za późno na takie życzenia. Poza tym próbowałam, ale kłopoty jakoś nie chcą się ode mnie odkleić. Nic na to nie poradzę.

– Przez chwilę prawie dałem się nabrać. Powiedz lepiej, co jest na deser, a później zobaczymy, co da się zrobić z twoimi kłopotami.

– Pudding z tapioki z mleczkiem kokosowym i mango.

– W takim razie negocjacje uważam za udane. Zjemy, a później pogadamy. – Uniósł ręce w obronnym geście. – Ale nie obiecuję, że wyjdiesz stąd z tym, po co przyszłaś. Umowa? – Wyciągnął do niej dłoń, a ona ją uścisnęła i wróciła na krzesło.

Kiedy skończyli, wyjęła z plecaka karton po mleku i podała go Sucharowi.

– Możesz przebadać resztki w laboratorium? Myślę, że ktoś mi tam czegoś dosypał. Mam trudność z ustaleniem, kiedy i jak wczoraj zasnąłam, a do tego spałam tak mocno, że nie byłam się w stanie dobudzić.

Maciej patrzył na nią podejrzliwie.

– Chwila. Ale skąd to masz? I dlaczego w ogóle myślisz, że ktoś ci czegoś dosypał? Może po prostu byłaś zmęczona? Z tego, co wiem,

jakoś specjalnie się nie oszczędzasz. – Zerknął na jej dłoń i z satysfakcją zauważył, że rana ładnie się goi.

– To nie ma nic do rzeczy. Mleko jest z mojej lodówki. Piłam je wczoraj w domu, prosto z kartonu, tuż po tym, jak wróciłam z pracy. Pamiętam większość wieczoru, a później jakby spowiła mnie mgła, z której ocknęłam się dopiero dzisiaj.

– Alkohol? Narkotyki? Byłaś z kimś? – Zadawał te pytania ze spokojem. Znał ją na tyle dobrze i ratował ją wcześniej z tak różnych opresji, że żadna ewentualność nie stanowiłaby zaskoczenia.

– Nic z tych rzeczy, ale wiem, że ktoś był u mnie, gdy spałam. Zginął mi ważny artykuł. Wygląda na to, że ktoś wszedł do środka i wykasował dane z komputera, a ja byłam tak nieprzytomna, że nie zarejestrowałam niczyjej obecności. – Zauważyła, że Maciej coraz bardziej unosi brwi. – Gdy wróciłam ze Zgierza, myślałam o milionie spraw, w roztargnieniu zostawiłam otwarte drzwi. Najwyraźniej ktoś potraktował to jak zaproszenie.

– Myślę, że musisz zmienić zamki. Bo jeśli laboratorium rzeczywiście znajdzie coś w tym mleku, to będzie znaczyło, że ktoś był u ciebie już wcześniej. Zanim wróciłaś do domu.

Larysa przeklęła cicho. Była tak wściekła z powodu utraty reportażu, że przeoczyła ten drobny fakt. Świadomość tego, że ktoś tak zwyczajnie otworzył drzwi jej lodówki, wziął karton mleka i wrzucił do niego jakieś prochy, powodowała w niej mdłości.

Co jeszcze zrobił? Czego dotyczył? I o co mu chodziło?

– Dawałaś komuś klucze? Albo zostawiałaś je pod wycieraczką? – Unosił brwi. – A może są jakieś ślady włamania?

Pokręciła przecząco głową, a później oboje wpatrywali się w okno w pełnej napięcia ciszy. Ona myślała o tym, że w mieszkaniu wszystko wyglądało jak zwykle, żadnych anomalii, przewróconych przedmiotów, obcych zapachów czy niepokojących dźwięków. Ale brak śladów czyjejś obecności wcale nie świadczył o tym, że jej nie było.

„On jest jak duch” – przypomniała sobie słowa Magdaleny.

Z zamyślenia wyrwał ją popłoch Suchara, który nagle wstał z miejsca i zaczął nerwowo zerkać w stronę ulicy.

– Zanim ta wredna baba, którą widzisz na przejściu dla pieszych, wtargnie tu i obudzi we mnie mordercze instynkty, wyjaśnij mi, komu mogło zależeć na tym, by twój artykuł się nie ukazał?

– Mam wymieniać w kolejności alfabetycznej? – Myślała o wszystkich, którzy korzystali na tym, że traciła pracę. O Łukaszu Welcerze, Robercie Hallerze i dziennikarzach, którzy jej nie trawili, na czele z Kubą. Ale najwięcej jej uwagi pochłaniał Jakub Andrzejewski, człowiek widmo.

– Nie, ale postaraj się lepiej dobierać znajomych. – Patrzył z niepokojem na kobietę, która szybkim krokiem zbliżała się do gabinetu. – Wyjdę ją zagadać, a ty ogarnij te śmieci, dobra? Ta babka od Hallera ma fioła na punkcie czystości. Jak się jej coś nie spodoba, zmieni lekarza, a kasa piechotą nie chodzi. – Puścił do niej oko i z przesadnym entuzjazmem pomachał do kobiety, a później wybiegł jej na powitanie.

Larysa przyglądała się nieznajomej z większą niż dotychczas uwagą. Jej obecność w Tygrysku wydawała się zbyt wymownym przypadkiem. Musiała jednak odłożyć te rozważania na później i wykorzystać moment, gdy była w gabinecie zupełnie sama. Sięgnęła po kluczyki do przeszklonej szafy z lekami, otworzyła ją pospiesznie, po czym wrzuciła kilka opakowań leków do plecaka. Szukała głównie tych, o których działaniu czytała w internecie, ale po namyśle zabrała ze sobą kilka nadprogramowych specyfików. Co chwilę zerknęła za siebie, ale Suchar był tak zajęty rozmową, że zupełnie nie patrzył w jej stronę. Pewną ręką wyjęła z szuflady plik czystych recept i na dwóch z nich przystawiła pieczętkę.

Wcisnęła je właśnie do kieszeni, gdy drzwi gabinetu otworzyły się, a pies trzymany na smyczy przez wysłanniczkę Hallera, warcząc, rzucił się w stronę Larysy. Zaskoczona kobieta wypuściła z ręki smycz, przez co pies w ułamku sekundy znalazł się u stóp dziennikarki. Warczał i szczekał, a w jego pysku zaczęła kłębić się piana.

– Atos, do nogi! – krzyknęła kobieta, ale zwierzę nie zareagowało.

Najwyraźniej zamierzała zawołać drugi raz, gdy dostrzegła lekarza ze strzykawką w dłoni zbliżającego się w błyskawicznym tempie. Podszedł do psa od tyłu i bez żadnego ostrzeżenia wbił mu igłę. Zwierzę szarpnęło, ale Maciej był szybszy. Wprawnym ruchem zdążył mu już podać lek, a później zaczął głośno odliczać.

– Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

Pies najpierw chwiał się na nogach i bezradnie rozglądał wokół, a po chwili położył się, ziewnął i zamknął oczy.

– Chyba wiszę ci jeszcze jeden pudding – powiedziała Larysa, która powoli dochodziła do siebie i odzyskiwała poczucie humoru.

– Za tę akcję należy mi się miesięczny karnet do Amaro. – Uśmiechnął się do niej z satysfakcją.

– Nie przeciągaj struny. Poza tym tam się wpada tylko na momencik.

– Zerknęła na pobladłą kobietę, która nadal ścisnęła pasek od swojej torebki – Następnym razem niech go pani lepiej trzyma, zanim kogoś zabije.

– Ale on się tak nigdy nie zachowuje. To dobry, spokojny pies. – Kobieta położyła rękę na sercu. – Przrzekam, pierwszy raz widziałam, żeby się na kogoś tak rzucił.

– Tak? A ja wręcz przeciwnie. Ale być może po prostu mnie nie lubi.



W Pięściarzu słyhać było szmer przyciszonych rozmów, a uwaga zaczęła przenosić się w stronę ringu.

– *Odziewaj gołowu!* – krzyknął trener Grisza, gdy zobaczył Brunona idącego w stronę ringu, na którym Bartek trenował z jakimś jeszcze bardziej niedoświadczonym od siebie zawodnikiem.

Wilczyński nawet nie zareagował, podniósł liny i wskoczył między walczących. Przypominał rozjuszonego byka, którego nikt nie odważył się zatrzymać.

– Masz ochotę na nokaut czy zejdziesz dobrowolnie? – Bruno spojrział na nowicjusza w taki sposób, że tamten nie zastanawiał się długo i natychmiast ustąpił mu miejsca.

– No proszę, mój ulubiony *sparing partner*. – Bartek wyszczerzył zęby schowane za przezroczystym ochraniaczem. Zupełnie nie przeczuwał, że wybrał właśnie jeden z gorszych momentów na bohaterstwo.

Bruno nie reagował na zaczepki – wydawało się, że jest w transie. Rozciągał mięśnie karku i rozgrzewał nogi, ale jego wzrok był nieobecny. Nie zwracał uwagi na Griszę, który z poczerwieniałymi policzkami podbiegł do ringu i grożąc palcem, kilkakrotnie powtarzał: „Nie! Rozumisz!? Nie!”.

– Ty jego ubijesz! – wrzasnął w końcu, ale do Wilczyńskiego nic nie docierało, szedł już w stronę nieświadomego swojego położenia Bartka.

Kilku chłopaków patrzyło po sobie z niedowierzaniem. W Pięściarzu można było pozwolić sobie na wiele, ale nie na ordynarną przemoc, a już na pewno nie na sprzeciwianie się Griszy. Reguły tego klubu opierały się na zasadach *fair play* i pozostawały elementem dżentelmeńskiej umowy. A ona była bezlitosna wobec niesubordynacji.

Po ostatnim starciu Bruno doskonale wiedział, że jest silniejszy od Bartka. Tym razem nie chciał się z nim mierzyć, potrzebował się na nim wyżyć. Właściwie nie miał nic do młokosa, ale skoro chłopak był pod ręką i sam prosił się o pojedynek, nie zamierzał z nim dyskutować. Gdy uderzył po raz pierwszy i zobaczył, jak jego przeciwnik chwieje się na nogach, poczuł przyływ adrenaliny. Każdy kolejny cios był mocniejszy od poprzedniego, a on coraz bardziej odrywał się od tego, co się działo w klubie.

Nie myślał o Bartku, nie słyszał chrupnięcia łamanego żebra ani krzyków Griszy, który w pośpiechu nakładał kask i rękawice. Właściwie przestawał widzieć przeciwnika, przed sobą miał jedynie obraz matki, niczym w zwolnionym tempie odwracającej się od niego i odchodzącej w stronę mgły, z której dobiegał śmiech innego dziecka. Był tak zaaferowany tym widokiem, że nie zauważył, kiedy na ringu pojawili się Grisza i jeden z jego chłopaków.

Dotarło to do niego, gdy pierwszy cios wykrzywił mu szczękę. Później wielka pięść uderzyła go w skroń, druga w żebro, następnie w przeponę i okolice splotu słonecznego. Bruno upadł na plecy, a świat wirował nad jego głową. Widział twarz Griszy, który poruszał ustami, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Wydawało mu się, że drugi bokser o coś go pyta, pokazuje mu palce, ale nie rozumiał, o co w tym chodzi.

Przechylił głowę na bok i dostrzegł krew, która najwyraźniej wypływała z jego łuku brwiowego. Po chwili zauważył też Bartka, który wspierał się na czymś ramieniu. Chłopak utykał, a chodzenie ewidentnie sprawiało mu ból. Gdy był już blisko szatni, odwrócił się i ich spojrzenia się spotkały. W żadnym nie było żalu, a jedynie rozczarowanie. Jednego z nich bolała konfrontacja z wyobrażeniem o ich relacji, drugiego zaś świadomość, że nic nie jest w stanie zagłuszyć krzyku, który niesie się w środku.

Bruno zamrugnął powiekami, które nagle zaczęły mu się wydawać niewiarygodnie ciężkie. Widział szarpiącego go Griszę i chłopaka zerkającego nerwowo w stronę drzwi. A później świat stopniał i zlał się

w jedną otulającą zmysły ciemność. W ostatnim przebłysku przed utratą świadomości Bruno pomyślał o czerwonej czapce, ale nim zdołał zrozumieć, dlaczego akurat ten fragment przywołała jego jaźń, zemdłał.



Tej nocy Emilia spała długim snem bez snów. Jakby wpadła do czarnego tunelu i wyszła z niego dopiero nad ranem, gdy usłyszała dźwięk zatraskujących się drzwi samochodu.

Zerwała się natychmiast, pewna, że zasnęła, by zrobić dzieciom śniadanie do szkoły, ale gdy zeszła na dół, zastała jedynie Jacka.

Siedział przy stole w jadalni i maczał tosty w kałuży ketchupu.

– Gdzie dzieci? – Rozejrzała się wokół.

– Twoja mama je zabrała. Pobędą u niej przez weekend. – Mąż unikał patrzenia jej w oczy.

W dłoni trzymał szklanekę, z której popijał brązowy płyn małymi łykami. Emilia podeszła bliżej i powąchała napój. Bez problemu rozpoznała w nim whisky.

– Pijesz? – W jej głosie pobrzmiwał wyrzut. Nie mogła uwierzyć, że po tylu latach abstynencji złamał własne zasady.

– Chyba nie myślałaś, że będę to znosił na trzeźwo? – Wypił zawartość do końca i wstał, by dolać sobie drugą porcję.

– Nie musisz tego robić.

– Jesteś ostatnią osobą, która ma prawo mówić mi, co mam robić. – Rąbnął szklanką w stół tak mocno, że część alkoholu wylądowała na blacie. – Zapewniam cię, że jeśli kiedykolwiek policja zapyta mnie o to, co się stało tamtej nocy, powiem im wszystko. Do tej pory będziemy odgrywać tę farsę.

Emilia spuściła głowę. Obawiała się, że policjant, który tu był, niebawem wróci. Zostawiła na miejscu odciski palców i choć nie było ich w żadnym rejestrze, to gdy stanie się podejrzana, szybko wyjdzie na jaw, że należą do niej. A wtedy straci wszystko, co w desperacji starała się uratować.

– Oni mnie znajdą, Jacek. – Ścisnęła w dłoniach uchwyty kul. – Zorientują się, że coś z zewnątrz blokowało zamek, sprawdzą odciski.

– Nie sprawdzą.

– Chyba nie oglądałeś filmów.
– W nocy, gdy spałaś, wróciłem tam i posprzątałem wszystko.
Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.
– Dlaczego mi nie powiedziałeś? Pomogłabym ci.
– W jaki sposób? Swoją paniką? A może urojeniami i manią prześladowczą? – Starł z ust krople śliny. – Brzydzą się tobą, Emilia. A wiesz, co jest najgorsze?
Pokręciła przecząco głową. Łzy skapywały z jej policzków na podłogę.
– To, że teraz to gówno wylało się również na mnie. Teraz brzydzą się także sobą.
– Jacek, wszystko się jakoś ułoży... – Wyciągnęła do niego przepaszającą rękę.
– Zamknij się! – Odepchnął ją. – Nic się już, kurwa, nigdy nie ułoży. Nie dociera to do ciebie? Robię to tylko dla chłopców.
Emilia wybuchła spazmatycznym płaczem.
– Jesteś żalosna. Powinnaś się leczyć. – Schował twarz w dłoniach. – Kochałem cię. – Teraz i on płakał. – Bóg mi świadkiem, kochałem cię najbardziej na świecie, ale po tym, co zrobiłaś, już nie mogę. To koniec.



Ze ścian kamienicy przy Glogera w kilku miejscach odpadał tynk, a mimo to przedwojenny budynek porośnięty bluszczem miał w sobie coś ujmującego. Właściwie cała uliczka, choć krótka i w pewien sposób kameralna, pozwalała na moment przenieść się do dawnej Warszawy.

Larysa poczuła na plecach silny powiew wiatru zwiastującego nadchodzącą burzę i przyspieszyła kroku. Podeszła do domofonu narożnej kamienicy, nacisnęła numer jeden, a gdy usłyszała dźwięk brzęczyka, popchnęła kutą stalową bramę. Po chwili znalazła się na niewielkim dziedzińcu z trzepakiem w centralnej jego części i starymi dębami na tyłach. Dobre miejsce, żeby się schować, pomyślała.

A później uniosła twarz w stronę nieba, zamknęła oczy i pozwoliła, by padały na nią coraz to większe krople deszczu. Jakby chciała przekonać się, że jeszcze coś czuje, że za murem, który konsekwentnie od lat umacniała, jest jeszcze jakiś człowiek. Ale w środku było zimno i pusto. Nie miała w sobie strachu ani żalu. Po prostu chciała

dokończyć to, co zaczęła, i zniknąć. Wzięła głęboki wdech i weszła na klatkę schodową. Przeskakiwała po kilka stopni, by po chwili znaleźć się przed drzwiami Nikodema Sztarka, lekarza, który prowadził terapię Anny Mielcarz.

Zastukała pięścią i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka.

– Tak? – zdziwiony mężczyzna pod sześćdziesiątkę stał w korytarzu i gorączkowo przeszukiwał pamięć, próbując zrozumieć, czy nie zapomniał o jakiejś wizycie. – Byliśmy umówieni?

– Nie. Potrzebuję się dowiedzieć wszystkiego o przypadku Anny Mielcarz.

– Nie jestem uprawniony. – Terapeuta obserwował jej drobną postać schowaną pod bluzą i skórzaną kurtką, a później przeniósł wzrok na mokrą od deszczu twarz.

– Nie żyje od dziesięciu lat. Daruj sobie profesjonalizm.

Mężczyzna upił łyk herbaty ze szklanki, którą trzymał w dłoniach, i spokojnym krokiem przeszedł do pokoju. Stojąc za jego plecami, Larysa widziała, jak przekręca kluczyk w starym sekretarzyku, po czym przerzuca zeszyty pełne pożółkłych kartek, przegląda zawartość teczek wiązanych na sznurki, a później wyjmuje stamtąd niewielki notes w czarnej oprawie.

– Przez lata starałem się zrozumieć, co tak naprawdę się wtedy stało. – Odwrócił się i spojrzał na nią. – Dopiero niedawno zrozumiałem, jaki popełniłem błąd.

– Dokumenty. – Wyciągnęła do niego rękę.

Lekarz pokręcił głową.

– To dokumentacja medyczna. Jest objęta tajemnicą. – Zamknął sekretarzyk na klucz, który włożył do kieszeni. – Wiedziałem, że w końcu ktoś zainteresuje się tą sprawą. Zdrowa psychicznie kobieta wybiega w nocy z domu i wpada pod nadjeżdżający samochód. Nadal pozostawia kilka niewiadomych, prawda?

– Dlatego muszę to przeczytać. – W Larysie narastała irytacja; obserwowała z nadzieją czarny notes, który mężczyzna trzymał w dłoni.

Nikodem Sztark uśmiechnął się lekko.

– Widzisz ten fotel? – Zerknął na turkusowego ludwika z drewnianymi nogami. – Raz do roku zmieniam obicie. Staram się pozbyć tych wszystkich ciężkich historii, które w nie wsiąkają razem ze łzami moich pacjentów. Ale to iluzja, tego nie da się usunąć. Ich

opowieści na zawsze pozostaną żywe w tych murach. Wiesz, czego nauczyłem się przez te czterdzieści lat?

– Nie mam pojęcia. – Założyła ręce przed sobą.

– Że zło jest prawdziwe, nawet jeśli wydaje się wymyślone. – Ścisnął w dłoni notes, a później odłożył go na drewniany stolik przykryty serwetą i uniósł wzrok na Larysę. – Zapomniałem posłodzić. Używam miodu. Najlepszy mają na Olimpi. Próbowała pani? – Zanim zdążyła odpowiedzieć, zniknął ze szklanką herbaty za drzwiami pokoju.

Larysa nie zamierzała czekać na jego powrót – włożyła notes do wewnętrznej kieszeni kurtki i wybiegła z gabinetu. Na dziedzińcu zerknęła w okno i zobaczyła w nim Sztarka.

Uśmiechał się do niej, popijając herbatę.



Ostre światło, stukot drewniaków o przeżarte wybielaczem linoleum i śmiech pielęgniarek na korytarzu. To pierwsze dotarło do niego, gdy otworzył oczy. Strzępki rzeczywistości układały się w niezrozumiały, surrealistyczny obraz na podobieństwo tych Salvadora Dalego. Krzyż na ścianie i zbliżający się do niego pajak o nienaturalnie długich nogach.

Bruno usiłował się podnieść. Wyciągnął rękę, by pochwycić pajaka, ale gdy tylko uniósł tułów, powrócił ból, który ścisnął mu głowę i powalił z powrotem na łóżko. Wydawało mu się, że spada bardzo długo, jakby leciał w pustym szybie windy, po drodze mijając złowrogie twarze Griszy, Bartka, Hallera, matki i Larysy. Odwrócił głowę w jej kierunku i poczuł obezwładniające zmęczenie.

Gdy się obudził ponownie, w pokoju było ciemno, czuł suchość w ustach i ból w niemal każdej części ciała.

– Witam wśród żywych – dobiegł go głos z fotela w rogu pokoju.

Bruno zamrugał powiekami i podjął żalostną próbę uśmiechu, która skończyła się ostrym bólem przeszywającym szczękę.

– Kto wygrał? – mówił powoli, z wyraźnym wysiłkiem, tylko lekko uchylając usta.

– Powiedzmy, że był remis. – Bartek podszedł do łóżka i skrzywił się na widok jego twarzy. – Co pamiętasz?

– Że spuściłem ci łomot.

Chłopak zaśmiał się i podał Wilczyńskiemu do ust wodę ze słomką. Bruno z trudem upił łyk i pokręcił głową.

– Tłukłeś mnie bez opamiętania. Jak jakiś pierdolony taran. Na szczęście Grisza i ten jego Białorusin wkroczyli do akcji. No i muszę przyznać, że się specjalnie nie hamowali. Pęknięta śledziona, złamane dwa żebra plus wstrząśnienie mózgu. Poleżysz tu sobie trochę. Właściwie tylko po to przyszedłem: chciałem zobaczyć, czy czujesz się tak paskudnie, jak na to zasługujesz.

Bruno usiłował się uśmiechnąć, ale ostre ukłucie bólu sprawiło, że syknął.

– Masz szczęście, że Larysa o niczym nie wie, boby się wściekła – kontynuował Bartek. – A wiesz, że moja siostra nie ma raczej łatwego charakteru.

Wilczyński ściągnął brwi i przyglądał się Bartkowi z ciekawością. Dopiero po chwili dotarło do niego, co usłyszał, i zaśmiał się w duchu nad swoją naiwnością. Powinien był od razu się domyślić, że tych dwoje jest rodzeństwem. Nie było między nimi chemii, a jedynie siostrzana opiekuńczość.

– Ma za to niebywałą zdolność przyciągania kłopotów – skomentował z wysiłkiem.

Bartek posmutniał, przygryzł wewnętrzną część policzka i pokiwał głową.

– Słuchaj – zaczął, wahając się, czy rozmowa z Brunonem nie przysporzy mu problemów. – Ona wkręciła się w coś niebezpiecznego. Zabije mnie, jeśli się dowie, że ci powiedziałem, więc trzymaj gębę na kłódkę. – Wyciągnął przed siebie palec wskazujący, jakby groził policjantowi. – W nocy ktoś włamał się do jej mieszkania. Choć w sumie nie włamał, bo zostawiła otwarte drzwi. Co ciekawe, ten ktoś niczego nie ukradł, tylko wykasował artykuł. Czaisz?

– Nadażam.

– Do tego jakiś czas temu zadzwonił do mnie Suchar, wściekły jak sto pięćdziesiąt, z informacją, że zwinęła mu tonę leków z gabinetu. Zastrzyki uspokajające, jakieś ogłupiające tabletki dla psów i kilka recept.

Bruno nie miał pojęcia, kim jest Suchar, ale nie podobało mu się to, co słyszał. Determinacja Larysy była imponująca, ale jednocześnie

zabójcza. Nadal nie rozumiał, dlaczego tak bardzo zależało jej na tym cholernym Andrzejewskim i co miał z nim wspólnego Haller.

I nagle doznał objawienia, jakby impuls elektryczny przeskoczył między synapsami. Kiedy odwiedzał biznesmena, jego gosposia powiedziała, że przyjdzie, gdy tylko skończy bawić się z psami. A skoro Larysę interesował Haller i leki usypiające psy, mogło się zanosić tylko na poważne kłopoty.

– Masz ochotę na imprezę? – zapytał Bartka.

– Też pytanie. Jestem studentem polibudy, moje życie to jedna niekończąca się impreza. Ale ty chyba już nie pofikasz.

– Spokojna twoja rozczochrana. – Wilczyński niewprawnie puścił do niego oko. – Dzwon do siostry.

Bartek uniósł brwi.

– Chyba nie o takiej imprezie myślałem. Chcesz ją ściągnąć tutaj? Oszalałeś?

– Mam wstrząs mózgu, nie myślę racjonalnie. – Bruno zapomniał o tym, że nie powinien, i rozciągnął usta w uśmiechu triumfu, po czym od razu syknął z bólu i zrobiło mu się ciemno przed oczami. – A później zadzwonimy do tego Suchara, przyda się nam jego pomoc.



Na wyświetlaczu smartfona pojawił się napis „Suchar”. W pierwszym odruchu zamierzała odebrać, wysłuchać wyrzutów i rozłączyć się, ale to by było bezcelowe. Maciek nie dałby jej spokoju, dopóki nie wyjaśniłaby mu, po co są jej te leki. Odrzuciła więc połączenie, a później dodała go do listy blokowanych numerów. A ta ostatnio stawała się coraz dłuższa.

Nie zdążyła jeszcze schować telefonu, gdy rozdzwonił się ponownie. „Bartek”, przeczytała. Wcisnęła zieloną słuchawkę.

– Nie ma mnie – rzuciła i natychmiast się rozłączyła.

Jej brat nie zrezygnował i po chwili zadzwonił ponownie. Odrzuciła go i dołączyła do czarnej listy.

– Sam się o to prosisz – powiedziała pod nosem.

Siedziała na podłodze w swoim mieszkaniu, zanurzona w lekturze dziennika Anny Mielcarz.

Okazało się, że mały, czarny notes, który Sztark zostawił na stoliku, był zbiorem zapisków i rysunków. Rwanych, dziwnych i niejasnych myśli jego pacjentki.

Najbardziej intrygowały ją fragmenty o tajemniczym mężczyźnie. „On patrzy. Przychodzi, gdy śpię, i patrzy. Wiem to”. „Był tutaj. Dotykał moich rzeczy. Nie zwariowałam”. „Czasami o nim śnię, wydaje mi się, że otwieram oczy, w pokoju jest ciemno, ale rozpoznaję kształty. I wtedy go dostrzegam – siedzi w fotelu w rogu pomieszczenia i patrzy na mnie. Usiłuję uciekać, ale nie mogę się ruszyć. Mam wrażenie, że się duszę. Chcę krzyknąć, ale z moich ust nie wydobywa się żaden dźwięk. A wtedy on wstaje, podchodzi bliżej, siada na łóżku i bierze mnie za rękę. Ze strachu szumi mi w uszach. Najbardziej boję się spojrzeć mu w oczy. Nie mogę znieść myśli o tym, co w nich zobaczę. Odwracam głowę, ale on dotyka mojego policzka i już nie potrafię ze sobą walczyć. Patrzę na jego twarz. Twarz dziecka. Mojego dziecka”.

Ten ostatni fragment Mielcarz w pamiętniku zilustrowała szkicem wychudzonej buzi małego chłopca, a tuż pod nim dopisała: „To moja wina”.

Larysa ściągnęła brwi. Nigdzie nie znalazła adnotacji o tym, że kobieta miała dziecko, ale może w ten sposób radziła sobie z traumą poronienia? Wzięła do ręki telefon i odszukała numer, którego już dawno nie używała.

– No i kto wygrał, nałóg czy pani? – rzuciła do słuchawki, mając nadzieję, że trafiła na dobry moment.

Rozmówczyni przez chwilę milczała, po czym zaśmiała się ochryplym śmiechem palacza.

– Jeden zero dla fajek. Nie trzeba było mi ich zostawiać. – Profesor Beata Piotrowska najwyraźniej dobrze wiedziała, z kim rozmawia. – Czemu zawdzięczam ten telefon?

– Czy Anna Mielcarz miała dzieci?

– Nie.

– Ale może poroniła? Rozmawialiście kiedyś o tym?

– To niemożliwe, ona nie mogła mieć dzieci. Dlatego rozwiodła się z pierwszym mężem. – W jej głosie dawało się wyczuć zniecierpliwienie.

– Ale wiem, że kiedyś oddała dziecko, które przyjęła jako rodzina zastępcza. To było, zanim poznała Tadeusza. On nic o tym nie wie, nigdy mu nie powiedziała. Dręczyły ją potworne wyrzuty sumienia. Wie

pani, jak się mówi na takie dzieci? Zwrotki.

– Kim było to dziecko?

– Nie wiem zbyt wiele, trzymała to w tajemnicy. Zbyt dużo razy usłyszała pod swoim adresem, że dziecko jej się pomyliło z zabawką. Wiem tylko, że to był chłopiec.

– A były mąż?

– Nie żyje. Wyjechał do Stanów na początku lat dziewięćdziesiątych. Zginął w wypadku na budowie.

Larysa rozłączyła się i zapisała na kartce pytanie, które nie dawało jej spokoju.

Jak nazywał się chłopiec, którego adoptowała Anna Mielcarz?

A później otworzyła notes zmarłej tragicznie profesor i przerzucała kartki w nadziei, że natrafi na jakiś trop. Było tam kilka zapisków, które mogły dotyczyć jej męża, Tadeusza. „On nie może się dowiedzieć. Nigdy”. „Myśli, że zwariowałam jak moja matka. Nie wierzy mi”. „Czego on chce? Czego on ode mnie chce? Każe mi brać leki, a ja ich nie lubię, nie myślę po nich jasno”. Ale też sporo notatek o Igorze Szymanowiczu, studencie, z którym wedle pogłosek miała romans. Charakter tych myśli najtrudniej było Larysie sklasyfikować. „Igor jest jak błogosławieństwo i przekleństwo zarazem. Jakby los dał mi kolejną szansę. Muszę mu powiedzieć, że już wiem. Że zrozumiałam. Tylko co dalej?” „Byliśmy w kawiarni. Trzymałam go za rękę i starałam się mu wszystko wytłumaczyć. Ale nie ma usprawiedliwienia dla czegoś takiego. Płakałam, a on tylko patrzył”. „Zrobię dla niego wszystko, jestem mu to winna”. Larysa dotknęła palcem nagryzmołonych grubo długopisem napisów. „Igor, Iguś, Iгореk, Gorcio”.

Wydawało się jej, że poczuła smutek, ale dlaczego? Co Anna chciała zrobić dla Igora? Była pewna, że Nikodem Sztark zachował kilka elementów układanki dla siebie. Miał nad nią przewagę, tygodniami spijał słowa z ust Mielcarz, a to w połączeniu z zapiskami z notatnika pozwalało zapewne zbudować kompletny obraz.

Ty stary chytrusie, pomyślała Larysa i zadzwoniła do terapeuty, ale ten nie odbierał. Zaplanowała więc, że odwiedzi go następnego dnia i spróbuje przekonać do tego, by podzielił się informacjami. O ile będzie jakieś jutro, dodała gorzko w myślach, po czym zerknęła na plecak, w którym trzymała arsenał ukradziony Sucharowi i leki, na które sama wypisała sobie receptę, podrabiając obserwowany po

stokroć podpis Maćka. *No pain, no gain* – zacytowała jeden z napisów, jakie na swoich T-shirtach nosił Paweł Wiśniewski.

Redaktor naczelny nie odezwał się do niej, odkąd wysłał SMS-a. Nie liczyła na to, ale zakładała, że nie będzie się mógł powstrzymać, by strzelić jej umoralniające kazanie. A jednak pomyliła się. Ani jej szef, ani prezes Welcer nie spieszyli się, by podziękować jej za współpracę.

Jakby mnie to cokolwiek obchodziło, pomyślała, a później podłączyła do komputera smartfona i ściągnęła zdjęcia wysłane przez Wilczyńskiego.

Na telefonie nie dało się ich powiększyć tak, by zachować jakość obrazu, ale dzięki Bartkowi miała do tego odpowiednie programy na laptopie. Wystarczyło zaledwie kilka kliknięć i mogła zagłębić się w lekturę raportów dotyczących samobójstw Andrzejewskich. Przewidywała, że potwierdzi w ten sposób informacje uzyskane od Magdaleny, żony Ignacego, ale już po pierwszej stronie wiedziała, że kobieta przedstawiła jej niezwykle złagodzoną wersję. Gdy czytała, na przemian robiło jej się zimno i gorąco, bezwiednie zaciskała szczęki i notowała na kartce wszystkie zastanawiające fakty.

Miała już odłożyć dokumenty, gdy zwróciła uwagę, że nazwisko jednego policjanta powtarza się w dwóch sprawach. Zweryfikowała w internecie, które komendy odpowiadają za poszczególne obszary, i wydało jej się dziwne, że specjalista ze stołecznej współpracował przy samobójstwie z Otwocka.

W głowie pulsowało jej jedno pytanie, na które odpowiedź znał Bruno. Pokręciła głową, bo była to ostatnia osoba, z którą chciała teraz dyskutować, ale po chwili wybrała jego numer.

Ku jej zdziwieniu odebrał Bartek.

– Hej, siostra. Wilk pewnie chętnie by z tobą pogawędził, ale właśnie wzięli go na rezonans.

– Gdzie jesteście? I co ty w ogóle z nim robisz? Mówiłam ci, żebyś się trzymał od niego z daleka! To nie jest kumpel dla ciebie.

– Gadasz jak matka. – Zaśmiał się. – Długa historia. Wpadaj do Bródnowskiego, szykuje się niezła impreza.

– Żebyś wiedział.



Larysa szła przez korytarz jak burza. Ze swoją ekstrawagancką fryzurą, w skórzanej kurtce, rurkach i czerwonych martensach zupełnie nie przypominała klasycznych odwiedzających.

Popchnęła drzwi oddziału intensywnej terapii i nie zwracając uwagi na nawoływanie z dyżurki, szła przed siebie. Gdy była w drodze do Szpitala Bródnowskiego, zadzwonił do niej Grisza, znała więc już przebieg wydarzeń w Pięściarzu. Nie była zła, czuła narastającą w trzewiach furię i zamierzała dać jej upust.

Zaglądała po drodze do wszystkich sal, aż wreszcie trafiła na brata. Bartek rozmawiał z kimś przez telefon, chodził po pokoju i nerwowo uderzał lewą ręką w udo.

Dostrzegł ją chwilę przed tym, zanim się rozłączył, i bezgłośnie pokazał jej znak podrzynania gardła.

– Masz przerabane – zaczął, gdy odłożył telefon. – Laboratorium Suchara znalazło w twoim mleku pochodne benzodiazepin. Powiesz mi, o co tu chodzi? – Oparł ręce na biodrach i wyczekująco wpatrywał się w siostrę.

– To nie twój problem. Ogarnę to. Gdzie Wilczyński? – Nadal była nabuzowana, choć ta informacja wybiła ją nieco z rytmu.

Ślady leków w mleku oznaczały pełną premedytację w działaniu. Wskazywały na planowe i precyzyjne ruchy prowadzące do konkretnego celu. W tym przypadku uśpienia jej, a później wykasowania artykułu. Komuś bardzo zależało na tym, by reportaż się nie ukazał.

– Jaja sobie robisz? Jakiś psychol włamuje się do twojego mieszkania, rozpuszcza leki nasenne w mleku, a później, gdy zostawiasz otwarte drzwi i zasypiasz, wraca tylko po to, by wykasować jakiś pieprzony artykuł. A ty mówisz: „Ogarnę to”? Niby jak? Naprawdę uważasz, że wszystko jest w porządku? Gdzie zamierzasz nocować?

– U mnie – odezwał się Bruno, którego pielęgniarka przywiozła właśnie na wózku inwalidzkim.

Larysa spiorunowała go wzrokiem.

– Po moim trupie.

– W tym tempie szybko się go doczekamy – skomentował Bartek, zakładając ręce przed sobą.

– Skoro jesteś taki mądry, to może opowiesz mi o tym, jak obaj

wpadliście pod autobus? A może to była ciężarówka? Widzieliście się w lustrze?

– Czy mi się wydaje, czy jesteś dziś wrogo nastawiona? – Bruno przy pomocy pielęgniarki gramolił się na łóżko, stękając przy tym z bólu.

Kobieta ułożyła mu głowę na poduszce, postawiła na stoliku leki uspokajające i szklankę wody, po czym najszybciej, jak potrafiła, opuściła salę.

– Na twoim miejscu zastanowiłbym się nad odpowiedzią – kontynuował Bruno – bo tak się składa, że otrzymałem doniesienie o kradzieży od niejakiego Macieja Sachary. A jeśli dodamy do tego podrabianie recept, to możesz dostać nawet do pięciu lat.

– Lecisz sobie w kulki?

– Roześmiałbym się, ale cholernie bolą mnie żebra. – Dotknął ręką boku. – Plecak. – Wyciągnął rękę w jej stronę i jęknął z bólu. – Młody, ogarnij to.

Larysa patrzyła na Wilczyńskiego w napięciu, a jej nozdrza poruszały się rytmicznie. Sprawiała wrażenie, jakby zamierzała rzucić się lada chwila do ucieczki. Jej spojrzenie powędrowało w stronę drzwi, ale Bartek był czujny i natychmiast stanął w nich z poważną miną.

– Nawet o tym nie myśl. – Znów położył ręce na biodrach. – Oddawaj fanty.

– Nie macie pojęcia, z kim tańczycie – wycedziła przez zęby, a potem postawiła plecak na łóżku Wilczyńskiego i zaczęła wyciągać z niego opakowania leków.

– Nawet nie zaczęliśmy. – Bruno z wyrazem satysfakcji przyglądał się rosnącemu stosowi. – Niezły arsenał. Zweryfikujesz z listą od Suchara? – Zerknął na chłopaka.

Bartek otworzył wiadomość na telefonie i uważnie przeglądał wszystkie pudełka. Po cichu liczył je i sylabizował nazwy.

– A gdzie Sedalin? – Uśmiechnął się do niej, widząc, jak otwiera oczy ze zdumienia. – Apteka, w której robiłaś zakupy, poinformowała Maćka o twojej transakcji. A on podzielił się tą informacją z nami.

Larysa przekleła pod nosem, po czym wyjęła z kieszeni kluczyki do samochodu i przekazała je bratu.

– W schowku.

Bartek miał minę, jakby wygrał w totka. Z głupim uśmiechem na ustach wyszedł z pokoju, a tymczasem Larysa podniosła dłonie

i zaczęła klaskać.

– Brawo. – Jej słowa ociekały ironią. – Co teraz? Mam zdjąć ubranie?
– Zrzuciła z ramion kurtkę, która upadła na ziemię. – Chyba nie odpuścisz osobistego przeszukania?

Wolnym krokiem podchodziła do Brunona, który przyglądał się jej podejrzliwie, po czym zdjęła wprawnym ruchem koszulkę, zostając jedynie w czarnym koronkowym staniku. Wilczyński przełknął ślinę i lekko uniósł głowę z wrażenia. Tymczasem ona usiadła na brzegu łóżka, nachylając się nad jego twarzą.

Była tak blisko, że czuł jej ciepły oddech na ustach i drażniący piżmowy zapach.

– Czy możesz wezwać pielęgniarkę? Mam halucynacje. – Walczył z uśmiechem zadowolenia, który stopniowo usuwał z jego rysów oznaki wątpliwości.

– Mówiłam ci już, że lubię to robić w miejscach publicznych? – Puściła do niego oko i zerknęła w stronę drzwi.

Bruno patrzył na nią nieufnie. Był niemal pewien, że to przedstawienie jest jedynie elementem zręcznej manipulacji, ale jednocześnie jego zamroczony umysł nie mógł znaleźć powodu, dla którego miałyby się tak zachowywać.

Zaskoczyło go, jak silnie jego poturbowane ciało reagowało na obecność tej dziwnej, niedającej się ująć w żadne ramy dziewczyny. Zawiesił wzrok na jej pełnych wargach i pieprzyku nad nimi, a później spojrział w oczy i gdy nie dostrzegł w nich śladu kpiny, zbliżył swoje usta do jej ust.

– Mam wszystko! – Podekscytowany Bartek pojawił się nagle w pokoju z zapasem leków w rękach, a Lara i Bruno na jego widok odsunęli się od siebie. – Ups. Pardonsik. – Wyraźnie zakłopotany drapał głowę. – To może ja skoczę do toalety? Mam wprawę.

Larysa wstała z łóżka i sięgnęła po koszulkę leżącą na podłodze.

– Nie trzeba. – Włożyła ubranie, po czym podniosła kurtkę. – Czar prysł. – Wzruszyła niewinnie ramionami.

Bruno przewrócił oczami i wysłał Bartkowi bezgłośnie wyartykułowane przekleństwo.

– Nie czekaj na mnie z kolacją – rzuciła, nim wyszła, i posłała Wilczyńskiemu buziaka.

– A kluczyki? – Bartek złapał ją za ramię.

– Zatrzymaj. Musisz czymś zawieźć rekonwalescenta do domu. Choć pewnie prędko go nie wypuszczą, bo biedak ma halucynacje.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Bruno z niepokojem zerknął na kartoniki leków leżące na łóżku.

– Coś mi tu nie gra. Sprawdź jeszcze raz te pudełka.

Chłopak policzył opakowania, zerknął na listę od Maćka i stwierdził, że wszystko jest okej.

– Po prostu na ciebie leci. Nie szukaj wszędzie spisków.

– Ona nie leci na nikogo. Chyba nie znasz swojej siostry. – Wilczyński rozglądał się po pokoju, ale nie potrafił znaleźć żadnego punktu zaczepienia. Dopiero gdy jego wzrok zatrzymał się na nocnej szafce i pustym kubeczku na leki, który zostawiła pielęgniarka, zrozumiał, jak bardzo się wygłupił.



Od kilku dni wstrzymywała oddech za każdym razem, gdy słyszała dźwięk syren policyjnych i pukanie do drzwi. I choć wiedziała, że Jacek pozacierał ślady, to i tak czuła, jak jej żołądek zwija się w supeł, gdy jej mąż podnosił słuchawkę telefonu.

Od rana w prasie można było przeczytać o śmierci mężczyzny z Podkowy Leśnej. Znalazła go sprzątaczką. Nieświadoma tego, co czeka na nią w saunie, odkurzała niespiesznie dom. A gdy dotarła na górę, z krzykiem wybiegła na podjazd. Gnała przed siebie aż do najbliższych zabudowań i dopiero tam sąsiedzi wezwali pomoc. Według dziennikarza policja zajmowała się ustaleniem, czy do zgonu mogły przyczynić się osoby trzecie.

Emilia odłożyła gazetę i starała się skoncentrować wszystkie myśli na przygotowaniu kolacji. Nagle dostrzegła, że na dłoniach ma krew. Pomyślała, że skaleczyła palec, krojąc marchewkę. Nim doszła do zlewu, krew zaczęła skapywać na podłogę. Lała się tak intensywnie, że pokrywała już całe dłonie. Emilia odkręciła zimną wodę, brudząc przy tym kurek, i włożyła ręce pod strumień. Krwotok jednak nie ustawał. Brunatna woda wypełniała cały zlew i chlapała na wszystko dookoła. Lewicka w panice owinęła ręce ścierką, ale krew przesączała się przez materiał i płynęła dalej.

– Jacek! Jacek! – wrzeszczała. – Wezwij karetkę!

Jej mąż zbiegł z góry, gdzie bawił się z synami. Jego twarz była blada, a oczy rozbiegane.

– Co się stało? – Patrzył na nią przerażony.

– Krew. – Emilia pokazywała mu rękę i powiększającą się kałużę krwi wokół jej stóp.

– Tu nic nie ma.

– Jak to? – Spojrzała raz jeszcze i uświadomiła sobie, że krew zniknęła. – Myślałam, że... – Urwała i przyłożyła dłoń do ust. – Przepraszam.

– Masz urojenia. Przyzwyczaj się, mam nadzieję, że będą cię prześladować do końca życia.

– Jak długo jeszcze będziesz mnie karać? Myślisz, że chciałam to zrobić? Że jest mi teraz lekko? Nie miałam innego wyjścia. On nigdy nie dałby nam spokoju.

– Przestań to w kółko powtarzać. Nawet go nie znałaś. Dlaczego jakiś obcy mężczyzna miałby nam zagrażać? Zastanawiałaś się nad tym? Wymyśliłaś to sobie i zabiłaś niewinnego człowieka, bo masz paranoję. Bo wydawało ci się, że jest podobny do tego ze zdjęcia. Bo miał czerwoną bejsbolówkę? Kara tu w niczym nie pomoże, potrzebujesz psychiatry. – Odwrócił się i skierował na górę, gdy Emilia powiedziała:

– Znałam go. Miałam z nim romans. – Gdy to powiedziała, odniosła wrażenie, że ziemia przestała się kręcić.

Jacek zatrzymał się w połowie drogi na schody; jego dłoń kurczowo trzymała się poręczy, a druga zwinęła się w pięść.

– Co? Kiedy to było? – Odwrócił się.

– Jakieś siedem lat temu.

Jacek przyglądał się jej ze ściągniętymi brwiami, na jego twarzy malował się wyraz bólu, jakby przed chwilą dostał w brzuch.

– Nie wierzę ci. – Pokręcił głową. – Staraliśmy się wtedy o dziecko. Nie zrobiłabyś tego.

– A jednak. Ciągłe się kłóciliśmy, ty piłeś, wiecznie cię nie było. Nie wiedziałam, co robić, byłam zagubiona, a on mnie rozumiał.

Jacek oparł dłonie na biodrach i opuścił głowę. Kiedy ją podniósł, jego wzrok był zimny.

– Powinienem być od razu zadzwonić na policję. Za długo zwlekałem. – Sięgnął do kieszeni po komórkę.

– Na twoim miejscu bym tego nie robiła. Zaprzeczę wszystkiemu i zrzucę winę na ciebie. Ciekawe, czy uwierzą bezbronnej kobiecie o kulach, czy tobie?

Patrzył na nią osłupiały.

– Chyba oszalałaś. Nikt tego nie kupi.

– Myślisz? Mam na ten temat inne zdanie. Zazdrosny mąż zabija w odwecie kochanka swojej żony. Policję z pewnością zainteresuje, dlaczego twój samochód parkował pod jego domem w środku nocy. Założę się też, że znajdą cię na nagraniach z monitoringu drogowego. No i nie zapominaj o fakcie, że będąc u niego w domu, dzwoniłeś na policję. Chyba masz problem.

Jacek przyglądał się jej przez chwilę, jego twarz w ułamku sekundy się zmieniła. Oczy płonęły gniewem, a usta wykrzywione były w potwornym grymasie. Zupełnie nie przypominał jej męża. Złapał ją za ubranie i podniósł do góry.

– Nie pogrywaj ze mną w ten sposób, słyszysz!? – wrzasnął. – Jeśli kiedykolwiek spróbujesz takiego numeru, odbiorę ci to, co kochasz najbardziej. – Puścił ją na podłogę, a ona upadła jak bezwładna lalka. – Sąd przekaże mi dzieci, bo jesteś niepoczytalną wariatką.

– Nigdy ich nie dostaniesz! – krzyczała w szale. – Powiem im, że zabiłeś go, bo dowiedziałaś się, że to on jest ich ojcem. Że nie mogłeś sobie z tym poradzić i że musiałeś się go pozbyć.

– Kompletnie ci odbiło. Nikt nie uwierzy w taką bzdurę, a nawet jeśli, to pierwsze badania na ojcostwo wykażą twoje kłamstwo.

Emilia zaśmiała się.

– I właśnie to jest najlepsze. – Spojrzała mu prosto w oczy. – To jedno w tym wszystkim będzie prawdą. Wiesz, dlaczego on zginął? Bo chciał nam odebrać dzieci. Jego dzieci.



Maszynka do strzyżenia z charakterystycznym dźwiękiem ślizgała się po jej głowie, a drobne włoski spadały na umywalkę, tworząc unikalną mozaikę.

Nie lubiła, gdy odrastały, dlatego skrupulatnie pilnowała, by przycinać je na długość kilku milimetrów. Wyglądała wtedy jak Sinead

O'Connor, z tą różnicą, że Larysa nie miała w sobie smutku wokalistki – w jej oczach płonął dziki gniew.

Tego dnia był bardziej intensywny niż zwykle. Zamierzała wejść do jaskini lwa bez przygotowania, bez wsparcia i bez gwarancji, że wyjdzie stamtąd bez szwanku. Potarła dłońmi ogoloną głowę, a później taśmą przykleiła do ciała tabletki nasenne, które ukradła ze szpitala. Powinny wystarczyć do uśpienia jednej osoby, z innymi będzie musiała poradzić sobie sama. Tak jak z psami.

Jej klatka piersiowa falowała miarowo, dłonie poruszały się pewnie, a umysł był skupiony. Włożyła w pośpiechu czarną bokserkę, a do kieszeni bojówek szwajcarski scyzoryk. Była pewna, że odda go, zanim przekroczy próg salonu, ale właśnie na tym polegała ta gra. Musiała stworzyć wrażenie zdemaskowanej i pozbawionej nadziei. Oddać najpierw coś oczywistego, a później coś ukrytego. W tym celu pod skórzaną bransoletą na lewym nadgarstku przykleiła żyłkę. Nie zamierzała jej używać. Miała być jedynie biletem wstępu za kulisy świata Roberta Hallera.

Siedząc w taksówce w drodze do jego domu, Larysa odtwarzała w pamięci kształt budynku i liczbę pomieszczeń, co oszacowała na podstawie obrazów z Google Maps. W myślach rysowała kształt ogrodu i potencjalne drogi ucieczki, z których mogłaby skorzystać w sytuacji, gdy nie będą jej ścigać wściekłe psy. Po raz pierwszy czuła, że decyduje się na działanie po omacku i nie jest w stanie rozpisać scenariusza, a co dopiero kilku jego wariantów. Miała wrażenie, że szykuje się do skoku z zamkniętymi oczami nad przepaścią, o której nic nie wie.

Zaśmiała się, przywołując wspomnienie słów Suchara, pod którymi ochoczo zapewne podpisałby się także Paweł Wiśniewski: „rozpasany instynkt autodestrukcji”. A później poprosiła taksówkarza, by przystanął przy zaroślach około kilometra od posesji biznesmena i bezwiednie napięła wszystkie mięśnie.

Gdy wysiadła z taksówki, poczuła na skórze chłód nocy i drobne krople deszczu, które mobilizowały ją do szybszego marszu. Działała niczym maszyna, bez zastanowienia nacisnęła przycisk domofonu i czekała. Spodziewała się usłyszeć głos gospodyni, kobiety, którą spotkała w gabinecie weterynaryjnym Tygrysek, ale ku jej zaskoczeniu z głośnika odezwał się głos samego Roberta Hallera.

– Larysa Luboń. Kto by pomyślał? Zapraszam.

Dwuskrzydłowa brama wjazdowa z ornamentami przypominającymi gałęzie drzewa drgnęła i zaczęła się otwierać. Larysa przeszła przez nią bez wahania, a gdy wspinała się po schodach willi, zaniepokoiły ją cisza i brak psów przed domem. Zanotowała w myślach tę anomalię, szykując się na jej potencjalne konsekwencje, i wyciągnęła dłoń, by zastukać kołatką w kształcie lwa. Nie zdążyła jednak, bo drzwi otworzyły się, a z wewnątrz wylał się snop ostrego światła.

Podniosła dłoń do oczu i weszła do środka, trafiając do holu rezydencji.

Robert Haller stał naprzeciwko niej, w odległości zaledwie kilku kroków, a u jego nóg warowały dwa rottweilery. Biznesmen miał na sobie jedwabny szlafrok w kolorze krwi i beżowe kapcie wykonane z welurowej skóry nasunięte na gołe stopy.

– Wybacz, że witamy cię w okrojonym składzie. Atos kiepsko się czuje po wizycie u twojego przyjaciela. Marny z niego weterynarz, ale za to niezła gaduła. Biedak chyba naprawdę cię lubi, skoro tak chętnie o tobie opowiada.

Larysa wykonała krok do przodu, a wtedy zwierzęta wyszczerzyły kły i zaczęły warczeć.

– Waruj! – wrzasnął Haller, przywołując psy do porządku. – Widzisz, Portos i Aramis są trochę mniej cierpliwe od Atosa, choć zapewne wydawało ci się, że to on z nich trzech ma największy temperament. – Pokręcił głową. – Radzę wyjąć z kieszeni wszystkie niebezpieczne zabawki, które mogłyby je zdenerwować. Są wyszkolone, by w razie zagrożenia na mój sygnał rzucać się napastnikowi od razu do gardła.

Wiedziała, że to nastąpi. Nawet nie udawała, że jest zaskoczona. Po prostu wyjęła z kieszeni nóż i spokojnie podała go mężczyźnie. Gdy jego palce musnęły jej dłoń, wzdrygnęła się. Były zimne i twarde niczym palce trupa. Być może tym właśnie Haller był – człowiekiem martwym, pozbawionym skrupułów i uczuć. Niezdolnym do refleksji ani współczucia.

– Powiedziałem: wszystkie. – Patrzył na nią wyczekująco.

Larysa rozłożyła ręce, jakby nie rozumiała, o co chodzi, a wtedy on zerknął na bransoletkę. Zdejmowała ją z ociąganiem, by wyraźnie zarysować, że trafił w jej słaby punkt, a gdy mu ją podała, zarejestrowała błysk satysfakcji w jego spojrzeniu.

– Teraz spodnie i buty.

– Myślałam, że te zabawy mamy już za sobą.

– Ja też, ale skoro do mnie przyszłaś, nie mamy innego wyboru.

Westchnęła ciężko, po czym przyklękła i rozwiązała sznurówki w martensach. Zsunęła je ze stóp, nie tracąc z oczu psów, które podniosły się i łypały na nią groźnymi ślepiami. Następnie rozpięła bojówki i położyła je na podłodze obok butów.

– To też? – Odsłoniła dekolt, prezentując biustonosz i nie czekając na odpowiedź Hallera, zręcznym ruchem wyjęła spod bokserki stanik. – Możesz zatrzymać na pamiątkę. – Podała mu bieliznę.

Starła się oddychać, ale świadomość, że od jego reakcji zależało jej życie, była przytłaczająca. Czuła, jakby ktoś położył na jej klatce piersiowej koło młyńskie, przez które zaczynała się dusić. Biznesmen mógł poprzestać na biustonoszu albo kontynuować swoją grę, tyle że wtedy znalazłby tabletki i poza siłą własnych mięśni nie miałyby już niczego do obrony. Sekundy oczekiwania wydawały się jej ciągnąć w nieskończoność, gdy wreszcie mężczyzna się uśmiechnął.

– Napiłbym się drinka, a ty?

– Chętnie. – Starła się, by jej głos brzmiał mocno i pewnie.

– Portos, Aramis, waruj! – Pokazał jej dłoń, by szła za nim. – Jeśli nie będziesz kombinować, nic ci nie zrobią.

Nie ufała mu. Szła między zwierzętami skupiona, by w razie potrzeby zareagować na niespodziewany atak, choć jednocześnie zdawała sobie sprawę, że jej stan gotowości nie uchroniłby jej przed niczym. W starciu z wyszkolonymi bestiami miała takie same szanse jak spadochroniarz, którego zawiódł sprzęt. Żadne.

Haller prowadził ją długim korytarzem ozdobionym zegarami, a ich tykanie jedynie podsycalo jej niepokój. Kiedy dotarli do biblioteki na piętrze, zamknął za nimi drzwi, zostawiając psy w holu. Larysa rozluźniła się i zadziałała pochopnie.

– Bourbon? – zapytała, podchodząc do barku, i natychmiast pożałowała swojej impulsywności.

Powinna była zaczekać na jego ruch, nie wzbudzać podejrzeń, nie spieszyć się. Biznesmen nieznacznie kiwnął głową, ale przede wszystkim obserwował ją czujnym wzrokiem. Stała odwrócona tyłem i gryzła się z całej siły w wewnętrzną część polika, by powstrzymać drżenie dłoni. Jedną ręką trzymała szklanke, a drugą nalewała alkohol. Przynajmniej tak to wyglądało z perspektywy Hallera.

W rzeczywistości, gdy prawa ręka przechylała karafkę, lewa wyjęła tabletki spod koszulki i umieściła je w szklance. Kiedy sięgała po drugie naczynie, chwyciła je tak mocno, że wydawało się, iż szklanka lada moment rozsypie się w jej dłoni w drobny mak. Jakimś cudem udało jej się napełnić ją alkoholem i rozmieszać tabletki w porcji przygotowanej dla gospodarza domu.

– Z lodem?

– Nigdy. To Booker's. Sześćdziesiąt pięć procent piekła w każdym łyku. Pali w żołądku jak rozżarzony węgiel.

Najwyraźniej nie potrzebuję pić, żeby się tak czuć, pomyślała. Na ułamek sekundy zacisnęła powieki, wzięła głęboki wdech i odwróciła się ze szklankami w dłoniach.

– W takim razie proszę. – Wyciągnęła rękę, podając mu alkohol.

Haller uniósł jeden kącik ust, ale nie wziął od niej szklanki.

– Odkąd tu przyszałaś, jedna rzecz nie daje mi spokoju. Nie mogę przestać zastanawiać się po co. Nie pyskujesz, jesteś nad wyraz współpracująca, a to do ciebie niepodobne. I to akurat w dniu, w którym moja żona wyjechała, a gospodyni wzięła wolne. Dziwny zbieg okoliczności, nie wydaje ci się?

Larysa kiwnęła głową. Wiedziała, że jego żony nie będzie. Dominika Haller zdążyła pochwalić się na Instagramie zdjęciem z samolotu z drogi do Dubaju, dokąd leciała na, jak to nazwała, „podładowanie baterii”. Natomiast nieobecność gospodyni była jedynie szczęśliwym trafem.

– Przyszłam porozmawiać o mojej pracy w „Magazynie”. – Usiadła na fotelu po drugiej stronie stołu i postawiła przed nimi szklanki.

– O ile wiem, wyleciałaś z powodu niedotrzymania deadline'u. O czym miał być ten artykuł?

– Bawi cię to?

– Nawet nie wiesz, jak bardzo. – Roześmiał się i nagle spoważniał. – Darujmy sobie to przedstawienie. – Chwycił szklankę, którą postawiła przed nim, i rzucił nią o ścianę na tyle mocno, że szkło rozprysło się po podłodze.

Larysa aż się wzdrygnęła, a zwabione hałasem psy zaczęły szczekać i warczeć pod drzwiami biblioteki.

– Wyjaśnijmy coś sobie. Nie ma nic bardziej obrzydliwego od kłamstwa. Nie jesteś osobą, która o cokolwiek prosi, a ja nie jestem

człowiekiem, który ulega jakimkolwiek błaganiom. Wypiję teraz swojego burbona. – Wskazał na szklanekę, którą kurczowo ścisnęła w palcach. – Masz więc kilka minut, by mi wyjaśnić, co tu naprawdę robisz. Później naślę na ciebie psy. O ile same wcześniej tu nie wejdą. – Pokazał jej drgające pod uderzeniami ich cielsk drzwi.



Lekarka zaświeciła mu latarką w oczy, po czym zapisała coś w swoich notatkach i zadała kilka rutynowych pytań.

– Będę żył? – zapytał Bruno.

– Na to wygląda. Zatrzymamy pana jeszcze kilka dni na obserwacji, a później dostanie pan zwolnienie i co najmniej przez miesiąc będzie się pan musiał oszczędzać.

– Myślę, że pomyliły się pani kwestie. To jest ten moment, gdy pani mówi: „Wstań, idź, twoja wiara cię uzdrowiła” – zadeklamował głosem natchnionego kaznodziei.

– Czy na pewno dobrze się pan czuje? – Zerknęła na niego zza okularów.

– A istnieje odpowiedź, dzięki której wyjdę szybciej do domu?

– Nie. Miał pan pękniętą śledzionę i wstrząśnienie mózgu. Musi pan leżeć i odpoczywać. – Kobieta pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Przypomina pani siostrę Ratched, Wielką Oddziałową z *Lotu nad kukułczym gniazdem*. Z pozoru miła, a w głębi duszy jest sadystką. Ktoś już to pani mówił?

Lekarka nie zareagowała na jego zaczepkę. Odwiesiła kartę pacjenta na łóżko, po czym skierowała się do drzwi. Kiedy wyszła, uderzył dłonią w kołdrę. Nie był w stanie dłużej znosić widoku białych ścian i zapachu wybielacza, a stukanie drewniaków o posadzkę doprowadzało go do szału.

Do tego nie dawała mu spokoju świadomość, że Larysa zabrała tabletki. Jeśli zamierzała pójść z nimi do Hallera, była zwyczajnie głupia. Bruno zostawił jej kilka wiadomości na poczcie głosowej, ale żadna nie doczekała się odpowiedzi. A to mogło oznaczać tylko jedno – kłopoty.

Kiedy usłyszał pukanie do drzwi, miał ochotę schować się pod

kołdrę, ale po chwili do pokoju zajrzał Bartek z laptopem w torbie.

– Przywożłem ci komputer. Podobno mają tu dobre Wi-Fi, więc chociaż sobie pooglądasz seriale. A! – Uniósł do góry palec. – I dla jasności: nadal cię nie lubię. Po prostu uznałem, że dobrze mieć wtyki w policji.

– To urocze. Chętnie bym z tobą podyskutował, ale innym razem, bo teraz mam w planach ucieczkę z tego Alcatraz.

– Mam się usunąć, żebyś mógł w spokoju kopać tunel? A może skoczyć do OBI po kilof?

– Masz przyprowadzić wózek i niepostrzeżenie wywieźć mnie na parking.

Uśmiech na ustach Bartka stopniał, a jego twarz przybrała sceptyczny wyraz.

– Chyba oszalałeś. – Popukał się w głowę. – Złapią nas, zanim dotrzemy do windy. Nie mam zamiaru się narażać.

– A jeśli ci powiem, że wiem, gdzie jest i co planuje Larysa?

Bartek przekrzywił głowę. Widać było, że się waha. Drapał się za uchem, a jego umysł zapewne rozważał wszystkie dostępne możliwości i ich konsekwencje. Po chwili bez słowa wyszedł z pokoju i wrócił dopiero po dobrym kwadransie. Ubrany w biały kitel, ze stetoskopem przewieszonym przez szyję i składanym wózkiem inwalidzkim wyglądał nader profesjonalnie. Na jego widok Bruno otworzył szeroko oczy i pokiwał głową z uznaniem.

– No, no, cicha woda – rzucił z uśmiechem.

– Zamknij się. – Widać było, że chłopakowi trzęsą się ręce. – Wsiadaj, zanim się rozmyślę.

Bruno podniósł się z łóżka i powoli dotoczył do wózka. Po drodze kilka razy zapewniał Bartka, że nic mu nie jest. Nie przyznał się, że kręci mu się w głowie i że najchętniej zrobiłby przystanek w toalecie, żeby zwymiotować. Nie zdradził też, że przy każdym wdechu czuje ból z powodu złamanych żeber i robi mu się ciemno przed oczami.

Ale przede wszystkim nie uprzedził swojego kierowcy, że jadąc po Larysę, po drodze wezmą z domu broń.



Robert Haller uniósł do ust kryształową szklanę z burbonem. Sącył go małymi łykami. Nie spieszył się. Był pewien, że ma przewagę. Delektował się smakiem booker'sa i strachem dziewczyny, na którą patrzył.

Tymczasem Larysa obserwowała, jak jego jabłko Adama porusza się w trakcie picia, a język zbiera z ust krople alkoholu. Mimo upływającego czasu nie ruszyła się z fotela nawet o milimetr. Jej wzrok lustrował pomieszczenie. Prześlizgiwał się po odłamkach szkła z rozbitej szklanki leżących na podłodze, po sznurach od zasłon, pasku szlafroka i zamkach okiennych. Biblioteka nie stwarzała wielu możliwości, ale fakt, że była usytuowana na pierwszym piętrze, dawał nadzieję, że ewentualna ucieczka przez okno okaże się możliwa.

Był jeszcze jeden powód, dla którego Larysa nie rzuciła się do niego od razu. Szklanka, którą Haller uderzył o ścianę, była wypełniona czystym alkoholem. To w tej, którą wyrwał jej z rąk, i z której teraz z takim namaszczeniem pił, znajdowały się rozpuszczone leki. Lara zamieniła naczynia, zakładając, że biznesmen coś podejrzewa. Nie chciała jednak myśleć, co by się stało, gdyby się pomyliła. Nikt nie wiedział, gdzie jest, a w domu nie było żadnych potencjalnych świadków. Co więcej, psy coraz bardziej napierały na drzwi.

Mężczyzna podniósł do góry szklanę, w której został ostatni łyk. Jego oczy stawały się mętne, ale nadal był w pełni przytomny.

– Twoje zdrowie. – Z jego gardła wydobył się obrzydliwy rechot, a później Haller połknął ostatnią porcję alkoholu i otarł usta palcami. – Sfrustrowana dziennikarka włamuje się do domu inwestora i ginie rozszarpana przez psy. Smutna historia – dodał i podniósł się, by otworzyć zwierzętom drzwi.

Larysa zamarła. Wydawało się jej, że obserwuje ruchy Hallera w zwolnionym tempie. Widziała, jak ociera dłonią krople potu z czoła, robi pierwszy krok, później drugi, chwiejąc się lekko, aż wreszcie zatacza się na tyle mocno, że musi przytrzymać się ściany. Czuła w uszach szum tłoczonych krwi, a wszystkie kontury zdawały się jej rozmywać.

Podbiegła do mężczyzny i mocnym kopnięciem pod kolano powaliła go na ziemię. Był osłabiony, usiłował wstać, ale leki zmieszane z silnym alkoholem otumaniały jego umysł. Widziała, że porusza ustami, krzyczy, ale oszołomiona nagłym wyrzutem adrenaliny, nie

była w stanie usłyszeć żadnych dźwięków. Działała instynktownie, wskoczyła na niego i ścisnęła mu dwa punkty za uszami.

Miała w pamięci idiotyczną zabawę z podstawówki: w ten sposób pozbawiali przytomności kolegów z klasy. Nienawidziła jej, a za każdym razem, gdy policzkowali nieprzytomnego dzieciaka, umierała ze strachu, że ten nigdy się nie obudzi.

Ale teraz nie miała wyjścia.

Haller szarpnął tułowiem, ale nim zdążył ją zrzucić, zemdłał. Larysa zerknęła na drgającą klamkę i wyciągnęła pasek ze szlafroka mężczyzny. Przekręciła go na bok, a później związała jego ręce i stopy razem tak, że leżał wygięty w łuk, jakby robił skomplikowaną figurę gimnastyczną, po czym mocno uderzyła go w twarz.

Gdy pierwszy policzek nie przyniósł efektu, poprawiła uderzenie, a wtedy Haller otworzył mętne oczy.

– Kurwa! – wrzasnął. Usiłował się przekręcić, ale osłabienie i więzy uniemożliwiały mu jakiegokolwiek gwałtowne ruchy. – Bierz! Bierz! – nawoływał bestie, które ujadają wściekle po drugiej stronie drzwi.

Szkarłatny szlafrok odsłaniał teraz nagi brzuch i jedwabne szorty do spania. Lara chwyciła do ręki szkło z rozbitej szklanki. Przyłożyła je ostrzem do jego brzucha i ścisnęła mocno w dłoni, by nie było widać, jak bardzo jest przerażona.

– Kim jest Jakub Andrzejewski!? To ty!?

– Nie. Nie mam pojęcia, kim on jest.

– To dlaczego ukradłeś jego akta z sądu?

– Nie zrobiłem tego. Nie było ich tam.

– Łżesz. Zabiłeś Ninę z zimną krwią. Czemu, do cholery, dałeś mi to nazwisko na kartce? Chciałeś mnie zmylić? Zaoszczędzić czas?

– Wypchaj się. – Splunął na nią. – Nie tknąłbym jej.

Larysa docisnęła szkło do jego brzucha na tyle mocno, że przebiło wierzchnią warstwę skóry, na której pojawiły się pierwsze krople krwi.

– Nie wierzę ci. Nie każ mi się posuwać dalej. Muszę wiedzieć: czemu Andrzejewski? Kim on jest?

– Nie wiem! Głupia suko, nie rozumiesz? On mi kazał to zrobić. Miałem dać ci kopertę i odzyskać spokój. Ale to się nigdy nie kończy. „Gdy nie ma publiczności, nic nie jest prawdziwe”, powiedział. To jakiś pierdolony psychol.

– Co się nigdy nie kończy? O kim mówisz? Co on na ciebie miał?

Haller uśmiechnął się, ale nie dlatego, że spodobały mu się pytania Larysy, tylko dlatego, że drzwi ustąpiły i psy wbiegły do środka.

Larysa poderwała się z miejsca, ruszyła w stronę okna, ale gdy szarpnęła za klamkę, okazało się, że jest zablokowane. Psy były tuż obok, toczyły pianę z pysków i warczały. Złapała drewniany stolik i uderzyła nim tak mocno, że szyba rozprysła się na kawałki. Kiedy skakała, nie czuła niczego. Ani zębów, które zdążyły drasnąć jej łydkę, ani odłamków szkła, które kaleczyły jej ciało.

Miała wrażenie, że Haller krzyknął do niej: „Stój!”, ale niczego nie była już pewna.

Wydawało się jej, że frunie, unosi się miękko w powietrzu i odpływa w nicość.

Ale zanim dotknęła ziemi, usłyszała coś, co przypominało wystrzał.



Kiedy Bruno kazał zaparkować Bartkowi pod bramą rezydencji Roberta Hallera, a potem wyjął broń i ją przeładował, chłopak wytrzeszczył oczy.

– Pojechało cię? Zamierzasz wparować do kogoś do domu z nabitym gnatem? Spadamy stąd. – Zaczął zawracać, ale Bruno złapał za kierownicę.

– Stój. Zamierzam uratować dupę twojej siostry.

– Niby jak? Myślisz, że nie widzę, w jakim jesteś stanie? Człowieku, powinienem cię odwieźć do szpitala, zanim wykorkujesz.

– Nie panikuj, młody. Taki z ciebie kozak, a trzęsiesz się jak osika. – Bruno wyszedł nieporadnie z samochodu. – Cokolwiek by się działo, nie wsiadaj z auta i nie gaś silnika. Zaraz wracam.

Policjant nasłuchiwał, ale poza ujadaniem psów nie był w stanie wychwycić żadnych dźwięków. W drodze do bramy czujnie rozglądał się wokół, wszystko jednak wyglądało normalnie.

Czy to możliwe, że się pomylił?

Wyciągnął dłoń, by nacisnąć przycisk domofonu, ale w momencie, gdy położył na nim palec, usłyszał dźwięk tłuczonego szkła. Chwilę później zobaczył wyskakującą przez okno postać, która gruchnęła o ziemię jak worek ziemniaków. Natychmiast nacisnął domofon, ale

nikt nie reagował na dzwonek.

– Haller, otwieraj! – wrzasnęła, a gdy to nie poskutkowało, strzelił kilka razy w zamek furtki i wszedł do środka. – Lara! – Trzymając się jedną ręką za żebra, nieporadnie biegł w stronę postaci na trawniku.

Kiedy znalazł się tuż obok niej, nie mógł dokładnie oszacować, w jakim jest stanie. Wokół było ciemno, a on sam walczył z coraz silniejszymi zawrotami głowy. Zauważył jedynie, że dziewczyna ma zakrwawioną łydkę i dłoń.

– Nic mi nie jest – powiedziała słabym głosem.

– Właśnie widzę. Nie ruszaj się.

Schował pistolet za pasek spodni i wziął ją na ręce. Zdawał sobie sprawę, że to fatalny pomysł, biorąc pod uwagę jego stan, ale założył, że jeśli mocno zaciśnie zęby i będzie szedł wystarczająco szybko, to w kilka minut uda mu się dotrzeć do auta.

Mylił się. Ból w klatce piersiowej przybrał na sile, a on zachwiał się i niemal upadł, ale w ostatniej chwili wyrósł obok niego Bartek, który podtrzymał Larysę.

– Mówiłem ci, żebyś nie wychodził z samochodu.

– Jakoś nie dosłyszałem. – Bartek chwycił siostrę pod ramię i zaniósł ją do Citroëna.

Kiedy sadzał ją na tylnym siedzeniu, uśmiechnęła się blado, po czym ścisnęła go lekko za ramię.

– Dziękuję – powiedziała, a jej brat puścił do niej oko i wsiadł za kierownicę.

Jechali w ciszy.

Bruno zaciskał szczęki z wściekłości. Był zły z powodu swojej chwili niemocy. Zachował się jak amator i nie tłumaczyły go jego obrażenia. Nie mógł sobie darować tego, że taki szczył okazał więcej męskości niż on. Racjonalnie potrafił sobie wytłumaczyć, że powinien być chłopakowi wdzięczny, ale jego ego nie przyjmowało tych argumentów.

I wtedy w pełni dotarło do niego, że nie chodziło o Bartka. Chciał być kimś w oczach Larisy. Zasłużyć na jej zaufanie i podejść bliżej. Poznać ją naprawdę, opuścić gardę i przestać wreszcie bronić się przed światem. Cholernie naiwne, pomyślał chwilę przed tym, zanim zamknął oczy i zasnął niespokojnym snem.

Śniło mu się, że znów jest małym chłopcem, podchodzi do wanny wypełnionej po brzegi krwią. Nachyla się nad nią i widzi, że pod

powierzchnią jest jakaś postać. Wyciąga w jej stronę małą, dziecięcą rączkę, a gdy odgarnia wodę, nie widzi twarzy matki, tylko twarz Larysy.



Po kłótni Jacek wybiegł z kuchni, wsiadł w samochód i odjechał.

Na razie nie podnosiła się z podłogi. Wbrew temu, czego się obawiała, po wyznaniu prawdy czuła ulgę. Po raz pierwszy w życiu nie miała przed mężem żadnych sekretów. To nowe doznanie było jak powiew świeżego powietrza. Wprawdzie wiedziała, że między nimi już nigdy nie będzie jak dawniej, ale dużo ważniejsze było dla niej to, że nie miała już w sobie sekretu, który zabijał ją od środka.

Zastanawiała się, czy Jacek jej nie zostawi, ale po namyśle stwierdziła, że i tak od lat żyli osobno. Dzielili jedynie dom i łóżko w te nieliczne wieczory, gdy nocował w domu. Tłumaczyła sobie, że miłość między nimi wypaliła się już dawno temu, a zastąpiło ją uczucie do dzieci. Będziemy jak wiele rodzin, tłumaczyła sobie, fasadowi, obcy i milczący. Nie podejrzewała, by po tym wszystkim miał odwagę zgłosić sprawę na policję, ale wiedziała, że zawsze już będzie zachowywał chłodny dystans.

Nawet ich pies, Drops, tego wieczoru omijał ją szerokim łukiem. Stał przy zlewie, patrząc spode łba.

– Pewnie jesteś głodny, co?

Wstała i nasypała mu do miski psich chrupek. Położyła spać synów, a później wzięła długi prysznic, wtarła w skórę brzoskwiniowy balsam i zasnęła we własnym łóżku.

Obudził ją hałas w pokoju dziecięcym. Zapaliła nocną lampkę, powoli uniosła kołdrę i na palcach wysunęła się na korytarz. Drzwi pokoju chłopców były uchylone, a ze środka wydobywała się łuna światła.

Słyszała dźwięk pozytywki wygrywającej dziecięcą kołysankę. Po chwili wychwyciła bardzo cichy głos. Przypominał głos jej męża, choć był słaby i rwał się niczym porysowana płyta gramofonowa. „Mrugaj, mrugaj, gwiazdka ma. Cudna jest uroda twa”.

– Jacek? – popchnęła drzwi.

Siedział na podłodze otoczony zabawkami synów. Bezbronny

i smutny. Do piersi przyciskał poduszkę Jasia w kształcie rakiety kosmicznej. Na jego policzkach dostrzegła ślady po łzach.

– Dlaczego mi to zrobiłaś?

Podeszła bliżej i przykucnęła obok niego.

– Nie planowałam tego. Tak się po prostu stało.

– Nie musiałaś mi mówić. Kochałem ich jak własne dzieci.

– Dla nich jesteś jedynym ojcem, jakiego znają. On ich nie chciał. Rozstaliśmy się, zanim się dowiedział, że jestem w ciąży.

– Kochałaś go?

– Nie. – Położyła mu dłoń na policzku.

A wtedy on złapał ją za rękę i wykręcił ją do tyłu tak, że usłyszała trzask w barku.

– Kłamiesz, suko!

Przyciskał mocniej, a ona miała wrażenie, że za chwilę zemdleje z bólu.

– Wyrwałeś mi obojczyk, do cholery! Puść mnie!

Kątem oka dostrzegła, że drugą ręką chwyta metalowy wóz strażacki Frania. Ten sam, o który potknęła się na schodach. Nim zdążyła zareagować, zabawka z hukiem uderzyła ją w głowę. A później drugi raz i kolejny. Usiłowała się wyrwać, ale trzymał ją za wywichnięte ramię, a kolanami ścisnął jej nogi. Poczowała dziwne ciepło spływające na czoło i brwi. Gęsta, kleista krew sączyła się już po nosie i policzku.

– Jacek, przestań! Zabijesz mnie! – krzyczała.

A wtedy on zadał ostatni, zdecydowany cios.

Zaczęła wrzeszczeć i nagle zdała sobie sprawę, że jest we własnym łóżku. Jej koszula nocna była mokra od potu.

To był tylko sen, usiłowała się uspokoić.

Mimo to w ustach nadal czuła smak krwi. Był tak realny, jakby to wszystko wydarzyło się naprawdę. Zapaliła lampkę i dostrzegła na pościeli oraz na swoim ubraniu świeże, bordowe plamy krwi.

– Boże – wyszeptała.

Wymacała miejsce na głowie, ale nie było tam żadnej rany. Wtedy poczuła ciepłą wilgoć pod nosem. Sięgnęła do niego, a jej palce pokryły się krwią. Natychmiast ruszyła do łazienki. Podpierając się na kuli, odkręciła kurek i spojrzała w lustro. Jacka nadal nie było w domu, a to był tylko krwotok z nosa.

A jednak sen obudził w niej nowy lęk.



Kiedy się obudziła, miała opatrunek na dłoni i plaster na łydce.

Czuła się potwornie zmęczona i głodna. Ostatkiem sił zwlekła się z łóżka, a gdy wyczuła dywan pod stopami, dotarło do niej, że nie jest u siebie. W pokoju w oczy rzucały się ogromne łóżko, jego skórzany zagłówek i drogi sprzęt grający, obok którego stały rzędy płyt. Przesuwała w palcach plastikowe opakowania, a z każdym kolejnym była coraz bardziej zdziwiona. Miles Davis, Diana Krall, Leszek Możdżer. Repertuar dla ludzi szukających sensu życia i zatopionych po uszy w błękicie, czyli poetycko określonej depresji.

Bruno, pomyślała.

W przebłyskach świadomości przypomniwała sobie, jak pojawił się pod rezydencją Hallera i wziął ją na ręce. Pewnie gdyby miała więcej siły, wrywałaby się mu, ale adrenalina już zeszała, a ona w stanie wycieńczenia zamiast uciekać, położyła mu głowę na ramieniu i zasnęła. Resztę spowijała gęsta mgła, z której wyłaniały się jedynie strzępki obrazów.

Bartek puszczający do niej oko, Suchar z kamienną twarzą przemywający jej rany i mdlejący Bruno.

Przetarła dłonią zaspane oczy i na palcach przekradła się do kuchni połączonej z salonem. Na kanapie w embrionalnej pozycji spał Wilczyński. Koc, którym był przykryty, zsunął się, odsłaniając jego ciało; był w samych slipach.

Larysa patrzyła na niego przez chwilę, a potem skręciła w stronę lodówki. W środku znalazła pół starej pizzy i karton mleka, dzięki czemu poczuła się choć trochę jak w domu. Łapczywie ugasiła pragnienie, a później, siedząc na blacie kuchennym w świetle księżyca, pochłonęła trzy kawałki pizzy.

Nadal miała na sobie te same majtki i bokserkę, które kleiły się do jej ciała, przesiąknięte potem i brudem. Nagle poczuła nieodpartą potrzebę zmycia z siebie tego wieczoru. Odszukała łazienkę, a gdy zdjęła ubranie i opatrunki, weszła pod prysznic.

Dopiero teraz, w słabym świetle ledowych lampek, mogła zobaczyć,

jak wygląda, i oszacować straty. Na szczęście poza dłonią, którą skaleczyła sobie, ściskając szkło, i łydką, którą – co oceniła po kształcie rany – drasnął pies, miała tylko liczne zadrapania i drobne otarcia w różnych miejscach. To właśnie one przy spotkaniu z gorącą wodą zaczęły potwornie piec, ale Larysa nie przerywała kąpieli. Stała pod gorącym strumieniem i zaciskała pięści z bólu.

W którymś momencie zorientowała się, że zachowuje się jak szczur w kołowrotku. Cały czas biegnie, choć wie, że nie musi. Zakręciła wodę, usiadła w brodziku i rozplakała się. Zalała ją fala uczuć, których tak długo nie dopuszczała do siebie, a wśród nich potworny strach o swoje życie i o to, że mogła odebrać życie komuś innemu. Nie chciała tego. Nigdy nie planowała morderstwa, a jednocześnie przerażała ją świadomość, że byłaby do tego zdolna. Czuła to wtedy, gdy przyciskała szkło do brzucha Hallera.

Właściwie była na to gotowa od dnia, w którym jej ojciec wrócił do domu pijany ze skrzynką wódki pod pachą i powiedział: „Już załatwione”. Zamiast zawalczyć o sprawiedliwość i godność zhańbionej córki, dogadał się z ojcem gwałciciela w imię świętego spokoju i paru groszy. W tamtej chwili przestała się łudzić, że ktokolwiek może ją uratować. To wtedy postanowiła, że nie zawaha się przed niczym, jeśli będzie musiała chronić siebie.

Spuściła głowę i przycisnęła mocniej kolana do piersi. Nie zauważyła, kiedy do łazienki wszedł Bruno, ale ze spokojem przyjęła jego obecność. Widziała, jak zdejmuje z wieszaka ręcznik, a później podchodzi z nim do niej, otula jej zmarznięte ciało i niesie ją do sypialni. Obserwowała tę scenę jakby z boku, zdumiona jej surrealizmem. Bruno zabandażował jej dłoń i przykleił plaster na łydkę. Robił to w skupieniu i ciszy, a ona nie mogła się nadziwić, jak bardzo inny potrafi być, gdy nie zasłania się cynizmem. Po raz pierwszy patrzyła na niego jak na zjawisko, które ją fascynowało.

Tym bardziej że gdy przykrył jej nagie ciało kołdrą, podniósł się i skierował do wyjścia.

– Zostań – powiedziała, w jej głosie były pewność i zdecydowanie.

Bruno stał nadal odwrócony tyłem, widziała, jak porusza palcami dłoni, a później powoli i jakby nieśmiało kładzie się na kołdrze obok niej.

– Śniło mi się, że znalazłem cię martwą w wannie pełnej krwi, tak jak

moją matkę – rzucił nagle, patrząc w sufit. – Miałaś otwarte oczy i patrzyłaś na mnie z wyrzutem. Jakby to była moja wina. – Zamilkł i westchnął ciężko.

Larysa podniosła się na ramieniu, by móc spojrzeć mu w oczy. Znalazła w nich smutek tak głęboki, że poczuła się nim zakłopotana. Nagle jego akty autoagresji i prowokacje stały się dla niej zrozumiałe.

– Kiedy byłam u Hallera, nie miałam pewności, czego chcę bardziej. Zabić go czy tego, żeby to on zabił mnie i skończył wszystko. Byłam gotowa na każde z tych wyjść.

– A jednak instynkt przetrwania kazał ci skakać.

– Tak jak tobie. Z dnia w dzień – zaryzykowała niepewna, czy ją zrozumie i czy jest gotowy, by przyznać się do tak intymnej tajemnicy, jaką jest nieustanne pragnienie śmierci odpychane przebłyskami wiary w to, że ból kiedyś stopnieje.

Bruno popatrzył na nią, a później, jakby to było najbardziej naturalną rzeczą na świecie, zaczął opowiadać.

– Miałem osiem lat, kiedy ją znalazłem – zaczął, po czym zaprosił Larysę do świata, do którego dotychczas wstęp miał jedynie Daniel, choć i on nie zaglądał do zakamarków, które Wilczyński odsłonił dopiero teraz.

Słuchała, gdy mówił o liściku, o tym, jak znienawidził ojca, jak podczas szarpaniny złamał rękę i odkrył, że ból może leczyć. O braku miłości albo lęku przed jej okazywaniem, którym przesiąknięte było jego dzieciństwo. O pięknej, dobrej kobiecie, która nie potrafiła być szczęśliwa, bo nie mogła uratować jednego małego chłopca.

Tembr jego głosu działał na Larysę kojąco. Zamknęła oczy i powoli odpływała do świata snów, w którym czekali na nią rodzice sprzed lat. Z czasów, gdy miała jakieś pięć lat, a oni byli z niej dumni tak bardzo, że z miłości błyszczały im oczy. W sennych wizjach podróżowała do chwil, w których widać było tylko szczęście.

Wydawało się jej, że ostatkiem świadomości słyszy słowa Brunona i że jest w nich coś ważnego, ale była już na tyle daleko, że nie zdołała ich uchwycić.



– W nocy zrozumiałem, czemu prowadzisz pustelniczy tryb życia. – Bruno siedział przy kuchennym stole, przeżuając jajka z bekonem. – Kto, u licha, chciałby się przyjaźnić z kimś, kto zasypia, gdy ta druga osoba się przed nim otwiera? Od tej pory będę otwierał przed tobą tylko lodówkę. Jest tam, częstuj się. – Wskazał głową w stronę sprzętu. – A, no tak! Przecież doskonale wiesz, gdzie jest. Wypiłaś mi całe mleko.

Larysa z laptopem pod pachą przetała zaspane jeszcze oczy i usiadła naprzeciwko Wilczyńskiego, bez krępacji częstując się jego bekonem.

– Świetnie. Może jeszcze mam ci zaparzyć kawę? – ironizował.

– Mógłbyś. Muszę odzyskać sprawność umysłu. I połączyć porozrzucone elementy w jeden obrazek, zanim zgubię to, co mi umyka. – Postawiła na stole komputer i zaczęła klikać.

Bruno zamknął pokrywę maca.

– Na razie umyka ci coś, co w kręgach, z których pochodzę, nazywa się „kulturą osobistą”.

Larysa parsknęła śmiechem.

– Chyba naczytałeś się książek w stylu *Trudne wyrazy, które podkreślą moją inteligencję*. Nagle przypomniałeś sobie o kulturze? Ty? Facet, którego głównym postulatem jest obowiązkowe przestrzeganie dnia bez biustonosza?

– Skoro mowa o dniu bez biustonosza, to wczoraj...

– Zamknij się! – Pokręciła głową, wzięła komputer, a później zgarnęła jego kawę i przesiadła się na kanapę.

Wiedziała, że ich rozmowa jest grą. Inscenizacją, która pozwala obojgu zachować dystans wobec wczorajszych wydarzeń. Zrobić krok w tył po tym, jak podeszli do siebie zbyt blisko. Nie miała mu tego za złe. Potrzebowała tego równie mocno jak on.

Poza tym naprawdę wydawało się jej, że pominęła coś ważnego. Bruno obserwował z kuchni jej skupioną minę, widział, jak marszczy nos i jak szybko jej palce wędrują po klawiaturze. Co chwilę zerkała do papierowego notatnika, a później opierała głowę na dłoni i rytmicznie uderzała końcówką długopisu w nogę.

Była tak pochłonięta, że nie widziała, kiedy na ścianie naprzeciwko niej Bruno powiesił kilka easyflipów, folii, które dzięki ładunkowi elektrostatycznemu przyklejały się do ściany i idealnie nadawały się do robienia notatek. Napisał na nich kilka haseł, a później odchrząknął

znacząco.

– Skoro oboje równie mocno lubimy Hallera, a do tego dzielimy się kawą, pomyślałem, że możemy się podzielić również informacjami. Wchodzisz w to? – Wymachiwał flamastrem, który trzymał w dłoni, a gdy kiwnęła głową, kontynuował prezentację: – Tu zapisałem wszystko, co dotyczy śmierci Niny. – Widział, jak Larysa przesuwając wzrokiem po słowach: „Samobójstwo?”, „Uczulenie”, „Sterylność”, „Niewidzialny gość”, „Alicja”.

– Nie rozumiem dwóch ostatnich. – Bez zbędnych pytań dołączyła do rozwiązywania zagadki.

– Według sąsiada ktoś kąpał się w jej mieszkaniu, gdy rzekomo nikogo nie było w środku, ale technik nie znalazł po nim śladu. Jakby był duchem. – Przewrócił oczami. – A Alicja to imię mojej matki. Ktoś napisał je na lustrze w mieszkaniu Niny. Teraz pozostaje pytanie kto. Kandydat numer jeden: Miłosz Bączek. – Robił zawzięcie notatki na ścianie. – Sąsiad, stalker, odrzucony dziwak, ale według mnie za głupi na taką precyzję. – Bruno skreślił jego imię.

– Może gra?

Bruno uniósł jedną brew i skrzywił się, następnie raz jeszcze przekreślił imię Bączka.

– Kandydat numer dwa: Robert Haller, znany również jako sponsor. Motyw oczywisty, pytanie tylko: jak? I dlaczego nawiązywał do śmierci mojej matki? – Postawił przy nazwisku biznesmena trzy znaki zapytania.

– To nie on.

– Skąd wiesz? A! Pewnie powiedział ci wczoraj, jak wpadłaś do niego na kawę. To było, zanim go napadłaś czy później? Bo wiesz, to ma pewne znaczenie dla wiarygodności jego słów.

– To skomplikowane.

– Mam czas. Jestem rekonwalescentem na zwolnieniu. – Postawił sobie krzesło naprzeciwko Larysy oparciem do przodu i usiadł na nim. – Dawaj, masz unikalną okazję doświadczyć rozmowy, w której naprawdę będę cię słuchał.

Westchnęła ciężko i obróciła głowę w stronę okna.

– Myślę, że Haller mnie oszczędził. Kiedy wyskakiwałam przez okno, krzyknął: „Stój!”. Najpierw myślałam, że wołał do mnie, ale później zrozumiałam, że to była komenda odwołująca psy. Gdyby tego nie

zrobił, wyskoczyłyby za mną przez okno. Zwierzęta szkolone do zabijania nie zatrzymają się przed niczym, dopóki nie usłyszą komendy odwołującej atak.

– To wielce szlachetne z jego strony.

Larysa zignorowała uwagę Wilczyńskiego i opisała mu, jak rozpoczęła się jej znajomość z Hallerem. Gdy zaczęła mówić, nie patrzyła na Brunona, nie chciała widzieć emocji na jego twarzy. Nie pomijając żadnych detali, opowiedziała, jak Nina Zaniewska pomogła jej zaaranżować spotkanie ze sponsorem i jak udając dziewczynę do wynajęcia, znalazła się w hotelu Intercontinental. Kiedy mówiła o tym, co zaszło w pokoju, ścisnęła w dłoniach długopis, po czym gładko przeszła do kartki z imieniem i nazwiskiem Jakuba Andrzejewskiego i wszystkiego, czego dowiedziała się na jego temat. Od researchu w internecie i archiwach gazety, przez wizytę w Choroszczy, aż po rozmowę z Magdaleną Andrzejewską.

Gdy wspominała o lekturze raportów z samobójstw rodzeństwa Jakuba, przerwała na chwilę.

– Jak nazywał się technik kryminalistyki, który badał przypadek Niny? – dopytała, gdy przypomniało jej się, że to właśnie jego nazwisko powtarzało się w dokumentach.

– Daniel Sikora.

– To ciekawe. Nie zastanawia cię to, że ta sama osoba badała dwie sprawy samobójstw wśród rodzeństwa Andrzejewskich? Z tego jedną poza swoim regionem?

– Daj spokój, to emeryt. – Bruno machnął ręką. – Kilka dni temu skończył służbę. Poza tym znamy się od lat. Był przyjacielem rodziny. To on nauczył mnie wszystkiego, co wiem o policyjnej robocie. Jest dla mnie jak ojciec. Nie traćmy czasu.

Kiwnęła głową, po czym opowiedziała o wykasowanym artykule i lekach nasennych w mleku. Swoją historię skończyła dokładną relacją z wizyty w rezydencji Hallera.

– Żeby było jasne – wyjaśniła – uważam, że Robert Haller to obrzydliwy typ i w swoim czasie dobiore mu się do tyłka, ale nie łączyłabym go z morderstwem.

Nagle zerwała się i sięgnęła po laptopa. Bruno, który już od jakiegoś czasu stał przy ścianie i zapisywał co ciekawsze fragmenty, ściągnął brwi.

– Gdybyś chciała poznać moje błyskotliwe obserwacje, napisz petycję. Odpowiem za dwa lata – rzucił kąśliwie.

Larysa nie słuchała go. Odpaliła Skype'a i nerwowo uderzała w klawiaturę, co chwilę rzucając przekleństwo.

– Jeśli ci przeszkadzam, powiedz. Pójdę do drugiego pokoju poszydełkować albo porobić na drutach. Zwykle tak się zachowuję, gdy moi goście okazują mi znużenie moją osobą.

– Nie rozumiesz. Haller wspomniał, że Andrzejewski powiedział mu: „Dopóki nie ma publiczności, nic nie jest prawdziwe”. Od początku wydawało mi się, że skądś znam te słowa, ale teraz już wiem.

– No brawo, Sherlocku. Wyobraź sobie, że ja też czytałem *Catując ul Jonathana Carrolla*.

Zrobiła zdziwioną minę, jakby przed chwilą przyznał się jej, że tańczy w balecie.

– Nie o to chodzi. Od dwóch lat rozmawiam przez Skype'a z facetem, który przedwczoraj powiedział dokładnie te same słowa, dodając, że dramaty lubią publiczność. A dziś jego konto już nie istnieje.

– Bardzo chciałbym cię wyśmiać, ale muszę to odłożyć na później, bo jestem ostatnią osobą, która wierzy w przypadki. Co wiesz o tym gościu ze Skype'a? Jak się nazywa? Jak wygląda? – Wpatrywał się w nią w skupieniu, a gdy przygryzła wargi i odwróciła głowę, zrozumiał, że nie wie o nim nic. – Później przyszło szybciej, niż się spodziewałem. – Zaśmiał się teatralnie. – To o czym, do diabła, rozmawialiście?

Larysa przewróciła znacząco oczami, a Bruno poczuł drobne ukłucie zazdrości. Wziął do ręki flamaster, by nie dostrzegła jego reakcji, i zapisał: „Jakub Andrzejewski Skype?”.

– Wychodzi na to, że być może szukamy tej samej osoby – zawyrokował. – Kogoś, kto potrafi być niewidzialny, lubi obserwować, ukrywać się tuż obok swoich ofiar i zakradać się do nich niepostrzeżenie. – Podkreślał pojedyncze słowa z jej wcześniejszej relacji, które zapisał na foliach. – Kieruje nim zemsta. – Zrobił strzałki w stronę rodzeństwa Andrzejewskich i Michała Andrzejewskiego. – Albo chęć ukarania. – Połączył imię Jakuba z historią Niny Zaniewskiej.

Larysa nagle ożywiła się bardziej.

– Muszę ci coś pokazać. Właściwie nie wiem, czemu dopiero teraz na to wpadłam. – Zaczęła klikać w komputerze. – Od jakiegoś czasu zajmuję się sprawą Anny Mielcarz. Profesor lingwistyki, piętnaście lat

temu wyskoczyła naga przez okno w środku nocy. Wbiegła pod nadjeżdżający samochód. Zginęła na miejscu. Uznali ją za wariatkę, ale ja znalazłam to. – Odwróciła komputer w stronę Wilczyńskiego. – Ktoś ją śledził. W pamiętniku napisała... – sięgnęła po notatki – „On patrzy. Przychodzi, gdy śpię, i patrzy. Wiem to”. „Był tutaj. Dotykał moich rzeczy. Nie zwariowałam” – przeczytała. – Podobne rzeczy mówił ojciec Andrzejewskiego o Jakubie. To wszystko się jakoś łączy. W każdej z tych historii mamy mężczyznę, który podchodzi blisko, jest niemal niewidzialny, a później zabija.

Bruno wziął od Larysy notatnik i czytał zapisane tam informacje. Nagle pomyślał o Emilii Lewickiej i jej obsesji na punkcie intruza w domu. Kogoś, kto ją obserwuje i straszy. Postanowił odwiedzić kobietę, gdy tylko skończą zbierać informacje.

– Co tu robi Igor Szymanowicz? – zapytał, wskazując jego podkreślone nazwisko z kilkoma znakami zapytania.

– To student Anny Mielcarz. Podobno miała z nim romans. Załatwiła mu pracę w Brukseli, ale nigdy tam nie dojechał. Chłopak zapadł się pod ziemię.

– Domyślam się, że moja wczorajsza historia cię zafascynowała, sądząc po tym, jak szybko zaczęłaś chrapać, ale mogłabyś przynajmniej udawać, że mnie słuchałaś. Igor Szymanowicz to chłopiec z domu dziecka, którego chciała zaadoptować moja matka.

– To ciekawe, bo Anna Mielcarz zaadoptowała kiedyś jakiegoś chłopca, ale niedługo potem go oddała.

Spojrzeli po sobie, a później długo milczeli. W ciszy każdy z nich analizował fakty.

– Myślisz o tym samym co ja? – przerwała ciszę Larysa. Wpatrywała się w Brunona z błyskiem w oku.

– Jeśli nie masz na myśli seksu, to nie. – Uśmiechnął się – Ale rozumiem, że chcesz mi powiedzieć, że Igor Szymanowicz to potencjalnie Jakub Andrzejewski. Człowiek, którego nie było, a zarazem niechciane dziecko z bidula, które zabiło, bo okłamała je kolejna osoba, której zaufało.

Bruno poczuł lodowate ukłucie w środku, bo nagle dotarło do niego, że to miało sens. Chłopiec mścił się na wszystkich, którzy go skrzywdzili, pozorując ich samobójstwa, a samemu pozostając w cieniu. Dziecko z domu Andrzejewskich, podobnie jak sprawca

morderstwa Alicji i Niny, potrafiło być niewidzialne, niemal od początku musiało się zachowywać tak, jakby go w ogóle nie było. A jeśli trafiło do domu dziecka, to po zmianie nazwiska mogło się stać Igiorem Szymanowiczem, którego później chciała zaadoptować Alicja, matka Brunona. Tyle że i ona ostatecznie odrzuciła chłopca, a wkrótce po tym zginęła, jakby spotkała ją za to kara.



Była na siebie zła.

Nadal nie mogła uwierzyć, jak dała się tak idiotycznie podejść i wciągnąć w internetowy romans z mężczyzną, o którym niczego nie wiedziała. Nie potrafiła zrozumieć, na jakiej podstawie pozwoliła sobie wmówić, że ich pierwszy kontakt był przypadkowy. Czuła rozlewający się po całym ciele wstyd.

Może dlatego, gdy znalazła się na bazarze Olimpia, reagowała agresywnie na każdą zaczepkę.

– Na piwko panienska się dorzuci? Złotówkę chociaż – zagadnął żul w znoszonym dresie z czterema paskami, a chwilę później wylądował na chodniku z twarzą przy ziemi i Larysą za plecami; boleśnie wykręcała jego rękę do tyłu. – Co jest? – Szarpał się. – Puszczaj!

– Następnym razem, zanim się do mnie odezwiesz, zapytaj o pozwolenie – wysyczała mu do ucha. – A jak chcesz mieć kasę, to idź do pracy, nierobie. – Odepchnęła go i poszła dalej.

Już po kilku krokach pożałowała swojego zachowania. Nie było w jej stylu. Zawsze uważała, że bicie słabszych, a co dopiero tych pokojowo nastawionych, jest godne pożałowania. Obiecała sobie, że gdy już znajdzie Nikodema Sztarka, wróci do bezdomnego i go przeprosi. Ale najpierw musiała porozmawiać z psychologiem.

Odwiedziła wcześniej jego gabinet, nie zastała go jednak. Dzwoniła też kilkakrotnie na komórkę, ale i tu nie miała wiele szczęścia, bo terapeuta nie odbierał. Wreszcie, gdy już zamierzała się poddać, przypomniało się jej, jak mówił o tym, że najlepsze miody kupuje na Olimpi.

Targ otwierał się tylko raz w tygodniu, postanowiła więc spróbować i dzięki tej decyzji znalazła się w miejscu, gdzie kupić można było

właściwie wszystko. Od dewocjonaliów, przez książki, antyki, owoce, aż po ubrania, sztukę i meble. Wśród licznych ogłoszeń namazanych flamastrem na kawałku tektury, o treści „wyprzedaż” albo „wielka promocja”, przechadzali się znawcy sztuki, studenci, matki z dziećmi w wózkach i starsze panie kupujące sukienki w okazyjnych cenach. W powietrzu unosił się zapach kurzu, potu i tanich perfum.

Larysa znalazła wreszcie stoisko z naturalnymi miodami, ale po Sztarku nie było ani śladu.

– Ktoś tu jeszcze poza panią sprzedaje miód? – zapytała handlarkę.

– Dzisiaj nie. – Kobieta w kwiciastej sukni wzięła się pod boki, po czym nachyliła się konspiracyjnie. – Ale u innych lepiej pani nie kupuje. Mieszają sztuczny miód z prawdziwym i sprzedają za tę samą cenę co prawdziwy. Kłamią w żywe oczy, mówię pani. Klient to się może i nie pozna, ale ja od razu widzę.

– A był może dziś u pani mężczyzna po sześćdziesiątce? Siwe włosy, okulary. Wysoki i raczej szczupły.

– Co najmniej dwudziestu takich! – zaśmiała się kobieta.

– Niech cię, Sztark! – rzuciła do siebie Larysa, odchodząc.

– Pan Nikodem? Jego pani szuka? – usłyszała wołanie sprzedawczyni. – W azjatyckim siedzi na sajgonkach. Przy targu zawsze jada tam obiad.

Larysa pobiegła w stronę mijanej wcześniej budki z chińskim jedzeniem i o dziwo rzeczywiście zastała tam dawnego terapeutę Anny Mielcarz. Jeszcze bardziej zaskakujące było to, że mężczyzna wyglądał, jakby spodziewał się ją tu spotkać. Uśmiechnął się serdecznie, a później przesunął, robiąc miejsce przy stoliku.

– Widzę, że nie próżnowałaś od naszego ostatniego spotkania. – Obrzucił wzrokiem jej liczne drobne rany. – Lubisz chińszczyznę czy może raczej gustujesz w antykach? – Uśmiechnął się i wepchnął do ust pół nadgryzionej sajgonki.

Zrozumiała, że powiedział jej o miodzie z Olimpii celowo. Chciał, żeby tu przyszła, jakby z góry zakładał, że po przeczytaniu notatnika będzie cierpiała na niedosyt informacji. Tyle że nadal był terapeutą, którego obowiązywała tajemnica zawodowa i nie mógł jej wyjawić treści sesji z Anną Mielcarz.

– To niewiarygodne, w jak dziwnych okolicznościach można się natknąć na ludzi, których spotkaliśmy już wcześniej – zaczął. –

Wyobraź sobie, miałem kiedyś, powiedzmy... – zrobił znaczącą pauzę – ...znajomą, która jako bardzo młoda kobieta adoptowała dziecko. Chłopca o potwornie trudnej historii. Była przekonana, że jej miłość go uleczy, ale okazało się, że się pomyliła. Bo choć dziecko odzyskało sprawność fizyczną i intelektualną, to cały czas ciągnął się za nim jakiś cień. Chłopiec zachowywał się dziwnie. Znikał, ukrywał się w zakamarkach, a przy tym nieustannie ją obserwował. Nawet w nocy, gdy spała.

– Czy on... – zaczęła, ale Nikodem Sztark jej przerwał.

– Podasz mi sos? – Wyciągnął rękę i wziął od Lary szklany dzbanek. – Widzisz, ta znajoma nie mogła tego znieść. Przez to dziecko rozwiodła się z mężem, a w końcu, trawiona wyrzutami sumienia, oddała chłopaka z powrotem do sierocińca. Jakież było jej zdziwienie, gdy wiele lat później spotkała go ponownie. Siedział w pierwszym rzędzie na jej wykładzie i nie spuszczał jej z oczu. Dokładnie tak jak wcześniej. Jakby się bał, że jeśli przestanie na nią patrzeć, ona znów go zostawi.

Larysa mrugała powiekami, usiłując ułożyć sobie wszystko, co usłyszała.

Nagle jasnym stało się dla niej, czemu Mielcarz pisała o Szymanowiczu: „Iguś, Igorek, Gorcio”. Jej słowa nie były wzdychaniem zakochanej kobiety, ale wyrazem bólu matki, która popełniła błąd. Kobiety, która oddała wzięte do adopcji dziecko i spotkała je po latach. Larysa przypomniała sobie zapiski: „Nie ma usprawiedliwienia dla czegoś takiego. Płakałam, a on tylko patrzył”. „Zrobię dla niego wszystko, jestem mu to winna”.

Postronni obserwatorzy wzięli ich bliską relację za romans, szukali drugiego dna w tym, że usiłowała załatwić mu pracę za granicą, i tym, że on nieustannie ją obserwował. Profesor Anna mu zaufała, a później niespodziewanie zginęła, uznana za chorą psychicznie.

Wprawdzie na terapię wysłał ją drugi mąż, który nie mógł wiedzieć, że problemy jego żony wynikają z tego, co zrobiła kiedyś, i że są bardziej realne, niż zakładał, ale to Jakub – czy też Igor, jak się nazywał, będąc już studentem – wykorzystał je, by móc ją bezkarnie zabić.

– Wiesz, gdzie go znajdę? – zapytała Sztarka, który nałożył już na głowę kapelusz i zbierał się do wyjścia.

– Jeśli go szukasz, to znaczy, że już go znalazłaś. – Pomachał jej,

stojąc w drzwiach.

Kiedy zniknął, przez chwilę rozważała jego słowa. Powoli zaczynała rozumieć, że Jakub cały czas ją prowadził, chciał, by go szukała, zależało mu na tym, by poznała jego historię i go dostrzegła. Potrzebował być widziany, bo przecież przez pierwsze pięć lat jego życia jego najbliżsi udawali, że nie istnieje.

Jak to jest być niewidzialnym chłopcem? Jakie to uczucie, gdy krzyczysz, a twój głos wpada w próżnię? Gdy wyciągasz małe dziecięce rączki, ale nikt ich nie chwyta? Nikt nie przytula i nie dotyka? Nikt nie koi bólu i nie dzieli radości?

Wiedziała, dlaczego ją wybrał. Tak samo jak on dogłębnie poznała, czym są krzywda i opuszczenie. Na pewnym poziomie byli do siebie podobni. Tylko ona mogła zrozumieć, że niekiedy emocjonalny ból jest tak bardzo trudny do zniesienia, że jesteś w stanie posunąć się do wszystkiego, by go zatrzymać. Znała chwile, w których wewnętrzny krzyk rozsadzał jej bębunki, a wtedy była gotowa pokruszyć świat na kawałki, by go zagłuszyć. Zatrzymać wrzask.

Patrzyła niemo w wytarte linoleum na podłodze, a później podniosła się z myślą, że są jeszcze rzeczy, które odróżniają ją od Jakuba. Jedną z nich była zdolność współodczuwania, która doprowadziła ją do miejsca, gdzie skupiali się bezdomni i lokalni pijaczkowie. Z grupki zgromadzonej przy śmietnikach wyłuskała tego, którego wcześniej zaatakowała. Na jej widok natychmiast uniósł ręce i cofnął się.

– Nie chcę kłopotów – wyjaśnił.

– Ja też nie.

– Na to chyba już za późno. – Uśmiechnął się, odsłaniając brak dolnej jedyńki, a jego wzrok powędrował w stronę czegoś, co działo się za jej plecami.

Larysa obróciła się przez ramię i zobaczyła Ireneusza – policjanta i nielegalnego kierowcę Ubera, któremu kiedyś spuściła niezły łomot. Stał wyprężony z gumową rurką w dłoni, a po jego prawej i lewej stronie szczyrzyły się dwa młokosy w dresach i adidasach.

– Zazwyczaj nie biję kobiet, ale dla ciebie zrobię wyjątek. – Dumnie zaprezentował złotą nakładkę na zęby i uderzył rurką w otwartą dłoń.

– Nie podejrzewałam cię o taką szarmanckość.

– Cały ja. – Rozłożył ręce i zarechotał, a towarzysze poszli w ślad za nim.

Wiedziała, że cierpliwość bandziorów zaraz się skończy i jeśli szybko czegoś nie wymyśli, zbierze takie cięgi, że wyląduje na OIOM-ie. Postanowiła użyć najgłupszego starego fortelu, który da jej kilka sekund zapasu.

– Kurwa! Rozjadą nas! – wrzasnęła i raptownie rzuciła się na ziemię z rękami na głowie, a gdy mężczyźni odruchowo obejrzelili się za siebie, skoczyła do ucieczki.

Nie była w najlepszej kondycji po ostatnich wyczynach, ale w przeciwieństwie do ścigających ją drabów miała jasny umysł, niezamroczony alkoholem i marihuaną. Wdrapała się na najbliższy kontener na śmieci, a z niego przeskoczyła na ogrodzenie. Po drugiej stronie znajdował się przystanek, na którym ludzie właśnie wsiadali do autobusu. Zdażyła zeskoczyć i wbiec do niego w ostatniej chwili, tuż przed tym, jak Ireneusz uderzył pałką w drzwi odjeżdżającego pojazdu.



Bruno zastukał energicznie w drzwi domu Daniela i jego żony, po czym wszedł do środka. Zastał Elwirę w korytarzu. Siedziała nad otwartą walizką, do której wkładała ubrania i buty. Na jego widok poderwała się do góry.

– Bruno? O matko! Co ci się stało? – Przyglądała się z przerażeniem jego poobijanej twarzy. – Nie spodziewałam się ciebie.

– Nic wielkiego, robota. Jest Daniel? Muszę z nim pogadać.

– Na górze, w sypialni. – Kiwnęła głową w stronę schodów. – Tylko nie gadajcie za długo, bo spóźnimy się na samolot.

– Dokąd lećcie?

– Nie powiedział ci? – Była wyraźnie zdziwiona. – Ach, takie tam wygłupy na starość. – Machnęła ręką. – Chcemy zobaczyć, czy nam się spodoba w Meksyku.

Bruno zaniemówił na chwilę, a gdy odzyskał rezon, z zakłopotaniem potarł czoło.

– Wyjeżdżacie na stałe?

– Nie wiemy, ale jeśli się tam odnajdziemy, to czemu nie? W Polsce nic nas nie trzyma. A tam przynajmniej jest ciepło i ludzie nie są tak spięci jak u nas.

Bruno kiwnął głową. Nie chciał jej mówić o tym, że Meksyk często nawiedzają huragany, a w okresie letnim prawie codziennie pada deszcz. Być może te informacje nie miały znaczenia w obliczu tego, o czym chciał porozmawiać z Danielem.

Pragnął się mylić, ale pytanie Larysy wzbudziło jego wątpliwości – na tyle, że gdy tylko skończyli rozmowę, zamiast do Emilii Lewickiej pojechał na komendę, by raz jeszcze przejrzeć nagrania z monitoringu. W myślach nieustannie odtwarzał wcześniejszą wymianę zdań z Larysą. „Nie ma ludzi idealnych, każdy w końcu popełni błąd. – Może już to zrobił, tylko nieuważnie patrzyłeś?”

Zastanawiał się, czy rzeczywiście nie dostrzegł tego, co było tak oczywiste. Obejrzał nagrania, a później włączył odtwarzanie ponownie, ale tym razem skupił się na Danielu. Śledził każdy jego ruch. Widział, jak technik wchodzi do środka w asyście pięciu policjantów. Obraz z kamer przy furtce, na dziedzińcu i przy wejściu do klatki zarejestrował dokładnie ich trasę. Kiedy wcześniej widział nagrania, koncentrował się na Ninie Zaniewskiej i ludziach pojawiających się w kadrze. Każdego z nich później przesłuchał i jeśli nie liczyć Miłosa Bączka, nie znalazł niczego godnego zainteresowania.

Teraz ponownie patrzył, jak w czasie, gdy policjanci znajdowali się w mieszkaniu Niny, jeden z techników asystujących wychodzi z bloku i idzie z próbkami do badania, by zawieźć je do laboratorium. Pamiętał, że za pierwszym razem wydało mu się to logiczne, w takich sytuacjach czas nie działa na korzyść śledczych, ale teraz ukłuła go pewna myśl. Przewinął film do końca i policzył policjantów wychodzących z budynku. Razem z Danielem było ich sześciu, a to niemożliwe, bo skoro ich kolega pojechał do laboratorium, powinno być ich o jednego mniej.

Wchodząc po schodach na piętro domu Daniela, Bruno podtrzymywał się poręczy. Dyszał ciężko, bo każdy głębszy oddech nadal sprawiał mu ból. Stopy wydawały się cięższe niż zwykle, jakby podeszwy jego butów wykonane były z ołowiu. Najchętniej zawróciłby, wszedł do auta i zapomniał o tym, co widział, ale wiedział, że to się nigdy nie stanie. Nagranie, obecność przyjaciela przy sprawach samobójstw rodzeństwa Andrzejewskich, a także jego matki i Niny Zaniewskiej – tego było zbyt wiele.

Kiedy znalazł się na górze, delikatnie uchylił skrzypiące drzwi do

sypialni. Daniel składał na łóżku swoje T-shirty i kolorowe spodenki.

– O! Wpadłeś pod ciężarówkę? – zapytał technik, ściskając dłoń przyjaciela.

– Coś w tym stylu. A dokładnie pod wściekłego Ukraińca.

Daniel syknął z przejęciem, a Bruno usiadł na rattanowym krześle obok łóżka. Patrzył na zmarszczki człowieka, którego znał od dzieciństwa, na jego łagodne brązowe oczy i spokojne ręce.

– Czemu nie powiedziałeś mi, że wyjeżdżacie?

– A co by to zmieniło? Przecież nie lubisz pożegnań. Zresztą nie wiadomo, co z tego wyjdzie, to pomysł Elwiry.

Wilczyński zastanawiał się, od czego zacząć, ale po tym, jak przećwiczył w myślach kilka wersji, żadna nie wydawała mu się dobra. A im bardziej zwlekał, tym trudniej było mu otworzyć usta.

– Nie mogę przestać myśleć o czymś, co powiedziałeś – zaczął niepewnie. – Kiedy widzieliśmy się ostatni raz w komendzie, wspomniałeś, że nie spotkałeś jeszcze zawodowca, który nie zostawiłby śladu, i że nie istnieje zbrodnia doskonała.

Daniel przerwał układanie ubrań i przyglądał się Wilczyńskiemu z ciekawością.

– Zgadza się z tobą i jednocześnie nie wierzę w teorię o samobójstwie Niny – kontynuował Bruno. – Dlatego zadałem sobie pytanie, co musiałyby się stać, by niedoskonała zbrodnia wyglądała na perfekcyjną. I wiesz, co wymyśliłem?

Technik usiadł na brzegu łóżka, zmrużył oczy i pokręcił głową.

– Ktoś musiałby pozacierać zostawione ślady. Ukryć je tak, by nawet najlepszy technik kryminalistyki ich nie znalazł. A kto mógłby to zrobić lepiej niż on sam?

Mężczyźni patrzyli na siebie w ciszy, która gęstniała z każdą sekundą.

– Powiesz coś?

– A co chciałbyś usłyszeć? – Głos Daniela przepełniała rezygnacja.

– Możesz zacząć od tego, kim jest człowiek w kombinezonie technika wychodzący z mieszkania Zaniewskiej.

Sikora wbił wzrok w okno i ciężko westchnął, a później zerknął na otwartą walizkę i ze smutkiem potarł dłonią czoło.

– Wiesz, kim jest – odparł cicho. – Dawno temu był Jakubem Andrzejewskim, a później, gdy sąd zmienił mu nazwisko, stał się

Igorem Szymanowiczem.

– A teraz?

Daniel przysiadł na brzegu łóżka i wpatrując się w swoje drżące dłonie, powiedział:

– Niczego nie zrozumiałeś, prawda? Chciałem cię przed tym chronić.

– Przestań pieprzyć! – Bruno zerwał się z krzesła, złapał Daniela za koszulkę i przygwoździł go do ściany. – Okłamywałeś mnie całe życie, udawałeś przyjaciela, a ja, kurwa, byłem tak głupi, że dałem się na to nabrać. Kogo kryjesz!? – wykrzyczał mu w twarz.

– Daniel? – usłyszeli głos Elwiry, która weszła na schody. – Wszystko w porządku?

– Tak, kochanie.

Przez chwilę obaj trwali w bezruchu, czekając, aż żona Sikory zejdzie na dół, po czym Bruno puścił przyjaciela i opadł z powrotem na krzesło. Zza paska wyjął pistolet, przeładował go i trzymał w dłoni z lufą skierowaną w ziemię.

– Zastrzelisz mnie?

– Powinienem, prawda? Rozmawiam z człowiekiem, który zabił moją matkę.

– Nigdy nie skrzywdziłbym Alicji. – Daniel osunął się na ziemię i schował twarz w dłoniach. – Błagałem ją, by nie mąciła mu w głowie.

– Podniósł do góry zaczerwienione oczy. – Nie wiem skąd, ale wiedziałem, że on tego nie udźwignie. Tyle że się pomyliłem. Myślałem, że Jakub zabije siebie, a tymczasem on zabił ją. Czternastoletni chłopczyk, którego nikt nie chciał i który nie mógł już więcej znieść. – Daniel mówił rwanymi zdaniami. – Gdy go znalazłem, był cały roztrzęsiony. Kazałem mu uciekać, wracać do sierocińca i nigdy więcej nie pokazywać się w waszym domu. A później pozacierałem ślady.

– Dlaczego, do kurwy nędzy, go kryłeś? – Ręce Brunona drżały.

– Bo to, kim się stał, to też moja wina. Jakub był synem mojej siostry. Gdy go znaleźli za tamtym regałem, sąd zwrócił się do mnie z wnioskiem o przejęcie nad nim opieki. Odmówiłem. Wyparłem się go, tak jak siostry, uznałem, że to nie mój problem, zresztą i tak nie utrzymywaliśmy kontaktów od lat. Chłopiec trafił do sierocińca, gdzie, jak się domyślasz, nikt nie traktował go ze szczególną uwagą. Ale zdarzył się cud i pewnego dnia do ośrodka przyjechała pewna profesor lingwistyki z Uniwersytetu Warszawskiego, Anna Mielcarz. Kobieta

przyjęła go jako rodzina zastępcza. Zainwestowała trzy lata swojego życia, by nauczył się chodzić, mówić i kochać.

– To ostatnie raczej jej nie wyszło.

– Mylisz się. Tylko że popełniła błąd. Przestraszyła się tego, kim był, i oddała go do bidula jak zepsutą zabawkę. Jakby podlegał naturalnym prawom reklamacji. A potem uciekła za granicę.

– A moja matka?

– Trafiła na niego w Opaczowie kilka lat później i przepadła. Musisz zrozumieć, że Jakub nie był zwyczajnym dzieckiem. Nauczył się wykorzystywać swoją traumę jak broń. Zakradał się do domów ludzi i obserwował ich z bliska. Robił to, co wychodziło mu najlepiej: był niewidzialny. Żył życiem, którego sam nigdy nie miał możliwości doświadczyć. Sypiał w ich łóżkach, kąpał się w ich wannach. Fascynowało go to, jak nieświadomi jego obecności odsłaniają swoje sekrety, ułomności i zboczenia. Przyczajał się, by wydobywać z nich to, co ukryte.

– A później wykorzystywał to przeciwko nim. Przeciwno tobie, przeciwko mojej matce.

Daniel pokiwał głową.

– Od początku wyczuł, że Alicja nosi w sobie jakiś brak. Kiedy przenieśli go do Warszawy, często wymykał się z sierocińca. Obserwował waszą rodzinę, by zrozumieć, jakie mechanizmy nią kierują, i gdy myślał już, że ją rozgryzł i że stanie się jej częścią, twoja matka powiedziała mu, że nigdy go nie zaadoptuje.

Mężczyźni zamilkli, Bruno przetarł szczypiące oczy; czuł, jakby całe jego dotychczasowe życie było kłamstwem. Miał ochotę włączyć w Daniela cały magazynek, ale wiedział, że to nic nie zmieni, że nadal będzie czuł w sobie gniew.

– Dlaczego się mną zająłeś? Myślałeś, że to uciszy wyrzuty sumienia?

– Kochałem cię jak syna.

– Trzeba było pokochać Jakuba, wtedy nie byłoby całego tego bajzlu.

– Wilczyński pokręcił głową. – Jezu, Daniel, on zabił co najmniej siedem osób, w tym czworo swojego rodzeństwa. Naprawdę myślałeś, że nikt się do tego nie dogrzebie? Twoje nazwisko pojawia się niemal przy każdej z tych spraw.

– Gdyby nie uparł się na Ninę Zaniewską i nie wciągnął w to ciebie, nigdy byś o nim nie usłyszał. Wcześniej zabijał z zemsty. Wierzył, że

gdy skończy z tymi, którzy go skrzywdzili, poczuje ulgę. Ale coś w nim pękło. Gdy już myślał, że wszystko poukładał, ktoś znowu rozwalił całe jego życie. Ktoś go znowu zawiódł. Dlatego wrócił, ale teraz miał w sobie żądzę, która kazała mu karać za grzechy. Nie chciałem tego, dlatego po Ninie odszedłem.

– Jakie to łaskawe. – Wilczyński zaśmiał się gorzko. – Gdzie go znajdę?

Daniel westchnął, przygryzł usta.

– To nic nie da. Nie znajdziesz na niego niczego. Posprzątałem wszystko.

– W takim razie pojedziemy teraz na komendę i w obecności Pękały złożysz zeznania. Sorry, Meksyk musi zaczekać.

Technik przymknął na chwilę oczy, po czym otworzył je i ze spokojem powiedział:

– Dobrze. Już czas z tym skończyć.

Bruno przez chwilę przyglądał się przyjacielowi z niedowierzaniem, a następnie podał Danielowi rękę i pomógł mu wstać z podłogi. Uścisk dłoni Sikory wydał mu się dziwnie mocny, jakby tamten chciał przytrzymać się go ostatni raz, zanim wszystko rozsypie się w pył.

– Co powiemy Elwirze?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Wezmę tylko kurtkę. – Wskazał na drzwi do garderoby.

– Jasne.

Bruno siedział za drzwiami, przytłoczony ciężarem wyznań Daniela, ale gdy wychwycił charakterystyczny dźwięk przeładowywania broni, zerwał się niczym rażony prądem. Nagle przypomniał sobie, że jego przyjaciel trzymał w garderobie broń myśliwską, z której niegdyś uczył go strzelać.

Ale gdy to do niego dotarło, było już za późno. W chwili, gdy Wilczyński położył dłoń na klamce drzwi do garderoby, w środku rozległ się wystrzał.



Minęło kilka dni od wizyty policjanta, a ona nadal pozostawała wolna. Coraz rzadziej oglądała się za siebie, a niekiedy potrafiła nawet na

drobną chwilę zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Chłoneła te momenty normalności i karmiła się nimi na niepewną przyszłość. Tego wieczoru postanowiła odpuścić.

Chłopcy wyjechali na zieloną szkołę, Jacek pracował we Wrocławiu, a ona miała cały dom dla siebie. Nalała mnóstwo gorącej wody do wanny i zatopiła się w miękkiej pianie aż po szyję. Spięte mięśnie powoli się rozluźniały. Oparła głowę o krawędź, nogę położyła na specjalnym podnóżku, a w uszy włożyła słuchawki podpięte do telefonu. Aksamitny kobiecy głos kołysał jej myślami. Wokalistka śpiewała o tym, że można podnieść się z każdego upadku, i choć był to najgorszy z banałów, Emilia chłoneła go jak gąbka. Na moment uwierzyła, że na swój sposób może być jeszcze szczęśliwa.

Kiedy wyszła z łazienki, narzuciła na nagie ciało cienki szlafrok. Nie zapalając światła, weszła do sypialni, a po chwili uderzyła w coś kolanem i aż syknęła z bólu. Jedna z kul upadła na podłogę, ale Lewicka zdołała się podeprzeć na drugiej. Muszę bardziej patrzeć pod nogi, pomyślała, odsuwając na bok taboret, który zazwyczaj stał przy toaletce, a teraz nie wiedzieć czemu znalazł się na środku. Schyliła się, by rozmasować stłuczone miejsce.

Nim zdążyła się wyprostować, coś spadło na nią i zacisnęło się wokół jej szyi. Pętla była tak ciasna, że nie zdołała wetknąć pod nią palca. Poczowała, że ciągnie ją do góry. W panice obejrzała się za siebie i zamarła. W jej sypialni stał mężczyzna w kombinezonie i czerwonej czapce z daszkiem. Druga kula z wrażenia wypadła jej z ręki, przez co musiała stanąć na złamanej nodze. Ból, którego doświadczyła, był niczym w porównaniu z przerażeniem torpedującym jej umysł. Chciała coś powiedzieć, ale wtedy usłyszała nagranie: „To ja go zabiłam. Nie mogłam żyć dłużej w ciągłym strachu”.

Nagle wszystko stało się dla niej jasne. To byłeś ty, pomyślała, przez cały czas. To ty się dowiedziałeś, nie on. To przez ciebie go zabiłam. Doprowadziłeś mnie do obłądzenia po to, by się mnie pozbyć.

Mężczyzna szarpnął przedmiot, który trzymał w dłoni, i wtedy dostrzegła, że był to uchwyt od smyczy Dropsa. Druga jej część przewleczona była przez oczko w żyrandolu, dalej szła w kierunku kaloryfera. Była owinięta wokół rurki tak, że tworzyła naturalną dźwignię przy podnoszeniu ofiary.

– Dlaczego? – wykrztusiła z czerwoną twarzą nabiegłą krwią, ale on

nie odpowiadał.

Uniosła się na palce, by zyskać choć milimetr luzu, ale wtedy on pociągnął jeszcze mocniej. Sznur wbił się jej w krtań, a Emilia była pewna, że umiera. Pokój wirował, a jej głowę wypełniał szum.

Mężczyzna podsunął jej taboret, a ona w dziwnym, zupełnie nieracjonalnym odruchu na nim stanęła. Jej ciało pragnęło żyć, instynkt kazał jej się ratować, zawalczyć o choćby jeszcze jeden oddech. Ostatnim, co przyszło jej do głowy, było błaganie o litość. Wyciągnęła więc do niego rękę z nadzieją na przebłysk człowieka w tym monstrum, ale gdy tylko postawiła stopy na taborecie, mężczyzna napiął smycz i kopnął stołek.

Jej ciało opadło bezwładnie w dół i bujało się teraz lekko na żyrandolu.



Larysa podawała Marii rosół do ust i wycierała jej usta papierowym ręcznikiem. Patrzyła na tę piękną niegdyś kobietę z żalem. Widziała, jak w nieubłagany sposób gaśnie w niej życie.

– Paweł tęskni za tobą. – Żona Wiśniewskiego z wysiłkiem wymówiła to zdanie.

Larysa odwróciła głowę, bo słowa Marii ją zabołały.

– Ja też, ale nie mów mu – odparła cicho i zobaczyła, jak na ustach kobiety maluje się delikatny uśmiech.

– Przepraszam, ale niestety usłyszałem. – Paweł stał w drzwiach i wyglądał na zakłopotanego. Pocierał dłonią czoło i przygryzał usta.

Larysa nic nie odpowiedziała, podała Marii dwie ostatnie łyżki i odstawiła talerz do zlewu, po czym pocałowała kobietę w czoło i mijając Wiśniewskiego, wyszła z domu. Paweł dogonił ją, gdy znalazła się przy furtce.

– Nie chciałem tego. Nie mogłem nic zrobić! – zawołał.

Wiedziała o tym, nie miała do niego żalu. To jego zwierzchnicy podjęli decyzję o jej zwolnieniu. Po prostu była zła na to, że nie uszanował jej prośby i grzebał w jej życiu. Przymknęła oczy i westchnęła, stojąc odwrócona do niego tyłem.

– Przepraszam – dodał, a ona poczuła, że zaraz rozklei się na tym

betonowym, popękany z starości chodniku.

Odwróciła się powoli, z wilgotnymi oczami.

– Poprosiłam cię o jedną, kurwa, rzecz. Zaufałam ci, a ty mnie okłamałeś.

– Wiem. Chciałem cię chronić.

– Nie trzeba było. Najlepiej radzę sobie sama. – Zamierzała odejść, gdy coś jej się przypomniało. – Tak dla twojej wiadomości. Welcer wie o wszystkim, zainstalował ci program szpiegowski. Zapytał mnie kiedyś o to, co się wydarzyło w liceum, a ja zachodziłam w głowę, skąd wie, a później znalazłam te materiały na twoim komputerze i wszystko zrozumiałam.

– Welcer już mnie nie obchodzi. Rzuciłem dziś pracę. Dlatego wróciłem wcześniej do domu.

Larysa patrzyła na Pawła, jakby oszalała.

– A co z Marią? Co z leczeniem? Za co opłacisz pielęgniarkę? Odprawa wystarczy ci na miesiąc, dwa, a później co?

Wiśniewski zaczął płakać, ale szybko otarł łzy, pociągnął nosem i zaczął mówić rwanymi zdaniami.

– Zostały jej tygodnie. Zwolniłem pielęgniarkę. Spędzimy ten czas razem. Tylko ja i ona, jak kiedyś.

Miała ochotę podejść i go przytulić, widziała, jak bardzo tego potrzebuje, ale nie potrafiła. Usilnie zamykała serce, by nic nie czuć, a teraz, kiedy emocje siłą chwytaly ją za gardło, nie umiała na nie odpowiedzieć.

– Przykro mi. – Tylko na tyle było ją stać.

Odwróciła się i wsiadła do samochodu, by nie widział, jak wstrząsają nią złość i smutek.

Zanim zatrzasnęła drzwi, usłyszała jego pytanie.

– Co będziesz teraz robiła?

Odpowiedziała mu cicho, tak że nie miał szansy jej usłyszeć:

– To, co zawsze. Uciekała.



Siedział na schodach przed domem, kiedy sanitariusze wynosili Daniela. Patrzył na czarny worek i nie czuł niczego. Wydawało mu się,

że nadal słyszy dźwięk wystrzału i przeraźliwy skowyt Elwiry. Nie miał jej za złe, że rzuciła się na niego i podrapała mu całą twarz do tego stopnia, że widać było na niej długie, krwawe rany.

Obok niego stała aspirant Sylwia Konopacka – trzymała dłoń na kaburze z pistoletem i nie spuszczała go z oczu – a piętro wyżej Marian Pękała pieniał się i wrzeszczał na wszystkich tak głośno, że w domu drżały szyby. Bruno został zatrzymany do czasu złożenia wyjaśnień i wykonania w laboratorium analizy balistycznej. Gdyby nie fakt, że naczelnik przez lata z zazdrością obserwował budującą się silną więź Wilczyńskiego z Danielem, Bruno pewnie już dawno siedziałby na komendzie, a koledzy po fachu wcale by się z nim nie patyczkowali. Ale w tej sytuacji przyjaźń, w którą przed chwilą tak bardzo zwątpił, okazała się jego przepustką do wolności.

– Raz jeszcze gadaj: co się tam, do cholery, stało!? – Pękała stanął nagle przed Wilczyńskim cały czerwony i wściekły.

– Złożę zeznania na komendzie.

– Kurwa, Bruno! Mógłbym cię zamknąć i kazać chłopakom sprać ci mordę. Bądź więc tak miły i mów! – Cały czas krzyczał, a drobinki śliny z jego ust rozpryskiwały się dookoła.

– Rozmawialiśmy o jego odejściu na emeryturę. – Wilczyński powoli powtarzał wersję, którą stworzył, by ochronić dobre imię Daniela. – Mówił, że będzie mu tego brakowało. Ta praca była dla niego wszystkim. Był wycofany. Widziałem, że coś go dręczy, a wiesz, co się dzieje z gliniarzami, którzy odchodzą na emeryturę. Zaproponowałem mu, że się przejdziemy i pogadamy. A on wtedy się uśmiechnął i powiedział, że skoczy tylko po kurtkę. I nigdy więcej nie wyszedł z tej cholernej garderoby.

– Ale czemu zrobił to przy tobie?

– Nie wiem. Bo mnie ufał najbardziej? Wiedział, że zaopiekuję się Elwirą?

– Masz na myśli kobietę, która leży teraz w szpitalu i nie chce cię znać? Coś, kurwa, kiepsko to sobie wymyśliliście. Po co w ogóle do niego przylazłeś? I to z bronią! Na mózg ci padło?

Tego punktu Bruno nie opracował jeszcze dokładnie. Wiedział, że Elwira poświadczy, że przyszedł niezapowiedziany, chciał porozmawiać z jej mężem i nie miał pojęcia o ich wyjeździe.

– Potrzebowałem z nim pogadać. Mój ojciec ma nowotwór żołądka,

a ja kiepsko sobie z tym radzę. – Opuścił głowę, by uniknąć patrzenia Pękale w oczy.

– Zauważyłem. Wyglądasz jak kupa gówna, a dodatkowo jakąś godzinę temu wpłynęło doniesienie od niejakiego Roberta Hallera. Powiedziałem chłopakom, żeby to ogarnęli, dopóki nie uprzątniemy swojego bałaganu. Podobno biegałeś po jego posesji i rozwaliłeś mu bramę przy pomocy glocka. To prawda?

– Furtkę. Nie był za bardzo gościnnie, więc musiałem otworzyć sobie sam.

– Co tam robiłeś?

– Przyszedłem z wizytą. – Spojrzał Pękale w oczy twardym, nieprzejednanym wzrokiem, który komunikował, że szef więcej niczego z niego nie wycisnie.

– Zawieszam cię w czynnościach. – Naczelnik groził wycelowanym w Wilczyńskiego palcem. – Módl się, żeby to był twój największy problem. – Zerknął na aspirant Konopacką. – Zabieraj go do fabryki. Jak będzie fikał, skuj.



Larysa słuchała opowieści Wilczyńskiego z uwagą i choć w pierwszej chwili miała ochotę zrobić mu wykład na temat składania fałszywych zeznań, gdy skończył, zrozumiała go. Jego przyjaciel nie żył, a on nie chciał niszczyć pamięci o człowieku, który opiekował się nim całe życie. Postąpiłaby tak samo, gdyby chodziło o Pawła.

– A jak twój shopping na Olimpii? Upolowałaś jakieś okazy? – zapytał, popijając piwo z butelki.

Siedzieli na Bulwarach Wiślanych, wpatrując się w wodę i spacerujących turystów. Larysa powtórzyła mu historię zasłyszaną od Sztarka.

– Żółć – skomentował. – Najpierw porąbana rodzinka, później Mielcarz, która zaadoptowała Jakuba i po kilku latach go oddała, i wreszcie moja matka, która przelała czarę goryczy. On już nie mógł tego znieść. Zebrało się tyle żółci, że w końcu wszystko się wylało. Najpierw zabił moją matkę, a później swoje rodzeństwo i Mielcarz. Wszystkich, którzy go skrzywdzili. Jakby miał nadzieję, że wtedy

w końcu przestanie cierpieć.

– Ale to się nie stało. Poza tym zabił wszystkich poza ojcem, ale on będzie jeszcze długo siedział w Choroszczy, a wierz mi, nie chciałbyś się tam znaleźć.

– Cały czas myślę o tym, co takiego się wydarzyło, że przełamał schemat. Zabił Ninę tylko po to, by ją ukarać? Jesteś pewna, że Haller jest czysty? Wprawdzie potwierdziłem, że jest rodzonym synem Hallera seniora, ale nadal trudno mi uwierzyć w jego niewinność.

– I słusznie. Ma na sumieniu coś ciężkiego, czego Andrzejewski używał, by go szantażować, ale nie sądzę, by zabił Ninę. Kiedy opowiadał o tym, że przekazał mi kopertę, by odzyskać spokój, po raz pierwszy widziałam w jego oczach przerażenie.

Bruno patrzył na nią z zaciekawieniem.

– Kim, do cholery, jest ten Andrzejewski? I co Daniel miał na myśli, mówiąc, że coś w nim pękło?

Larysa pomyślała, że jej pęknięcia pojawiały się zawsze, gdy ranili ją najbliżsi. Ci, których najbardziej kochała i którym najbardziej ufała. Nie chciała jednak dzielić się tymi wnioskami z Wilczyńskim – wiedziała, że niebawem on sam do nich dojdzie.

– Nie odpuścisz, prawda? – zapytała.

– Tak jak i ty.

– Dopóki nie ma publiczności, nic nie jest prawdziwe – powtórzyła gorzko. – A zatem jesteśmy. Zrobił sobie z nas publiczność. – Uśmiechnęła się do Brunona.

Wilczyński przyglądał jej się dziwnie. Po tamtej nocy nie wróciła już do jego mieszkania. Zmieniła zamki u siebie i na nowo cieszyła się zimnym mlekiem z lodówki. Za pieniądze od Welcera, który ostatecznie uznał, że taniej będzie zapłacić jej karę z umowy niż pensje prawników, mogła pozwolić sobie na jeszcze kilka tygodni hibernacji.

– Czy mi się tylko wydaje, czy to jest randka? – zapytał w końcu Bruno. – Siedzimy nad Wisłą, rozmawiamy, świeci słońce, ja piję piwo, ty – zerknął na jej butelkę – jakieś kolorowe gówno. Nie wiem, czy słyszysz, jak ćwierkają ptaki.

– Nie rozpędzaj się, nie chadzam na randki.

– A na co chadzasz?

– Zwykle pojawiaam się tam, gdzie nie powinnam.

W oczach Brunona zauważyła błysk.

– A co powiesz na pogrzeb? Jakiś czas temu zgłosiła się do nas niejaka Emilia Lewicka. Wydawało jej się, że ktoś ją obserwuje i włamuje się do jej domu. – Wyłowił zaciekawienie w spojrzeniu Larysy. – Najpierw uznałem ją za wariatkę, ale po naszej rozmowie postanowiłem ją jeszcze raz odwiedzić. Tyle że nie zdążyłem.

– Co się stało?

– Pojechałem do Daniela, a później wybuchła bomba. – Pokręcił głową. – Kiedy sobie przypomniałem o Lewickiej, okazało się, że nie żyje. Nie zgadniesz, co się stało...

– Samobójstwo?

Bruno pokiwał głową.

– Powiesiła się na smyczy swojego psa. Ale miała motyw, więc niestety nie ma nic wspólnego z naszym niewidzialnym mścicielem. Kilka dni temu zabiła swojego dawnego kochanka, który był ojcem jej dzieci. Pękała mówił mi, że facet musiał odkryć, że to jego dzieciaki, nachodził ją, bo chciał je odzyskać, a jej odbiło i go kropnęła. – Podniósł do ust butelkę z piwem. – W jego domu było pełno jej śladów. Łącznie z odciskami nasadek od kul inwalidzkich.

Wytłumaczył jej, czemu kobieta chodziła o kulach, i opowiedział o ich spotkaniu w jej domu.

– Jak połączyli fakty? – zapytała.

– Jej mąż wyznał wszystko, gdy się powiesiła. Podobno przyznała mu się dzień wcześniej, a on to nagrał, bo zbierał dowody dla psychiatry, że jej odbiło. Gdy poznał prawdę, nie wiedział, co zrobić, bił się z myślami, a później wrócił z wyjazdu służbowego i zastał ją martwą w sypialni.

– Gdzie i o której jest ten pogrzeb? – zapytała, a Bruno z radości zatarł ręce.



Bruno przyjechał pod kaplicę nieco wcześniej. Stał teraz w cieniu klonu, trzymając ręce w kieszeniach, i obserwował postacie wysiadające z kolejnych samochodów.

Ubrani w czerń goście szeptem wymieniali uwagi na temat okoliczności śmierci Emilii Lewickiej, co jakiś czas wydając z siebie

pełne przerażenia westchnienia. W pewnym momencie zamilkli i jak na komendę odwrócili głowy w kierunku czarnego audi, które pojawiło się na parkingu. Ze środka wysiedli mężczyzna około czterdziestki i dwóch chłopców. Mimo że wpatrywali się w płyty chodnika, z oddali można było dostrzec czerwone, zapuchnięte obwódki wokół ich oczu i zaciśnięte w kreskę usta.

A więc to jest Jacek Lewicki, pomyślał Bruno. Było mu żal tego mężczyzny. Być może dlatego, że patrząc, jak mocno ściska dłonie swoich synów, przypominał sobie tęsknotę za dotykiem ojca, którego sam nigdy nie doświadczył. Goście odprowadzali ich wzrokiem w kierunku kaplicy, żaden jednak nie śmiał się nawet przywitać w obawie, że jednym nieostrożnym słowem wywoła lawinę łez. Co niektórzy kręcili głowami, inni zasłaniaли dłonią usta i teatralnie wymachiwali przed twarzą chusteczką.

Dopiero gdy drzwi kaplicy zatrzasnęły się za Jackiem, przez tłum przetoczył się szept podobny do dźwięku, jaki wydaje z siebie rój pszczół. Bruno poczuł, że ktoś stoi obok niego. Gdy się odwrócił, zobaczył Larysę. Miała na sobie elegancką czarną sukienkę z mocnym rozcięciem na prawym udzie.

– Wystroiłaś się.

– Mam później jedną rzecz do zrobienia – wyjaśniła krótko. – Niezła zgraja. Rzuciło ci się w oczy coś ciekawego?

– Kilku hipokrytów i obłudników. Większość, z tego, co usłyszałem, to rodzina zmarłej.

– A to? – wskazała samotną kobietę, która właśnie wysiadała z taksówki.

Twarz Wilczyńskiego stężała na widok Elwiry, żony Daniela Sikory. Ona też go dostrzegła i zaczęła szybko iść w stronę kaplicy, ale Bruno ją dogonił.

– Nie chcę z tobą rozmawiać – rzuciła twardo, zanim zdążył o cokolwiek zapytać. – Gdyby nie ty, Daniel by żył. Nie wierzę w to, że zabił się z powodu pracy. Nie wiem, co mu wtedy powiedziałaś, ale to ty go zabiłaś.

– Twój gniew nie przywróci go do życia. – Przeszło mu to przez gardło z trudem, bo w głębi serca czuł się odpowiedzialny za śmierć Daniela. Gdyby nie przyszedł, jego przyjaciel wyjechałby do Meksyku.

– Zostaw mnie w spokoju. Nie mam siły na sceny. Uszanuj

przynajmniej śmierć tej kobiety.

– Kim ona dla ciebie była?

Przez moment Elwira milczała.

– Nie znałam jej – wyznała wreszcie niechętnie. – Ale Jacek, jej mąż, był Danielowi bardzo bliski. Chciałby, żebym tu była. – Odwróciła się i zniknęła w kaplicy.

Bruno pomyślał o czymś zupełnie nieracjonalnym. Stał w miejscu, wpatrując się w ludzi wchodzących do środka, i usiłował połączyć wszystkie elementy układanki.

– Wchodzimy? – Wyrwała go z zamyślenia Larysa.

Kiwnął głową, a po chwili zasiedli w ostatniej ławce i wysłuchali słów księdza, który zapewne za spory datek przymknął oko na okoliczności śmierci i głosił porywające kazanie.

Przez kaplicę co jakiś czas przetaczał się niekontrolowany szloch, a gdy do mikrofonu podeszła matka zmarłej, płakali już niemal wszyscy. Po krótkim nabożeństwie zebrani udali się na cmentarz, by ostatni raz spojrzeć na niebieską urnę, która niktęła właśnie pod grudami wilgotnej ziemi. Jacek jako pierwszy chwycił w dłoń czarny piasek i rozsypał go nad grobem. Jego synowie zrobili to samo, a następnie wczepili się w nogawki spodni ojca. Ogonek żałobników powtarzał rytualne gesty, pociągając czerwonymi nosami. Co odważniejsi zatrzymywali się przy Jacku i niewyraźnie mamrotali słowa kondolencji.

Pół godziny później na parkingu pozostały już tylko trzy samochody. Niedawny szum silników powoli ustępował miejsca szeleszczącym na wietrze liściom. I tylko zgarbiona postać ojca obejmująca synów przypominała, że wydarzyło się coś ważnego. Bruno patrzył, jak mężczyzna daje chłopcom kluczyki od samochodu, a gdy odchodzą, głaszcze zimny kamień nagrobka.

– Nie należą państwo do rodziny. – Lewicki odwrócił się nagle i utkwiał wzrok w Wilczyńskim i Larysie.

– Nie – odparł Bruno. – Komisarz Wilczyński. – Wyciągnął rękę, ale Jacek przeszedł obok niej obojętnie.

– Jeśli chce pan rozmawiać o sprawie morderstwa w Podkowie, to nie jest najlepszy moment. Zresztą udzieliłem już policji wszelkich możliwych wyjaśnień. A teraz przepraszam, muszę się zająć dziećmi.

Bruno spojrzął na bawiących się w oddali na parkingu synów Jacka.

– Odprowadzę pana do samochodu. Idziemy w tym samym kierunku. Mężczyzna skinął niechętnie głową, tymczasem Larysa przyglądała się z ciekawością całej scenie. Jacek Lewicki miał w sobie coś magnetyzującego.

– Kim jest pańska towarzyszka? – zapytał niespodziewanie wdowiec.

– Jestem tylko dziewczyną do towarzystwa – wyjaśniła Larysa, nie rozumiejąc do końca, czemu powiedziała akurat te słowa.

– Mam nadzieję, że nie boi się pani psów. – Lewicki uśmiechnął się dziwnie, a Larysa przyglądała mu się z niepokojem.

– Dlaczego? – zapytała.

– Dlatego – zagwizdał, a zza kaplicy przybiegł duży owczarek niemiecki.

Synowie mężczyzny zaczęli bawić się z psem, który skakał radośnie dookoła, jakby nie wiedział, co się wydarzyło.

– Myślę, że mamy, a właściwie mieliśmy wspólnego znajomego – zaryzykował Bruno, któremu drażniąca myśl nie dawała spokoju. – Nazywał się Daniel Sikora, jego małżonka Elwira była na pogrzebie pana żony. Zastrzelił się niedawno.

Jacek Lewicki odwrócił się i wbił spojrzenie w Wilczyńskiego.

– To był wyjątkowy człowiek. Dużo mu zawdzięczam. – Zamyślił się. – Będzie mi trudno bez niego.

Bruno nie mógł przestać przyglądać się dziwnej, nieprzeniknionej twarzy mężczyzny.

– Skąd właściwie się znacie?

– Z dawnych lat – wyjaśnił Lewicki, a później zawołał psa i zamknął go w samochodzie. – Janek, Franio! Jedziemy! – Skinął na synów, którzy rzucili właśnie w okolice nóg komisarza drewniany klejony model samolotu. – Przepraszam. – Mężczyzna podniósł zabawkę. – Wszyscy kiepsko sobie z tym radzimy.

Bruno tylko mruknął, bo usiłował się skupić na tym, co wydawało mu się znaczące. Przypomniawszy sobie, jak w dniu śmierci matki wrzucił z wściekłością posklejany model samolotu do kosza. Wyglądał jak ten, którym bawili się chłopcy.

– To mój! – krzyknął jeden z nich i wyrwał ojcu model.

– Miałem kiedyś taki sam. – Wilczyński zaczął rozmowę z chłopcem, w czasie gdy Lewicki zapinał drugiego syna w foteliku.

– Naprawdę? – ożywił się malec. – I co się z nim stało?

– Zgubiłem go – skłamał Bruno.

Dziecko drgnęło na dźwięk klaksonu i spojrzało na czekającego w samochodzie Jacka.

– Muszę iść, tata na mnie czeka. – Zamierzał już odejść, gdy odwrócił się i podał samolot Wilczyńskiemu. – Niech pan go weźmie. Jest już stary i słabo lata, ale jeśli się panu podoba, to proszę...

Bruno dotknął palcem skrzydła samolotu i zauważył na nim załatane pęknięcie. Było kiedyś złamane, pomyślał. Obejrzał model z każdej strony i wtedy coś nim wstrząsnęło, powoli zyskiwał pewność. Nagle poczuł, jak jego całe ciało napręża się i ogarnia je fala gorąca. Zabawka nie przypominała tej, którą miał kiedyś. To był dokładnie ten sam samolot. Z naprawianym statecznikiem, lewym skrzydłem i kadłubem klejonym w dwóch miejscach.

Obejrzał się za samochodem Lewickiego dokładnie w tej chwili, w której mężczyzna spojrzał na niego swoim zimnym wzrokiem, a później odjechał.

– Wyjaśnisz mi, o co chodzi z tym samolotem? – Larysa wydawała się zniecierpliwiona.

– Innym razem... Ale chyba już wiem, jak nazywa się teraz Jakub Andrzejewski.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

Ta książka nie powstałaby, gdyby nie pomoc wielu osób, w szczególności mojego męża, Roberta, który ani na chwilę nie przestał we mnie wierzyć i dbał o to, bym konsekwentnie szła za swoim wewnętrznym głosem, nawet gdy z racjonalnego punktu widzenia wydawało się to szaleństwem.

Dużym wsparciem byli też moi synowie, czteroletni Alek i sześćioletni Jaś. Ich dziecięca wiara w to, że mama dostanie Nobla, była rozczulająca i skutecznie motywowała mnie do wytężonej pracy.

Ogromne podziękowania należą się moim konsultantom, którzy z cierpliwością objaśniali mi tajemnice kryminalistyki, odpowiadali na zawiłe pytania dotyczące działań operacyjnych policji, wprowadzali w świat medycyny sądowej i weterynarii. Z racji pełnionych przez nich funkcji i na ich prośbę nie mogę wymienić tych osób z nazwiska, niemniej kłaniam się im z bezbrzeżną wdzięcznością. Starałam się dbać o to, by historia Larisy, Brunona i Jakuba była jak najbardziej wierna realiom, ale w niektórych momentach pozwoliłam sobie skorzystać z *licentia poetica*. A zatem wszelkie uproszczenia i odstępstwa od wierności w opisie faktów są tylko i wyłącznie moją inicjatywą.

Przyjaciołom, którzy mnie wspierali i dzielnie wysłuchiwali przydługich opowieści o autorskich perypetiach, Marii Kuli, wspaniałej redaktor i mojej opoce, prowadzącej niezwykle inspirującą Szkołę Pisania Powieści, Paniom bibliotekarkom z Wypożyczalni dla Dorosłych nr 127 przy ulicy Braci Wagów w Warszawie, które przez pół roku gościły mnie w swojej czytelnicy, i najbliższej rodzinie, która zawsze stoi u mojego boku – dziękuję.

Dziękuję także niezrównanej ekipie Czwartej Strony, wszystkim

zaangażowanym w przygotowanie książki i jej promocję, a przede wszystkim Adrianowi Tomczykowi, który jako pierwszy w Wydawnictwie przeczytał tę książkę i zdecydował się zaprosić mnie do współpracy, zapewne bez świadomości, jak odważną decyzję podejmuje. Dziękuję za sprowadzanie mnie na ziemię, otwartość na rozmowę i inteligentne poczucie humoru.

Wyrażam wdzięczność mojej cudownej redaktor językowej, Karolinie Borowiec-Pieniak, tytanowi pracy, osobie o niezwykłym wyczuciu i czujności, która zdaje się wiedzieć o tej książce więcej od samej autorki.

Awansem – dziękuję również Wam, drodzy Czytelnicy, za odwagę. W końcu zdecydowaliście się podarować odrobinę swojego czasu na wspólną literacką przygodę i wyprawę w nieznane.

Izabela Janiszewska
Warszawa, styczeń 2020 roku

SPIS TREŚCI

Strona przedtytułowa

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Cytat

WCZEŚNIEJ

TERAZ

PODZIĘKOWANIA